

Sabina Kruszyńska

Znikanie. Mielno 52

Gdańsk, 2023

Przedślowie

Miejsca geograficzne nasączone są swoją indywidualną, osobną i niepowtarzalną historią. Historia kumuluje się w nich wraz z upływem czasu, ale nigdy nie można jej zobaczyć. Musi zostać wydobyta ze swego pozornego niebytu przez opowieść. Opowieść natomiast wydobywa jedynie wrywki z tej nieskończonej bogatej całości, jaką stanowi historia miejsca. Nie można opowiedzieć całej historii żadnego miejsca, bo składają się na nią życia wszystkich kiedyś obecnych w tych miejscach osób, wszystkich wspólnot, które te miejsca zagospodarowywały i wszystkich przedmiotów, które kiedykolwiek w nich się pojawiły.

Mała, kiedyś prawie nieznana, nadmorska miejscowość nosząca po II wojnie światowej nazwę Mielno, także ma swoją historię, która wciąż się rozrasta. Zmienia się wygląd zewnętrzny miejscowości i jej okolic, nowe zdarzenia odsyłają w niepamięć zdarzenia z przeszłości, nowi ludzie zastępują tych, którzy odeszli, a nowe przedmioty zajmują miejsca przedmiotów wyrzuconych na śmietnik. Dzisiejsze miejsca nazywane Mielnem, Mielenkiem, Unieściem, Strzeżenicami, Sianowem, Dobrym czy Będzinem nie przypominają już miejsc noszących tę samą nazwę siedemdziesiąt, pięćdziesiąt czy czterdzieści lat temu. Zmienia się także Koszalin, miasto, które jak magnes przyciąga ku sobie otaczające je miasteczka, wsie i osady, czyniąc z regionu swoistą i dynamiczną strukturę.

Moje trzy opowieści kryminalne wydobywają z nieogarnionej całości, jaką tworzą historie wymienionych wyżej miejsc, kilka zdarzeń i kilka wpisanych w te zdarzenia ludzkich losów. Wszystko co opisuję, wydarzyło się naprawdę, albo przynajmniej mogło się wydarzyć w tamtych latach, w tamtych okolicznościach, pośród tamtych ludzi. Fikcyjne są natomiast wątki kryminalne. Wątki kryminalne snują się w moich opowieściach jak przyciągająca uwagę ozdobna nić, która tworzy wymyślony, a zarazem wymyślny, wzór na realnej podstawie wykonanej z mocnych nici rzeczywistych wydarzeń.

Pierwsza książka, ta, którą Czytelniku trzymasz w ręku, zatytułowana jest „Znikanie. Mielno 52”. Opowiadam w niej o powikłanych i dramatycznych losach kilku zaginionych osób, które w latach 1947–1952 przybywają do Koszalina, trafiają do Mielna i znikają. Osoby te nie istniały naprawdę ale realne są miejsca, zdarzenia i okoliczności, w których rozgrywają się ich przypadki, ich osobiste dramaty oraz dramaty ich rodzin i znajomych. Miejscem wydarzeń jest przede wszystkim Mielno z jego ówczesnym specyficznym klimatem tworzonym przez

dynamiczną mieszankę ludzi, którzy napłynęli do tej nadmorskiej miejscowości, będącej zaledwie kilka lat wcześniej niemieckim kurortem, z różnych części przedwojennej Polski. Miejsce nie mniej ważnym jest także miasto Koszalin, centrum polityczne i kulturowe tamtych czasów. Umieszczam Czytelnika w konkretnych i nadal rozpoznawalnych sytuacjach powojennego życia w Mielnie, Koszalinie i okolicach. Przedstawiam całą plejadę barwnych postaci, z których każda ma za sobą trudną wojenną i powojenną przeszłość i usiłuje ją pokonać, zaczynając nowe życie, odbudowując je w nowych warunkach i w nowym nieznanym miejscu. Wysiłki moich bohaterów są zakłócanie nie tylko przez dotyczące wszystkich ludzi decyzje polityczne, ale także przez niewytłumaczalne osobowe zło, które uderza w nich mocno i niespodziewanie. Z osobowym złem będą musieli zmierzyć się sami, aby nie zawierać kompromisów z nieakceptowaną przez nich władzą polityczną.

Kryminalna akcja drugiej książki zatytułowanej „Plaża martwych panien. Mielno 68-69” toczy się początkowo w roku 1968-mym, kiedy to latem Mielno stało się miejscem pierwszego złotu polskich hipisów. Fikcyjny wątek kryminalny i tym razem rozgrywa się pośród wydarzeń, które, w różnych konfiguracjach i według innej nieco chronologii, wydarzyły się naprawdę. Mielno końca lat sześćdziesiątych jest miejscem odmiennym od tego, którym było we wczesnych latach pięćdziesiątych. Podczas letniego sezonu prężnie działają nowe ośrodki wypoczynkowe Funduszu Wczasów Pracowniczych, mnożą się pola kampingowe i namiotowe a plaża zapełnia się beztruskimi opalonymi wczasowiczami z całej Polski. Bananowa młodzież szokuje dorosłych swobodnym zachowaniem i niekonwencjonalnym strojem. Jest to nadal czas polskiej socjalistycznej biedy, ale też czas większej beztruski, jako że dojrzało pokolenie nie znające wojennych koszmarów. I właśnie w samym środku słonecznego mieleńskiego lata, w beztruskiej atmosferze plażowania, morskich kąpiei, kolorowych seksownych strojów bikini oraz rozgrzanych opalonych ciał zło znów atakuje i zmusza bohaterów mojej drugiej opowieści do niekonwencjonalnych i ryzykownych działań.

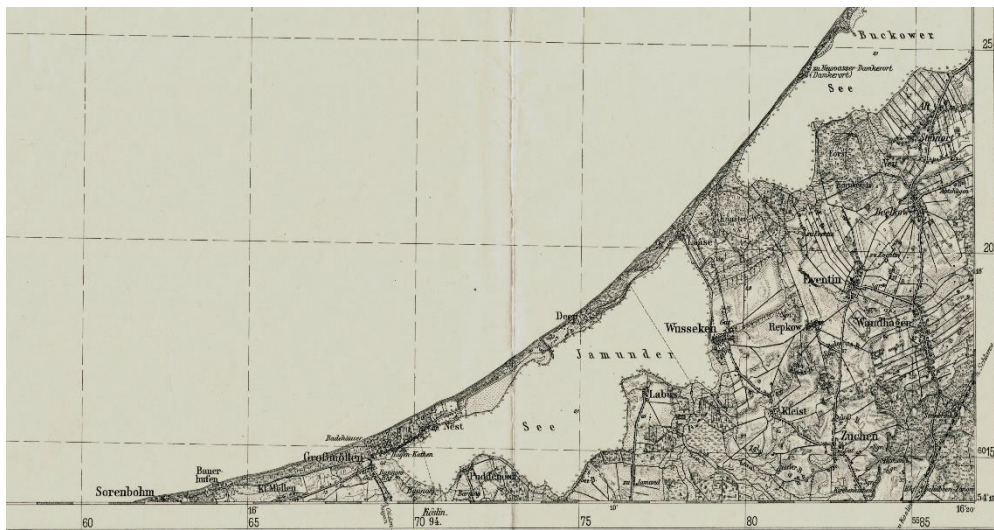
Trzecia książka nosi tytuł „Czas umierać. Mielno 82”. Jej akcja także toczy się w Mielnie, Koszalinie i okolicach. Od 13-tego grudnia 1981-ego roku trwa w Polsce stan wojenny, który nagle, w brutalny sposób, zakończył „karnawał Solidarności”. Dla osób zaangażowanych w odzyskiwanie obywatelskich wolności wprowadzenie stanu wojennego stało się wielką życiową katastrofą. Fikcyjny wątek kryminalny rozgrywa się właśnie w tych ponurych czasach, kiedy ponownie, i zarazem drastycznie, zaostają się podziały pomiędzy zwolennikami socjalistycznego spokoju oraz przedstawicielami państwowych struktur bezpieczeństwa a dynamicznymi kreatorami rodzącej się wolności. W atmosferze wzajemnej

nienawiści i w poczuciu doznanych krzywd, rozjątrzają się dawne rany. Bohaterowie opowieści stają przed trudnymi wyborami natury politycznej i osobistej a podejmowane przez nich wybory zdecydują nie tylko o tym, jak dalej potoczy się ich życie, ale także o tym, czy w ogóle będą dalej żyć. Czas politycznych niepokojów i dramatycznych wyborów osobistych staje się czasem, w którym trzeba umierać śmiercią chcianą i niechcianą. W tej opowieści zło nie ma wyraźnej twarzy, lecz podstępnie i niedostrzegalnie wkrada się do ludzkich dusz i umysłów.

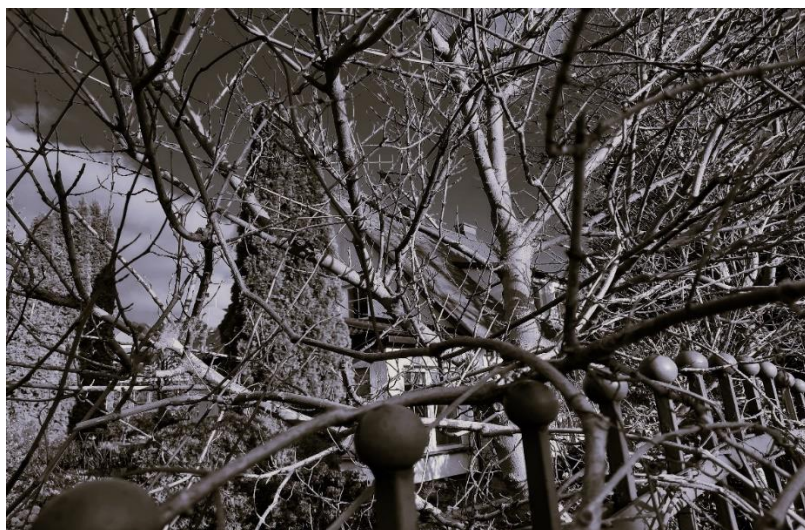
Poza opustoszałym jesiennym i zimowym Mielnem oraz Koszalinem, który w latach siedemdziesiątych przeszedł wielką metamorfozę związaną z organizacją centralnych dożynek, pojawiają się w tej opowieści także inne, mniej znane miejsca, takie jak Mścice, Dobre czy Strzeżenice.

Na zakończenie muszę podziękować wszystkim tym, którzy, czytając trzy omówione wyżej opowieści, rozpoznają w przypadkach moich bohaterów własne przeżycia. Wykorzystałam bowiem w opowieściach nie tylko własne wspomnienia, ale także wspomnienia dawnych mieszkańców miejsc, w których rozgrywają się kolejne zdarzenia. Dużo informacji zawdzięczam wspomnieniom mieszkańców Koszalina, Będzina, Sianowa, Mielna czy Mścic opublikowanych w formie elektronicznej lub drukowanej, z których wiele powstało dzięki działalności Stowarzyszenia Przyjaciół Koszalina.

Rozdział pierwszy



1. Bracia Wysoccy. Sierpień/wrzesień 52



Dom stał przy głównej ulicy, prowadzącej z Mielna do Unieścia. Właściwie można by powiedzieć, że był to jeden z budynków Unieścia, gdyby nie trwające wciąż zamieszanie z

polskimi nazwami ulic oraz to, że Unieście, dawniej Nest, leżało w strefie zmilitaryzowanej, a działalność prowadzona w domu miała charakter jak najbardziej cywilny. Tej cywilnej działalności bliskość wojska, a właściwie samych wojskowych, sprzyjała, ale sprzyjało jej także otwarcie na burzliwy i tajemniczy świat mieleński, w którym w miarę ustabilizowane życie codzienne podszyte było jakąś nieprzeniknioną i mroczną warstwą. Tak też dwójako wyglądał sam dom. W dzień był to - w porównaniu z ozdobnymi pensjonatami, jakich wiele powstało przed wojną w Grossmöllen - budynek nie rzucający się w oczy, choć solidny, jednopiętrowy. Wyróżniał się może jedynie obszernym parterem i zielonymi drzwiami wejściowymi oraz tym, że jego spadzisty dach pokryty był czerwoną dachówką, podczas gdy większość sąsiednich budynków pokryto papą. Natomiast późnym wieczorem i w nocy dom ożywał, a uwagę nielicznych przechodniów przyciągały prześwity rozświetlonych okien zza przymkniętych okiennic, dźwięki patefonu, głośne rozmowy, a niekiedy także zaskakująca cisza, przez którą przebijały się wybuchy śmiechu lub okrzyk, nie wiadomo, bólu czy rozkoszy.

Kobiety spotykające się codziennie pod jedynym sklepem spożywczym w Mielnie - sklepem geesu ulokowanym na drugim końcu miejscowości, czyli przy skrzyżowaniu ulic Lechitów i Kościelnej - z oburzeniem, ściszonymi głosami, perorowały, że dom to szulernia i burdel w jednym. Nazywały ten mroczny przybytek domem schadzek u Czarnej Janki. Ich mężowie tam nie bywali, choć pewnie niejeden miałby na to ochotę. Ale mężowie kobiet stojących pod sklepem, ze względów finansowych, mogli jedynie przesiadywać w „Mewie”. Tę ptasiomorską nazwę nadano geesowskiej spelunce, zajmującej lokal przy ulicy Lechitów, dokładnie naprzeciw sklepu. Ku utrapieniu porządnym ludzi koło „Mewy”, z której dochodziły pijane głosy i niewybredne przekleństwa, w dni powszednie musiały przechodzić idące do szkoły dzieci, a w niedziele wierni zmierzający na msze odprawiane przez koszańskich franciszkanów w mieleńskim piętnastowiecznym kościele. Kościół stał na szczęście dostatecznie daleko od spelunki, więc wierni, zanim przeszli ulicę Kościelną i dotarli do kościoła, zapominali o całkowicie nieświętej aurze „Mewy”. U celu napotykali natomiast budynek stojący naprzeciw kościoła, a ten przypominał im o tym, kto naprawdę teraz rządzi w Mielnie, bo w budynku mieścił się posterunek milicji.

Czarna Janka, dojrzała piękność o cygańskiej urodzie, pojawiła się w Mielnie, zwanym jeszcze wtedy oczywiście Grossmöllen, wraz z 3. Korpusem Pancernym Gwardii generała Panfilowa. Korpus, po zajęciu niemieckiego miasta Köslin i przed ruszeniem na Kolbeg,, ulokował się na krótki wypoczynek w bazie ratownictwa morskiego Luftwaffe znanej jako

Filegerhorst Nest. Gwardia Panfiłowa wkrótce opuściła wygodne lokum w budynkach bazy lotniczej w zamkniętej strefie Nest, a Czarna Janka, podobnie jak kilku polskich wojskowych osadników, pozostała, zajmując dom nad jeziorem Jamno przy wyłożonej betonowymi płytami drodze łączącej Mielno z Unieściem. Wieść niesła, że bywali w nim oficerowie i podoficerowie Armii Czerwonej, Wojska Polskiego i szemrane towarzystwo z Koszalina, Mielna i okolic.

Tadeusz Wysocki stanął przed zielonymi drzwiami domu Czarnej Janki trzymając w ręku fotografię swego młodszego brata Juliana. Zdecydowanie nacisnął okrągły przycisk dzwonka. Zdecydowanie pojawiło się w nim przed chwilą, bo wcześniej długo się wahał. Nie chciał mieć z tym miejscem nic wspólnego. Przepytał jednak już wszystkich, o których sądził, że mogą coś wiedzieć o Julianie, który trzy tygodnie temu, w niedzielne przedpołudnie, wybrał się z Koszalina do Mielna.

Mielno przyciągało koszalinian. Nie było tu gruzów, chaotycznego ruchu wozów konnych i ciężarówek na ulicach, śpieszących się zawsze ludzi i narzucających się politycznych haseł. W Mielnie była zieleń, gustowne letniskowe wille z drewnianymi wieżyczkami i ozdobami, przystań żeglarska nad jeziorem, park z rzeźbą jelenia, a przede wszystkim nostalgiczna atmosfera przedwojennego kurortu, no i oczywiście morze, które wielu z koszalinian zobaczyło tu po raz pierwszy w życiu.

Młodszy brat Tadeusza Julian Wysocki wybrał się w sierpniową niedzielę do Mielna sam. Był w złym nastroju, a ciężka atmosfera w domu przygnębiała go jeszcze bardziej. Rodzina Wysockich straciła niedawno, jak wiele innych rzemieślniczych rodzin, cały dorobek swego krótkiego i niełatwego życia w Koszalinie. Władze zlikwidowały bowiem prywatne zakłady rzemieślnicze i wysiedliły tak zwanych prywaciarzy z zajętych przez nich wcześniej mieszkań. Warsztaty zostały przejęte przez zorganizowane naprędce spółdzielnie, a do mieszkań wprowadzili się rozmnożeni gwałtownie komunistyczni oficjele - panowie dyrektorzy, sekretarze partii i prezesi z awansu. Los rzemieślników przybyłych do Koszalina z Gniezna i okolic przypieczętowała wymiana pieniędzy. Życie, które prowadzili dotychczas, a które koślawo przypominało przedwojenne czasy, ale przynajmniej dawało nadzieję na stabilizację po latach wojny i powojennej tułaczce, skończyło się bezpowrotnie.

Rodzice Tadeusza i Juliana, Irena i Roman Wysoccy, przyjechali do Koszalina już w lipcu 45-tego roku. Mieli, jak się mówiło, głowę do interesów. Po traumach wojny – wyrzuceniu przez Niemców rodziny Wysockich z ich gnieźnieńskiego mieszkania, a potem spaleniu przez

Armię Czerwoną magazynów firmy spedycyjnej Hoffmanna, w których na czas wojny złożyli byli meble, zastawy i rodzinne pamiątki - chcieli zacząć wszystko od nowa. Tak zwane Ziemie Odzyskane dawały taką szansę. Wybrali Koszalin, bo organizacją polskiego, choć socjalistycznego teraz życia w Koszalinie zajęli się aktywiści z Gniezna. Na ulotkach zapewniano: „rolnicy, rzemieślnicy i robotnicy, tam znajdziecie Eldorado”. Wysoccy, którzy w Gnieźnie stracili wszystko, z dorastającymi synami przyjechali do Koszalina i zostali pionierami. W maju 45-tego roku, wraz z innymi polskimi przybyszami, manifestacyjnie przeszli w pochodzie ze zniszczonego koszalińskiego dworca do punktu etapowego Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Nieśli biało-czerwone flagi i z satysfakcją patrzyli na przestraszone i zszokowane grupki ludności niemieckiej, stojące na chodnikach. Zajęli jedno z mieszkań przy ulicy, której nadano już nową, i pozornie polską nazwę, przy ulicy Bieruta. Osadnicy trzymali się wówczas blisko siebie. Wybierali mieszkania w nielicznych ocalałych ze zniszczeń budynkach, które pozostały w śródmieściu przy ulicy Zwycięstwa, Bieruta, 1 Maja czy Gnieźnieńskiej. Opustoszałe wille na obrzeżach miasta kusiły, ale nie były bezpieczne. Na przedmieściach rządzą szabrownicy, grupy żołnierzy Armii Czerwonej i spekulanci z centralnej Polski. Wysoccy nabyli meble i sprzęty od Głównego Urzędu Likwidacyjnego i otworzyli zakład rymarsko-tapicerski. Wkrótce dołączyła do nich Sabina z mężem, młodsza siostra Ireny. Sabina w 1947-mym wyszła za Jana Skibiłło, wysiedleńca z Gojcieniszek. Młodzi małżonkowie także nic nie mieli, więc Wysoccy sprowadzili ich do siebie. Pracowali razem. Klientów mieli dużo, pracy jeszcze więcej i po roku było ich stać na to, by w niedziele, po mszy w Kościele Mariackim, jeździć całą rodziną dwiema dorożkami na Górę Chełmską, do Mielna nad morze, albo przesiadywać w parkowej kawiarni nad stawami w koszalińskim parku. Wcześniej musieli jeździć do Mielna odkrytą, zatłoczoną ciężarówką, ale właśnie te pierwsze wyjazdy były niezapomniane. Stłoczeni na pace ciężarówki świeżo upieczeni koszalinianie głośno krzyczeli z zachwytu, gdy samochód zatrzymywał się na ładnej nadmorskiej uliczce i z wysokości paki mogli zobaczyć bezkres morskiej wody. Zeskakiwali jeden po drugim z ciężarówki i z radosnymi okrzykami biegli na plażę. Dorośli cieszyli się na równi z dziećmi.

Te pierwsze, pełne nadziei lata nowego życia teraz były jedynie wspomnieniem. Wysoccy i pozostali pionierzy-rzemieślnicy, którzy jeszcze niedawno z zapałem dbali o dobrobyt i o rozwój swej nowej małej ojczyzny, kolejny raz zostali pozbawieni wszystkiego, co zdobyli pracą, wytrwałością i sprytem. Po wymianie pieniądza pozostały im marne resztki oszczędności. Stracili warsztaty i mieszkania. Warsztaty stały się własnością spółdzielni, a mieszkania zajęły rodziny partyjnych i rządowych oficjeli. Wysoccy przeprowadzili się do

ciasnego mieszkania przy Dworcowej, a Roman i Jan ugrzęźli na skromnie opłacanych posadkach w spółdzielni garbarskiej. Irena została w domu i dorabiała szyciem. Sabina znalazła pracę jako księgowa.

Julian więc nie mógł już, jak dawniej, pojechać do Mielna dorożką, bo nie miał pieniędzy. Musiał skorzystać z przepełnionego pociągu lub równie zatłoczonego autobusu. Kiedy nie wrócił w niedzielę wieczorem, całą rodziną – ojciec, matka, Tadeusz i siostra matki z mężem – poszli na pobliski dworzec kolejowy i na miejsce, skąd wyruszały autobusy. Nikogo już tam nie było, kasy dworcowe pozamykane, ulica Dworcowa opustoszała. Była połowa sierpnia, niedziela po święcie Matki Boskiej Zielnej. Ciemność jeszcze nie zapadła, więc zdążyli przeszukać okolice dworca i bunkry za dworcem. Potem poszli ulicą Jana z Kolna w stronę browaru i przeszukali rejon Spółdzielczej. Nadzieja w nich gasła z godziny na godzinę, ale poszli jeszcze w okolice starych miejskich murów i do miejskiego parku. Wracając, wyczerpani i przestraszeni, zajrzeli jeszcze do restauracji „Polonia”, działającej od dawna przy ulicy 1.Maja. Przychodzili do niej na niedzielne obiady, ale było to w czasach, gdy restauracja nosiła dumną nazwę „Pod Białym Orłem”. Po upaństwowieniu zamieniła się nie tylko nazwa, ale także zmienił się sam lokal. Dobrze prowadzona restauracja z porządnym hotelem, stopniowo traciła klasę i zaczynała przypominać ciągle zadymiony podrzędny lokal gastronomiczny. Wysoccy i Skibiłłowie mieli nikłą nadzieję, że Juliana przywiódł do „Polonii” sentyment. Ale Juliana tam także nie było.

- Czego on miałby szukać w niedzielę wieczorem w „Polonii”? – retorycznie pytała zdenerwowana Irena. – Ma przecież zaledwie 19 lat – mówiła, choć pozostali członkowie rodziny dobrze wiedzieli, ile lat ma Julian. - Alkoholu nie lubi. Czasem może piwo wypije „dla towarzystwa”, a dymu z papierosów wprost nie cierpi.

Julian rzeczywiście był typem sportowca: wysoki, dobrze zbudowany, silny, wygimnastykowany. Wojenna bieda nie zostawiła na jego młodym ciele wyraźnych śladów, a w ciągu siedmiu lat powojennych dojrzał i stał się przystojnym młodzieńcem o głębokich ciemnych oczach i jasnych włosach.

Wrócili do mieszkania Wysockich zrozpaczeni. Mężczyźni, pomimo późnej pory, postanowili zajść jeszcze do kilku znajomych rodzin, ale i u nich nie dowiedzieli się niczego.

- Idźcie do domu – zwrócił się do Skibiłłów Roman Wysocki. – Dziś już niczego nie zdziałamy.

Irena siedziała przy stole w kuchni, skryła twarz w dłoniach i płakała. Roman musiał się trzymać. Zanim Sabina z Janem wyszli, postanowiono dalej prowadzić poszukiwania na własną rękę, bez rozgłosu i powiadamiania milicji. Niewielu ludziom można było zaufać, a wkroczenie do akcji milicji mogło wpędzić rodzinę w kolejne kłopoty. Roman Wysocki zaledwie przed dwoma laty wyszedł z więzienia, gdzie spędził kilka miesięcy za niezapłacenie Urzędowi Likwidacyjnemu za dwie maszyny do szycia skór i, jak twierdzono, nielegalne garbowanie. Maszyny przywiózł z Gniezna, ale nie mógł tego władzy udowodnić. Wrócił z więzienia zdruzgotany psychicznie.

- Ja się tym zajmę – obiecał Tadeusz zmartwiony złym stanem psychicznym obojga rodziców.
– Mam urlop do końca sierpnia.

Następnego dnia Tadeusz najpierw sprawdził czy Julian nie trafił do szpitala. Potem odnalazł i przepytął bliskich kolegów Juliana. Młodzi ludzie, którzy obiecali być dyskretni i nie rozgłaszać wieści o zaginięciu kolegi, niewiele jednak wiedzieli. Żaden z nich nie umawiał się z Julianem na niedzielny wypad nad morze, a nawet nic o tym planie Juliana nie wiedział. Dzieląc się na dwójki, w miarę wolnego czasu, koledzy pomogli najpierw przeszukać Tadeuszowi cały Koszalin, a potem dwukrotnie pojechali z nim do Mielna, gdzie przeczesali nadmorski las, plażę i łąki nad jeziorem Jamno. Minął ponad tydzień bezowocnych wysiłków, kończył się sierpień i młodzi ludzie musieli wracać do pracy i do szkół. W międzyczasie zdołano jeszcze przez kontakty zaufanych znajomych sprawdzić, czy Julian nie został aresztowany.

Irena Wysocka na przemian rozpaczała i wymyślała przeróżne scenariusze. Najbardziej pocieszał ją ten, w którym Julian w ścisłej tajemnicy, aby nie narażać rodziny, uciekł zagranicę do wolnego świata. Twierdziła, że chciał uniknąć czekającego go wkrótce powołania do wojska. Roman i Tadeusz też chcieliby wierzyć w jej optymistyczne scenariusze, ale nie wierzyli. Nie mówili tego głośno, ale obaj coraz częściej myśleli, że Julian utonął. Co prawda nauczył się był już pływać, a morze było podobno w tę nieszczęsną niedzielę spokojne, ale wersja z niezauważonym przez nikogo utonięciem stawała się coraz bardziej prawdopodobna. Musieli wreszcie powiadomić milicję. Zgłosili zaginięcie Juliana posterunkowemu w Mielnie, który, jeśli nie patrolował mieleńskich ulic na motocyklu lub nie szarpał się z pijakami z „Mewy”, siedział na posterunki przy ulicy Kościelnej i mozolnie wypełniał formularze. Zajęty pracą młody posterunkowy uznał utonięcie Juliana za pewne i kazał czekać, aż ciało wypłynie.

- Topielec prędzej czy później wypływa, a morze wyrzuca go na brzeg – powiedział – więc czekajcie obywatelu, aż ciało wyciągnie z siecią któryś z rybaków z Unieścia, albo ktoś przypadkowo znajdzie je na plaży. Nie wiadomo, jak daleko od Mielna. No chyba, że prądy zniosą je na pełne morze, to wtedy przepadło. Nigdy się nie znajdzie. Tak to już jest z morzem. Nie przewidzisz, co zrobi z człowiekiem.

Nie przekazali rewelacji posterunkowego matce. Bali się, że ją ostatecznie dobiją. Sami także znów zaczęli się bronić przed zgodą na śmierć Juliana. Pewność posterunkowego wzbudziła w nich bunt. Nie chcieli się poddać, nie chcieli zdusić tłącej się w nich jeszcze isierki nadziei. A mogli ją podtrzymywać jedynie przez kontynuowanie poszukiwań.

W następnych dniach Tadeusz mógł działać tylko po pracy w Zakładach Graficznych. Zakłady znajdowały się przy ulicy Lampego w Koszalinie. Tadeusz pracował tam jako kierowca. Rozwoził po mieście i okolicy zapakowane w szary papier i przewiązane sznurkiem stosy gazet, broszur i druków. Musiał rozwieźć je jak najwcześniej, zanim jeszcze dla innych nastanie dzień pracy, więc jeśli nie było dodatkowych transportów, kończył pracę na tyle wcześnie, że zostawało mu dość czasu na podejmowanie zaplanowanych na dłużej działań poszukiwawczych.

Tadeusz był starszy od Juliana o cztery lata. Nie byli do siebie podobni. Tadeusz, niższy, drobniejszy o ciemnych włosach, wdał się w rodzinę matki. Julian był podobny do ojca. Tadeusz więcej widział i więcej rozumiał, bo kiedy przyjechali z Gniezna do Koszalina miał już siedemnaście lat. Przeżył świadomie wojenne i powojenne wydarzenia. Nauczył się walczyć o swoje i nie ulegał ideologicznym fascynacjom. Jak wielu z tych, których wojna pozbawiła wczesnej, radosnej i beztroskiej młodości był psychicznie zahartowany, ale jednocześnie nad miarę wrażliwy. Wytrwały i zawzięty, ale jednocześnie potrzebujący dłuższych chwil spokoju, aby wyciszyć kumulujące się w nim emocje. Postanowił zbierać informacje w Mielnie i porządkować je tak, aby wyłaniały się kolejne kroki do wykonania. Zamierzał przepytować ludzi, nie podsuwając im wersji o utonięciu. Wymyślił więc prawdopodobną i przekonującą historię: będzie rozpytywać nie o brata zaginionego pod koniec sierpnia tego roku, ale o niesforne go starszego brata, który odłączył się od rodziny tuż po wojnie i, wedle niesprawdzonych doniesień, pałętał się po Ziemiach Odzyskanych, nie kontaktując się z bliskimi czy to z głupoty, czy ze wstydu, a którego w sierpniu ktoś z dawnych znajomych widział podobno w Mielnie.

Zaczął działać planowo i systematycznie. Wyposażony w lekko podniszczone, ale aktualne, zdjęcie Juliana, pokazywał je żołnierzom WOP-u, pełniącym warty w strefie przygranicznej. Żołnierze kontrolowali dokumenty, a czasami nawet bagaże, ludzi wjeżdżających do Mielna szosą prowadzącą przez Mścice i przez Strzeżenice. Udawał przy tym człowieka trochę niezrównoważonego psychicznie, bo sądził, że dzięki temu żołnierze zbytnio się nim nie będą interesować. W efekcie jednak rozmawiali z nim bardzo niechętnie, a jeszcze częściej opędzali się od niego, jak od natręta. Ci mniej sztywni w obejściu przecząco kręcili głowami, twierdząc, że nigdy nie widzieli pokazywanej im twarzy. Jeździł też często zatłoczonym autobusem PKS, kursującym z Koszalina do Mielna. Nie indagował pasażerów, zanim nie sprawdził, że nie ma wśród nich znajomych rodziny Wysockich. Ale i te indagacje nie przyniosły spodziewanego rezultatu. Pewnego dnia wysiadł w Mścicach, poszedł do gospody i wypytał jej właścicieli. Oni także nie widzieli Juliana. Ci dobrzy ludzie, prawdopodobnie ze względu jego marny wygląd i zawiedzioną minę, poczęstowali go chlebem z masłem i kwaśnym mlekiem. Nie wzięli zapłaty.

W pewną wrześnieową słoneczną niedzielę Tadeusz próbował dowiedzieć się czegoś od ludzi wychodzących z mieleńskiego kościoła. Z zainteresowaniem i życzliwością słuchali wymyślonej przez niego historii, ale nie potrafili pomóc. Skierowali go natomiast do miejsca, w którym, jak mówili, wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą, czyli do Czarnej Janki. Od pijaków z „Mewy”, twierdzili zgodnie, niczego pewnego się nie dowie, bredzą oni i zmyślają niestworzone historie, aby naciągnąć delikwenta na kolejną wódkę.

Tadeusz stanął więc przez zielonymi drzwiami domu Czarnej Janki i raz po razie mocno naciskał przycisk dzwonka. Tego dnia elegancko wyglądał. Założył prochowiec i kapelusz, co dodawało mu powagi i pewności siebie. Po dłuższym czasie drzwi otworzyła dojrzała, zbyt elegancko jak na wczesne popołudnie ubrana kobieta.

- Nie jest to chyba właścicielka domu – pomyślał, patrząc na jej wyondulowane i najwyraźniej tlenione włosy ułożone w wymyślne fale i utwierdzone ozdobnymi spinkami, na obcisłą czarną suknię i robione na miarę buty na zgrabnych, długich nogach.

- Słucham pana – powiedziała, nie patrząc na niego, lecz błędząc wzrokiem gdzieś ponad jego głowę.

- Dzień dobry – zdjął kapelusz i pochylił się w pełnym udawanego szacunku ukłonie. – Czy mogę zająć pani cenną chwilę?

- Tak, słucham – powtórzyła, zniżając wzrok i zaglądając mu teraz prosto w oczy, co bardzo go speszyło.

Oczy miała jasnoniebieskie, a spojrzenie bardzo przytomne. Onieśmielony i zbity z tropu chaotycznie opowiedział swą wymyśloną historię. Ku jego zdziwieniu nie okazała zniecierpliwienia, nie przybrała drwiącej miny, nie zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, lecz zaprosiła do środka. Wszedł z lekkim wahaniem, powstrzymując wzbierającą w nim teraz gwałtownie irytację.

- Wyszukana elegancja i niewymuszona grzeczność w takim miejscu! – pomyślał, czując gorycz.

Z korytarza, którego umeblowania dokładnie nie zapamiętał – były tam jakieś metalowe wieszaki i szafki z wyściełanymi siedziskami - przeszli do obszernego jasnego salonu. Sofy, stoliki kawowe, fortepian, duże skórzane fotele, patefon z piękną tubą na mahoniowej etażerze, także witryna z porcelaną i komoda. Zapatrzył się przez krótką chwilę na rozciągający się za tarasowym oknem widok jeziora. Kiedy odwrócił się, zamarł. Eleganckiej kobiety nie było, a w drzwiach stało dwóch osiłków w średnim wieku. Jeden obracał w ustach przyklejony do wargi papieros, drugi przygryzał zapalnik.

2. Marianna. Marzec 52



Marianna Kupryszak otuliła się mocniej podszytym wiatrem płaszczem i zawinęła chustką. W pasie ścisnęła się mocno skórzanym paskiem. Wiosna 52-go roku była zimna, a ona nie

lubiła mrozu, śniegu, nie lubiła też wczesnej wiosny z jej wiatrami i przenikliwą wilgocią. Nie lubiła wszystkiego, co przypominało jej wywózkę z Maniewicz w lutym 1940-tym roku, pobyt w obwodzie irkuckim, marsz do Polski za Frontem Białoruskim, a przede wszystkim tamten kwietniowy wieczór 45-tym. Zsyłkę i wojnę przeżyła dzięki temu, że była pielęgniarką. Jej rodzina nie miała tyle szczęścia. Marianna została sama. Ale nie chciała pamiętać o minionym koszmarze, nie chciała myśleć o bliskich. Chciała zapomnieć i żyć. Będąc pielęgniarką w szpitalach polowych, przemieszczała się za Armią Czerwoną i czuła w miarę bezpiecznie. Cieszyła się, że będzie mogła zostać gdzieś tam na zachodzie, w nieznanym miejscu, które nie będzie jej przypominać tego, co знаła dotychczas. Na początku marca dotarli do miasta Köslin. Walki trwały krótko, bo, jak później szeptano, miasta bronili głównie młodzi rekruci, Volkssturm i Hitlerjugend. Ostrzał artyleryjski zniszczył głównie rynek. Ratusz prawie cały spłonął. Cywilnej ludności niemieckiej - a były to głównie kobiety z dziećmi, starsi ludzie i rodziny rolników z okolicznych wsi - na przełomie marca i kwietnia kazano opuścić domy. Uciekli w okolice Świeszyna, a kiedy po kilkunastu dniach wrócili, zastali swoje domy i mieszkania splądrowane, a miasto zburzone i spalone w stopniu większym niż podczas walk. Zdobywcy zniszczyli je podobno po to, aby na tle jego gruzów nakręcić film propagandowy o zaciętych i bohaterskich walkach Armii Czerwonej na Pomorzu.

Marianna nie rozczulała się nad losem niemieckich cywilów. Niektóre niemieckie kobiety były skazane na utrzymywanie intymnych stosunków z rosyjskimi żołnierzami. Było to lepsze dla nich i dla ich dzieci. Miały wtedy marną, ale jednak w ogóle jakąś, ochronę przed gwałtami. Niemcy zniknęli z Koszalina i okolic po deportacji przeprowadzonej w 47-mym roku. Wcześniej byli wykorzystani do odgruzowywania miasta i innych prac porządkowych, do naprawy maszyn czy uruchomienia wodociągów. Marianna zauważyła, że Rosjanie lepiej traktują zatrudnianych przez siebie Niemców niż Polaków. Polacy byli dla nich niedawnymi wrogami, a jeszcze wcześniej poddanymi. Teraz zaczęli czuć się gospodarzami na ziemiach wyzwolonych przez Armie Radziecką i ośmielali się krzywo patrzeć na demontaż papierni, młyna, opróżnianie silosów zbożowych i zagarnianie dobytku cywilów.

Na początku kwietnia 45-tego roku, podczas żołnierskiego szaleńczego świętowania zdobycia miasta Köslin, życie Marianny załamało się po raz kolejny. Straciła tak trudno zdobytą równowagę psychiczną i kruche poczucie bezpieczeństwa. Na zewnątrz wszystko pozostało takie samo, ale był to tylko pozór. Przez jakiś czas jeszcze pracowała w szpitalu wojskowym ulokowanym w budynku późniejszego gimnazjum i liceum przy Placu Gwiazdzistym, gdzie

leczono żołnierzy radzieckich. Ale wiedziała, że nie może w nim pozostać, nie może patrzeć na pacjentów z nienawiścią. A ona ich nienawidziła, choć przecież to nie byli ci, którzy skrzywdzili ją w tamten zimny kwietniowy wieczór, kiedy wracała na kwaterę po całym dniu spędzonym w szpitalu. Pozbierała się potem tylko fizycznie. Do rana moczyła się w dużej miednicy i robiła irygacje nadmanganianem potasu. Nie płakała. Jej wnętrze stwardniało. Kiedy po kilku tygodniach była już pewna, że nie zaszła w ciążę, nic nie poczuła, nawet ulgi. Jej psychika zmieniła się zupełnie. Żyła nienawiścią, głęboką i ciężką tym bardziej, że tajoną. Podtrzymywała tę nienawiść starannie, bo gdy tylko nienawiść przycichała, pojawiał się lęk, a lęk nie pozwalał pracować, rozmawiać, patrzeć na ludzi. Uczucie nienawiści rozrastało się w niej i ogarnęła nim nie tylko żołnierzy Armii Czerwonej, ale wszystkich silnych i dominujących mężczyzn, a pijanych i reprezentujących organa władzy w szczególności.

Niespełna miesiąc po kwietniowym wydarzeniu asystowała lekarzowi zabezpieczającemu na rozkaz komisarza miasta przyjazd Pełnomocnika Rządu na Okręg III Pomorza Zachodniego. Patrzyła na triumfalny przejazd samochodów przez całe miasto, pęczniąc ze złości, a po przejeździe, musiała pełnić dyżur w czasie trwania wystawnego rautu powitalnego, który zorganizowano w wielkim gmachu dawnej niemieckiej Nowej Rejencji, tym samym, przed którym królowały znane w całym Koszalinie posągi dwóch leżących lwów.

- Nowi władcy, nowy dwór, ta sama potrzeba luksusu, tyle, że wszystko siermiężne, prawie jak w sowieckiej Rosji – myślała z odrazą.

Uciekła od pijanych oficjeli, gdy tylko lekarz zgodził się zostać sam. Pobiegła do baraków, w których od czterech dni koczowali zawszeni i głodni repatrianci ze Wschodu. Niewiele mogła im pomóc. Trochę jedzenia, szmaty nasączone octem, który już nie odstraszał zaprawionych w wojennych trudach insektów. Rozglądała się dyskretnie, jakby jeszcze ufała, że zobaczy tych, którzy od dawna nie żyli. Samo bycie wśród swoich, słuchanie ich śpiewnej kresowej mowy, uspokajało ją i ogrzewało jej skamieniałe serce.

Wkrótce wreszcie mogła zmienić miejsce pracy. Wielki budynek dawnej szkoły żeńskiej im. księżnej Bismarck wreszcie przestał pełnić funkcje szpitalne i znów miał stać się przybytkiem nauki, tym razem koedukacyjnym gimnazjum i liceum dla polskiej młodzieży. Marianna przeniosła się do sanatorium przeciwgruźliczego w Rokosowie pod Koszalinem. Woląла długo jechać rozklekotanym autobusem, który okrężał Koszalin, zahaczając o jego wschodnie obrzeża, a potem brnąć do pracy przez pola, niż mieć fizyczną styczność z pełnymi złych

skojarzeń miejscami i patrzeć na umundurowanych pewnych siebie facetów. Była jeszcze dość młoda, zbliżała się do trzydziestki, ale wiedziała, że nigdy nie wyjdzie za mąż i nigdy nie będzie miała dzieci. Zanim przyszła z wojskiem do Koszalina była z rosyjskim lekarzem, miłym i przystojnym, ale żonatym, co na froncie nie miało żadnego znaczenia. Ona była jego frontową żoną i dzięki temu nie była narażona na nachalne zaloty innych mężczyzn. Nie musiała zabezpieczać się przed ciążą, bo jak wiele innych kobiet na froncie nie miała miesiączek. Trudno powiedzieć, że go kochała. Była przesycona męskim brutalnym światem, więc kiedy Sasza odszedł z frontem, nie czuła żalu, nie tęskniła, nie myślała, czy jeszcze żyje. Teraz, gdy zepchnięta w głąb jej serca nienawiść wybuchała gwałtownie na widok męskiej buty, najchętniej przebywała w towarzystwie kobiet, tych neutralnie i bezpłciowo ubranych w białe fartuchy, wygodne szpitalne obuwie i czepki na wygładzonych włosach. Zawsze były rozgadane, więc ona niewiele musiała mówić i bardzo jej to odpowiadało, bo jeszcze wstydziła się swego wschodniego zaciągania i wtrącania rosyjskich słów. W sanatorium, gdzie wszyscy byli zajęci, zabiegani i zmęczeni, ceniono jej doświadczenie i pracowitość, więc nikt nie nazywał jej kacapką, przynajmniej wtedy, gdy mogła to usłyszeć. Chcąc stać się niezauważalną, usilnie pracowała nad akcentem, wymową i słownictwem. Wytoczyła sobie stałe trasy, którymi się poruszała i do kilku osób ograniczyła ludzi, z którymi musiała się stykać poza pracą. Dawną wojskową kwaterę w pobliżu Placu Gwiazdzystego zamieniła na pokój u pewnego małżeństwa z Wołynia. Zajmowali oni zabudowania gospodarcze usytuowane na styku ulicy Młyńskiej i parku Kilińskiego, na zapleczu aresztu śledczego. W pobliżu były malownicze zabudowania młyna miejskiego, stare miejskie mury, rozległy park miejski ze stawem przy Dzierżęcince i opuszczony cmentarz ewangelicki, pokrywający się wiosną kwiatowym dywanem. Ni to miasto, ni to wieś. Starsi już i chyba bezdzietni gospodarze – nie wypytywali się wzajemnie o rodziny i przeszłość - hodowali krowy. Wiosną, latem i jesienią pasły się one na nadjamneńskich łąkach. Kozińscy, bo tak nazywało się małżeństwo, byli mili, gościnni, a jednocześnie bardzo dyskretni. Nie zbierali plotek, nie wścibiali nosa w nie swoje sprawy. Być może też nie chcieli wracać do bolesnych czasów, a być może jej, niedawnej żołnierce Armii Czerwonej, nie ufali. Nie miałyby im tego za złe. Czuła się u nich dobrze, miała spokój, a i oni cieszyli się, że mają pod ręką fachową pomoc medyczną.

W wietrzny wiosenny poranek 1952-iego roku, gdy wysiadła z autobusu okrążającego miasto i otuliła lichym płaszczem, nie rozglądając się wokół siebie szybkim krokiem poszła w kierunku sanatorium. Była zadowolona, że czeka ją nocny dyżur. Rano wygodnie wróci do domu. Podrzuci ją ktoś z obsługi. Karetki i samochody dostawcze z załogami rano wyruszały do

miasta. Dyżur zaczynała dopiero o dziesiątej, więc mogła spokojnie załatwić u dyrektora i w kadrach wszystkie sprawy związane z planowanym na miesiąc letnie oddelegowaniem do Ośrodka Zdrowia w Mielnie. Nie była w Mielnie nigdy. Taka wizyta nie wpisywała się w jej ściśle określony plan dni, tygodni i miesięcy. Nawet urlopy spędzała u swoich gospodarzy, rozkoszując się wiejską atmosferą w środku miasta oraz spacerami na nadjamneńskie łąki. Dużo czytała. Nadchodzące lato zapowiadało więc znaczącą zmianę, z czego, ku własnemu zdziwieniu, cieszyła się. Lipiec i sierpień będzie pracować, pomagając mieleńskiemu lekarzowi i mieleńskiej siostrze, czyli pielęgniarce, jak teraz zaczęto mówić. Od kiedy powstał Fundusz Wczasów Pracowniczych i Bałtycka Dyrekcja Wczasów Pracowniczych w Koszalinie, latem do Mielna zjeżdżali wczasowicze z całej Polski. Obowiązki lekarza i pielęgniarki podwajały się i potrajały wraz z napływem letników. Zadaniem Marianny miała być głównie opieka nad zaciętymi amatorami słonecznych i morskich kąpiei, którzy doznawali oparzeń, udarów i termicznych szoków.

Masza! Masza! Zaczekaj! – usłyszała, wchodząc już na teren sanatorium.

To do mnie? - pomyślała z niepokojem, a jednocześnie poczuła, że z tym wołaniem powraca do niej przeszłość. Teraz nazywano ją panią Marią, Marianną albo Marysią.

- Jezu Nazareński! – krzyknęło w niej coś - tylko nie to, nie teraz. Odwróciła się powoli, chcąc opóźnić spotkanie z przeszłością, o której z takim trudem starała się nie myśleć. Zobaczyła nadbiegającą młodą kobietę.

- Ja jej nie znam – pomyślała. – Kto to? Czego ona ode mnie chce?

- Masza! To ja Wala, Waleria! - krzyknęła kobieta.

Była młoda, drobna, bardzo wychudzona i skromnie ubrana. Kiedy Marianna stanęła i odwróciła się w jej stronę, kobieta, ciężko dysząc, wolniejszym już krokiem podeszła bliżej i wtedy Marianna ją poznała.

- Wala, to ty? - zdziwiła się. - Co ty tu robisz? Co się z tobą działo? - zapytała niechętnie, choć starała się udawać radość z tego nieoczekiwanego i niechcianego spotkania.

Od pierwszego spojrzenia zauważyła, Wala bardzo się zmieniła przez minione sześć lat. Nie widziały się od 46-tego roku. Wtedy Waleria była młodą ładną dziewczyną. Teraz wyglądała bardzo źle – chuda, wyniszczona i postarzała - więc Marianna zdyscyplinowała się wewnątrz i uśmiechnęła raźniej, nie chcąc zdradzić swych prawdziwych emocji.

- Masza musisz mi pomóc – powiedziała Waleria, a w jej głosie słyszało się głęboki smutek i nutę błagania. – Przepraszam, ale nie mam już do kogo się zwrócić.

Marianna zrozumiała, że to nieoczekiwane spotkanie wrywa ją bezpowrotnie z płytkiego letargu dotychczasowego życia. Nie chciała tego, ale to już się właściwie stało.

3. Paweł. Maj/czerwiec 52



Chciał już tylko spokoju. Zbliżał się do czterdziestki, a czuł się stary, zmęczony i psychicznie wyczerpany. W Mielnie, gdzie nikt nie dopytywał skąd jesteś, co robiłeś przed wojną i w czasie wojny, bo wszyscy tu byli powojennymi rozbitkami, można było zachować anonimowość. Tu możliwe było bycie kimś bez przeszłości, kimś, kto zaczyna wszystko od zera. Przede wszystkim jednak można było żyć, nie zderzając się na co dzień z agresywną partyjną indoktrynacją. Nie chciał słuchać o zdrajcach, faszystach, wrogich elementach i sługusach obcych mocarstw. Uznał, że wszystko, w co jeszcze niedawno wierzył, jest bezpowrotnie stracone, a śmierć jego kolegów bezowocna. Jemu udało się przeżyć. Zawdzięczał to przede

wszystkim człowiekowi o pseudonimie Stefan, starszemu od niego o kilka lat dowódcy powstałego na przełomie lutego i marca 1945-tego roku nowego oddziału partyzanckiego, który otrzymał dziwną nazwę BOA. Rozwijano ją jako Bojowy Oddział Armii. On, Paweł Lach pseudonim Orzeł, był jednym ze starszych członków oddziału BOA, ale i tak, podobnie jak pozostali, traktował Stefana jak ojca.

Dla wołkowyskich partyzantów AK Stefan był legendą. Miał instynkt dzikiego wolnego zwierzęcia i niesamowite szczęście. Uciekł z sowieckiego obozu dla polskich jeńców, potem z transportu na wschód, a w 44-tym z obozu w Dojlidach. Zgromadzonych tam partyzantów AK chciano po sprawdzeniu i przekabaceniu wcielić do uzależnionego w pełni od sowietów Ludowego Wojska Polskiego

- Mam nieujarzmioną duszę i niewola na mnie źle działa - mówił, śmiejąc się, Stefan.

Szczęście dowódcy, który działał z fantazją i brawurą, przelewało się na podwładnych. Oddział nie został rozbity przez NKWD, choć to właśnie on najskuteczniej zwalczał sowiecką agenturę. Przebrani w sowieckie mundury podawali się za lotny oddział NKWD do namierzania i likwidacji polskiego podziemia, polskich bandytów. Orzeł wspominał najczęściej akcję z lipca 1945-tego roku, kiedy w okolicach Międzyrzecza spotkali i wylegitymowali miejscowego nauczyciela. Rozmawiali z nim po rosyjsku, mieli na czapkach czerwone gwiazdy, więc im uwierzył i pochwalił się, że jest szefem donosicieli NKWD w regionie. Przekazał im listę i adresy swoich współpracowników, aby mogli do nich się zwracać o pomoc. Zlikwidowali go, a lista też się przydała, aby dać nauczkę konfidentom. Akcji było wiele i wtedy byli przekonani, że historia stanie po ich stronie. Pomagali przecież Polakom znów prześladowanym i wyniszczanym przez Rosję. Stefan w przebraniu dziada zlikwidował Szukajłę, funkcjonariusza sowieckiej bezpieki, który był postrachem polskiej ludności z okolic Zelwy. Inni prześladowcy też zostali ukarani, ale wszystkich nie można było zabić. Stefan i jego ludzie zdawali sobie z tego sprawę, ale chcieli, dopóki mogli, sami wybierać rodzaj własnej śmierci - albo być zamęczonymi w katowniach NKWD, albo zginąć w walce. Wybrali to drugie.

We wrześniu 45-tego musieli przeprawiać się na Zachód, bo ich tereny stały się własnością sowietów. Należało się śpieszyć, bo nowa granica na Bugu była coraz lepiej strzeżona. Udało się, znów dzięki ich dowódcy. Po przekroczeniu granicy zakopali długą broń, zostawili sobie krótką i poszli - już bez Stefana, bo on miał zadanie przeprowadzić inne oddziały - do PURu w Białymstoku. Stamtąd zawędrowali do Gdańska, gdzie dostali namiar na Reginę, łączniczkę od

Łupaszki zatrudnioną w PURze w Koszalinie. Skierowała ich do Bobolic jako grupę stolarsko-ciesielską, przydzieliła warsztat i dwa budynki mieszkalne. Tak zaczęło się na pozór normalne życie. Założyli spółdzielnię „Robotnik”. Pracowali, włączyli się w budowę socjalistycznej ojczyzny, poznawali dziewczyny. Ale ich prawdziwym życiem nadal była walka, choć toczona inaczej. Współpracowali ze szwadronem podporucznika Żelaznego, który na Pomorzu Zachodnim prowadził akcje dywersyjne, represyjne i likwidacyjne. Paweł wziął udział w zatrzymaniu pociągu jadącego z Białogardu do Koszalina. Szwadron Żelaznego potrzebował pieniędzy. Za pieniądze zabrane z wagonu pocztowego zostawili pokwitowanie. Tak samo zrobili, gdy miesiąc później, w marcu 46-tego zarekwirowali pieniądze z banku w Koszalinie. Tego samego roku w Bobolicach pojawił się Stefan. Znow uciekł sowietom. Na dworcu kolejowym w Waliłach rosyjscy żołnierze osaczyli przeprowadzaną przez niego na stronę polską ostatnią już grupę akowców i innych uciekających z ziem, które stały się teraz własnością ZSRR. Uciekinierzy siedzieli w wagonie towarowym. Stefanowi udało się wyskoczyć na drugą stronę torów w momencie, gdy otwierano drzwi. Znow zadziałał instynkt. Chcieli go mieć żywego, więc puścili za nim psy, a dopiero, gdy był daleko, zaczęli strzelać. Dostał w kręgosłup, ale nie dał się złapać. Ukrył się i wyleczył. Przyjechał do Bobolic w ostatniej chwili, tak jakby wyczuł niebezpieczeństwo grożące jego podwładnym. Byli wtedy już podzieleni i niepewni. Czterech dołączyło do Żelaznego, którego dowódcą był Łupaszka. Stefan i jego dawny oddział podlegali pod białostocki WiN. Po akcjach Żelaznego, tym, którzy pozostali w Bobolicach grunt zaczął palić się pod nogami. Bezpieka wszczęła działania odwetowe. Paweł i kilku kolegów znow zaufali Stefanowi. Uciekli z nim na Warmię, a potem na Mazury. W okolicach Szczytna wzięli w zarząd młyn, który udało się uruchomić. Przyczaili się i zamierzali czekać na lepsze czasy. Bezpieka wykryła ich już w październiku. Załadowała na odkryte ciężarówki i wiozła do Olsztyna. Znając brawurę Stefana posadzili mu na kolanach konwojenta. Nic z tego. Stefan wyskoczył razem z konwojentem. Paweł i pozostali, korzystając z zaskoczenia i zamieszania, też wyskoczyli. Strzelano do nich, ale zginął tylko konwojent. Szczęście nadal było przy Stefanie, a oni przy nim. Po tym wydarzeniu musieli się rozproszyć i indywidualnie zacierać ślady. Paweł pojechał do Koszalina. Nie zgłosił się, gdy wiosną 47-mego ogłoszono amnestię. Stefan ujawnił się. Miał rodzinę, chciał do niej wrócić. Aresztowali go już w styczniu 48-mego i słuch po nim zaginął. Paweł nie wiedział, czy jeszcze żyje. Od aresztowania Stefana minęły cztery lata, a on dla bezpieczeństwa nie kontaktował się z nikim. Tych, którzy pozostali w Bobolicach też stopniowo wyaresztowano. Podobno UB wywiózł ich do Szczecina, zamęczył albo, w najlepszym przypadku, od razu dostali kulę w łeb. Świat

Pawła przestał istnieć. Miał wrażenie, że wokół niego nie ma już nikogo, kto czułby i myślał podobnie jak on.

W Koszalinie zatrudnił się, oczywiście na lewych papierach, w Spółdzielni Pracy Mechaników Samochodowych. Nazywał się teraz Paweł Górski. Znał się na mechanice i lubił grzebać w silnikach, a tacy fachowcy byli potrzebni do uruchamiania niemieckiego sprzętu. Najczęściej trafiały się samochody ciężarowe. Przez dwa lata nikt więc go nie sprawdzał i nie ruszał. Znalazł sobie pokój u spokojnej rodziny, wychowującej dwóch dorastających synów. Rodzina zajmowała parter domu przy ulicy Lechickiej. Wokół domu był ogród. Do pracy miał dwa kroki, bo dom sąsiadował z ogrodzonym placem Spółdzielni. Za Spółdzielnią były tereny wojskowe z magazynami. Wartownicy stali tam noc i dzień. Pawłowi odpowiadało jednak to miejsce. Po obu stronach ulicy rosły duże klony, przed jednostką wojskową często przejeżdżała wąskotorówka do Bobolic i z powrotem, dalej był przejazd kolejowy linii Koszalin – Białogard, wokół ogródki działkowe, a potem pola, bo Lechicka prowadziła do Niekłonic, wsi już zagospodarowanej przez nowych mieszkańców. Ruch był duży. Rano tłum szedł do pracy i na działki. Po południu wracał. Do tego dochodziły jeżdżące ciężarówki, samochody wojskowe, wozy konne i kobiety idące z Niekłonic na koszaliński rynek z wózkami załadowanymi towarami. Było więc jak i gdzie się skryć, można było wmieszać się w tłum, skoczyć do wagonu wąskotorówki, albo do pociągu jadącego do Białogardu. Dla Pawła możliwość ucieczki i zmylenia pogoni była w tym czasie najważniejsza.

Popołudniami, w pogodne dni powszednie i w niedziele, na podwórzu domu robił drobne naprawy prywatnego sprzętu. Od najbliższych sąsiadów nie brał pieniędzy. Ale czasami zdarzały się reperacje większe i kosztowne. Trafiały mu się samochody, najczęściej służbowe, które zepsuły się w czasie używania ich do celów prywatnych. Naprawiał także motocykle. Jeden go szczególnie zainteresował. Był to ciężki Zündapp KS750 w niezłym stanie. Paweł pamiętał, że Niemcy chętnie jeździli tym modelem. Model miał wózek boczny z jarzmem karabinu maszynowego MG-34 i był szybki. Rozwijał prędkość do 90 kilometrów na godzinę, ale można nim było jechać także w tempie piechoty, czyli 3-4 kilometry na godzinę. Do tego dochodził czterosuwowy silnik w układzie bokser o pojemności 750 i mocy 26 koni. Naprawa silnika tej ciekawej maszyny sprawiła Pawłowi dużą przyjemność, choć zajęła ponad dwa tygodnie. Właściciel, przystojny mężczyzna w sile wieku, nie pośpieszał, a potem nieźle zapłacił. Zaglądał na Lechicką dość często, bo znał szefa Spółdzielni i chyba robił z nim jakieś szemrane interesy. Paweł zapamiętał, że klient miał na imię Robert. Nazwisko wyleciało mu z

głowy, chyba Wydrzycki, czy Zarzycki. Nie przywiązywał wagi do nazwisk. Sam posługiwał się wieloma i musiał pilnować, aby się nie pomylić.

Po pewnym czasie Koszalin zaczął robić się za ciasny. Nowi znajomi wypytywali Pawła o rodzinę, narzeczoną i tak dalej. Nacisk na uczestniczenie w manifestacjach poparcia dla władzy ludowej stał się nieznośny. Pawłowi udało się nie iść na wybory w styczniu 47-mego roku, ale ciężko zniósł rozbuchane przedwyborcze akcje propagandowe, zaciekle atakowanie PSL-u, które przecież było jedynie malowaną opozycją wewnątrz bloku komunistycznego, a potem, pod koniec 48-mego, triumfalne zjednoczenie pozostałych partii w jedną przewodnią siłę narodu, jakim miała być PZPR. Zastanawiał się wtedy, czy nie wstąpić do utworzonej w sierpniu tegoż roku Oficerskiej Szkoły Artylerii Przeciwlotniczej, bo jej komendantem został pułkownik Stanisław Paszkiewicz od Andersa. Mówiono o nim, że to przedwojenny oficer, że walczył w 20-tym i 39-tym i pod Monte Casino, a więc musiał to być człowiek honorowy. Ale zanim Paweł podjął decyzję, Paszkiewicza odwołano, a na jego miejsce postawiono Rosjanina, Mikołaja Telegina. Zbiegło się to z powstaniem KW PZPR w Koszalinie, Wojewódzkiej i Miejskiej Rady Narodowej, z podniesieniem głów przez nowo mianowanych oficjeli i partyjniaków i ich wzmożoną aktywnością. Wszędzie poszukiwano sabotażystów i wrogów ludu, namawiano pracowników zakładów do pisania listów poparcia dla Partii, skłaniano do czynów społecznych i przekraczania norm, a z każdego kąta patrzył towarzysz Stalin. Pełną parą ruszyła kolektywizacja i rozkułaczano chłopów, dopiero niedawno uwłaszczonych na poniemieckich gospodarstwach.

Latem 1950-tego roku Paweł postanowił wynieść się z Koszalina do Mielna. Był tam kilkakrotnie. Raz nawet pojechał z Robertem. Była to jazda próbna po remoncie silnika w motocyklu. W Mielnie miał dwie możliwości. Znaleźć pracę w Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska, albo w Państwowym Gospodarstwie Rolnym. Wybrał PGR, bo tam łatwiej było odizolować się od ludzi. W pegeerze zatrudnił się jako mechanik w warsztacie naprawy sprzętu rolniczego, gdzie pracował z panem Edziem, też mechanikiem. Edzio, starszy od Pawła, miał dużą rodzinę i lubił o niej opowiadać. Paweł słuchał z uwagą i był zadowolony, że nie musi się odzywać. Dostał mały pokój w pałacu na pierwszym piętrze i rower, żeby mógł dojeżdżać do maszyn pracujących w polu. Na tym samym piętrze mieszkał - zawsze zajęty i w rozjazdach - kierownik PGR-u i starsza samotna pielęgniarka, też zawsze nieobecna, albo śmiertelnie zmęczona. Do Koszalina nie jeździł. W pegeerze dostawał przydział mleka, chleb kupował w sklepie geesu, a proste obiady jadł w stołówce. Czasami wstępował na kufel

kwaśnego piwa do baru naprzeciwko sklepu spożywczego, tuż przy wylotówce z Mielna na Koszalin. Lubił pogadać z bywalcami tego przybytku, który nazywał się „Mewa” i cieszył złą sławą. Spotykał tam głównie chłopów z Kościelnej i z Mielenka. Niektórzy byli dowcipni, złośliwi i dużo wiedzieli. Odchodził, gdy wypili za dużo i zaczynali się z nim bratać lub stawali się agresywni. W wolnym czasie spacerował. Najchętniej szedł plażą w stronę morskiej latarni w Gąskach. Szum morza uspokajał, a poszukiwanie bursztynu, który nauczył się bezbłędnie rozpoznawać, odpędzało wspomnienia i złe myśli. Błądził też po nadmorskim lesie, po wałach przeciwpowodziowych nad Jamnem i podmokłych łąkach. Spotykał ludzi, którzy zamieniali z nim kilka słów i szli do swoich spraw. Zaglądał do rybaków z gospodarstwa rybnego w Unieściu i od święta kupował od nich wędzonego węgorza. Wkrótce znał wszystkich stałych mieszkańców Mielna i Unieścia i oni go znali, ale na ogół nie byli ciekawscy. Najdłuższe rozmowy prowadził z panią Nowakową sprząającą mieleńskie ulice i rządzącą jedyną publiczną toaletą, czynną oczywiście tylko latem.

- Ona chyba nigdy nie śpi i nawet nie zagląda do domu – myślał Paweł, śmiejąc się w duchu, bo ilekroć szedł główną ulicą Mielna, ulicą Chrobrego, spotykał ją, jak z miotłą w ręku, na którą po swojemu mówiła „miotła” - dyżurowała na wysokości wychodka w pobliżu dawnego Böttcher's Hôtel, czyli w samym centrum. Znikała tylko w niedziele.

- Ona sama jest centrum, centrum informacji, bo wie o wszystkim, co się w Mielnie dzieje – myślał.

Gdy tylko ją ujrzał, wołał z daleka, żeby go nie uprzedziła: „Dzień dobry pani!”.

„Dzień dobry panie inżynierze” zawsze odpowiadała, a powtarzanie, że nie jest inżynierem, nie dawało.

– Chodź pan, coś panu powiem - machnęła ręką zapraszając pewnego dnia na samym początku lata.

- Mam nowinę. Niedługo będzie pan miał damskie towarzystwo - roześmiała się szczerze. - Podobno przyjedzie na lato jakaś młoda siostra z Koszalina, żeby pomóc naszej i doktorowi. Mówią, że całkiem ładna panna, choć trochę starawa. Ale pan inżynier też swoje lata ma. Drolńska, to znaczy wie pan, nasza siostra, mówi, że panna zamieszka w pałacu, w tym wolnym pokoju obok niej. Trzymaj się pan, bo jak się obie za pana wezmą, to ani chybi będzie koniec z pańskim kawalerskim życiem.

- Co też pani mówi, pani Nowakowa – obruszył się - Przyjedzie i pojedzie. Zresztą, co mnie to może obchodzić,

- Każden jeden tak mówi, dopóki się koło niego kobitka nie zakręci. Co pan chcesz u Czarnej Janki z tymi kacapami się pocieszać?

- Jak przyjdzie potrzeba, to zobaczymy – zażartował, ale poczuł, że żart nie chwycił.

- Coś pan, coś pan! - wykrzyknęła oburzona. – To nie jest miejsce dla porządných ludzi. Ja pana widzę, pan nie z takich co by się chcieli z kurewkami zadawać. Znajdź pan sobie porządną pannę i będziesz pan żył jak człowiek. Moja córka jest wolna. Ładna dziewczyna, a jaka robotna i zaradna! Panie!

- Tak, wiem – odpowiedział poważnie. – To najładniejsza panna w Mielnie, ale już chyba zajęta.

- Panie, jaka tam zajęta – machnęła ręką Nowakowa. – Kręci się koło niej taki jeden nicpoń. Niby kolega mojego syna, ale to nic dobrego. Tylko go do złego namawia. On też spod Warszawy, jak i my. To się do nas przyczepił i zawrócił córce w głowie.

- Na miłość nic się nie poradzi – powiedział wymijająco Paweł zakłopotany niespodziewanymi swatami. – Do widzenia.

- Do widzenia, do widzenia – burknęła rozeźlona Nowakowa i zaczęła energicznie machać miotłą, jakby to on naśmiecił podczas rozmowy. Odszedł, a jej korpulentna postać odziana w roboczy fartuch poruszała się żwawo wzdłuż ulicy.

- Ależ ma siłę ta kobieta, a gadane! - pomyślał. – Nic i nikt jej nie złamie. Ciekawe, czy donosi bezpiece. Chyba nie. Przecież widać po niej, po utlenionej na białe i wyfiokowanej córce i jej podejrzenie wyglądającym absztyfikancie, że tkwili kiedyś po uszy w podwarszawskim półświatku. Tacy nie kablują. Nawet jeśli im się czymś narazisz, to sami cię załatwią.

4. Marian. Sierpień 47



Maniek Sekutowski wysiadł na dworcu w Koszalinie i dołączył do kolegów, którzy jechali w innym wagonie. Nie znał ich dobrze. Postanowił zabrać się z nimi na Ziemie Odzyskane na szaber. Chciał się odkuć. Wojna skończyła się dwa lata temu. Miał prawie dziewiętnaście lat, wojnę przeżył w rodzinnym Otwocku pod Warszawą. Dzięki zaradności rodziców uniknął wywózki i miał zapewniony marny, ale spokojny byt. Rodzice unikali wszelkich sytuacji, które mogły narazić rodzinę na kłopoty ze strony Niemców. Unikali rozmów o znajomych żydowskich rodzinach, zamkniętych w pilnowanych dzielnicach, dokądś wywożonych i likwidowanych. Nie chcieli słuchać o masakrze w Zofiówce, o mordach i biedzie w getcie. Przed wojną to oni, należący do polskiej mniejszości, klepali biedę i pracowali u bogatych Żydów - właścicieli willi, pensjonatów, trzech sanatoriów, licznych sklepów i zakładów obsługujących kuracjuszy z Warszawy. Teraz chcieli tylko przetrwać. Trochę zarobili, kupując od swych dawnych pracodawców jakieś drobiazgi i odsprzedając je handlarzom. Dla siebie zostawili zastawę stołową i kilka mebli. Nie chcieli też mieć nic wspólnego z podziemiem akowskim, z partyzantami i uciekinierami z robót czy obozów. Pragnęli tylko jednego, aby z pięciorgiem dzieci dożyć końca wojny.

31 lipca 1944-tego roku odetchnęli z ulgą, bo do Otwocka bez walk wkroczyli żołnierze Armii Czerwonej i Ludowego Wojska Polskiego. Dla Sekutowskich i dla wielu innych mieszkańców podwarszawskiego miasteczka było to prawdziwe wyzwolenie. Udało się, przeżyli. Już na początku sierpnia zwołano posiedzenie Miejskiej Rady Narodowej, wybrano burmistrza. Nikt nie znał większości z tych ludzi, którzy z rosyjskiego nadania zaczęli organizować życie w mieście. Ale też nikt ich nie pytał, skąd są. Było wśród nich kilku starych mieszkańców

Otwocka i ich obecność musiała wystarczyć, i wystarczała. Niepokój wywoływał przez jakiś czas brak pomocy ze strony wyzwolicielei powstańcom w niszczonej przez Niemców Warszawie. Ale po co mieszać się do polityki w niepewnych czasach, kiedy nie wiadomo, kto pozostanie, kto odejdzie i kto będzie rządził.

Marian był najstarszy z rodzeństwa. Podczas okupacji pomagał ojcu w skupowaniu żywności od okolicznych chłopów i sprzedawaniu jej warszawiakom. Szczęśliwie do Otwocka nadal docierały trójwagony elektryczne E-91, które pojawiły się po raz pierwszy w grudniu 1936-tego roku i wkrótce po kapitulacji zaczęły znów kursować. Poznał życie od podszewki. Przeszedł szkołę przetrwania i kombinowania. Był silny fizycznie, miał fantazję i był odważny. Miał żyłkę do handlu i w ogóle do interesów. Wiedział, że nie wejdzie do hermetycznego świata warszawskiej przedwojennej ferajny, która po wysiedleniu ludności cywilnej z Warszawy działała w podwarszawskich miejscowościach. On trzymał się swego terytorium i swoich spraw. Znał jednak kogo trzeba, znał reguły i wiedział, jak nie podpaść warszawskim cwaniakom. Trzymał sztamę z tymi młodymi, kozakami większymi niż on. Trzech z nich namówiło go na wyjazd na Pomorze.

- Śląsk jest dla apaszów, dla chewry - twierdzili - taki antek jak ty nie ma tam czego szukać. Jeśli chcesz trafić jakieś fanty, jedź z nami nad morze. Z innej parafii jesteś, ale farciasz z ciebie, baśka ci pracuje, niezły z ciebie bystrzak i nawijkę masz git. Nadasz się. Przy nas nie zginiesz. Nie będziesz za dużo cwaniaczył, to wyjdiesz na swoje. Na Śląsku szabrują ruskie trofiejne bataliony, a grube ryby wywożą zdobyczne wagonami. My pokombinujemy skromniej, detalicznie. Wiemy, czego szukać, bo towar jest zamówiony. Nie bój nic. Ostatnia szansa, bo władza już wydała ukaz przeciw szabrowi. Ale nam się uda. Niemców już powoli wywożą. Pomożemy im pozbyć się tego, co schowali przed ruskimi. Jeśli jesteś czasowy, to sakum pakum i jutro spikniemy się na peronie. Sztama?

- Sztama – odpowiedział, już martwiąc się, co powie rodzicom.

- Coś się wymyśli – stwierdził, bo nic mu nie przychodziło do głowy.

Nie przyszło też później, więc rano po cichu wymknął się z domu. Ubrał się wygodnie, ale porządnie i, według niego, elegancko, bo chciał wyglądać poważnie: oficerki, spodnie pumpy, koszula, nowy sweter wydziergany z wełny przez matkę. Do dużego plecaka wrzucił trochę

bielizny na zmianę, jedzenie i sporych rozmiarów worek. Wziął też z kredensu schowane przez rodziców na „czarną godzinę” dolary.

- Po powrocie oddam z nawiązką – pomyślał, zagłuszając wyrzuty sumienia.

Wsiedli do zatłoczonego pociągu, złożonego przede wszystkim z wagonów bydłowych, na Dworcu Wschodnim i przez Działdowo dojechali do Białogardu. Dwa dni spędzili w okolicach dworca, unikając żołnierzy z rosyjskiego garnizonu. Było ciepło i pogodnie. Mieli jeszcze swój prowiant, więc nie pokazywali się w mieście. Dla zabicia czasu grali w karty, czyli, jak mówili koledzy Mańka, walcowali w obrazki. Po kolei dyskretnie obserwowali nadjeżdżające składy pociągów. Czekali na transport bez czerwonoarmiejców. Gdy wreszcie taki nadjechał, chętnych cywilów uzbierało się już dużo. Tłum rzucił się na oślep i Marian znalazł się w innym wagonie niż koledzy.

- Maniuś – zawołali go w Koszalinie – uszanowanko! Gdzieś się zamelinował. Myśleliśmy, żeś zdrefił. Żałuj! Trafiliśmy na niezłą bibkę i git lalunie.

Trzy lalunie okazały się dość ładnymi dziewczynami. Dwie starsze, ale przed trzydziestką, były dobrze zbudowane, odważne, konkretne i ciekawskie. Trzecia, najmłodsza i drobna, niewiele mówiła.

- Nie są to wprawdzie pełne wdzięku i aligancji syrenianki – powiedział mu na ucho Kazik, przywódca grupy - ale może pomogą nam znaleźć cichą metę.

Dziewczyny zajmowały małe mieszkanko w centrum Koszalina. Po ich mowie można było poznać, że pochodziły z Kresów. W Białogardzie podobno odwiedziły znajomych. Mieszkały razem i pracowały razem w miejskim szpitalu jako salowe. Gdy wyszli z dworca i mogli swobodniej rozmawiać, zaczęły wypytywać o Warszawę i powstanie. Chłopcy odpowiadali chętnie i z fantazją, więc zanim doszli do centrum już były przekonane, że mają do czynienia z powstańcami, którzy cudem przeżyli, opuścili Warszawę z cywilami i uniknęli wywózki do Niemiec, uciekając z transportu do Pruszkowa. Pytani o powód przyjazdu do Koszalina wcisnęli im kit, że chcą zakotwiczyć na Zachodzie na dłużej, że będą szukać pracy i mieszkania.

- Możecie zatrzymać się u nas na kilka dni - powiedziała najstarsza Hanna, wyraźnie im matkując. – Nie będziecie się teraz włóczyć po mieście, bo nie jest bezpiecznie. Jeszcze niedawno w dzielnicy szwabskiej był tyfus.

- Tak, tak, jest niebezpiecznie, trzeba uważać, z kim się spotykacie – poparła ją ta druga, Józia.
– I lepiej rozpatrzeć się co i jak, zanim coś postanowicie.

- A gdzie wasze familie? - zapytała nieśmiało trzecia.

- Familie? A, pytasz o nasze rodziny - zorientował się szybko Kazik. – Różnie – podjął wątek – na razie nie wiemy, ale będziemy szukać, jak się tu trochę urządzimy, bo do Warszawy nie ma po co wracać. Jedna wielka ruina.

- Bożeńciu – westchnęła któraś. – Takie piękne miasto.

- Znacie Warszawę? – zapytał Marian, zwracając się do najmłodszej. Miała na imię Waleria, jeśli dobrze zapamiętał.

- Ano nie było okazji poznać – odpowiedziała za nią najstarsza.

Mieszkanie było małe, dwupokojowe z niewielką kuchnią. Wspólna ubikacja znajdowała się na półpiętrze. Dostali mniejszy pokój z jednym łóżkiem. Zajął je Kazik, a Marian i dwaj pozostali warszawiacy, Stach i Felek, posłali sobie na podłodze. Dziewczyny pracowały na zmiany, więc pomieściły się w drugim, trochę większym pokoju. Obiecali zachowywać się cicho, nie rzucać się w oczy sąsiadom i unikać rozmów z nieznajomymi.

- Mamy niezłą melinę – uznali. – Teraz trzeba obcykać jakąś podwózkę do Mielna.

Zajęli się tym już następnego dnia rano, bardzo wcześnie wychodząc z mieszkania. Za radą Hanny poszli ścieżkami prowadzącymi przez ruiny, kierując się w stronę dworca, a stamtąd od razu na wylotówkę do Mielna. W jej okolicach znajdowały się ocalałe z pożogi magazyny, a dziewczyny twierdziły, że najlepszym sposobem dostania się do Mielna, bez poddawania się szczegółowej kontroli, są okazje. Za niewielkie pieniądze można było - razem lub dzieląc się na dwójki - zabrać się do Mielna wojskowymi ciężarówkami przewożącymi zaopatrzenie. Trzeba było tylko uważać, żeby na trafić na Rosjan. Wojskowe ciężarówki nie były zbyt skrupulatnie sprawdzane na punktach kontrolnych, więc nielegalny pasażer pozostawał anonimowy. Chłopcy mieli oczywiście lewe dokumenty, ale woleli pozostać niezauważeni. Dwa dni spędzili penetrując cierpliwie kilka upatrzonych punktów przy ulicy Morskiej i w jej okolicach. Zagadywali szoferów ciężarówek, na które ładowano towary z magazynów rzeźni i papierni. Wreszcie trafili na swego, spod Warszawy. Obiecał przemycić całą czwórkę do

Mielna po zmroku i po dwóch dniach, wczesnym rankiem, zabrać z powrotem. Po pierwszej nocy mieliby dwa dni na rozeznanie się i dwie noce na działanie. Tyle powinno wystarczyć. Zaraz potem wyjadą.

Czekając na pierwszą wieczorną okazję rozejrzeli się w mieście. Interesowały ich głównie bazy. Było tam wszystko - meble, porcelana, rowery, ubrania, pościel – ale niewiele z tego ich interesowało. Szukali rzeczy niewielkich i lekkich. Dyskretnie zagadywali więc Niemki, którym udało się wejść na bazar. Zakupili od nich tanio, za dolary, trochę cennych drobiazgów - obrączki, złote monety, pierścionki. Kazik przykazał, żeby gromadzili wszystko, co ma wartość, a on wybierze z tego, co potrzeba. Resztę podzielił między siebie. Liczyli na szczęście i tak zwanego nosa, bo sprzęt mieli skromny: łom, kilof i saperkę. Marian nie wiedział dokładnie, co u Kazika zamówił klient, ale nie dopytywał. Trzymał się trochę na uboczu, co wszystkim odpowiadało.

Pierwszego dnia pobytu, jeszcze na dworcu, zwrócił uwagę na Walerię. Była drobną blondynką o delikatnych rysach. Wydawała się nieśmiała i mniej dynamiczna od koleżanek. Sprawiała wrażenie nieobecnej i trochę zagubionej. Drugiego dnia pobytu, gdy po nocnej zmianie w szpitalu, przespawszy się trochę, krzątała się w kuchni, a on pierwszy wrócił z miasta, zajrzał do niej i przysiadł na stołku przy stole.

- Czaju napije się? – zapytała, a on roześmiał się.

- Tak, napiję się, ale z tobą – odpowiedział.

Speszyła się trochę i głośno postawiła czajnik na rozżarzonych kuchennych fajerkach, przygotowała dwa ozdobione wzorkami cynowe kubki, wsypała do fajansowego czajniczka w drobne niebieskie kwiatki trochę herbaty z kolorowej puszkii i usiadła przy stole, stawiając na nim ładną kryształową cukiernicę.

- Wszystko zdobyczne – powiedziała. – Radzimy sobie.

- Nie pogniewała się – pomyślał. – Muszę uważać, żeby jej nie obrazić moim głupkowatym śmiechem.

Dobrze im się rozmawiało, a raczej dobrze się do niej mówiło. Marian opowiadał o sobie i o swoim wojennym życiu pod Warszawą. Nie podał swojego nazwiska, nie informował o

rodzinie, ale starał się mówić prawdę, nie udawał byłego powstańca. Ona słuchała z ciekawością i uśmiechała ze zrozumieniem.

- A ty skąd jesteś? Jak znalazłaś się w Koszalinie? – zapytał, a ona spuściła głowę.

- Ja przyszła z sowietami, pomagałam w szpitalu polowym – wydusiła wreszcie, wyraźnie zakłopotana. – Ja zabolieła i ostała się w Koszalinie, wydobrzała w szpitalu i teraz tam pracuję.

Zaczerwieniła się i zamilkła, więc nie dopytywał. Wypił herbatę, a dziękując jej przed wyjściem z kuchni, ujął jej dłoń i pocałował. Była zaskoczona, ale ucieszona. Spojrzeli sobie głęboko w oczy. Oboje mieli niebieskie. Poczuł przepływający przez ciało prąd pożądania. Odwrócił się i wyszedł z nadmiernym pośpiechem. Następnego dnia unikał jej, co nie było trudne, bo miała dyżur w szpitalu, a on od rana dyżurował przy Morskiej. Wieczorem zaś cała jego grupa jechała na pierwszy wypad do Mielna.

Czekali na ciężarówkę na wysokości papierni, ubrani we wszystko, co ze sobą zabrali z domów, żeby móc spędzić noc pod gołym niebem. W plecakach mieli trochę jedzenia i narzędzia. Oni, twardzi warszawscy cwaniacy, czuli niepokój i podniecenie, udając się na nieznany teren, obawiając się porażki, a jednocześnie ciesząc się, że zobaczą morze. Milczeli, udając przed sobą, że skłania ich do tego jedynie ostrożność. Nadjechał samochód, zatrzymał się nieopodal i zgasił światła, więc wiedzieli, że to na pewno ich kierowca. Nie zaglądając do szoferki, załadowali się sprawnie na otwartą pakę i położyli na podłodze za jakimiś pakunkami. Było już prawie ciemno, gdy dotarli do szlabanu na końcu ulicy Morskiej, tuż przed wjazdem do lasu. Słyszeli, jak szofer zamienił kilka słów z wartownikiem. Nikt nie podszedł do paki. Ruszyli. Rozluźnili się, odetchnęli z ulgą i usiedli. Betonowa droga wiodła najpierw prosto przez las. Potem przejechali przez jakąś niewielką i najwyraźniej opustoszałą miejscowość, bo zaledwie kilka okien rozświetlało przyciemnione światło. Skręcili ostro w prawo i znów jechali prosto, a światła reflektorów oświetlały przydrożne drzewa i skrawki pól po obu stronach drogi. Wkrótce po lewej wyłonił się drewniany wiatrak i po chwili zatrzymali się. Usłyszeli trzaskające drzwi szoferki od strony kierowcy.

- Wsiadajcie - szofer podszedł do paki i mówił dalej ściszonego głosem:

– Zapamiętajcie to miejsce, bo stąd was zabiorę za dwa dni o świcie, jeśli będę jechał sam. Jeśli z kimś, to się nawet nie zatrzymam i spróbujemy dnia następnego. Idźcie w tę ulicę w lewo, a jak po lewej zobaczycie zabudowania majątku - pałac położony w głębi dziedzińca otoczonego

zabudowaniami gospodarczymi - to skręćcie w prawo w polną drogę między niskimi domkami. Dojdziecie nią przez łąkę do lasu. Za lasem są wydmy, plaża i oczywiście morze. W nocy lepiej z lasu na plażę nie wychodzić, bo można nadziać się na patrol. Płacie teraz połowę – zakończył przemowę.

Wyskoczyli, ciężarówka odjechała, a oni wciągnęli w płuca powietrze, jakby już czuli zapach morskiej wody. Wieczór był chłodny, niebo rozgwieżdżone, więc pomimo braku oświetlenia mogli widzieć wskazaną przez szofera wybrukowaną ulicę i zarysy budynków po obu stronach. Stali na niedużym placu przy skrzyżowaniu ulic. Po przeciwnej stronie znajdował się dwupiętrowy budynek z ozdobnym szczytem i spadzistym dachem, zza którego wylaniał się wysoki komin.

- Piekarnia albo gorzelnia – pomyśleli i ruszyli. Wypatrywali pałacu i wreszcie go zauważyli. Stał oddalony od drogi, rozłożysty, ciemny i ponury. Po przejściu kilku metrów skręcili w prawo w polną drogę. Za ogrodzeniem jednego z niskich domków rozszedł się pies, który hałaśliwie wyskoczył z budy pobrzękując łańcuchem. W domu paliło się mdłe światło, ale nikt nie wyszedł, a ich nagle ogarnęła radość, że na razie wszystko poszło gładko. Poczuli się jak kumple, którzy wybrali się na wakacyjną wyprawę. Młodzi, silni i beztroscy podążali ku czekającej ich przygodzie. Polna droga dalej prowadziła przez las. Pokonali kilka niewielkich wzniesień i nagle przed nimi wyrosła piaszczysta góra, zza której prześwitywało zaskakująco jasne niebo. Dopiero teraz zdali sobie sprawę z tego, że od początku drogi słyszeli jednostajnie zmieniający się i jakby kołyszący szum. Wyraźnie słyszeli miarowe uderzenia wody o piaszczysty brzeg.

- Morze – pomyśleli jednocześnie i bez słowa rzucili się w stronę jasności. Niespodziewanie wpadli w grząski piach, zaplątali się w jakieś niskie krzewy. Piach wypełniał obuwie i spowalniał ruchy. Wspięli się na wzniesienie i zobaczyli wodę, majestatyczną, bezkresną i falującą z niepokojącym wytrwałym spokojem. Woda wznosiła się i opadała miarowo, do brzegu docierały fale z białą obwódką piany, wylewały się na plażę, zaciemniając piach na brzegu, a następnie wycofywały, ustępując miejsca tym, które jedna za drugą nadchodziły z oddali. Gwiazdy pozostawiały na tej żyjącej wodzie rozplywający się blask. Widowisko zapierało dech w piersiach. Usiedli na wydmiu i patrzyli.

- Chyba nie możemy tu kimać – pierwszy odezwał się Stach. – Trzeba się gdzieś schować.

- Bujaj się cykorze – odszczeknął Kazik. – Ja kimam tutaj.

- Ja też – poparł pomysł Marian. – Piasek jest ciepły i suchy, będzie fajnie. Możemy zejść trochę niżej i zadekować się w jakimś dołku.

Pomysł okazał się dobry. Zagłębienie między dwiema wyższymi wydrami, w którym się ułożyli, chroniło przed wiatrem. Zanim zasnęli, ustalili plan działania. Zamierzali spenetrować domy położone poza główną ulicą, tą, którą oddalała się ciężarówka. Od szofera wiedzieli, że główna ulica prowadzi prosto do terenów wojskowych. Oni chcieli poruszać się pomiędzy morzem a nadmorskim lasem, równolegle do niej.

Obudzili się po wschodzie słońca. Woda na horyzoncie poczerwieniała i zlewała się z czerwienią nieba. Wyjrżeli na plażę. Widzieli, jak rozciąga się daleko w obie strony. Była pusta, więc wyszli z ukrycia i zeszli w dół. Plaża była zagrabiona w równe pasy.

- Wojsko bronuje plażę, żeby widzieć ślady – powiedział Maniek.

- Jasna cholera – zaklął Kazik – nie wchodzimy, bo nas namierzają, pójdziemy lasem.

Otrzepli się z piasku, zjedli kanapki, popili kompotem, który dostali od dziewczyn, a na rozgrzewkę wypili po kilka łyków gorzałki. Nie za dużo, bo musieli być w formie. Ruszyli w kierunku białych budynków, które, patrząc z wydmy, zobaczyli po swojej prawej. Z lasu wyszli wprost do ładnego, choć zaniedbanego parku. Była w nim biała koncertowa altana, a właściwie muszla z małą sceną i zapleczem. Przed muszlą stały rzędy białych ławek, a nad muszlą górował zgrabny przeszklony budynek. To nie było miejsce dobre dla nich. Na szczęście pora była wczesna, a park pusty. Szybkim krokiem ruszyli dalej, przecięli uliczkę dobiegającą do plaży i oddzielającą park od następnego wzniesienia, na którym widać było inny elegancki budynek z białym frontem, wychodzącym na obszerny plac. .

- Ładny pensjonacik – stwierdził Kazik i rozglądając się uważnie wbiegł po szerokich ceglanych schodach. Wyjrzał na plac i pośpiesznie wrócił, dając im znak, że nie powinni iść za nim. Obeszli wzniesienie od hotelowego zaplecza i poczuli się pewniej. Mieli przed sobą piaszczystą drogę, która prowadziła za wydrami wzdłuż plaży, a po jej prawej stronie rósł niewysoki las, w którym łatwo mogli się ukryć. Wśród rzadkich i karłowatych drzew stały nieduże, najczęściej parterowe lub jednopiętrowe, domy. Wyglądały na domy letniskowe lub pensjonaty. Felek, małomówny jakaś, który miał wielkie wyczucie terenu i zdolności do

rysowania, zrobił na poczekaniu plan i zaznaczał domy, które uznali za opuszczone, z oknami zabitymi deskami, albo z zamkniętymi okiennicami. Zaznaczał nawet te, których wyważone drzwi i wybite okna wskazywały, że już odwiedzili je amatorzy poniemieckich skarbów. Im to nie przeszkadzało. Wierzyli, że są farciarzami i znajdą to, czego nie znaleźli poprzednicy. Do południa, nie spotkawszy nikogo, spenetrowali długi pas nadmorskiego lasu. Po zmroku zamierzali wrócić i porządnie przeszukać wytypowane domostwa oraz ich obejścia. Powoli, zmęczeni słabo przespaną nocą, marszem i wypitym alkoholem, kryjąc się przed nielicznymi napotkanymi ludźmi, cywilami i wojskowymi, wrócili do miejsca noclegu. Zamaskowali się starannie gałęziami. Wyznaczyli czujki i zasnęli. Niekiedy dochodziły do nich jakieś rozmowy, kilka wystrzałów, huk przelatującego samolotu, ale w ciepłe słońca i wygrzanego piasku spali dobrze i spokojnie. Wyzwania czekały na nich dopiero nocą.

Wyjście na szaber w księżycową noc, po rozpoznaniu terenu i z prowizoryczną mapą, okazało się łatwe. Trudne było jedynie zachowanie ciszy, a szczególnie nie podnoszenie głosów w trakcie sporów o miejsca, w których należy szukać. Marian nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia, bo został wyznaczony na czujkę. Stach i Felek kuli ściany w miejscach, gdzie tynk wydawał się świeższy, przemalowany, albo naruszony. Kazik przeglądał otoczenia domów, szukając znaków niedawnego kopania. W żadnym z domów nie pozostawali długo. Szczęście im dopisało kilkakrotnie. W ścianach niepozornych domów, ukrytych w głębi nadmorskiego lasu, odkuli skrytki z kosztownościami, a w ogrodach wykopali skrzynie z porcelaną, sztuccami i dokumentami. Wybierali tylko fanty lżejsze i łatwiejsze do transportu. Dokumenty wraz ze skrzyniami wrzucili do dołów i przykryli ziemią. Do pewnego czasu podniecenie zmniejszało narastające zmęczenie, ale po kilku godzinach harówki, poddali się. Wracając, postanowili zmienić miejsce noclegu, a właściwie dziennego spania. Oddalili się znacznie od ostatnich zabudowań Mielna i znaleźli inne, spokojniejsze między lasem a wydrami. Zakopali w piachu zdobycze, a potem zasnęli. Kiedy Marian obudził się, słońce stało wysoko i grzało niemiłosiernie. Męczyło go pragnienie i swędziało spocone ciało. Marzył o tym, aby ruszyć na poszukiwanie świeżej wody. Skończyło się jednak na kilku łykach pociągniętych z manierki, bo Kazik miał inny plan, zgodnie z którym Maniek znów zostawał stróżem. Kazik oświadczył, że muszą rozdzielić się na resztę dnia. On ze Stachem podejść do plebani, położonej nieopodal starego ceglanego kościoła. Kazik ma bowiem konkretne zamówienie od klienta. Dostał także dokładne wskazówki, gdzie i czego ma szukać. To, co odnajdzie, ma dostarczyć do Sulejówka bez otwierania i segregowania. Tylko wtedy dostanie zapłatę. Takie są warunki umowy. Powłóczą się więc ze Stachem koło kościoła, plebanii i w

pobliskim parku dworskim. Nie będą się ukrywać. Popytają o pracę i w ogóle będą bajerować napotkanych ludzi. W nocy, we trójkę, znając dobrze teren, wyprawią się na miejsce i wezmą to, co potrzeba. Wrócą potem po fanty. I właśnie Maniek miał teraz i w nocy pilnować fantów.

Maniek, znudzony i trochę zły, przysypiał i budził się, czekając na powrót kolegów. Nic się nie wydarzyło. Kiedy wrócili, zadowoleni i rozgadani, mogli jeszcze trochę się przespać, a Maniek czuwał, aby obudzić ich przed świtem. O świcie ruszyli w drogę powrotną. Zamówiony pakunek i reszta znalezionych skarbów ciążyły w plecakach. Maniek niósł to, co mu włączali, nie pytając go o zdanie. Nie odzywał się. Złość w nim narastała. Czuł się oszukany. Ciężarówka już czekała w umówionym miejscu. Szofer narzekał na spóźnienie, więc Kazik wziął go na bok i jakoś go udobruchał. Prawdopodobnie zapłacił mu więcej niż się było wcześniej umówione, albo obdarował złotym pierścieniem.

Powrót był równie spokojny, jak podróż do Mielna. Dzień wstawał, więc więcej widzieli po drodze. Emocje opadły, a zmęczenie dopadło. Nie rozmawiali. Znowu schowali się przed wartownikiem, ale ten, chyba zaspany, podniósł szlaban i pojechali dalej, nie zatrzymując się. Wysiedli na początku ulicy Morskiej tuż przed pierwszymi zabudowaniami. Poszli w stronę rynku przy ulicy Drzymały, gdzie w zielonych budkach wzdłuż ulicy można było kupić warzywa, owoce, mięso, pieczywo i ciastka. Chcieli zrobić dziewczynom miłą niespodziankę, aby je uspokoić po dwudniowej nieobecności.

W mieszkaniu było cicho. Domyślili się, patrząc na buty stojące w przedpokoju, że zastali tylko Walerię. Prawdopodobnie spała, bo nie wyszła, aby sprawdzić, co się dzieje. Zostawili zakupy na stole w kuchni, obmyli się w misce z piasku i potu, a potem padli na posłania. Wypełnione fantami plecaki wsunęli pod łóżko Kazika.

Maniek, nieco już spokojniejszy, nie mógł zasnąć. Wstał, po cichu zbliżył się do drzwi sąsiedniego pokoju i uchylił je. Waleria podniosła głowę. Nie uśmiechnęła się.

- Chyba powiem jej prawdę – pomyślał.

- Mogę wejść? – zapytał cicho, uśmiechając się szczerze na widok jej rozespanej smutnej twarzy. - Chcę pogadać

- Wejdz. A gdzież wy byli? – zapytała, nie mogąc powstrzymać irytacji w głosie i usiadła na łóżku.

- Wszystko ci opowiem – odpowiedział.

Usiadł obok i poczuł zapach jej rozgrzanego ciała. Przywarł do niej jak dziecko, a ona objęła jego głowę. Oboje drżeli, gdy pocałował ją bez wprawy, ale zdecydowanie i delikatnie zarazem. Nie protestowała. Oddała pocałunek. Opadli na poduszkę. Podniósł się i zaczął pośpiesznie rozbierać, cały czas patrząc jej w oczy. Wiedział, że to musi się stać. Ona też wiedziała. Przyjęła go spokojnie i czule. Nie pytał, czy już z kimś była. Nie miało to znaczenia.. Wciągał z rozkoszą zapach jej ciała i cieszył harmonią, z jaką się poruszali. Pomyślał, że są dla siebie stworzeni. Rozczulała go jej jasna, łagodna twarz i oczy, które patrzyły na niego z uczuciem, którego nie potrafił nazwać, ale które rodziło się także w nim.

Kiedy wstał i ubrał się, zamierzając wyjść od niej zanim obudzą się koledzy, ogarnął go smutek. Nie chciał jej zostawiać bez deklaracji, w dręczącej niepewności. W łóżku rozmawiali wyłącznie o tym, co do siebie poczuli, jakby wiedzieli, że mają mało czasu i powinni mówić tylko o tym, co dla nich obojga najważniejsze. Teraz należało podjąć decyzję.

- Ja z nimi nie wyjadę – szepnął Maniek, odwracając się od drzwi.

- Dobrze – odpowiedziała niepewnie, bo nie wiedziała przecież, co dokładnie on ma na myśli.

- Wyjdźmy razem na miasto, zanim tamci wstaną – zaproponował.

- Odzież się. Poczekał na ulicy za rogiem – odpowiedziała.

Na ulicy trzymali się mocno za ręce, ale rzadko na siebie spoglądali. Oboje czuli się skrępowani.

- Wiesz co! – wykrzyknął, żeby przerwać długo trwającą ciszę. – Zróbmy sobie razem fotografię. Niedaleko dworca widziałem fotografa. Działa pod chmurką, Ma taki duży aparat na trzech nogach, a jak wykonuje ujęcie, przykrywa się czarną płachtą.

- Wiem, widziałam, chodźmy. Będzie suvenir.

Wieczór spędzili wesoło wszyscy razem. Dziewczyny przygotowały kolację, ciesząc się z przyniesionych przez chłopców smakołyków. Wyjęły butelkę samogonu. Trochę podpytywały, ale bez naciskania.

- Pojechaliśmy rozejrzeć się pod Koszalinem za jakimś domem. Mamy już coś na oku – powiedzieli i to wystarczyło.

Rano Kazik podzielił fanty. Maniek otrzymał najmniej. Trochę monet, dwa złote pierścionki, komplet srebrnych widelców i porcelanowe drobiazgi. Spodziewał się, że wiele nie dostanie, ale to, co dostał uznał za niewystarczające.

- Pojadę jeszcze dziś do Mielna, złapię okazję – oznajmił kolegom – Wezmę to, co tam zostawiliśmy i wrócę jutro rano.

Kazik nie był zadowolony.

- Ryzykujesz – powiedział zimno. – Poczekamy na ciebie, ale tylko do jutra do południa. Potem znikamy stąd.

Czekali o dzień dłużej. Maniek nie wrócił, więc wynieśli się po cichu, gdy dziewczyny były w pracy.

5. Waleria. Marzec 52



Marianna i Waleria stały przed wejściem prowadzącym do głównego budynku sanatorium. Nie mogły spokojnie rozmawiać. Ludzie wciąż wchodzili i wychodzili. Przechodzące obok nich

pielęgniarki, salowe i nieliczni lekarze spoglądali z zaciekawieniem, bo nigdy do Marianny nikt nie przychodził.

- Walu – powiedziała cicho Marianna, ściskając drobną i dziwnie gorącą dłoń Walerii – spotkajmy się jutro u ciebie, albo u mnie. Lepiej u mnie.

Wyjęła z torby kartkę i ołówek.

- Tu masz adres. Teraz muszę biec do pracy. Przyjdź jutro rano. Będę w domu. Dziś mam nocny dyżur, przyjdź koniecznie. Możesz? – spytała zaniepokojona tym, że Waleria milczy.

Kobieta skinęła głową.

- Dziękuję. Przyjdę.

- Czego ona może ode mnie chcieć?- pytanie powracało do Marianny przez cały dzień i całą noc w momentach wolnych od obowiązków.

Marianna przypominała sobie, jak młodziutką, wygłodzoną, wychudzoną i zawszoną Walerię, prawie dziecko jeszcze, ktoś przyniósł, a właściwie podrzucił, do polowego szpitala. Niewiele można się było od niej dowiedzieć. Kiedy ruszyli dalej za frontem, Marianna nie pozwoliła zostawić Walerii na pastwę losu i ludzi. Waleria została w polowym szpitalu. Podleczyła się i gdy nabrała sił, zaczęła pomagać. Dobrze mówiła po rosyjsku. Ranni żołnierze bardzo ją lubili, bo choć rzadko się odzywała, to potrafiła słuchać i ładnie się uśmiechała. Myśleli, że jest Rosjanką, ale Waleria była Polką i to zbliżyło do siebie kobiety. Waleria wzbudzała w Mariannie instynkt opiekuńczy, siostrzany bardziej niż macierzyński. Rozstały się wkrótce po zajęciu Koszalina przez Armię Czerwoną. Marianna nadal pracowała w szpitalu wojskowym, a Waleria pewnego dnia odeszła. Marianna pomyślała wtedy, że Waleria spotkała kogoś z rodziny albo kogoś ze znajomych i opuściła Koszalin.

Rano Marianna wróciła do swego pokoju w gospodarstwie przy ulicy Młyńskiej. Nie położyła się spać. Przywiozła z sanatorium kawałek ciasta, pokroiła je i postawiła na stole. Na maszynie elektrycznej parował czajnik. Zrobiła sobie kolejną mocną herbatę w szklance umieszczonej w metalowym koszyczku. Druga szklanka, jeszcze pusta, czekała na Walerię.

- Lepsza byłaby z samowara – pomyślała Marianna, bo nagle powróciły wspomnienia. Odrzuciła gwałtownie głowę do tyłu i głośno wypuściła oddech.

- Nie możesz się dać wykorzystać, wyprowadzić z równowagi, uwikłać w coś – powiedziała do siebie i w tej samej chwili rozległo się pukanie. Zerwała się z krzesła i szybkim krokiem podeszła do drzwi. Zatrzymała się przed nimi speszona, jakby została przyłapana na czymś niestosownym. Wreszcie otworzyła i powiedziała spokojnym głosem, takim który zarezerwowała dla pacjentów:

- Wejdz Walerio, cieszę się, że przyszedłeś. Dawno się nie widziałyśmy, Zmieniłeś się.

Tamta tylko skinęła głową i stała w drzwiach zakłopotana.

-Wejdz – powtórzyła Marianna – daj płaszcz i usiądź. Napaliłam w piecu. Ogrzejesz się.

Usiadły i zapadło milczenie. Marianna, chcąc ukryć narastającą w niej niechęć do wieści, które spodziewała się za chwilę usłyszeć, wstała i zajęła się przygotowaniem herbaty dla gościa. Gdy wróciła do stołu, Waleria popatrzyła jej prosto w oczy.

- Musisz mi pomóc – powiedziała, jakby to było nadal spotkanie w Rokosowie. – Nie mam już do kogo się zwrócić.

Marianna zrozumiała, że nie czas na pytania o przeszłość i nie czas na wspomnienia. Coś złego przydarzyło się Walerii i ona teraz musi ją o to zapytać, a potem jej pomóc. Właśnie tego nie chciała, tego się bała. Już w czasie krótkiej rozmowy pod sanatorium zauważyła, że Waleria straciła kresowy zaśpiew i mówiła poprawną polszczyznę. Nie spodziewała się, że ta nieśmiała dziewczyna w ciągu sześciu lat tak dogłębnie się zmieni.

- Mów co się stało, jak mogę ci pomóc? - wydusiła wreszcie pytanie, które musiało paść.

- Jestem chora. Mam suchoty – Waleria znów patrzyła jej w oczy – i wysyłają mnie na dłuższe leczenie do Otwocka.

- To dobrze, tak trzeba, wyzdrowiejesz – rzuciła Marianna i natychmiast zrozumiała, że nie o pomoc w tej sprawie jest proszona.

- Mam dziecko. Dziewczynkę. Zosię. Ma cztery lata. Nie chcę, żeby trafiła do domu dziecka. Pomóż mi uchronić ją przed tym. Znasz lekarzy. Porozmawiaj z kimś. Niech nie zawiadamiają władz o dziecku, niech pozwolą, żeby Zosia u kogoś została. Może u ciebie? - znów popatrzyła Mariannie w oczy, ale po chwili spuściła je i bezradnie patrzyła w podłogę.

Marianna oniemiała.

- A ojciec? – bąknęła cicho.

- Zosia nie ma ojca. Ma tylko mnie.

Zapadła krępująca cisza. Tym razem trwała długo i żadna z nich nie chciała jej przerwać.

- Napijmy się herbaty – powiedziała wreszcie Marianna i podsunęła gościowi cukier.

- Dobrze – głos Walerii był zmęczony, jakby przed chwilą zrzuciła przygniatający ją kamień.

Marianna, pijąc herbatę, uspokajała się powoli.

- Jestem pielęgniarką – myślała – a przede mną siedzi chora kobieta. Powinnam najpierw zatroszczyć się o jej zdrowie, ustalić fakty.

- Miałas prześwietlenie płuc? - zapytała półgłosem.

- Tak.

- Co powiedział lekarz?

- Że zmiany są duże, że za późno przyszedłam.

- Masz opis prześwietlenia przy sobie?

- Nie.

- Plujesz krwią?

- Nie, ale jestem bardzo słaba, gorączkuję, nie mogę jeść, ciągle kaszlę.

- To nic. Najważniejsze, że nie plujesz krwią. Musisz brać zastrzyki. Streptomycynę. Załatwię ci ją.

- A wyjazd do Otwocka? A co z Zosią? - zaniepokoiła się Waleria.

- Jeszcze nie wiem. Może uda mi się załatwić ci miejsce w Rokosowie. W izolatce. Ale to będzie trudne. Jutro porozmawiam z ordynatorem. To dobry człowiek. Może się zgodzi. Nigdy go o nic jeszcze nie prosiłam. Powiem, że jesteś moją kuzynką, że zostałam sama, nie masz rodziny, a twój mąż zginął.

- Ale co z Zosią? Przecież ona nie może być tam ze mną!

- Nie może.

Zamilkły.

- Walu – poprosiła Marianna - pozwól mi spokojnie pomyśleć. Spotkajmy się pojutrze wieczorem. Mam przyjść do ciebie?

- Tak, bo wieczorem nie mam z kim zostawić dziecka. Rano odprowadzam ją do przedszkola. Ja mam teraz zwolnienie lekarskie, ale ją odsyłam. Boję się, że zachoruje. Boże, może ona już jest chora!

- Można to sprawdzić. Uspokój się. Podaj mi swój adres. Przyjdę po ósmej, żeby mała już spała i nie słyszała naszej rozmowy. Dobrze?

Waleria skinęła głową, wstała i powiedziała cicho:

- Pójdę już. Jestem wyczerpana. Muszę odpocząć, a potem zabrać Zosię z przedszkola. Ty też nie spałaś. Jesteś po dyżurze.

Kiedy Waleria wyszła, Marianna nadal była oszołomiona. Położyła się, ale natłok myśli nie pozwalał jej zasnąć. A tak bardzo chciała spać. Nie tylko po to, aby odpocząć przed czekającymi na nią wyzwaniem dnia następnego, lecz także dlatego, że po obudzeniu wszystko to, co się przed chwilą zdarzyło, mogłoby okazać się tylko złym snem.

- Jakże ona się zmieniła – myślała. – Jak zdobyć streptomycynę? Co robić? A dziecko? Boże, to niemożliwe. Nie poradzę sobie. Nie chcę. Ale czy Wala przeżyje? Jest taka słaba. Chyba całkiem samotna. Z kim ona ma dziecko? Wszystko jedno! Ja też mogłabym mieć.

Gdy wreszcie zasnęła, sen był niespokojny i płytki. Męczyły ją koszmary - wojna, wymęczeniu rodzice wyrzucali jej złe prowadzenie się, jakiś wrogi tłum patrzył na nią pogardliwie, a ona

całkowicie obnażona, nie miała się czym przykryć i chciała natychmiast umrzeć. Obudziła się nagle, zmęczona bardziej niż przedtem. Zjadła ciasto, wypila herbatę i nie ubierając się wróciła do łóżka. W piecu wygasło, ale nie miała siły rozpalić ponownie ogień.

- Muszę się pozbierać, muszę się pozbierać. Trzeba działać, żeby nie myśleć – postanowiła, kiedy wreszcie przyszedł chwilowy spokój. Znow zasnęła. Obudziła się późnym popołudniem w lepszym stanie.

- Zacznę od streptomycyny. Pojadę do doktora Pawłowskiego. Powinien być już u siebie w domu.

- Dzień dobry pani Mario – powiedział doktor Pawłowski, gdy weszła zdecydowanym krokiem do salonu w jego mieszkaniu. – Z czym pani przychodzi?

- Moja kuzynka się odnalazła – powiedziała rumieniąc się, bo kłamstwo trudno przechodziło jej przez gardło. – Jest ciężko chora na gruźlicę. Ma małe dziecko. Potrzebuje antybiotyku. Wiem, że trudno go zdobyć, ale czy może pan nam pomóc. Proszę. Bardzo proszę.

- Postaram się – odpowiedział natychmiast. – Ale proszę, niech pani usiądzie, porozmawiamy. Muszę ją koniecznie zbadać. Czy może ją pani do mnie przyprowadzić?

- Do sanatorium, czy do domu?

- Do domu. Najlepiej jutro wieczorem o szóstej.

- Czy możemy przyjść z dzieckiem, z kilkuletnią dziewczynką?

- Tak, przyprowadźcie ją. Ją też osłucham. A, i niech kuzynka przyniesie opis zdjęcia rentgenowskiego. Ma taki?

- Tak, ma. Przyniesie. Dziękuję, dziękuję panu – powiedziała miękko Marianna, zaskoczona jego rzeczowością i deklaracją pomocy bez zadawania pytań.

Wyszła dziwnie uradowana, a przecież od dawna w ogóle nie czuła radości.

- Dobrze, że trafiłam na Pawłowskiego. To wilnianin, dzielny człowiek i świetny specjalista. Poradził sobie z epidemią tyfusu w 45-tym, a teraz z poświęceniem zajmuje się gruźlikami. On pomoże Walerii, wyleczy ją. Czy aby tylko nie powie o całej sprawie tym smutnym panom,

którzy zaczęli go ostatnio odwiedzać w sanatorium? Ale co ich może obchodzić biedna Waleria i jakaś pielęgniarka. Pawłowski zna ważne osobistości i dużo może. Po co miałby wnikać w sprawy prostych ludzi? Pomoże i zapomni – uspokoiła się natychmiast.

- Jezu Nazareński – pomyślała za chwilę – dziękuję. Spraw, żeby wszystko dobrze się skończyło.

Pchnięta nagłym impulsem, w chwili, gdy już miała przejść przez rynek w stronę Młyńskiej, zawróciła i weszła do kościoła. Trwało wieczorne nabożeństwo, więc stanęła w kruchcie. Wnętrze nie przypominało tego, które zapamiętała z Maniewicz. Tamto było białe, jasne, ukwiecone, pachniało nowością i kadzidłem. Tamten kościół był naprawdę ich, nielicznych Polaków mieszkających w Maniewiczach. Powstał z ich datków, dbali o niego i o przykościelny cmentarz z kwaterą grobów legionistów, nad którą dominował wysoki obelisk. Wnętrze tego kościoła było ciemne, zimne, ogromne i puste. Dźwięki organów ginęły pod wysokim sklepieniem i rozpraszały się w bocznych nawach otoczonych drewnianymi balkonami. Ksiądz przy ołtarzu wydawał się mały i oddzielony od modlących się ludzi. Było ich niewielu. Starsze panie w kapelusikach. Kilka kobiet w chustkach. Mężczyzn nie zauważyła. Poczuli się obco. Nie była w kościele od lat. Nie modliła się. Nie mogła.

- Ojcze nasz, któryś jest w niebie – usłyszała i odmówiła z innymi modlitwę. Potem wyszła.

Następnego dnia w sanatorium unikała rozmów. Zaraz po pracy postanowiła pójść do Walerii na tyle wcześniej, żeby ta mogła przygotować siebie i małą do wieczornej wizyty u doktora Pawłowskiego. Umówiły się wprowadzić dopiero następnego dnia wieczorem, ale Marianna miała nadzieję, że zastanie Walerię z córką w domu.

Waleria mieszkała przy ulicy, która nosiła nazwę ulica Wąska. Kiedy Marianna ją odszukała, okazało się, że nazwa idealnie do ulicy pasuje. Wąska odchodziła od Zwycięstwa po prawej, jeśli szło się od strony ratusza. Zaczynała się między kamienicami o numerach 17 i 19. Na parterach kamienic mieściły się sklepy. Zaraz za sklepami wąska uliczka biegła ostro pod górę. Marianna w butach na słupku z trudem szła po nierównym bruku. Na szczęście wyżej było już prawie płasko, a bruk zmienił się w polną drogę.

- Ładne miejsce - stwierdziła, patrząc na tarasowe ogrody pobliskich kamienic i grubą wysoką gruszę na szczycie wzniesienia.

– Grusza niedługo zakwitnie – pomyślała i poczuła ostrą tęsknotę za przedwojenną wiosną, za wszystkim, co w Maniewiczach było piękne i niewinne, a przynajmniej takie się wydawało.

- Tego nie ma i nigdy nie będzie – napomniała sama siebie, ale słodki ból tęsknoty nie minął.

Przeszła ścieżką przez podwórze i weszła do kamienicy z numerem szóstym. Mieszkanie Walerii, patrząc z tego poziomu, było na parterze. Jeśli patrzeć z dołu, na pierwszym piętrze. Zastukała zaciekawiona, co zobaczy za drzwiami. Spojrzała na zegarek. Było po czwartej. Otworzyła mała dziewczynka i ufnie spojrzała w górę.

- Dzień dobry. Masz na imię Zosia? - zapytała Marianna i uśmiechnęła się do ładnej twarzyczki dziecka.

- Masza, to ty? – usłyszała z głębi mieszkania, a mała odsunęła się od drzwi na widok zbliżającej się do nich matki. – Przyszłaś już dziś? Coś się stało?

- Tak, mam dobre wieści – odpowiedziała Marianna wchodząc. – Przygotuj siebie i Zosię. Za dwie godziny mamy być u Pawłowskiego. To lekarz, mój przełożony, dobry człowiek - dodała, widząc zdziwienie w oczach Walerii. – Zbada ciebie i Zosię. Pójdziemy do niego razem. Nie bój się. Przyjmie nas w domu. Nie będzie chciał pieniędzy. Zabierz opis prześwietlenia.

- Wejdz, wejdz i siadaj. Usiądź, usiądź tu, przy stole – mówiła zaskoczona niespodziewaną wizytą Waleria – zrobię ci herbaty.

- Nie. Dziękuję. Piłam przed wyjściem z pracy. Szykujcie się. Gdzie mam czekać?

- Wejdz do pokoju – zaproponowała Waleria.

Mieszkanie było małe. Pokój z kuchnią. Marianna poczuła jednak ukłucie zazdrości.

- Waleria mieszka na swoim. Ładnie się urządziła, a ja nie mam nic – pomyślała, ale zaraz przywołała się do porządku. - Ma dziecko, musi stworzyć mu dom, a ja od tamtego czasu nie dbam o nic, ani o siebie, ani o miejsce do życia. Nie mam prywatnego życia, nie potrzebuję niczego.

Wizyta u doktora Pawłowskiego wyjaśniła położenie Walerii i perspektywy leczenia. Pawłowski powiedział, że Waleria jak najszybciej musi położyć się na oddziale zakaźnym, bo

izolacja jest konieczna. Obiecał umieścić ją w szpitalu w Koszalinie, a wyjazd do Otwocka zostanie na razie odwołany.

- Streptomycynę dostanie pani na oddziale – tłumaczył. - A jeśli będzie jej brakowało, dostarczę tyle, ile trzeba. Po leczeniu szpitalnym umieści się panią w sanatorium w Rokosowie. Dziecko prawdopodobnie jest zdrowe, ale dla pewności zrobię dodatkowe badania.

Pawłowski pobrał próbkę śliny Zosi i zapowiedział, że wynik poda za kilka dni Mariannie.

- Zosia nie może przebywać z matką, aż do jej pełnego wyleczenia – stwierdził na koniec kategorycznie. – Ktoś z rodziny musi się nią zaopiekować, bo trafi do domu dziecka.

Wyszły od doktora zarazem pocieszone i zmartwione.

- Przynajmniej wiemy, co trzeba zrobić – powiedziała Marianna, gdy znalazły się na ulicy.

- Tak, tak, zostanę w Koszalinie, będę blisko, ale co będzie z Zosią – niepokoiła się Waleria.

- Idźcie do domu. Wypocznijcie. Ja porozmawiam z moimi gospodarzami. Oni nikogo nie mają. Może zgodzą się zająć Zosią. Mogłybyśmy płacić im za opiekę - Marianna mówiła zdecydowanie i spokojnie, sama nie rozumiejąc, co w nią wstąpiło.

- Ale co to za ludzie! Nie chcę oddawać dziecka komuś zupełnie obcemu! - wykrzyknęła Waleria, a Zosia, wyczuwając niepokój matki, rozplakała się.

- Moje kochane! Nie bójcie się. Ja zaopiekuję się Zosią, przecież jesteśmy teraz rodziną – roześmiała się przez łzy Marianna – Kozińscy to dobrzy ludzie. Zapytam, czy zaopiekują się Zosią, gdy ja będę w pracy.

Rzuciły się sobie w objęcia. Teraz one szlochały, a dziecko przestało płakać i patrzyło na nie mokrymi oczkami, w których w miejsce strachu pojawiło się radosne zdziwienie.

6. Antoni. Sierpień 49



Antoni Czupa pił bez umiaru. Od tygodnia wczesnym popołudniem wychodził z domu i szedł prosto jak strzełił drogą z Mielenka do Mielna. Na początku Mielna droga zyskiwała nazwę – Kościelna. Kościelna przechodziła oczywiście koło kościoła, przed którym Czupa zawsze zdejmował czapkę i żegnał się szeroko od lewej do prawej. Nie chodził na katolickie msze. Był unitą. Nie praktykującym od początku wojny. Przed mieleńskim kościołem żegnał się po swojemu, ale nigdy doń nie wstępował, a nawet nie patrzył w jego stronę. Tkwiła w nim zadra podwójnej wrogości - wrogości żywionej wobec niego, Ukraińca rezuna, jak nieraz zdarzyło mu się usłyszeć, choć był Łemkiem, i wrogości, jaką sam odczuwał do Polaków, bo to oni wyrwali go z korzeniami z poprzedniego życia. Zdecydowanym krokiem szedł więc dalej, prosto do „Mewy”. Tam na początek zamawiał piwo i setkę wódki, a następnie rozglądał się za kimś znajomym, żeby pogadać. Znajomych nie miał wielu, bo patrzono na niego spode łba. Zawsze jednak w końcu znalazł się kompan do picia, a przy okazji do rozmowy.

- Antoś – prosiła go żona. – Zostań, nie leż do tych pijaków. Czegoż ty chcesz, czego tam szukasz? Zabradziażysz znów i będzie nieszczęście. Toż ja lada dzień powiję dzieciátko. Czyś ty oczadział? Już ledwo nogami powłóczę. Nie idź! Zostań!

- Co się z tobą stało! – wołała za nim, gdy już był na drodze, a ponieważ nigdy nawet się nie obejrzał, płakała z żalu i bezradności.

Anna ciągle miała nadzieję, że Antoni zmieni się, kiedy ona urodzi ich pierwsze dziecko.

- Niech to będzie syn – zaklinała los, mając nadzieję, że Antoś wreszcie przestanie pić i znów będzie jak dawniej.

Wiedziała, że zupełnie tak, jak dawniej być już nie może, bo w czerwcu 1947-mego roku to „dawniej” przepadło razem z ich rodzinnymi domami w Miłkowie i Oleszycach. W maju zaręczyli się i szybko wzięli ślub, bo chodziły słuchy o wywózkach Ukraińców na Zachód i na Północ, a oni chcieli być razem. Rodzice Anny, Polacy, byli przeciwni i zaręczynom i ślubowi. Nie słuchała ich, bo była bardzo zakochana w przystojnym, silnym, wesołym jasnowłosym młodzieńcu. Bardzo też chciała opuścić rodzinny dom i z dala od niego zacząć nowe życie. Założyć dom własny, pełen spokoju i miłości, których nie znalazła w Mikołowie. Jej ojciec pił i awanturował się. Matka była zastraszona i zapracowana.

Młodzi małżonkowie nie bali się wysiedlenia tak bardzo, jak rodzice Antoniego, Łemkowie. Niczego właściwie nie tracili, bo jeszcze niczego nie mieli. Gonieni ciekawością świata innego niż ten, który znali, żądni samodzielności i nowości, przetrwali bez narzekania niełatwą drogę do Lublina. Stamtąd pociągiem towarowym wywieziono ich wraz z innymi na północny zachód. Wyładowano wszystkich w Szczecinku i rozwieziono po różnych gminach. Specjalnie rozdzielano znających się mieszkańców z tych samych wysiedlonych wsi. Tym też się nie martwili. Wystarczali sobie sami. Ale pomieszczenia, które dostali w małej wsi od wójta gminy Sławno, to były jakieś stare stajnie. Gnieździli się tam przez rok z innymi rodzinami, zanim uciekli pół legalnie do Mielenka. Tam lepsze gospodarstwa dawno już były zajęte. Zamieszkali więc w wilgotnym starym i dość ciasnym domu z małym obejściem. Ona zajęła się domem i ogrodem. Zaczęła hodować kury i prosiaka, którego dostali od sąsiadów, też przesiedleńców. Antek próbował uprawiać ich kawałek pola, ale coraz częściej musiał dorabiać u innych gospodarzy. Nie mieli konia, sprzętu, a większość małej wiejskiej społeczności trzymała się od nich z daleka. Młodzieńczy zapał opadł, siły osłabły, a myślenie o przyszłości wywoływało strach. Antek zaczął pić. Anna kochała go nadal, ale nie takiego, jakim się teraz stawał.

Idąc do „Mewy” późnym sierpniowym popołudniem 1949-tego roku Antek miał przy sobie sporą ilość pieniędzy. Skończyły się żniwa, w czasie których wynajmował się u gospodarzy. Dużo pracował i dobrze zarobił. Teraz chciał odpocząć i zapomnieć. Także o tym, że Anna we wrześniu urodzi dziecko.

- Dziecko będzie jeszcze z 49-tego - pomyślał i uznał, że dobrze zrobił, oddając Anie większość zarobionych pieniędzy.

– Przynajmniej nie przepiję dziś wszystkiego. Trzeba będzie wreszcie rzucić gorzałkę. Ale jak? Nie zdzierzę. Nie zdzierzę harówki u obcych ludzi. Ile mogę jeszcze dorobić przy wykopkach? Nie starczy na całą zimę. Trzeba zgromadzić drewno na opał, kupić węgiel. Nie poradzimy sobie. Cholera jasna, wszystko do dupy. Nie tak miało być – myśli przelatują jedna po drugiej, wszystkie przygnębiające.

- Zalać się i zapomnieć, nie wracać do Anny, nie słuchać jej narzekania – ta myśl go natrętnie napastowała.

W „Mewie” unosił się gęsty papierosowy dym przesycony odorem piwa i zapachem gotowanej kapusty, wydobywającym się z kuchni. Za barem stała bufetowa w białym fartuchu i koronkowej opasce na wyondulowanych włosach. Serwowała piwo z kija i niedbale opłukiwała zwracane puste kufle. Płacić trzeba było od razu przy barze. Wypełnione mdłą wilgocią wnętrza knajpy miało tę zaletę, że było chłodne. Słońce nigdy tu nie wpadało przez niskie okna, teraz szeroko otwarte i wyprowadzające knajpiane smrody wprost na przechodzących obok knajpy ludzi.

Antek wziął piwo i setkę wódki. Poszedł do pustego stolika na środku sali. Odsunął głośno krzesło na metalowych nóżkach i usiadł. Z przyjemnością ugasił chłodnym piwem pierwsze pragnienie. Wypił pół kieliszka wódki, popił piwem i wreszcie poczuł przyjemne odprężenie. Dopił resztę wódki i piwa. Poszedł po następne. Zaniedbany wygląd, marne i brudne ubranie już mu nie przeszkadzały. Znów poczuł się silny, młody i przystojny. Wracając do stolika rozejrzał się wokół, szukając towarzystwa. Przy stoliku tuż przy barze siedziało dwóch mężczyzn. Znał ich z widzenia, ale nigdy z nimi nie rozmawiał. Przy drzwiach jadł schabowego z ziemniakami i kapustą nieznany mu facet w średnim wieku. Dobrze ubrany i pewny siebie. Kiedy zauważył, że Antek patrzy na niego, uśmiechnął się.

- Miły człowiek, nie puszy się – pomyślał Antek zanim wypił następny kieliszek. – Ale nie będę się na niego gapił, bo coś sobie pomyśli.

- Czy ma pan zapalki? – usłyszał za sobą głos i od razu wiedział, że to musi być tamten.

- Mam – odpowiedział, siłąc się, aby mówić trzeźwo i godnie wyglądać.

– Weźmie pan – podał pudełko i szybko się poprawił. – Proszę bardzo.

Nie chciał, żeby tamten wziął go za prostego chłopca. Przecież skończył przed wojną szkołę powszechną. Umiał czytać i pisać. To właśnie w szkole poznał Annę. Zaprzyjaźnili się, ukrywając to przed innymi, aby się z nich nie wyśmiewano, a potem zakochali się w sobie. Cudem uniknęli wywózki do Niemiec w czasie wojny.

- Czy mogę się przysiąc na chwilę? Chcę pana o coś spytać – oświadczył cicho, ale wyraźnie, przyzwyczajony do wyglądającego gościa, kiedy już zapalił papierosa. – Zapali pan także? - wyciągnął w stronę Antoniego pełną paczkę.

- O, zagraniczne - powiedział zbyt głośno Antek, tak, że mężczyźni pijący przy stoliku przy barze obejrzel się i patrzyli na nich przez chwilę.

- Tak, są niezłe, mam mały zapas – odpowiedział gość spokojnie, nie widząc gapiących się na nich pijaczków.

- Chętnie spróbuję – rozochocił się Antoni, już czując rosnącą w nim sympatię do nieznajomego.

- Czy zna się pan trochę na pracach budowlanych, a raczej malarskich? Szukam solidnego pracownika. Będę remontował mały dom w Mielnie. Farby, gips i narzędzia dostarczam. Pan mi wygląda na uczciwego młodego człowieka, takiego, który dużo potrafi – mężczyzna podał Antoniemu ogień i patrzył na niego wyczekująco.

Antoni zaniemówił. Tego potrzebował! Nie rycia w ziemi, lecz pracy dla kogoś z pieniędzmi, dla kogoś, kto wprowadzi go w tutejsze życie, otworzy przed nim lepszą przyszłość, wydobywając z biedy i beznadziei. Nie miał pojęcia o remontach. Ojcowie mieli przecież drewnianą chałupę krytą strzechą. Tu były domy murowane, ale co tam, poradzi sobie.

- Tak, znam się na malowaniu i innych robotach – odpowiedział butnie, wypuszczając dym i licząc na to, że jego milczenie gość wziął za zastanawianie się.

- Bardzo się cieszę. Musiałbym jednak pokazać panu, o co mi chodzi. Czy możemy spotkać się wieczorem o 18-tej? Wcześniej będę zajęty. Spotkajmy się na końcu ulicy 1 Maja, w parku, przy pomniku jelenia. Wie pan, gdzie to jest?

- Wiem – powiedział niepewnie Antoni, a jego towarzysz od razu niepewność wyczuł, więc z ożywieniem, żeby nie urazić rozmówcy, odpowiedział:

- Mnie się ten nadmorski park z muszlą koncertową bardzo podoba. A wie pan, że pomnik jelenia przywieziono do Mielna z Krępy, spod Koszalina. Jeleń z metalu stał w parku przy pałacu w Krępie. Pałac spłonął po jakimś większym jublu, a pomnik przewieziono do Mielna. Spotkajmy się przy nim o 18-tej. Zabiorę pana stamtąd do mojego domu i wszystko pokażę.

- Tak, tak, dobrze, będę – Antek pośpiesznie zaakceptował propozycję, choć nie wiedział, gdzie jest park i pomnik jelenia.

Słyszał o parku, pomniku, plaży i promenadzie, ale swoje wypadki do Mielna zawsze kończył w „Mewie”. Nigdy nie dał się namówić Annie na niedzielny spacer po Mielnie, choć często go o to prosiła.

- To są jakieś jaśniepańskie wymysły – odpowiadał, więc w końcu przestała prosić i od czasu do czasu sama wybierała się do Mielna na niedzielne przechadzki.

Szła sama na poranną mszę do mieleńskiego kościoła, a potem nad morze. W nim tymczasem wciąż narastał bunt i niechęć do wszystkiego, co tutejsze, co obce. W czasie rozmowy z nieznajomym poczuł, jak zastarzała wrogość, którą w sobie pielęgnował, nagle zniknęła. Znów stał się dawnym Antkiem - młodym, zadziornym i szukającym przygód chłopakiem.

- Tak, tak, będę czekał w parku – potwierdził raz jeszcze z entuzjazmem.

- A więc do widzenia – nieznajomy wstał nagle i pośpiesznie wyszedł.

- Do widzenia – rzucił Antoni i też się zerwał z miejsca, ale tamten już zniknął za drzwiami, więc nie poszedł za nim, tylko skierował się do baru, żeby zamówić następną kolejkę.

- Nie mogę się upić – przekonywał sam siebie, kończąc trzecie piwo i trzecią setkę. – Wyjdę stąd i znajdę park z jeleniem, żeby nie spóźnić się wieczorem na spotkanie – postanowił.

Wychodząc, nie podszedł do znajomych pijaczków, by podzielić się z nimi dobrą wiadomością, choć patrzyli na niego natarczywie. Z pewnością ciekawiło ich, o czym rozmawiał z przystojnym, dobrze ubranym facetem. A może oni go znali? Nie chciał jednak słuchać ewentualnych plotek i złośliwości na jego temat, albo pod swoim adresem.

- Szkoda, że nie zapytałem, jak się nazywa. Ale nie szkodzi. Zapytam wieczorem i sam też się przedstawię – pocieszył się natychmiast.

Ruszył leniwie ulicą, dobrze trzymając pion. Wiedział, że ma dużo czasu, bo nie powinno być później niż koło czwartej. Szum w głowie był przyjemny, alkohol go jeszcze nie zamroczył.

- Znajdę jelenia i wrócę do „Mewy” coś przekąsić. Należy mi się - poczuł lekki głód i postanowił, że zje schabowego z kapustą, tak jak tamten.

Wiedział, że wszystkie ulice odchodzące od ulicy głównej idą ku morzu. Okazało się, że ulica 1 Maja, to pierwsza po lewej, zaraz na zakręcie, za którym znajdowało się centrum Mielna. Na rozwidleniu ulic stał dwupiętrowy dom z wieżyczką.

- Po części jest drewniany, po części murowany – stwierdził uspokojony Antoni, jakby to ten właśnie dom miał niedługo remontować.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i z ulgą wszedł w cień drzew rosnących wzdłuż 1 Maja. Podobała mu się ta ulica, biegnąca przez zadrzewiony teren, na którym, wśród zieleni, stały eleganckie wille. Nagle posmutniał. Pożałował, że nigdy nie przyszedł tu z Anną. Poczuł się też niepewnie, bo nagle zdał sobie sprawę z tego, że ma na sobie brudne, stare ubranie. Na szczęście przechodniów było niewielu i większość też miała na sobie robocze ubrania. Jakaś kobieta zamiatała ulicę. Minął urząd pocztowy, drewniany pałacyk z wysoką wieżą dostawioną, jak w kościele, do głównego budynku, a gdy minął wejście do parku, widać było morze i ładnie zagospodarowaną plażę zastawioną wiklinowymi koszami.

- Przyjemnie – pomyślał, stając przy wejściu na plażę. Morze i plaża, które znał, te na wysokości Mielenka, były dzikie i opustoszałe. Tu ludzie siedzieli w koszach, albo leżeli na piasku. Przy nich stały koszyczki, leżały poukładane ubrania. Dzieci biegały i pokrzykiwały. Budowały z piasku małe budowle i nosiły we wiaderkach morską wodę. Rodzice upominali je leniwie, nie wstając z koców i nie opuszczając plażowych koszów.

- My też będziemy niedługo leżeć na plaży – przyszła mu do głowy nieoczekiwana, ale miła sercu myśl – a nasze dziecko będzie bawić się w piasku. Nauczę je pływać.

Odwrócił się i wszedł do parku, który teraz znajdował się po jego prawej. Pomnik jelenia stał na środku, a głębiej bieląła muszla koncertowa, przed którą stały rzędy także białych ławek.

- Przeprowadzimy się do Mielna. Tu znajdę pracę i mieszkanie. Anna odchowuje dziecko i też pójdzie do pracy. Musimy uciec z Mielenka – postanowił z satysfakcją Antoni i ruszył w drogę powrotną. Znowu zmierzał prosto do „Mewy”.

Anna nie czekała na Antoniego. Nie chciała widzieć, jak pijany, ubrudzony i coś bełkoczący wali się na łóżko w kuchni i zasypia nieprzytomnym snem. Położyła się dość wcześnie w jedynym pokoju, który jako tako urządzili. Drugi miał być dla dziecka, ale dotąd Antek nim się nie zajął, a ona teraz już nie miała siły, by zrobić to sama. Pokój trzeba by wymalować, a przynajmniej wybielić. Wstawić łóżeczko, które dostali od Malinowskiej, sąsiadki gadatliwej i wścibskiej, ale pomocnej. Łóżeczko było brudne, bo stało od kilku lat u Malinowskich w stodole.

- Materacyk trzeba zrobić nowy – pomyślała Anna prawie zasypiając.

Było jej tak smutno, że wołałaby rano nie obudzić się, żeby nie widzieć sponiewieranego wódką męża, żeby nie zmuszać się do gotowania mu śniadania i obiadu, do pójścia po zakupy do Mielna, do udawania przed sobą i sąsiadami, że ich życie toczy się normalnie.

- Jutro napiszę do rodziców. Trudno, niech się dowiedzą – postanowiła, a ból w sercu stał się tak nieznośny, że senność nagle odeszła. Długo nasłuchiwała leżąc w ciemności, ale nie słyszała kroków Antoniego.

Rano obudziła się obolała, jakby ją ktoś w nocy obił. Ciężar w piersi pojawił się natychmiast, gdy tylko otworzyła oczy. Gdy wstała i zobaczyła, że łóżko w kuchni jest puste i nietknięte, poczuła ulgę i strach jednocześnie. Nie wiedziała, co robić, więc zrobiła to, co zawsze - napaliła pod kuchnią i postawiła na niej czajnik z wodą. Potem usiadła przy stole i czekała. W głowie miała pustkę. Kiedy woda zaczęła się gotować, odruchowo wzięła kubek, wlała wczorajszą esencję z imbryka, uzupełniła gorącą wodą i dołała trochę mleka. Piła bawarkę powoli i patrzyła tępo w kuchenne okno wychodzące na podwórze.

- Kury trzeba wypuścić, świnkę nakarmić – pomyślała. Wstała, wyszła na podwórze, otworzyła kurom małe drzwiczki. Wyskakiwały jedna po drugiej, rozglądały się i trzepały skrzydłami. Potem natychmiast zaczęły dziobać, więc nasypała im trochę ziarna i nałala wody do metalowej miski. Świnie podrzuciła resztki z wczorajszego obiadu wymieszane z sieczką. Kiedy wróciła do kuchni czuła się już trochę lepiej. Pustkę w głowie powoli wypełniały konkretne plany. Pójdzie, jakby nigdy nic, do Mielna po zakupy. Jeśli pijany Antoni będzie leżał w rowie,

zostawi go tam. Może zabierze w drodze powrotnej. Trudno, niech ludzie go zobaczą. Niech się wreszcie opamięta. Jeśli go nie znajdzie leżącego w rowie, wejdzie do „Mewy”, zanim zrobi zakupy w sklepie GS-u. W „Mewie” rano jest niewielu klientów, ale i tak wszyscy ją zobaczą i będą się dziwić. Kobiety rzadko wchodziły same do tej spelunki.

- Trudno – powiedziała do siebie Anna. – Niech ludzie gadają. I tak przecież widzą, że Antek pije na umór.

Postanowiła, że zwróci się najpierw do bufetowej z „Mewy”. Może ta zgodzi się poprosić klientów i innych pracowników baru. Sama nie chciała tego robić.

- Taki wstyd! – pomyślała i zaczerwieniła się. Zrobiło się jej słabo i musiała usiąść.

Ochłonęła po chwili, umyła się, ubrała starannie, wzięła siatkę na zakupy i wyszła, nie zamykając drzwi na klucz, żeby Antek mógł wejść, gdy wróci podczas jej nieobecności. Nikt ich nie okradnie. Nie ma z czego. Szła powoli i rozglądała się na boki. Bliżej Mielna, już za kościołem, przed którym przeżegnała się i zmówiła zdrowaśkę, minęło ją kilka osób. Nie zaczepiła ich. Przed sklepem, na końcu ulicy Kościelnej, stało i rozmawiało między sobą kilka kobiet. Ukłoniła się im nieśmiało i poszła dalej, wiedząc, że odprowadzą ją wzrokiem aż do drzwi baru. W „Mewie” było pusto. Bufetowa wycierała kufle lnianą ścierką o nieokreślonym kolorze.

- Dzień dobry – Anna podeszła do niej i oparła się o bufet. Była spocona i czuła ciężar swojego powiększonego ciała. Dziecko poruszyło się w niej gwałtownie.

- Dobry, dobry. Co podać? - bufetowa patrzyła na nią z mieszkanką litości i kpiny.

- Szukam mojego chłopca – powiedziała Anna, starając się, aby w jej głosie zabrzmiała złość silnej kobiety, która tylko wyjątkowo znalazła się w tej irytującej sytuacji.

- Chłopca powiadasz – barmanka nie dała się nabrać. – A co to za jeden? Znam go?

- Młody, wysoki blondyn. Był tu kilka razy. Ma na imię Antoni. Mieszkamy w Mielenku.

- Aaa, ten. Wysiaduje tu codziennie od dwóch tygodni. Wczoraj też był, ale wyszedł zanim skończyłam swoją zmianę. Nie wiem, czy potem jeszcze wrócił. Zwykle siedzi do wieczora i nie wylewa za kołnierz. A co, nie wrócił? - troska w głosie barmanki zdawała się szczerą.

-Nie wrócił – potwierdziła Anna.

Nie miała już siły udawać dzielnej rozzłoszczonej żony. Z trudem usiadła na krześle przy najbliższym stoliku. Barmanka postawiła przed nią butelkę czerwonej oranżady i pustą szklankę. Potem ujęła się pod boki i powiedziała zdecydowanym tonem:

– Dziewczyno! Napij się i wracaj do domu. Ten twój Antek pewnie z kimś polazł na melinę, nabuzował się i teraz gdzieś śpi. Jak wróci do domu, od razu wal go w łeb. Inaczej nic nie zrozumie. Chyba, że jest bijący. Biję cię?

- Nie, nie bije. To dobry chłopak. On tylko ostatnio za dużo pije, ale dotąd zawsze wracał.

Zdecydowanie barmanki i jej pewność, że Antek poszedł do kogoś na dalsze picie, zamartwiły Annę, ale też trochę uspokoiły.

- Nie będę dalej rozpytywać – pomyślała. – Zrobię zakupy i pójde do domu. Kiedy wróci, nie odezwę się więcej do niego. Niech wie, że jeśli nie przestanie pić, to z nami koniec, że pojedę do rodziców.

- Chyba ma pani rację. Poczekam na niego w domu i zmyję mu głowę – rzekła do bufetowej, wypila oranżadę i chciała zapłacić.

- Nie trzeba, nie trzeba. Idź do domu kobieto i martw się o siebie i o dziecko – poradziła bufetowa, machnęła ręką z rezygnacją i pokręciła głową, wyrażając w ten sposób swą niechęć do wszystkich mieleńskich pijaków i ich nieporadnych żon.

Antka w domu nadal nie było, ale Anna postanowiła nie wpadać w rozpacz. Udało jej się to przez noc i następny dzień. Potem było coraz gorzej. Wreszcie, całkowicie zgnębiona, poszła do Malinowskich. O wszystkim im powiedziała i wtedy zaczęło się. Trwało krótko. Malinowska sama odebrała poród. Chłopczyk był mały i bardzo słaby.

- Nie przeżyje do zimy – zawyrokowała sąsiadka, ale Annie było wszystko jedno.

Została z małym u Malinowskich jeszcze tydzień. Dziecko słabo ssało i kwiliło coraz ciszej. Malinowscy ochrzczili je z wody, a w najbliższą niedzielę zanieśli do kościoła. Anna z nimi nie poszła. Nie mogła wstać z łóżka, choć nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje.

- Jak mu chcesz dać? - dopytywali Malinowscy, a ona tylko wzruszyła ramionami. Kiedy wyszli, wybuchła płaczem, który nie przynosił ulgi.

- Daliśmy mu na chrzcie Adam – oświadczyli po powrocie. Adam umarł po trzech dniach. Na pogrzebie też nie była. Zamiast iść na cmentarz, poszła do domu i położyła się w sypialni.

- Dziewczyno, co ty robisz! Pozbieraj się! – krzyknęła przerażona Malinowska, gdy ją odnalazła po powrocie z pogrzebu. Usiadła obok Anny na łóżku i biadoliła.

- Boże, Boże! Co z tobą zrobić? Gdzie twoi rodzice? Wiedzą, co tu się dzieje?

Anna nie odpowiadała.

- Zbieraj się. Na razie zostaniesz u nas. Mój stary przyjdzie po wasze kury i świniaka, bo zdechną z głodu.

Anna nie reagowała.

Malinowska zgarnęła trochę jej rzeczy.

- Masz pieniądze? - zapytała, schylając się nad nią i potrząsając mocno. – Gdzie masz pieniądze? Trzeba opłacić chrzest i pogrzeb.

- W kuchni, w kredensie, w puszcze po herbacie - odpowiedziała wreszcie Anna, ale nie poruszyła się.

-Wstawaj! Idziemy! - Malinowska była zdecydowana i silna. Chwyciła Annę za ramię i szarpała tak długo, dopóki ta nie wstała.

Malinowscy dali jej łóżko w kuchni i zasłonili je zasłonką powieszoną na sznurku. Anna leżała na nim dwa tygodnie, a potem wstała i bez słowa robiła wszystko, co jej kazali Malinowscy - kopała kartofle, gotowała, doglądała inwentarza. Prawie się nie odzywała. Późną jesienią zaczęła codziennie po porannym obrzędzie wychodzić. Malinowscy dopiero po pewnym czasie dowiedzieli się, że chodzi do Mielna i wszystkich napotkanych ludzi pyta o zaginionego męża. Wkrótce znało ją całe Mielno i uważało za pomyloną. Użalano się nad nią i trochę wyśmiewano. Przechodziła u Malinowskich, ale wczesną wiosną spakowała rzeczy, pożegnała się i odeszła.

Bufetowa z „Mewy”, która od dawna nie mogła spokojnie patrzeć, jak Anna krąży po Mielnie, i która miała serdecznie dość nachodzenia jej przez ogłupiałą kobietę i wypytywania o męża, pewnego zimowego dnia zaprowadziła Annę do kierownika knajpy i załatwiła jej pracę w kuchni. Miała zacząć wiosną. Potem poszła z nią do pierwszego sekretarza partii Urzędu Gminy. Bez ogródek, w ostrym wywodzie, przedstawiła tragiczną sytuację młodej kobiety i wymusiła na gminie przydzielenie jej skromnego, ale samodzielnego pokoju w budynku przylegającym do tego, w którym znajdowała się „Mewa”. Kiedy Anna wczesną wiosną przeniosła się do Mielna i zaczęła pracę w charakterze pomocy kuchennej, otrzymała od kierownika lokalu kategoryczny zakaz wychodzenia na salę i wypytywania klientów o Antoniego. Poskutkowało. Przestała nie tylko męczyć bufetową, ale także włóczyć się po Mielnie i zaczepiać ludzi. Prawie w ogóle nie opuszczała „Mewy” i swojego pokoju. Nie spacerowała, nie robiła zakupów w mieleńskim sklepie, nie przychodziła na mszę do kościoła i nie odwiedzała przykościelnego cmentarza, na którym pochowano jej malutkiego synka.

7. Spotkanie. Niedziela, 7 września 52



- Czego szanowny pan sobie życzy? - zwrócił się do Tadeusza Wysockiego starszy z mężczyzn, stojących w drzwiach salonu domu Czarnej Janki.

Mężczyzna wypluł trzymaną w ustach zapalkę, odwracając głowę w stronę przedpokoju, żeby nie śmieć w salonie, a w jego głosie wyraźnie słychać było groźbę i lekceważenie.

- Mówiłem już pani, która mi otworzyła, że szukam brata – Tadeusz opanował drżenie głosu i podszedł bliżej.

- A co, braciszek raczył nas odwiedzić? - oni też zbliżyli się i Tadeusz poczuł woń alkoholu i papierosów. Wycofał się, ale oni poszli za nim, więc żeby zachować dystans, usiadł w skórzanym fotelu pod oknem.

- Panowie, nie wiem! Szukam brata. Wiem, że był w Mielnie. Pytałem już wszędzie i nic. Pomóżcie, może go widzieliście niedawno, albo wcześniej – starał się mówić spokojnie i bez nuty błagania w głosie.

Wyciągnął z kieszeni fotografię i próbował im pokazać. Spojrzeli po sobie z kpiną w oczach.

- Facet, spieprzaj stąd, bo ci mordę objemy, ale już, wynocha – podeszli do niego na wyciągnięcie ręki.

- Gienek, spokój – kobiecy mocny głos powstrzymał zapal osiłków.

– Zostańcie, ale bez awantur – powiedział ten sam głos, a mężczyźni gwałtownie odskoczyli od Tadeusza.

Czarnowłosa kobieta w sportowym stroju i wygodnych butach podeszła bliżej. Wyglądało na to, że wróciła z przechadzki.

Tadeusz, trzymając wciąż w dłoni fotografię Juliana, po raz trzeci powiedział:

- Szukam brata. Może go pani zna? To znaczy, nie to chciałem powiedzieć. Może go pani tu widziała, albo pani ludzie go widzieli?

- Kto pana przysłał? - zapytała ostro, nie patrząc na wysuniętą w jej kierunku fotografię.

- Nikt, od dawna wszędzie chodzę i wszystkich wypytuję. Wszędzie już byłem. Rodzice strasznie się martwią. Julian to młody chłopak. Różne głupie rzeczy przychodzą takim do głowy.

- Tu nie jest miejsce dla młokosów – powiedziała, ale wzięła fotografię, przyjrzała się uważnie i podała jednemu z mężczyzn, którzy nadal stali w pobliżu.

– Idź, popytaj na górze.

Mężczyzna wyszedł, a kobieta usiadła na sąsiednim fotelu. Drugi osiłek nadal tkwił przy drzwiach.

- Gdzie mieszkasz? Nie widziałam cię dotąd w Mielnie – zagadnęła, przechodząc na ty.

- Mieszkam w Koszalinie – grzecznie opowiedział. – Z rodzicami.

- Z rodzicami. Grzeczny chłopak. A wojsku byłeś?

- Nie byłem.

- Szczęściarz – powiedziała z uśmiechem i dodała:

– Chłopczyku, dobrze ci radzę. Nigdy więcej tu się nie pokazuj i twój braciszek też niech się trzyma od nas z daleka. Oczywiście jeśli się w końcu odnajdzie.

Tadeusza skinął grzecznie głową i zaraz potem ogarnął do wstyd. Wstydził się własnej słabości.

- Nikt go nie widział szefowo – mężczyzna zwany Gieniem wrócił i oddał zdjęcie Tadeuszowi.

- Tak myślałam, a więc żegnam – ostro powiedziała kobieta, wstając z fotela.

Nie podała ręki na pożegnanie. Tadeusz uklonił się, założył kapelusz, ostro spojrzał na osiłków, którzy już szykowali się, aby go wyprowadzić i wyszedł.

Odetchnął z ulgą świeżym powietrzem, ale nadal przenikał go strach i z trudem powstrzymywał drżenie rąk. Musiał się uspokoić. Poszedł w stronę Unieścia i skręcił w wąską piaszczystą drogę, prowadzącą nad morze między niskimi budynkami. Przeszedł nadmorski laszek i wspiął się na wydnię. Stały na niej drewniane szopy, a między nimi rozwieszono sieci rybackie z korkowymi spławikami. Tu i ówdzie leżały szklane kule do obciążania sieci oraz bojki. Na plaży zobaczył trzy łodzie. Resztę wciągnięto do szopy za pomocą skromnego wyciągu umieszczonego na końcu zardzewiałych szyn. Od strony Mielna brzegiem morza szło dwoje ludzi, para - kobieta i mężczyzna. Trzymali się za ręce. Patrzył na nich uporczywie, nie zdając sobie z tego sprawy, a kiedy znaleźli się na jego wysokości, zaczął zbiegać z wydmy. Zauważyli go i zatrzymali się. Musiał dziwnie wyglądać, bo kobieta zapytała natychmiast, gdy stanął przed nimi:

- Coś się stało?

Tadeusz pokręcił przecząco głową i patrzył na nich bez słowa. Po prostu nie wiedział, co powiedzieć.

- Czy coś się stało? Chyba nic – w głowie kołatały chaotyczne myśli. - Nie będę już dłużej poszukiwał Juliana. Nie chcę już powtarzać w kółko tej wymyślonej historii, w którą nikt chyba nie wierzy. Julian utonął. Juliana nie ma i nie będzie.

Poczuł się słabo. Zbladł i musiał oprzeć się o najbliższą łódź. Serce łomotało mu w piersi tak głośno, że tamtych dwoje musiało słyszeć. Nie odchodzili. Patrzyli na niego z niepokojem.

- Proszę pana, proszę pana – powtarzała kobieta – co panu jest? Jestem pielęgniarką. Mogę panu pomóc.

Mężczyzna stał obok niej, ale nie odzywał się.

- Nic, nic – wydusił Tadeusz. – Muszę chwilę odpocząć. Słabo się czuję, to nerwy.

- Poczekamy, aż poczuje się pan lepiej. Niech pan usiądzie na kłodzie – teraz mężczyzna zareagował.

Wskazał Tadeuszowi oszlifowany wodą i piaskiem pień, wyrzucony przez morze na brzeg. Pień był długi, więc wszyscy na nim usiedli. Tadeusz poczuł, że musi z kimś porozmawiać, wszystko z siebie wyrzucić. Nie znał tych ludzi, ale mieli spokojne i miłe twarze. Byli od niego trochę starsi. Spojrzał na nich uważnie, jakby chciał sprawdzić, czy może im się zwierzyć. Oboje odpowiedzieli spojrzeniem w oczy. Zaczął od początku. Nie przerywali mu pytaniami, ani komentarzami, a gdy skończył, milczeli dłuższą chwilę. Pierwsza odezwała się kobieta.

- Poznajmy się – powiedziała, jakby tego długiego monologu Tadeusza w ogóle nie było. - Ja nazywam się Marianna Kupryszak. Też mieszkam w Koszalinie. Do Mielnia przyjeżdżam czasami na niedziele, do mojego znajomego.

- Paweł Górski - przedstawił się mężczyzna.

- Tadeusz Wysocki – odpowiedział i uściśnęli sobie dłonie. – Przepraszam, że Państwu zajmuję czas swoimi sprawami.

- Nie szkodzi – teraz Marianna podała mu dłoń, którą Tadeusz pocałował.

– Wie pan – powiedziała kobieta z wahaniem. – To dziwne, ale ja też znam kogoś, kogo ktoś bliski nie wrócił z Mielna. To było kilka lat temu. Też w sierpniu. Dziwne. Ale pewnie to tylko zbieg okoliczności.

- Poczekaj – wtrącił się Paweł. – Pamiętasz tę nieszczęsną dziewczynę z „Mewy”, o której ci wspominałem. Ludzie do dziś opowiadają, że krążyła po Mielnie i wypytywała o męża, który zaginął pod koniec lata przed trzema, albo czterema laty. Teraz już się uspokoiła, ale było z nią naprawdę źle. Ona ciągle jeszcze pracuje w barze, a właściwie w kuchni.

- Tak, rzeczywiście, teraz sobie przypominam – zamyśliła się Marianna.

- Zdaje się, że jego ciała też nie znaleziono – dodała po chwili milczenia. – Podobnie jak ciała tej osoby, o której ja wspomniałam.

- Zawsze latem kilka osób tonie – zauważył Paweł. – Większość wyławiają od razu, innych znajdują się po kilku dniach, ale zdarza się, że znikają na zawsze.

- Znajomy Walerii, mojej przyjaciółki – stwierdziła Marianna - raczej nie kąpał się w morzu. On w ogóle nie pojechał do Mielna plażować. Szczerze mówiąc, był szabrownikiem. Przyjechał z kolegami z centralnej Polski, spod Warszawy, obłowić się. Naiwny jeszcze młody człowiek, który sądził, że łatwo odbije sobie ubogie wojenne lata. To było w sierpniu 47-go roku. Wybrał się pewnego dnia sam do Grossmöllen, bo tak jeszcze wtedy często nazywano Mielno, i już nie wrócił.

- Ten chłopak z Mielenka, mąż dziewczyny, która pracuje w „Mewie”, to też się w morzu podobno nigdy nie kąpał. To był chłopak ze wsi. Nie chodził na plażę i nie zażywał, mówiąc elegancko, morskich kąpiel – dopowiedział Paweł.

- Słuchajcie - Paweł Górski podjął szybką decyzję. - Musimy spokojnie porozmawiać. Chodźmy do mnie. Mieszkam przy ulicy Kościelnej, w pałacu na terenie pegeeru – wyjaśnił Tadeuszowi. - To dość daleko, ale przejdziemy się i uspokoiimy. Dobrze nam to wszystkim zrobi. Mam chleb, smalec, kiszzone ogórki. Sam zrobiłem! Zjemy, porozmawiamy, pomyślimy. Pojedziecie do Koszalina wieczorem, okazją. Sam tak często jeżdżę. Zawsze ktoś się zatrzymuje.

Tadeusz późno wrócił do mieszkania przy ulicy Dworcowej. Rodzice już spali, co mu bardzo odpowiadało, bo nie chciał im się z niczego tłumaczyć. Było już ciemno, kiedy Paweł wyszedł z Marianną i z nim na drogę wylotową z Mielna. Niewiele samochodów jechało w stronę Strzeżenic. Czekali prawie godzinę, aż wreszcie zatrzymał się motor z przyczepą. Mieli szczęście. To był Robert, znajomy Pawła. Zabrał ich, ale ostrzegał, że zmarzną, bo są nieodpowiednio ubrani. Miał oczywiście rację. Przewiało ich oboje, Tadeusza, siedzącego na siodelku za kierowcą i Mariannę, siedzącą w koszu. Gdy wreszcie dotarli do centrum Koszalina i zeszli z motoru, drżeli z zimna. Podziękowali, pochwalili oryginalność pojazdu, pożegnali się serdecznie z kierowcą i pośpiesznie odeszli w stronę Młyńskiej. Tadeusz odprowadził Mariannę i dopiero potem sam wrócił do domu. Zanim położył się do łóżka, stanął przy oknie w swoim pokoju i myślał o mijającej niedzieli.

Uznał, że to, co go spotkało było niesamowite. Najpierw udało mu się cudem wyjść cało od Czarnej Janki. Po niefortunnej wizycie stracił nadzieję, że można jeszcze coś zrobić w sprawie Juliana. I kiedy już porzucił myśl o poszukiwaniach, nieoczekiwanie spotkał tych dwoje. Znał ich zaledwie od kilku godzin, a ufał im jak najlepszym przyjaciołom. Podczas rozmowy w pokoju Pawła, nie było natręczego wypytywania. Każde z nich powiedziało o sobie tyle, ile chciało. Marianna opowiedziała o chorobie Walerii, o jej córeczce, którą teraz ona opiekowała się przy pomocy państwa Kozińskich, o swojej wakacyjnej pracy w Mielnie i o poznaniu Pawła. O tym, że przez jakiś czas unikali siebie nawzajem, lecz połączyła ich mała Zosia, córka Walerii, którą Marianna latem przywiozła na kilka dni do Mielna. Mała była bezpośrednia i wesoła. Zagadywała Pawła, ilekroć spotkali się w korytarzu czy na schodach. Powoli coś się zaczęło dziać między Pawłem a Marianną. Pod koniec lata spędzali już ze sobą wszystkie wolne chwile. Paweł przekonał Mariannę do Mielna, plaży, morza i słońca. Pomagał także opiekować się małą Zosią, gdy była u Marianny.

- To takie grzeczne i miłe dziecko. Nie trzeba się nią opiekować. Wystarczy z nią być – Paweł powstrzymał pochwały na swój temat.

O sobie prawie nic nie powiedział. Zaledwie kilka zdań:

- Mieszkam w Mielnie od kilku lat. Pracuję jako mechanik. Wcześniej pracowałem w Koszalinie.

Okazało się także w rozmowie, że zaginionym w sierpniu 47-tym roku młodym szabrownikiem był ojciec Zosi, Marian. Waleria też była wówczas bardzo młoda. Zakochali się w sobie, on pojechał do Mielna, obiecując, że wróci. Czekwała na niego, ale nigdy się już nie pojawił. Nie wiedziała, co robić. Nie szukała go. Nie знаła nawet jego nazwiska. Koledzy, z którymi przyjechał, szybko wyjechali z Koszalina. Z jego rodziny też się nikt w Koszalinie nie pojawił, przynajmniej Waleria nic o tym nie wiedziała. Została jej po nim tylko fotografia, którą zrobili podczas pierwszego i, jak się okazało, ostatniego ich wspólnego spaceru po Koszalinie. No i oczywiście Zosia, dla której Waleria ukończyła szkołę wieczorową i rzuciła sprzątanie w szpitalu. Dostała biurową pracę w koszalińskim browarze i małe mieszkanie w pobliżu.

Tadeusz raz jeszcze opowiedział nowym znajomym o zaginięciu Juliana. Zwierzył się także z kłopotów, w jakie popadła ostatnimi laty cała jego rodzina. Rozmawiali długo, podjadając chleb ze smalcem i kiszone ogórki. Zrobiło się późno. Postanowili przyjrzeć się bliżej poszczególnym przypadkom zniknięcia. Paweł obiecał, że spotka się z młodą kobietą, której mąż zaginął i spróbuje wyciągnąć od niej więcej informacji. Kobieta pracowała w „Mewie”, gdzie wstępował czasami na piwo. Marianna natomiast miała dokładnie wypytać Walerię o Mariana. Obiecała także, że zapyta ją o tę jedyną fotografię, którą zrobili sobie razem tuż przed wyjazdem Mariana do Mielna. Tadeuszowi natomiast poradzili oboje, Marianna i Paweł, żeby przez najbliższy tydzień odpoczął i uspokoił się. Postanowili spotkać się w przyszłą niedzielę, czyli 14-tego września.

8. On. Wrzesień 52



W myślach powracał nieustannie do przeszłości, ale z nikim nie mógł o niej porozmawiać. Stracił swoje naturalne środowisko z chwilą podpisania aktu kapitulacji. Na początku wierzył

jeszcze, że nie jest to klęska, ale jedynie cofnięcie się. Teraz nadzieja zgasła i pozostało jedynie podtrzymywanie w sobie samym zniszczonych przez motłoch ideałów. On starał się je nadal realizować. Teraz, gdy widział bolszewickie rządy na Wschodzie i gnijący liberalizm na Zachodzie, mocniej niż w młodości wierzył w konieczność zbudowania nowoczesnego państwa, w którym nowa arystokracja panować będzie nad masami helotów przyuczonych do niewolnictwa, pogodzonych z należną im niską pozycją społeczną i okazujących elicie bezwzględne posłuszeństwo. Niestety zabrakło czasu, aby świat zrozumiał, czym jest nowy porządek, prawdziwa wspólnota narodów, rządzona przez najlepszych z najlepszych.. Zabrakło czasu na dokonanie selekcji negatywnej, na radykalne usunięcie elementów mało wartościowych biologicznie i rasowo oraz na pozbycie się przeciwników politycznych.

Powiodła się natomiast selekcja pozytywna. On sam mógł przecież wejść do nowej arystokracji. Miał dobre pochodzenie. Pomimo spolszczenia się rodziny, z której pochodził, był Niemcem z pokolenia na pokolenie. Jego przodkowie przybyli do Galicji w ramach kolonizacji józefińskiej. Dostał się więc, pomimo niezgody rodziców, w 37-dmym roku do SS-Junkerschulen w Bad Tölz, gdzie poza młodością, dobrym zdrowiem i wyglądem, wymagano udokumentowania aryjskiego pochodzenia. Wtedy, na początku funkcjonowania tej najstarszej szkoły dla młodych dowódców Waffen-SS i SS-TV, przyjmowano do niej mężczyzn tylko do 23-ciego roku życia, więc miał ostatnią szansę. Nie wykorzystał jej należycie, a teraz chciał zniwelować porażkę z przeszłości, zrekompensować niezrealizowane marzenia. Mógł przecież po skończeniu kursów w Bad Tölz zrobić karierę tak samo, jak zrobili ją koledzy. Wielu z nich poległo w walce, innych osądziła bolszewicka i liberalna hołota. A byli to ludzie wyszkoleni w jednym z trzech Ordensburgów, zamków zakonnych narodowo-socjalistycznej arystokracji, w których odbywała się ostanía selekcja. On sam pragnął przejść tę najwyższą próbę charakteru i szlachetności w Vogelsang, w tamtejszym ogromnym kompleksie, wybudowanym w latach 30-tych na wzór zamków średniowiecznych, pięknie położonym na wzgórzu nad jeziorem Eifel. Niestety zawiódł siebie, a przede wszystkim tych, których podziwiał, a których niestety z własnej winy ostatecznie nigdy osobiście nie poznał, czyli Theodora Eicke i Rudolfa Hössa. A był blisko. Jako członek SS-Totenkopfverbände nie wytrzymał jednak najwyższej próby charakteru, bo poprosił o wycofanie go z praktyki w Dachau i przeniesienie do Wehrmachtu. Było to nie tylko karygodne tchórzostwo, ale także złamanie własnej kariery.

Teraz starał się nie myśleć o swoim tchórzostwie, o tym, że chciał przeżyć wojnę za wszelką cenę, że tuż przed kapitulacją Rzeszy zdezerterował i nie bronił do końca honoru niemieckiego

żołnierza, lecz, o zgrozo, na powrót stał się Polakiem. Żeby przełknąć gorycz osobistej porażki musiał wierzyć gorąco, że pozostał na bezprawnie zagrabionych pradawnych niemieckich ziemiach po to, aby się zemścić. Czuł się strażnikiem tych ziem, spadkobiercą i mścicielem pokonanych i wygnanych. Działając samotnie i w ukryciu, ciągle udoskonalał swój charakter, niszcząc w sobie każdy przejaw *den inneren Schweinehund*, wewnętrznego świntucha. Nauczył się łączyć harmonijne i pełne dobrych uczuć życie prywatne, z wykonywaniem - w skali takiej, na jaką mógł sobie pozwolić w zdeprawowanym otoczeniu – obowiązków nadrzędnych. Wykonywanie tych obowiązków spadło teraz na niego, samotnego arystokratę ducha. Ponieważ działał sam, nie liczył na osiągnięcie wielkiego celu, który wyznaczył narodowi Führer, ale mówił sobie, że ratuje to, co w człowieku najlepsze. Budował szacunek do siebie samego i mógł wreszcie zapomnieć o osobistej klęsce, za którą uważał okazaną w młodości słabość charakteru. Miał wtedy szansę stać się człowiekiem doskonałym, panem życia i śmierci, i z niej nie skorzystał. Na szczęście teraz nauczył się już konsekwentnie zwalczać w sobie wszelkie niedoskonałości. Nałożone na siebie, przez siebie samego obowiązki, wykonywał racjonalnie, spokojnie i fachowo. Działał tak, jak wcześniej działali jego szlachetni koledzy z Ordensburgów i tak jak oni stał się fachowcem od śmierci. Niestety, działał w pojedynkę, więc nie mógł być fachowcem od śmierci w skali masowej. Ale tak jak oni działał beznamietnie i na zimno, według planu uwzględniającego wszystkie szczegóły, nie czując nienawiści, bo przecież nie nienawidzi się niszczonego insekta.

Słyszał po wojnie opowiadania podludzi, którzy uniknęli swego przeznaczenia. Był w tych opowiadaniach strach i podziw. Wspominał często opowieść jednego z nich o krzątających się na obozowej rampie SS-mnach. Wydawali spokojnie krótkie i wyraźne komendy, bez krzyków i nadmiernego pośpiechu. Uderzali pałąk precyzyjnie i celowo. Mówiono, że przypominali surowych, ale sprawiedliwych wychowawców, z łatwością i wprawą panujących nad nieznającym porządku kłębiącym się motłochem. Chciał być taki jak oni i czuł, że proces doskonalenia postępuje. Nie znośił wszelkich niedoskonałości, a nawet nieumyślnie popełnionych błędów. Najbardziej tych popełnianych przez Niemców. Nie mógł na przykład spokojnie patrzeć na błąd w napisie wyrytym na kamieniu, który umieszczono na grobie dawnego niemieckiego mieszkańca Grossmöllen. Wyryto „Hier ruht in frieden Otto Sturm, 26. 6. 1887, 4. 4. 1941, Was Gott tut, us ist wohlgetan”. Brak litery „n” w słowie „uns” był irytujący, choć był tylko przeoczeniem i treść napisu pozostawała zrozumiała. Zgadzał się z nią w pełni - „to, co robi Bóg, jest dla nas dobre”. Zgadzał się z nią, bo sam nareszcie poczuł się bogiem, a bogowie tolerują tylko doskonałość. Także we swoich własnych działaniach. Jemu

niestety zdarzały się jeszcze błędy, bo niekiedy emocje brały górę nad jasnym myśleniem, bezwzględnością i profesjonalizmem.

- Niepotrzebnie zająłem się tą dziewczyną – pomyślał, gdy w piękny wrześniowy dzień 1952-giego roku, znów przypomniało mu się wydarzenie sprzed dwóch lat. - Zrobił się z tego niepotrzebny hałas. Wypadłem z roli. Popełniłem kilka błędów i musiałem za to zapłacić.

Ceną najniższą było czekanie, aż sprawa przycichnie. Wysoką cenę musiał natomiast zapłacić, walcząc z wciąż powracającymi i upokarzającymi wspomnieniami. Powracały do niego myśli o fizycznym wysiłku, pośpiechu i przelanyim pocie, ale najgorsze było wspomnienie strachu, który wtedy poczuł. Znów nienawidził siebie za ten strach. Uwłączał on jego godności, poniżał go, bo stawiał na równi z tymi, o których życiu i śmierci decydował.

Jednak wtedy, w 50-tym roku, nie mógł znieść bezczelności panoszącego się komunistycznego robactwa i stracił nad sobą panowanie. W marcu świętowano piątą rocznicę wyzwolenia Koszalina. Ten debil, ojciec dziewczyny, urządził huczne prywatne przyjęcie w swoim eleganckim mieszkaniu, jakby mu nie wystarczały oficjalne obchody. Zaprosił „radzieckich przyjaciół” i kilku prominentów z ratusza, w którym pracował na wysokim stanowisku. On też znał ich wszystkich. Dostarczał im na różne okazje dziczyznę odpowiednio skruszałą i zapiekowaną. Miał wtedy w Koszalinie, wśród urzędników i partyjniaków, wyrobioną markę. Wiedział o nich dużo. Ojciec dziewczyny – ta, którą się potem zajął, miała na imię Ewa – chwalił się po przyjęciu, jak bardzo towarzyszom smakowała pieczeń z dzika. Opowiadał, że byli zachwyceni wierszykami wygłoszonymi po rosyjsku przez młodszą latorośl i że z równym zachwytem słuchali rosyjskich piosenek wykonywanych przez tę starszą, Ewę, która bawiła gości śpiewem i grą na fortepianie. Entuzjazm opowiadającego partyjniaka wyprowadził go z równowagi. Musiał go ukarać za wszystkich, którzy służyli sowietom, za tych, którzy do ruskich łaskili się jak psy, a wobec innych stawali się panami i władcami, za tych którzy Niemców nazywali szkopami. To oni pozajmowali najlepsze i największe mieszkania w Koszalinie, z łazienkami i centralnym ogrzewaniem. Mieli salony i ogrody. Ich dzieci piły czekoladę w cukierni przy Laskonogiego i bawiły się na potańcówkach przy zakazanej amerykańskiej muzyce. Musiał dać tym służalcem nauczkę, musiał pokazać, że są nikim, że on może zamienić ich życie w koszmar.

Dziewczynę zgarnął, gdy w sierpniu tego samego roku na pustawej plaży między Mielnem a Mielenkiem świętowała z innymi gówniarzami koniec wakacji. Poczekał na nią na wydmach,

gdzie wypróżniali się jak zwierzęta. Była tylko w kostiumie plażowym. Podeszedł ją od tyłu, lekko ogłuszył i zaciągnął do lasu. Tam miał już przygotowany knebel i sznur do wiązania oraz podkładki pod sznur i knebel, żeby nie zrobić wyraźnych siniaków na jej ciele. Potem zarzucił ją sobie na ramię i zanim podpite towarzystwo zorientowało się, że nie wróciła i zaczęło jej szukać, zatarł ślady na piasku i przeniósł do bunkra. Nie musiał nieść jej daleko, bo wybrał bunkier znajdujący się blisko drogi prowadzącej do ulicy Kościelnej, ale i tak zmęczył się i zgrzał, idąc dla bezpieczeństwa na przełaj, przez wzniesienia, a raczej wały usypane między morzem a pasem ochronnym przez Niemców jeszcze przed wojną. Wrzucił dziewczynę do bunkra przez jeden z okiennych otworów i sam się przez niego prześliznął do wilgotnego, ciemnego wnętrza, gdzie jeszcze czuło się zapach wojny, zapach utleniającego się metalu i smarów. Przerazenie, które zobaczył wtedy w jej oczach sprawiało mu nieopisaną przyjemność. Nie tę seksualną. Nie dotykał takich nędznych gnid. Po prostu władza nad nędznymi gnidami zawsze sprawiała, że czuł się kimś, kto zajmuje należne mu miejsce, miejsce pana. Zostawił ją w bunkrze do nocy, przykrywając świeżymi sosnowymi gałęziami, które zgromadził tam wcześniej. Do bunkrów – bunkry były dwa, połączone ziemnym wałem - na ogół nikt nie zaglądał. W większym, leżącym bardziej na zachód, przetrzymywał w 1947-mym roku młokosa, którego przyłapał tam śpiącego. Wykorzystał sposobność i nie żałował, bo właśnie wtedy zrozumiał, że może się spełnić to, czego zawsze pragnął, może odzyskać do siebie szacunek, stając się panem ludzkiej mierzwy. Właśnie po tamtym zdarzeniu w 47-mym zaczął przygotowywać zaplecze dla swej dalszej działalności. Oczywiście nie sam. Miał dobre znajomości i umiał z nich korzystać.

Sprawa z dziewczyną była jednak wyjątkowa. Dziewczyna nie była przeznaczona do pracy i odpowiedniego wychowania. Nie chciał jej trzymać tak, jak innych, czekając aż sama umrze; musiała umrzeć od razu. Działał według innego niż zwykle scenariusza, więc pojawiły się niedogodności. Po pierwsze, już następnego dnia zjechała do Mielna cała koszalińska milicja. Uruchomiono też wojsko z Unieścia i zaczęły się szeroko zakrojone poszukiwania. Spodziewał się poszukiwań, ale nie przewidział, że będą tak intensywne i rozległe. Zaczął żałować, że nie utopił dziewczyny w morzu, zaraz po jej ogłuszeniu, choć zdawał sobie sprawę z tego, że byłoby to ryzykowne. Towarzystwo, bawiące się na plaży, mogło go łatwo zauważyć, gdyby szedł plażą. Droga przez las, daleko w stronę Mielenka, też nie byłaby bezpieczna.

Zanim ruszyły poszukiwania, jeszcze w nocy, przeniósł dziewczynę z bunkra do swojego „obozu”, i to właśnie był największy błąd. Nie dość, że znów się zmęczył, to natychmiast zdał

sobie sprawę z tego, że sam sobie utrudnił robotę. Ze złości utopił dziewczynę w wannie z morską wodą, w której trzymał niekiedy zakupione od rybaków dorsze i węgorze. Prawie się nie broniła. Była już porządnie zmęczona i przestraszona. Żałował, że tak łatwo się poddała, bo okiełznanie jej przyniosłoby mu ulgę. Zostawił ciało w wannie i, żeby się nareszcie odprężyć, poszedł zabawić się do Czarnej Janki. I to był następny błąd. Kiedy wrócił nad ranem, był jeszcze bardziej zmęczony i poirytowany. Uświadomił sobie bowiem, że jak najprędzej musi przetransportować zwłoki z powrotem nad morze, aby upozorować utonięcie i tym samym wyeliminować poszukiwania. Pojawiła się wtedy druga nieprzewidywana wcześniej niedogodność, a mianowicie strach, którego do dziś się wstydził. Udało się wprawdzie przetransportować ciało i wrzucić do morza, nie będąc przez nikogo zauważonym, ale przemyskając, ogarnięty strachem, ustronną mieleńską uliczką, czuł upokorzenie.

Ciało odnaleziono jeszcze tego samego dnia. Było dużo krzyku i gadania, ale w końcu uznano, że dziewczyna utonęła. A że w jej ciele wykryto alkohol, a jej kompani pochodzili z wysoko postawionych partyjnych i urzędniczych rodzin, sprawę wyciszono. Żałował, że tak nieprzyjemnie i mocno przeżył to wydarzenie. Nienawidził siebie za słabość i błędy, które popełnił, za niepotrzebny wysiłek fizyczny, pot i zmęczenie, które odebrały wydarzeniu walor estetyczny.

- To nie było eleganckie. To nie dla mnie – stwierdził wtedy i chciał jak najszybciej zapomnieć o przykrym incydencie. Obiecał sobie, że wybierając następne egzemplarze, nigdy już nie będzie kierował się emocjami.

Najbardziej lubił młodych, wysokich i szczupłych chłopców o jasnych włosach. Nie dlatego, że czuł do nich fizyczny pociąg. Uważał ich jednak za niegodnych reprezentantów aryjskiej rasy, za zdrajców szlachetnych idei i tym samym odszczepieńców zasługujących na śmierć. Uśmiechnął się na myśl o pierwszym przypadku, o wyelegantowanym młodzieńcu, którego przyuważał, jak przeszukuje mieleński pałac i park, a potem przyłapał śpiącego w bunkrze. Chłopak poddał się bez protestu.

- Chyba pomyślał, że jestem z milicji, miałem przy sobie broń. Ach ci młodzi! Nieostrożni i pewni siebie. Przeżyli wojnę i myśleli, że teraz będą łąpczywie żyć.

Poza tym pierwszym młokosem w oficerkach z 47-go, zlikwidował jeszcze trzech zdrajców, bo dziewczyny nie liczył. W 48-mym dał nauczkę jakiemuś nierozgarniętemu śmierzdelowi,

w 49-tym sam wpadł mu w ręce krzepki młody chłop z Mielenka, a rok temu, pijany zapity żołnierz.

- Z elegancika w 47-mym i tak nie miałbym pożytku – pocieszał się, przypominając sobie krótki żywot pierwszego jeńca. - Właściwie to miał szczęście, że zdechł tak szybko. Nie mógłbym go należycie wychować w mojej kryjówce, bo zima z 47-mego na 48-my była długa i ostra. Szczeniak by jej nie przetrwał. Nawet Bałtyk zamarzł.

Ze śmierdzielem, chłopem z Mielenka i żołnierzem sprawy poszły po jego myśli. Gdy ich zgarniał, byli pijani, a gdy się ocknęli, było za późno. Nie mieli wyjścia. Musieli się poddać. Żona chłopca, głupia wiejska dziewczucha, trochę go zirytowała, bo biegała długi czas po Mielenie jak szalona i rozpytywała o męża. Byłby ją w końcu załatwił, ale uspokoiła się i teraz siedziała cicho. Niegroźny przypadek.

Średnio jego więźniowie żyli kilka miesięcy. Jeśli przetrwali zimę, to i tak umierali wiosną, gdy ich już nie potrzebował. Na ogół byli już wówczas pogodzeni ze swym losem, więc cel został osiągnięty. Bali się go i byli posłuszni, a on coraz bardziej brzydził się nimi, wychudzionymi, obdartymi i cuchnącymi podludźmi. Teraz miał u siebie ładnego, silnego blondyna. Liczył na długą walkę, ale ten niespodziewanie szybko się poddał. Nie to co jego poprzednik, żołnierz, którego wyhaczył kompletnie pijanego w pewną sierpniową noc rok temu. Żołnierz długo się awanturował i stawiał. Dostawał więc systematycznie lekcje posłuszeństwa. A on lubił wytrwale temperować swoich więźniów. Ostatecznie wszyscy się poddawali. Uświadamiali sobie prędzej lub później, że nikt im nie pomoże i że ich los zależy tylko od niego, że tylko on jest panem ich życia i śmierci, a śmierci chcieli uniknąć za wszelką cenę.

Rozdział drugi



1. Ekipa. Niedziela, 14 września 52



- Zaczynamy od zera – zaczął spotkanie Paweł w naturalny sposób przejmując dowodzenie ich trzyosobową ekipą.

Była wrześnieowa, słoneczna i ciepła niedziela przed południem. Tadeusz wszedł do pokoju Pawła przed chwilą. Marianna już tam była.

– Nie wiemy, czy dwa wcześniejsze zaginięcia można łączyć ze zniknięciem Juliana. Od pierwszego zaginięcia, o którym wiemy, minęło pięć lat. Nie znamy nawet nazwiska zaginionego, a jedynie jego imię, Marian. Mamy natomiast jego fotografię. Marianna znalazła u Walerii. Dowiedziała się też od niej, jak Marian był ubrany jadąc do Mielna, jaki kolor miały jego oczy, włosy, buty, jak mówił i tak dalej, bo na fotografii tego nie zobaczymy.

Podawali sobie fotografię z ręki do ręki i każde z nich patrzyło na nią uważnie i długo, jakby mogła wyjawiać jakąś tajemnicę. Na fotografii młodzieńca Waleria stała obok przystojnego młodzieńca, trzymając go pod ręką. Oboje uśmiechali się niepewnie.

- Marian był szczupłym blondynem – relacjonowała Marianna - wzrost około metra siedemdziesiąt pięć. Miał osiemnaście albo dziewiętnaście lat, ale wyglądał na więcej. Porządnie ubrany, co widać na zdjęciu. W tym samym ubraniu pojechał do Mielna. Beżowa koszula, brązowe spodnie pumpy i czarne oficerki. Takie buty nie giną, a przynajmniej wtedy nie powinny były zginąć, bo porządne buty były na wagę złota. Na ramiona miał zarzucony sweter wydziergany na drutach, w paski jasno i ciemnobrązowe. Tego swetra nie ma na zdjęciu, ale Waleria zapamiętała, że wychodząc zawsze tak go zarzucał. Mówił, że przyjechali – on i jego trzech starszych kolegów - spod Warszawy. Ona była wtedy przekonana, że wszyscy oni brali udział w Powstaniu Warszawskim, ale pewności co do tego teraz już nie ma. Koledzy pośpiesznie i bez słowa wyjechali, gdy Marian nie wrócił w umówionym terminie. Z tego co wiem, to nawet nie próbowali go szukać.

- Nie sądzę, żeby w 1947-mym roku chłopcy z Armii Krajowej wyruszyli na szaber. Nie wierzę też, że mogliby zostawić kolegę na pastwę losu. Ale teraz to już nic nie jest pewne – skwitował Paweł ostatnią informację i zaczął swoją relację.

- Ja rozmawiałem z żoną zaginionego chłopaka z Mielenka. Ona ma na imię Anna. On to Antoni, Antoni Czupa. Przyjechali na Zachód z południowej Polski jako młode małżeństwo w ramach wysiedleń ludności ruskiej i ukraińskiej. Anna jest Polką. To Antoni był Rusinem czy Łemkiem. Zamieszkali w Mielenku rok przed jego zaginięciem i próbowali prowadzić dorosłe życie, ale nie bardzo im się to udawało. Ona zaszła w ciążę, on zaczął pić. Pewnego dnia, w połowie sierpnia 1949-tego roku, poszedł do Mielna, do „Mewy”, gdzie od pewnego czasu

wysiadywał, i już nie wrócił. Nikt niczego nie widział, nikt niczego nie wie. Milicja uznała, że upił się i prawdopodobnie utonął w morzu. Anna twierdzi jednak, że Antoni nigdy nie wchodził do morza. Zresztą prawie nigdy nad morze nie chodzili. Z Mielenka było mu za daleko, a do Mielna wybierał się tylko po to, żeby pić wódkę i piwo w „Mewie”. Zaczęło się to jego pijaństwo jakoś tak wiosną, a nasiliło po żniwach, bo wtedy zarobił trochę więcej pieniędzy. To był młody mężczyzna. Nie miał dwudziestu pięciu lat. Dość wysoki i szczupły, jasny opalony blondyn. Ubierał się byle jak. Łaził do „Mewy” w tym samym ubraniu, w którym pracował. Jakaś stara szara koszula, brudne spodnie i zniszczona czapka z daszkiem na głowie. Tuż po jego zniknięciu Anna urodziła synka. Synek był słaby i wkrótce umarł, a ona przeniosła się do Mielna. Po tych przeżyciach Anna jest trochę dziwna. Niepewna, jakby skulona i bardzo smutna. Trudno się z nią rozmawia. Wszystko trzeba z niej wyciągać siłą. Ale dostałem od niej ich ślubną fotografię. Jest już trochę zniszczona i dość niewyraźna, ale dobrze widać na niej twarz Antoniego. Jest tu młodszy o dwa lata niż w roku zaginięcia i jeszcze bardzo zadbany

Druga fotografia też zaczęła krążyć, zanim trafiła na stół, położona obok pierwszej.

- To ja powiem o Julianie – z trudem wydusił z siebie Tadeusz.

- Julian też jest bardzo młody. Ma zaledwie dziewiętnaście lat. Także był wysoki, szczupły, wysportowany i jasnowłosy.

-Boże! - wykrzyknął nagle – to się układa w jakąś koszmarną całość. Wszyscy zaginieni to młodzi i ładni chłopcy! Wszyscy trzej zaginęli w miesiącu sierpniu!

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków i staraj się opanować – cicho powiedział Paweł.

- Masz rację. Jeśli chcę coś zdziałać z waszą pomocą, to muszę się uspokoić i myśleć na zimno. No więc Julian pojechał siedemnastego sierpnia tego roku - to była niedziela - do Mielna. Już wam mówiłem, że wszyscy wtedy byliśmy po przejściach i mało się w domu rozmawiało. Ubrał się w krótkie spodenki i sandały. Białą koszulę z krótkim rękawem włożył na bawełniany podkoszulek. Zawsze nosił ze sobą wojskowy brezentowy plecak – taki nieduży, prostokątny. Przeważnie miał w nim książkę, ale nie wiem, czy i jaką mógł mieć tym razem, bo często wymieniał się książkami z kolegami. Ostatnio chyba czytał poezję. Sądzę, że lubił poezję awangardową i buntowniczą, jak to młody chłopak. Mogę się dowiedzieć, czyj tom mógł czytać tuż przed zaginięciem. Znam jego najbliższych kolegów.

- Tak, dowiedz się. Każdy szczegół jest ważny – zauważył Paweł i zapytał. - Co jeszcze miał w plecaku?

- Nie wiem. Aaa, mama mówiła, że brakuje jednego ręcznika, więc Julian mógł go zabrać. To lniany ręcznik, biały z niebieskimi paskami na brzegach, trochę już sprany i podniszczony. Mama nie pozwalała brać na plażę porządnych ręczników. A to fotografia Juliana.

Na stole leżały teraz trzy fotografie. Z każdej z nich uśmiechał się do nich młody chłopak.

- Coś mi mówi, że Tadeusz ma rację – stwierdziła Marianna, patrząc na fotografie ponurym wzrokiem. – Przecież to nie może być przypadek. Oni wyglądają prawie tak samo!

Spojrzeni po sobie i już wiedzieli, że trzeba zacząć działać.

- Musimy przyjąć jakiś *modus operandi* – powiedział Paweł i zaczął spacerować po pokoju, a pozostała dwójka wodziła za nim wzrokiem.

- Jak zaczniemy wszyscy troje intensywnie wypytywać ludzi i pokazywać fotografie, to nie dość, że niewiele się dowiemy, to jeszcze prawdopodobnie bardzo szybko ktoś się nami zainteresuje, a tego byśmy nie chcieli. Ja na pewno nie – Paweł zatrzymał się przed stołem i znów patrzył na fotografie.

- To co zrobimy? - Marianna była zaniepokojona. - Co ja na przykład mogę zrobić? - dopytywała. - Przecież pracuję i zajmuję się Zosią. Tadeusz też pracuje. Oboje mieszkamy w Koszalinie. Mogę przyjeżdżać do Mielna tylko od czasu do czasu i na krótko. Chyba, że uda mi się jakoś inaczej ułożyć dyżury.

- Ja mam całkowicie wolne tylko niedziele. Dość często kończę pracę wczesnym popołudniem. Ale jak dostać się do Mielna dwa, trzy razy w tygodniu nie budząc podejrzeń? Ktoś to w końcu zauważy. Poinformuje kogo trzeba – Tadeuszowi udzielił się niepokój Marianny.

- Dajcie mi jeden dzień – powiedział po dłuższym namyśle Paweł – coś wymyślę, choć jeszcze nie wiem co. Możecie przyjechać we wtorek po południu. Mańka, uda ci się?

- Tak, załatwię sobie wolne popołudnie. Sprawdzę też, czy mogę ułożyć dyżury tak, aby mieć dwa dni w tygodniu wolne – odrzekła Marianna i trochę się uspokoiła.

- Ale pamiętaj, że musisz też spać – zaśmiał się Paweł. – A ty, Tadeuszu, możesz przyjechać we wtorek?

- Tak, mogę. Na pewno przyjadę – powiedział przeciągle Tadeusz, bo już intensywnie myślał, co może zrobić, żeby spędzać w Mielnie jak najwięcej czasu i nie zwracać na siebie uwagi.

- Świetnie! – krzyknął dziarsko Paweł, bo odzyskał energię, która z niego niedawno uszła. – Tylko nie pokazujcie się za często razem, bo zaraz będą plotki, że ty, Tadeuszu, podrywasz Mańkę. Mielno jest małe. Plotki szybko się rozchodzą. Chyba trzeba będzie ci znaleźć w Mielnie jakąś piękność. Najlepiej by było, gdyby to był ktoś, kto mógłby do nas dołączyć. Moglibyśmy uchodzić za dwie przyjaźniące się i dobrze bawiące pary. Ludzie to łykną.

- To jest świetny pomysł – podchwyciła Marianna.

Tadeusz nie był zachwycony, ale musiał się zgodzić, że taka maskarada byłaby wygodna dla wszystkich.

- Słuchajcie panowie – powiedziała wolno i z namysłem Marianna. – Najlepszą kandydatką na niby narzeczoną dla Tadeusza byłaby Anna.

2. Plan. Wtorek, 16 września 52



Paweł Górski zdawał sobie sprawę z tego, że w planie działania ich małej ekipy trzeba uwzględnić środki ostrożności. Nie mogą dać się poznać jako grupa poszukiwawcza, nie mogą

rozpytywać jawnie ludzi z Mielna i okolic. Podstawowy problem polegał więc na tym, aby pogodzić skuteczność z maksymalną dyskrecją.

- Potrzebujemy przede wszystkim nowych informacji – powiedział, kiedy spotkali się we wtorek po południu. – A jak zdobyć informacje nie rozmawiając z ludźmi? Jest tylko jeden sposób, obserwacja! Musimy zaplanować możliwie systematyczną obserwację wybranych miejsc i wybranych osób. Kilka miejsc można wyznaczyć od razu, bo same się narzucają, a osoby wytypujemy później, wyciągając wnioski z obserwacji. Musimy rozdzielić między siebie zadania, wymieniać zdobyte informacje i wspólnie ustalać, co robić dalej. Samowolne działania są zbyt niebezpieczne. Zawsze musimy wiedzieć, co, gdzie i kiedy każde z nas robi.

- Zgoda. Ale jak prowadzić obserwację, nie rzucając się w oczy? To niemożliwe! Ktoś nas namierzy i dopiero wpadniemy w niezłe kłopoty! - niecierpliwił się Tadeusz, podczas gdy Marianna wydawała się całkowicie spokojna.

- Słuchajcie, mam niespodziankę – Paweł puścił mimo uszu uwagi Tadeusza i uśmiechnął się szeroko.

- Znów rozmawiałem z Anną. Nie mówiłem jej o nas wszystkiego. Nie powiedziałem też oczywiście, że ma zostać narzeczoną Tadeusza – roześmiał się głośno, widząc krzywą minę młodego kolegi. - To bardzo ładna dziewczyna. Zobaczysz, będziesz mi jeszcze dziękować, że was ze sobą poznałem – dodał, śmiejąc się nadal.

- Mówmy poważnie – uciął wywody Pawła Tadeusz, mocno poirytowany jego żartobliwym tonem. – Co jej powiedziałaś?

- Powtórzyłem to, co już wiedziała po pierwszej naszej rozmowie. O Marianie i Julianie. Powiedziałem też, że jest nas troje i że będziemy ich szukać na własną rękę. Spytałem, czy chce nam pomagać, bo jest szansa na to, że dowie się, co się stało z jej mężem. Odpowiedziała, że chce. Mówiłem wam, że z nią jest pewien kłopot. Ta dziewczyna jest bardzo przestraszona, nerwowa, zamknięta w sobie i nieśmiała. Trzeba by do niej jakoś dotrzeć. Powinna nas poznać, zaufać nam, poczuć się pewniej. Nie zaprosiłem jej na dzisiejsze spotkanie, bo nie chciałem jej jeszcze bardziej wystraszyć. Prawdę mówiąc, to nie wiem, jak jej można pomóc. Ale trzeba to zrobić. W takim stanie, w jakim jest teraz, niewiele zdziała.

- Ja się nią zajmę – stwierdziła Marianna, podniosła głowę, spojrzała na Pawła i dodała:

– Ale musisz ją namówić na spotkanie ze mną. Najlepiej, gdyby przyjechała do mnie do Koszalina. Sama. Nawet jutro, jeśli załatwi sobie wolne. Mogłaby zostać na noc, żebyśmy mogły spokojnie porozmawiać. Wystarczy, że zatelefonujesz jutro do mnie do sanatorium. Pracuję do piątej. Powiedz jej, że będę na nią czekać na przystanku autobusowym w Koszalinie.

- Dobrze. To świetny pomysł. Pójdę jeszcze dziś wieczorem na piwo do „Mewy”. Wiem, że ma dziś zmianę.

- Co z obserwacją?! Jak my to będziemy robić?! – wykrzyknął wzburzony Tadeusz, nie chcąc już słuchać wywodów na temat Anny.

- Pierwsze miejsce mamy obstawione – spokojnie odpowiedział Paweł. - Anna bez przeszkód mogłaby zbierać informacje w „Mewie”. Muszę ją tytko trochę przeszkolić, żeby wiedziała na co zwracać uwagę.

- To nas też musisz przeszkolić! – stwierdził Tadeusz złośliwie.

- Tadeuszu, nie irytuj się – poprosiła Marianna. – Poczekaj chwilę. Zaraz ustalimy, co kto robi i jak.

- Przepraszam. Obawiam się, że trudno mi będzie zachować spokój. Denerwuję się. Boję się tego naszego prywatnego śledztwa i nie za bardzo wiem, co robić. A te docinki z narzeczoną wyprowadzają mnie z równowagi – spokojniejszy tonem rzekł Tadeusz, ale spojrzał na Pawła ze wściekłością w oczach.

- Panowie, przestańcie. Przejdźmy do rzeczy. Po pierwsze ustalmy, które miejsca trzeba obserwować – Marianna przywołała kolegów do porządku.

- „Mewa” jest obsadzona. No to proponuję dom Czarnej Janki i przystanek autobusowy w centrum – powiedział Tadeusz, chcąc zatrzeć złe wrażenie wywołane niepotrzebną złością.

- Tak. Zgoda. Dodajmy jeszcze ulicę Kościelną, okolice kościoła i cmentarza. A mając oko na Czarną Jankę, można obserwować też przystań nad jeziorem – zgodził się Paweł, jakby przyjmując w ten sposób życzliwie niewypowiedziane przeprosiny Tadeusza.

– Mam też trochę ryzykowny pomysł – dodał po chwili milczenia. - Ryzykowny, bo musiałbym bliżej zapoznać się i często plotkować z pewną narowistą panią, która chce mnie spiknąć ze

swoją równie energiczną córką. To się jednak może opłacić, bo pani Nowak zawsze jest na posterunku w centrum Mielna i bardzo się wszystkim interesuje. Tylko nie wiem, czy uda mi się wykręcić od małżeństwa z jej córką - zaśmiał się głośno – bo to nie będzie łatwe.

Roześmiali się wszyscy i napięcie całkowicie zniknęło.

- To my niewiele mamy do roboty, bo Anna i Nowakowa całkowicie wystarczą – zaśmiała się Marianna, bo ucieszyła się, że niebezpieczeństwo sporu między mężczyznami zostało zażegnane.

- Niestety, nie wystarczą – stwierdził Paweł poważnym tonem. – My musimy zająć się domem Czarnej Janki i ulicą Kościelną. Pozostają jeszcze łąki nadjamneńskie, te po zachodniej stronie jeziora. Niewiele się tam dzieje. Jest wysypisko śmieci i mała hodowla lisów. Po wałach czasami chodzą spacerowicze. Najczęściej jednak są to wędkarze, którzy zmierzają do ujścia rzeczki Strzeżenicy i wystają tam godzinami. Ale oni gapią się na splawiki, więc niewiele więcej widzą.

- Ja mogę spacerować po Kościelnej i plotkować z kobietami pod sklepem geesu – odezwała się Marianna żartobliwym tonem. - Oczywiście w dniach wolnych od pracy. Mogę też zaprzyjaźnić się z panią Nowak. Udało mi się ustalić od nowa dyżury i przez cztery tygodnie mam wolny poniedziałek i czwartek. Ale w razie potrzeby będę dalej kombinować. Zamienię się w szaleńczo zakochaną starą pannę. Zakochaną w tobie Pawle. Będę ci robiła zakupy i modliła się w kościele, żebyś ty też mnie szaleńczo pokochał i się ze mną ożenił. Będę się zwierzała Nowakowej. Bezpieczniej będzie, jeśli ty zamiast z nią gadać i podrywać jej córkę, połazisz po wałach i pogadasz z wędkarzami. Będziesz bezpieczniejszy, a ja spokojniejsza, bo wśród wędkarzy nie ma ładnych blondynek. Ładne blondynki nie łapią na wędkę ryb, tylko łapią na swoje wdzięki przystojniaków. Aha, i oczywiście nie ma mowy o tym, żebym zostawała u ciebie na noc. Będziesz musiał częściej przyjeżdżać do Koszalina.

- Bardzo mi to odpowiada – podjął żart Tadeusz i spojrzał Mariannie długo i głęboko w oczy, aż się zarumieniła.

- Pozostaje dom nad jeziorem i przystań – Tadeusz udał, że nie widzi zakłopotania Marianny. – Ale mam dobrą wiadomość.

- Nareszcie – pozwolił sobie na małą zgryźliwość Paweł.

- W Mielnie jest kiosk Ruchu. Właśnie zaczął ukazywać się „Głos Koszaliński”. Co rano mój kolega z pracy będzie przywoził do kiosku gazety. Zgodził się, żebym co jakiś czas zabierał się z nim z Koszalina do Mielna, albo odwrotnie. Powiedziałem mu – teraz na twarzy Tadeusza pojawił się rumieniec – że mam w Mielnie dziewczynę.

Ogarnęła ich niepohamowana wesołość. Sam Tadeusz prawie tarzał się po podłodze. Kiedy wreszcie przestali ryczeć ze śmiechu Paweł doszedł do głosu.

- Obserwacja domu Czarnej Janki będzie niebezpieczna. Coś o tym wiesz - zwrócił się do Tadeusza. - Widzę tylko jedno rozwiązanie, żeby uniknąć większych kłopotów. Trzeba znaleźć odpowiednie miejsce i przygotować ukryty punkt obserwacyjny. Trzymać tam latarkę i lornetkę z noktowizorem. Mam taką. Będziemy dyżurować na zmianę. Oczywiście panie są z dyżurów zwolnione. Broń też się może przydać – dodał.

Zapadła cisza.

- Kiedy możemy przygotować kryjówkę? - przerwał ją Paweł pytaniem skierowanym do Tadeusza.

- Nawet jutro. Przyjadę po pracy – szybko odpowiedział Tadeusz.

- Nie pokazujmy się razem. Ja rozeznam miejsce. Pójdę jutro na spacer w tę okolicę. Często spaceruję, więc nikogo to nie zdziwi. Ty przyjedź późnym wieczorem. Załatwimy wszystko w nocy. Nie wiem tylko, czy zdołasz wrócić na rano do pracy.

- Nie będzie problemu. Kolega mnie zastąpi. Zrobiłem mu kiedyś przysługę. Zabiorę się z nim z powrotem rano do Koszalina. Będę musiał przez parę dni słuchać głupich docinków i pytań, jak było z dziewczyną. Ale trudno, jakoś to zniosę.

- Wytrzymasz. A koledzy cię jeszcze bardziej polubią. Będziesz dla nich swój chłop – pocieszył go Paweł i dodał:

– No to zaczynamy akcję. Ja dziś namawiam Annę na wyjazd do Koszalina, Marianna jutro ją urabia, a potem w czwartek przyjeżdża opiekować się swoim ukochanym i żalić się na mnie mieleńskim plotkarkom. W nocy ze środy na czwartek przygotowujemy z Tadeuszem punkt obserwacyjny i ustalimy nasz grafik. Aha, bezpieczniej będzie spotykać się na następne narady w Koszalinie. U ciebie Mańka jest spokojnie a gospodarze nie są wścibscy.

- Zapraszam – zgodziła się natychmiast Marianna.

- A zatem jesteśmy umówieni. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego amen – przeżegnał się Tadeusz – zaczynamy.

3. Anna. Czwartek, 18 września 52



W środę Marianna nie mogła doczekać się telefonu od Pawła. Kiedy wreszcie zatelefonował, dowiedziała się, że Anna nie przyjedzie.

- Trudno. Będę musiała sama pójść do „Mewy” i zaraz wszyscy to zauważą – zmartwiła się do słuchawki. - Cóż, rozpuszczę wieść pod sklepem, że jestem dobrą duszą i koniecznie chcę jej pomóc, żeby się nie zmarnowała w tej spelunie. To się zresztą może udać – dodała z radością w głosie.

Paweł przytaknął, ale bez entuzjazmu.

Podczas dyżuru Marianna znalazła czas, żeby ze szczegółami opowiedzieć Walerii o wszystkim, co ona, Paweł i Tadeusz postanowili zrobić. Waleria czuła się już lepiej i rokowania były dobre. Rozmawiały w pokoju pielęgniarek, bacząc, by nikt ich nie słyszał.

- Chętnie poznam tę dziewczynę – powiedziała z namysłem Waleria, mając na myśli Annę. – Rozumiem ją bardzo dobrze. Wiem, co czuje. Może zgodzi się przyjść do mnie. Przecież można mnie już odwiedzać.

- Najpierw ja z nią porozmawiam. Nie znam jej. Latem chyba raz ją widziałam, ale nie jestem pewna. Jutro chcę ją poznać bliżej, jeśli mi na to pozwoli – oświadczyła Marianna.

W czwartek przed południem Marianna pojechała do Mieln autobusem. Poprosiła kierowcę, aby zatrzymał się przy „Mewie” i, nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia przechodniów, weszła do lokalu. Było pustawo, chłodno i wilgotno. W powietrzu wisiał rozrzedzony smród wczorajszych papierosów i kwaśnego piwa. Szybkim krokiem podeszła do bufetu, nie spoglądając na nielicznych klientów.

- Dzień dobry – powiedziała uprzejmie do opierającej się na łokciach o blat bufetowej.

- Dzień dobry – odpowiedziała niepewnie bufetowa, wyprostowała się pośpiesznie, poprawiła opaskę na włosach i zaczęła wycierać blat z wielką zaciętością. – Pani na kontrolę? Ja panią znam. Pani jest siostrą, to znaczy pielęgniarką. Chodzi o jakieś badania, tak?

- Nie, nie - pośpiesznie zaprzeczyła Marianna. - Ja tylko chcę porozmawiać z jedną dziewczyną. Ona tu pracuje.

- Z jaką dziewczyną? – padło szybkie pytanie.

- Nazywa się Anna Czupa – poinformowała ją Marianna, starając się mówić słodkim głosem.

- A o czym chce pani z nią rozmawiać? – padło następne pytanie.

Bufetowa najwyraźniej nie zamierzała odpuścić.

– Chcę jej trochę pomóc. Zauważyłam ją latem. Wyglądała na bardzo zgnębioną.

- Pomóc? A jak? Pani z partii?- zainteresowała się natychmiast tamta.

- Nie, nie z partii. Chcę z nią tylko porozmawiać. Żal mi się jej zrobiło. Też jestem samotna.

- Pani samotna! - wykrzyknęła kobieta - Przecież pani się prowadzi z tym inżynierkiem z pegeeru!

- Tylko się przyjaźnimy. Poznaliśmy się niedawno. To nic poważnego z jego strony – Marianna zachowała spokój i nadal słodziła.

- Nie ma jej dziś w pracy – zmieniała nagle front bufetowa. – Zwolniła się, bo podobno jest chora. Pielęgniarka jej się przyda – zachichotała. – Niech pani do niej idzie. Mieszka w budynku obok, na pierwszym piętrze po prawej

- Dziękuję – Anna z ulgą opuściła lokal i weszła do przylegającego do niego skromnego budynku, czując na sobie czujny wzrok dwóch młodych kobiet, które paląc papierosy pilnowały dzieci bawiących się na piaszczystym podwórku. Dwie kilkuletnie dziewczynki z kokardami we włosach grały w klasy, a ich warkoczyki energicznie podskakiwały. Dwóch umorusanych chłopców biegało za szmacianą piłeczką, wzbijając tumany kurzu. Najmłodsze dziecko siedziało w drewnianym wózku i wykręcało główkę, żeby widzieć zabawy starszych dzieci.

Marianna weszła na pierwsze piętro po wychodzonych drewnianych schodach i zapukała do łuszczących się z farby drzwi. Anna Czupa otworzyła po dłuższej chwili, gdy Marianna już zamierzała odejść. Wpuściła ją do środka bez słowa i pokazała ręką krzesło. Sama usiadła na rozesłanym łóżku. Milczały, jakby wszystko zostało już powiedziane.

- Jaka ona jest jeszcze młoda – pomyślała Marianna z żalem. - A tyle już przeszła. Jak my wszystkie. Ciałem jeszcze młode, a w duchu martwe.

Poczuła, że próbuje nad nią zapanować dobrze jej znana wewnętrzna ciemność. Otrząsnęła się gwałtownie i uśmiechnęła do Anny.

- My się znamy. Prawda? – odezwała się pierwsza.

- Pan Paweł mówił mi o pani. Ale ja nie mogłam przyjechać. Nie mam siły na żadne rozmowy – cicho powiedziała Anna i spuściła głowę, żeby nie patrzeć na Mariannę.

- Proszę, niech pani spróbuje ze mną porozmawiać. Chcę pani pomóc. Może pójdziemy na spacer? – zapytała Marianna.

- Nie będę wychodzić. Zwolniłam się dziś z pracy. Źle się czuję.

- Tak, oczywiście – Marianna postanowiła przejść od razu do rzeczy. – Chcę pani pomóc. Naprawdę. Nie chodzi tylko o poszukiwania, o pomoc w poszukiwaniach. Chcę, żeby mi pani

zaufała, żeby pani odżyła, zadbała o siebie. Niech pani na razie nic nie mówi. To ja opowiem pani moją historię. Wysłuchasz mnie, Anno.

Anna skinęła głową. Odczuła ulgę, że to nie ona ma mówić. Zdawało się, że słuchała bez żadnych emocji, ale gdy Marianna skończyła swą opowieść, rozplakała się. Obie się rozplakały. Był to taki płacz, który zbliża do siebie dwa nieszczęścia i zlewa je w jedno.

- Przyjdę do ciebie wieczorem. Mogę? - Marianna wstała, bo czuła, że Anna, podobnie jak i ona, chce być teraz sama.

- Mam na imię Marianna – powiedziała, stojąc już przy drzwiach.

Anna kiwnęła głową i nadał łkała żałośnie.

Po wyjściu od Anny Marianna postąpiła kilka chwil przez jej domem. Na podwórzu nikogo teraz nie było, więc mogła spokojnie ochłoniąć i zamaskować pudrem ślady łez. Nie chciała, żeby w sklepie zauważono, że płakała. Weszła do sklepu uśmiechnięta i żwawa.

- Dzień dobry wszystkim - powiedziała wesoło z wystudiowanym spokojem.

Wolałaby nie uchodzić za trzpiotkę, lecz musiała znieść dystans pomiędzy nią a kobietami z Mielna. Znały ją już trochę, ale wciąż była dla nich przyjezdną z Koszalina, która podrywa mieleńskiego kawalera.

- Ależ tu ładnie pachnie świeżym chlebem – dodała, wciągając zapachy z geesowskiej piekarni. Nikt jednak nie odpowiedział ani na powitanie, ani na pochwałę zapachu. Zamiast powitania usłyszała ni to pytanie, ni stwierdzenie:

- Znow pani przyjechała do pana Pawła?

Wypowiedziała je zaczepnym tonem ubrana w roboczy fartuch kobieta, uśmiechając się przy tym złośliwie i dodając:

– Chyba nie będzie miał dla pani czasu, bo pracuje. Ładnie to tak zawracać chłopcu głowę w pracy? A z tą Anną z „Mewy”, co to do niej pan Paweł ostatnio coraz częściej zagląda, to się dziś pani rozprawiła, co?

Stojące w kolejce kobiety zachichotały cichutko i zaraz odwróciły twarze, udając, że gadka kobiety w fartuchu nic je nie obchodzi. Zaczepiająca była niska, krępa i można było po jej wyzywającej postawie poznać, że czuje się pewnie i chce się popisać. Marianna powstrzymała narastającą w niej irytację. Ku swemu zaskoczeniu, po chwili milczenia nagle poczuła, że gra, którą zamierza toczyć, udając słodką idiotkę, zaczyna jej się podobać, skoro to ona wyznacza zasady.

- Proszę pani – odezwała się żalonym tonem. – Ja nie potrafię walczyć o swoje. Porozmawiałam z Anną bardzo spokojnie i nie robiłam jej żadnych wyrzutów. Ona jest taka bezbronna i biedna. Jeśli pan Paweł jest nią zainteresowany, to trudno. Będę musiała się z tym pogodzić. Właściwie jest mi jej żal i chętnie bym jej pomogła, ale nie wiem, jak to zrobić.

Zaskoczone jej wypowiedzią panie z kolejki znów spojrzały na Mariannę i kobietę w roboczym fartuchu. Nawet sklepowa zatrzymała się na chwilę i słuchała. Marianna poczuła satysfakcję, bo w ich spojrzeniach widziała teraz zainteresowanie pomieszane z uznaniem. Nikt się jednak nie odezwał. Załatwianie sprawunków nabrało tempa i kobiety z udawanym pośpiechem opuszczały sklep, nie patrząc na dziwną przyjezdną. Zwalniały na zewnątrz, łączyły się w pary i trójki, aby w drodze powrotnej obgadać to, co się wydarzyło. Chleb w ich wypełnionych zakupami siatkach powoli stygł i tracił zapach.

Marianna kupiła pół chleba, pół kostki masła i kilka grubych, ukrojonych nożem, plasterków białego salcesonu. Zjedzą to z Pawłem na kolację i omówią dzisiejszy dzień. Włożyła zakupy do dużej torby, którą zwykła zawsze ze sobą nosić, bo służyła jej także za podręczną apteczkę, i wyszła ze sklepu. Stanęła pod wysoką lipą rosnącą przed sklepem na skrzyżowaniu Lechitów i Kościelnej. Podniosła oczy i spojrzała na stojący pod lipą przydrożny krzyż, jakby w nim szukała inspiracji do dalszego działania.

- Proszę pani – usłyszała za plecami cichy, ale mocny kobiecy głos, więc odwróciła się.

Właścicielką głosu była pani w nieokreślonym wieku, raczej starsza niż młoda, niska i okrągła. Nie była tą samą, która zaczepiała Mariannę w sklepie. Trochę pochylona, ubrana skromnie, ale z nieuchwytną przedwojenną elegancją, patrzyła na Mariannę mądrymi oczami, w których łagodność mieszała się ze znużeniem.

- Tak? – zareagowała Marianna i od razu poczuła do kobiety sympatię.

- Proszę nie przejmować się gadaniem Nowakowej – powiedziała tamta z uśmiechem. – Ona dużo mówi i zawsze coś chlapnie ozorem, ale to nie jest zła kobieta. Żyje sprawami innych, bo sama ma ciężkie życie. Znam ją dobrze. Mieszkamy w Mielnie, jeśli tak można powiedzieć, od początku. Przepraszam, pani mnie nie zna. Jestem Raczykowa, Maria Raczyk. A pani to Marianna, siostra. Prawda?

- Tak, jestem pielęgniarką. Nazywam się Marianna Kupryszak.

- Widuję panią, kiedy idziecie z panem Pawłem nad morze ulicą Cichą. Mieszkamy, ja i mój mąż, w dużym domu z obejściem zaraz na początku Cichej.

- W tym domu z pięknym różanym ogrodem?! – wykrzyknęła Marianna. - Zawsze podziwiam ten ogród. I ogromny zadbany warzywnik, i śliczne rabaty wzdłuż wszystkich ścieżek.

- Róże hoduje mąż. Dbą o nie bardziej niż o rodzinę – roześmiała się Raczykowa. - Ja dbam o resztę. Mojego męża musiała pani widzieć. Wozi towary w geesie wozem zaprzężonym w jednego konia, siwka.

- A! To ten miły pan, który zawsze pozdrawia i proponuje podwiezienie! A siwek taki zadbany i zgrabny. Nie wygląda na konia pociągowego.

- Jest bardzo narowisty, kopie – odpowiedziała Raczykowa – i dlatego Raczyk przywiązał mu do uździenicy czerwoną wstążkę. Nawet ja się go boję. Kuba to druga po różach miłość Raczyka. Ale dość o tym. Porozmawiajmy o Annie. Czy może mnie pani kawałek odprowadzić?

- Oczywiście – Marianna ucieszyła się z nowej znajomości.

- Wie pani – zaczęła Raczykowa, gdy powoli szły Lechicką w stronę Chrobrego – mnie też bardzo jest żal tej dziewczyny, Anny. Nieraz chciałam ją zaczepić, kiedy biegała po Mielnie i pytała o męża, ale nie było okazji. Właściwie, mówiąc szczerze, zabrakło mi odwagi. Teraz jej już nie widuję. Rzadko chyba wychodzi. Pewnie siedzi w tej podłej knajpie i w obskurnym pokoju przy „Mewie”. Nieciekawe towarzystwo tam mieszka. Marnuje się dziewczyna. Taka młoda i ładna. Nie powinno tak być.

- Dlatego chcę jej pomóc – odpowiedziała Marianna i postanowiła być szczerą. - Paweł też chce jej pomóc. Dlatego z nią rozmawia. Nic ich nie łączy.

- Domyśliłam się. Pan Paweł to porządny i poważny człowiek. Nie ugania się za kobietami. Pasujecie do siebie – stwierdziła Raczykowa i spojrzała w górę na Mariannę z ciepłym uśmiechem. – Oboje macie dobre serca.

- Nie wiem. Może teraz moje serce jest dobre, ale nie zawsze tak było – powiedziała Marianna, potrząsnęła głową, aby odgonić mroczne myśli i dodała:

- Dziś wieczorem znów spotkam się z Anną. Powiem jej o pani, że jest jej pani przychylna. To ją na pewno podniesie na duchu. A teraz, przepraszam, ale muszę wracać.

- No to do widzenia. Proszę mnie czasem odwiedzić. Dostanie pani kwiaty – obiecała ze śmiechem Raczykowa.

- Do widzenia. Przyjdę na pewno. I dziękuję za rozmowę.

Marianna poczuła się lekko i radośnie.

- Ta kobieta jest jak matka i przyjaciółka – pomyślała z wdzięcznością. - Odwiedzę ją, a może kiedyś zabiorę ze sobą Annę.

Wieczorna rozmowa z Anną była inna od tej przedpołudniowej. Anna nadal niewiele mówiła, ale uspokoiła się i ożywiła. Umówiły się na następne spotkanie, a nadzieja na to, że znajomość ich nie jest chwilowa i przypadkowa, dodała Annie pewności, że nie będzie już zupełnie sama, zaniedbana i bezradna. Marianna przekazała jej instrukcje od Pawła. Powinna częściej pojawiać się na sali, wśród klientów. Może zająć się na przykład sprzątaniami stolików. A może pozwolić jej czasem obsługiwać gości. Powinna, nie ujawniając się przed nikim, zapisywać w dostarczonym jej przez Mariannę zeszycie w kratkę wizyty, wydarzenia i fragmenty usłyszanych rozmów: kto, z kim, kiedy przychodzi, kiedy wychodzi; o czym rozmawia, o czym mówią kobiety obsługujące kuchnię i salę; z kim spotyka się Majewski, kierownik „Mewy”, kto mu dostarcza towar. Ważna jest tak samo obserwacja pracowników, bywalców, jak i rzadkich gości.

- Nie poradzę sobie – zmartwiła się Anna. - Kiedy mam to wszystko robić! Kiedy zapisywać! Ja w ogóle mało do tej pory pisałam!

- Najważniejsze, żebyś zaczęła. Nie jesteś zawodowym szpiegiem – pocieszyła ją Marianna. – Nie musisz obserwować wszystkich i wszystkiego naraz. Zapisuj spokojnie w domu po

powrocie z pracy to, co udało ci się zauważyć i zapamiętać danego dnia. To wystarczy. Przecież my też będziemy robić swoje. Kiedy się spotkamy, zestawimy wszystkie zebrane informacje. Może coś wykryjemy, a może nie. Ale spróbować trzeba.

4. Obserwacja. Środa - sobota, 17 - 20 września 52



Założenie kryjówki, z której można by obserwować dom Czarnej Janki okazało się przedsięwzięciem karkołomnym. Zainstalowanie się od strony ulicy nie było możliwe, bo teren był odkryty. Ten od strony jeziora natomiast okazał się podmokły a budowanie tam czegokolwiek zostałoby natychmiast zauważone. Obserwacja z łodzi, z jeziora, byłaby co prawda możliwa, ale bardzo trudna ze względu na niewygodę. Zresztą zdobycie łodzi także sprawiało kłopot. Najlepiej więc byłoby ulokować się po drugiej stronie ulicy Chrobrego, ale miejsce musiałyby być położone na pewnej wysokości, aby cel był dobrze widoczny. Jedynym sensownym rozwiązaniem było więc wykorzystanie strychu któregoś z domów stojących po przeciwnej stronie ulicy. Domy ze strychem były tylko dwa. Pozostałe, skromne, najczęściej dwukondygnacyjne i kryte papą, strychów nie posiadały.

- Rozeznanie terenu wypadło niepomysłnie – oznajmił Paweł Tadeuszowi, który zgodnie z umową stawiał się u niego w środę późnym wieczorem z zamiarem pomocy w nocnych przygotowaniach. - Musielibyśmy zainstalować się na strychu jednego z domów naprzeciwko, ale nie zdążyłem sprawdzić, czy w ogóle można się tam dostać. Nie ma też szansy na to, aby nas szybko nie odkryto. Prawdę mówiąc, na razie nie wiem, co robić.

- Słuchaj – odezwał się Tadeusz z potrzebną do działania energią – Pojedźmy tam teraz rowerem. Ja mogę siedzieć na ramie. Spróbujemy raz jeszcze obejrzeć domy i dostać się na strych jednego z nich. Możemy się rozdzielić, żeby było szybciej i ciszej. Niczym nie ryzykujemy. Jeśli nas ktoś przyłapie, znajdzie się jakiś wykręt.

Pojechali. Ulice były ciemne i puste. Tylko jeden przemykający cień obejrzał się za nimi, ale chyba niewiele mógł zobaczyć. Wyznaczyli dwa podobne do siebie i stojące blisko jednopiętrowe domy ze spadzistymi dachami krytymi dachówką. Na szczęście oba miały strychowe okna, wychodzące na jezioro w pożądanym miejscu. Na parterach z pewnością mieściły się biura, teraz opustoszałe. Na piętrach, w mieszkaniach, prawie wszystkie okna były ciemne. Tylko w większym budynku, mimo późnej pory, w oknie na piętrze paliło się światło.

- Ten biorę na siebie – zdecydował Paweł, a Tadeusz nie zaprotestował. Paweł pouczał:

- Nie zapalaj światła na klatce schodowej i na strychu. Stój na klatce tak długo, dopóki nie zaczniesz widzieć konturów. Przy okazji nasłuchuj, co dzieje się w domu. Wejdź na strych bez butów, a zanim zapalisz latarkę, posłuchaj i poobserwuj. Sprawdź, czy nikogo nie ma. Potem rozejrzyj się za dogodnym miejscem przy tych oknach, z których widać jezioro. Dobrze, gdyby było w jakimś załomie, albo za jakimiś gratami.

- Tak – szepnął Tadeusz i pomyślał, że Paweł ma większe niż on doświadczenie i że z pewnością walczył w podziemiu. – Idę.

Serce biło mu mocno i głośno. Uciszyło się trochę, kiedy stał i czekał, aż wzroku przyzwyczai się do ciemności. Wdychał zatęchły zapach wnętrza starego domu. Panowała cisza. Drewniane schody zaskrzypiały, kiedy ruszył w górę, więc zatrzymywał się co parę kroków i nasłuchiwał. Drzwi na strych były zamknięte. Zdezorientowany ruszył w dół, nie zważając na hałas, który robił. Kiedy znalazł się przy wyjściu, tuż obok niego na parterze otworzyły się drzwi i męski ochrypły głos zawołał:

- Kto łązi po nocy do jasnej cholery. Marek! To ty pijusie?

Znieruchomiał i czekał. Drzwi zamknęły się i znów zapanowała cisza. Pokonał bezszelestnie dwa schodki dzielące go od drzwi prowadzących na zewnątrz, zatrzymał się, włożył buty i wyszedł. Dom sprawdzany przez Pawła był blisko, więc przeszedł na jego podwórze, schował się za załomem i odetchnął. Wstydził się teraz swojej ucieczki, ale przecież nie mógł wyważyć

zamkniętych drzwi. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń, Wzdrygnął się i odwrócił nerwowym ruchem.

- Dałem się zejść od tyłu – przeleciało mu przez głowę.

- Nie bój się, to ja – wyszeptał Paweł. – Musisz nauczyć się zachować zimną krew i zawsze rozglądać się dookoła. Nie daj się nikomu zaskoczyć, nawet mnie.

- Spłoszyłem się, bo drzwi na strych były zamknięte. Nie wiedziałem, co robić i spanikowałem – przyznał Tadeusz.

- Nauczysz się być niewidzialnym i stale czujnym, to kwestia wprawy – pocieszył go Paweł. Nie pokazywał swej przewagi, po prostu udzielał porad.

- Dobra nasza – dodał z zadowoleniem i poklepał Pawła po plecach. – W „moim” domu strych jest otwarty, zagracony i pokręcony. Łatwo znaleźć schowek przy oknie. Najlepiej przy tym – wskazał jedno ze strychowych okien. - Piętro niżej, tam, gdzie paliło się światło, ktoś szyje na maszynie. Chyba jakaś kobieta dorabia po nocach. Nawet tu można ją usłyszeć. Turkot przykryje nasze ruchy. Na dziś kończymy. Nie jesteśmy przygotowani. Wrócę tu jutro w nocy i zacznę pierwszy dyżur. A teraz spać, spać i jeszcze raz spać.

Tadeusz zdrzemnął się kilka godzin u Pawła. Był pewny, że nikt go nie widział wchodzącego i wychodzącego, bo wrócili późną nocą niezauważeni przez stróża, a o świcie wymknął się przez park i pobiegł na wylotówkę. Udało mu się złapać kolegę, który już rozwiózł poranną prasę i wracał do Koszalina. Kiedy Paweł wsiadł do szoferki, kolega od razu zauważył jego zmęczenie. Miał niezłą uciechę, komentując jego domniemane nocne podboje.

- Ostra kobietka z tej twojej dziewczyny. Nie dała ci spać przez całą noc. Co? Wyposzczona? – mówił, spoglądając na niego znad kierownicy i chichocząc.

Tadeusz milczał. Uśmiechał się trochę głupkowato półgębkiem, a w chwilach, gdy opuszczała go senność, myślał o zbliżającym się dyżurze na strychu. Bał się, ale czuł też przyjemne podniecenie. Umówili się z Pawłem, że będą dyżurować według możliwości, ale najlepiej każdej nocy przez najbliższy tydzień. On, pracując na zmianę z kolegą, będzie starał się przyjeżdżać do Mielna co drugą noc. Na strychu, w kącie zastawionym gratami, Paweł robił małe legowisko tak, aby można było odpocząć trochę, gdy ruch u Czarnej Janki zamiera. Będą

docierać do wybranego przez nich domu późnym wieczorem przez nadmorski las, a nie ulicą. Tą samą drogą muszą wracać, wychodząc z budynku przed świtem. Pozostaje jednak kłopotliwa sprawa częstych przejazdów Tadeusza do Mielna i z powrotem.

- Będę musiał zmieniać środek lokomocji. Czasem pojadę autobusem, a wrócę z kolegą, czasem złapię okazję. Będę też musiał podtrzymywać tę niewygodną wersję z dziewczyną, licząc na to, że nikt nie będzie dopytywał, o którą dokładnie chodzi - kombinował.

Potajemne docieranie do kryjówki, którą Paweł wyposażył w koc, lornetkę i finkę - z pistoletu zrezygnowali – oraz sama obserwacja, okazały się łatwiejsze niż się spodziewali. Raport z pierwszego dyżuru Pawła zawierał to, czego się można było spodziewać. Do Czarnej Janki wieczorem przyszli dość licznie mundurowi z pobliskiej jednostki wojskowej i mniej liczni cywile. W nocy podjechała Pabieda i wysiedli z niej sowieccy oficerowie. Kierowca czekał w samochodzie, a oni bawili się do białego rana. To samo powtórzyło się następnej nocy podczas dyżuru Tadeusza. Najbardziej zaintrygowało ich to, że na nocne spotkania w domu Czarnej Janki stawiało się dwóch tych samych, wyelegantowanych panów w kapeluszach i garniturach. Podjeżdżali nową Warszawą i zasiadali w salonie do pokera, co udało się podpatrzeć Pawłowi już podczas pierwszej wachty, kiedy wymknął się z kryjówki, podszedł do domu od strony jeziora i zajrzał do salonu przez niezasłonięte okna. Trzeci mężczyzna, również elegancko ubrany, przyjechał trochę później niż tamci. Przywiózł rozbawione towarzystwo, którego skład i liczba różniły się w obu przypadkach. Przyjezdni także usiedli do gry. I w tym trzecim Paweł z wielkim trudem i jeszcze większym zdziwieniem, rozpoznał Roberta. Nigdy wcześniej nie widywał go „pod krawatem”. Pamiętał, że Robert chętnie nosił skózaną lotniczą kurtkę, wojskowe spodnie, długie skórzane buty. Miał też czapkę pilotkę z okularami.

- A to niespodzianka – pomyślał zaskoczony. - Może wykorzystać go jako informatora i zejść z tego prymitywnego posterunku obserwacyjnego – przyszło mu do głowy, ale natychmiast tę myśl porzucił. – Najpierw trzeba mu się lepiej przyjrzeć – postanowił.

Tadeusz też rozpoznał Roberta, choć widział go tylko raz, kiedy ten podwiózł jego i Mariannę po pierwszym mieleńskim spotkaniu u Pawła.

- To taki miły i uczynny człowiek – powiedział Tadeusz, kiedy w przelocie, podczas krótkiego spotkania w sobotę po południu, wymienili się spostrzeżeniami. – Dziwne, że zadaje się z szemranym towarzystwem. A może on jest tajniakiem z безпеکی i nadzoruje ten cały interes?

- Tego się nie dowiemy – podjął temat Paweł. – Ale warto go trochę wybadać. Wiesz, ja go widzę w Mielnie dość często, jak jedzie swoim Zündappem!

- Mogę poczekać na okazję i zabrać się z nim do Koszalina w najbliższych dniach – podchwycił myśl Tadeusz. - Może uda mi się z nim pogadać i poznać bliżej. Oczywiście nie powiem mu ani słowa o naszych działaniach.

- Spróbuj, ale musiałbyś mieć sporo szczęścia, żeby właśnie na niego trafić. Tylko bądź dyskretny, trzymaj się wersji z dziewczyną.

W sobotę późnym wieczorem Paweł ulokował się na strychu na swój drugi dyżur i od czasu do czasu lornetował obserwowany budynek. Działo się to samo, co przedtem. Z jednym wyjątkiem. Wreszcie zobaczył szefową, tę tajemniczą kobietę, która stała się obiektem najbardziej wyrafinowanych opowieści, podawanych szeptem przez mieleńskie plotkarki, ale której nie widywało się na ulicach Mielna. Stwierdził, że nie wygląda na typową burdel-mamę. Przeciwnie, miała sportową sylwetkę, energiczne ruchy i ubierała się ze spokojną elegancją. Podobała mu się, choć wiedział, że to tylko ekskluzywna prostytutka dla sowieckich oficerów. Przypatrywał się właśnie z ciekawością jak wychodzi z domu, z gracją podchodzi do zatrzymującej się na podwórzu Pabiedy i podaje rękę wysiadającym z niej oficerom, gdy poczuł przejmujący ból ogarniający tył głowy i jeszcze zanim skończył swój jęk, ogarnęła go wyzwalająca z bólu, ale przerażająca, ciemność.

5. „Mewa”. Piątek – sobota, 19 – 20 września 52



Od zamieszkania Anny w Mielnie minęły ponad dwa lata. Były to lata, których dni, tygodni i miesięcy nie liczyła. Lata przeżyte półprzytomnie, w stanie wewnętrznego napięcia, w

narastającym i przygasającym lęku, nad którym nie umiała zapanować, a którego nie chciała pokazywać innym. Oni jednak instynktownie wyczuwali jej strach, a strach budził w nich niechętnie maskowaną agresję. Zamilkła, zapadła się w sobie i działała machinalnie, starając się nie myśleć, zmęczyć się w pracy tak, by wieczorem walić się jak kłoda na łóżko. O zakupy i jedzenie nie troszczyła się wcale. Jadła to, co dostawała w barze, na zniszczone prywatne ubrania wkładała biały fartuch, jasne gęste włosy zakrywała białą chustką. Wykonywała polecenia szefowej kuchni i podkuchennych bez dyskusji, więc dawały jej spokój, a z czasem przyzwyczały się i traktowały w miarę przyzwoicie, czasami tylko nadmiernie okazując litość. Zdziwienie było więc niemałe, gdy Anna w piątek rano przyszła do pracy całkowicie odmieniona. Ubrała się staranniejsze niż zwykle – miała dwie porządniejsze sukienki ofiarowane jej przez koleżanki z pracy, które z nich „wyrósł” - umyła i ułożyła starannie włosy tak, by było je widać spod chustki, wyprała, wykrochmaliła i uprasowała fartuch. Pierwsze reakcje koleżanek wzbudziły w niej dobrze znaną panikę. Najchętniej uciekłaby do siebie i wróciła niewidzialna dla nich, jak zwykle. Było jednak za późno, więc stała spłoszona ze spuszczoną głową i słuchała komentarzy.

- Dziewczyny, chodźcie zobaczyć! – zawołała na jej widok dyżurująca tego dnia kucharka do reszty obsługi zajętej obieraniem warzyw albo szorowaniem garów. - Anna się zakochała! Wystroiła się jak stróż w Boże Ciało!

Ze zmywaka, obieralni i pomieszczenia gospodarczego wyjrzały roześmiane twarze.

- Ale, ale – powiedziała któraś z koleżanek – ty jesteś całkiem ładna. Kto ci wpadł w oko? Ten inżynierek z pegeeru?

- Ten jej nie zechce – odezwała się inna. - Woli starsze i bardziej doświadczone. Łazi z tą siostrunią z Koszalina. Ona chyba dobrze daje.

Gruchnął zbiorowy śmiech, a twarz Anny pokraśniała.

- Co tu się dzieje? - ze swojego kantorka wyszedł kierownik. - Do roboty!

Spojrzał na Annę i lekko zdziwiony powiedział:

- Nieźle wyglądasz, mogłabyś zostać kelnerką, gdybyś poruszała się zgrabniej i szybciej. Ale nie u nas, bo tu potrzeba silnej baby.

Spadły na nią złe spojrzenia nagle zazdrosnych koleżanek.

- Nie wytrzymam, chcę stąd uciec, zapaść się pod ziemię – pomyślała.

Zabrała się za swoją robotę i trochę jej ulżyło. Spoglądała spod oka na współpracownice i zauważyła, że są zaniedbane, utyte i podstarzałe.

- W czym one są lepsze ode mnie? – to pytanie przyszło jej do głowy niespodziewanie, ale natychmiast znikło przykryte dobrze znanym lękiem.

Do kuchni zajrzała bufetowa. Przypatrywała się jej z ciekawością i wyraźną aprobatą. Jej mina wskazywała na to, że już wie o wszystkim. Ku zdziwieniu Anny, ta pewna siebie i silna kobieta, odezwała się do niej przyjaźnie.

- Była u ciebie pielęgniarka z Koszalina, co? - pytanie bufetowej było retoryczne. - Rozmawiałam z nią, bo szukała ciebie tutaj. Chciała ci pomóc. To chyba porządna i dobra kobieta.

- Tak – przytaknęła Anna. - Rozmawialiśmy. Jest naprawdę dla mnie dobra.

- Tu nikt się tobą nie przejmował i nadal nie przejmuje – kontynuowała bufetowa wpadając w filozoficzne zadumanie i patrząc przez zaparowane okno. - To nie jest w porządku – dodała po chwili – porozmawiam z dziewczynami, zawstydzę je.

- Nie trzeba – zaprotestowała Anna przerażona pomysłem. – Będą się mścić!

- Już ty się nie bój. Załatwię to tak, że nic nie pocują. Umiem rozmawiać z pijakami, to i z nimi sobie poradzę – stwierdziła bufetowa, odwróciła się i odeszła zdecydowanym krokiem.

Interwencja musiała poskutkować, bo kpiny koleżanek tego dnia umilkły, a w dniu następnym zachowywano się wobec Anny inaczej niż zwykle. Przede wszystkim koleżanki przestały Annie rozkazywać, jakby dopiero teraz stała się jedną z nich. Jej lęk trochę się zmniejszył, a twarz pojaśniała. Obawiała się jednak, że to chwilowa zmiana i wkrótce wszystko będzie jak dawniej, czyli strasznie. Najważniejsze, że ośmieliła się wyjść na salę, do gości. Pomagała kelnerce zbierać brudne naczynia, wycierać stoliki. Zamiatła i zmywała podłogę, bo goście rzucali pety i wnosili masę błota na zabrudzonych walonkach Krępowwały ją ich ciekawskie i

prowokujące spojrzenia. Nie patrzyła więc im w oczy, obchodziła z daleka i obserwowała skrycie. Starła się też słuchać, o czym rozmawiają.

Wieczorem, w swoim pokoju, przekonała się, że zapisywanie w zeszycie wszystkiego, co zauważyła w ciągu dnia, idzie jej klesko. Postanowiła się tym nie przejmować. Skupienie na pisaniu sprawiało, że odprężyła się i zapomniła o strachu. Machinalnie zaczęła rysować niektóre postaci, te, które widziała wcześniej i te z dwóch ostatnich dni. Lubiła rysować, o czym prawie już zapomniła. Rysunki zawsze jej się udawały. Teraz też. Spod ołówka wychodziły znane jej z „Mewy” osoby. Roześmiała się głośno, patrząc na swoje dzieło, a myśl, że rysunki zobaczy Marianna jeszcze bardziej ją ucieszyła. Umiała odtworzyć szczegóły, a zapamiętywała ich wiele. Miny, gesty, postawy, strój, sposób picia i jedzenia. Narysowała stałych bywalców. Różne konfiguracje, w których wysiadali. Podpisała rysunki, podając przypuszczalne daty wizyt i nazwiska, o ile udało jej się je ustalić. Większą trudność sprawiało szkicowanie nowych gości i tych, którzy wprowadzili dość często wpadali, ale szybko wychodzili po wypiciu kufła piwa. Udało jej się jednak ładnie oddać i opisać kilku z nich. Najbardziej zadowolona była z rysunku, na którym widniała pewna kobieta. Anna nie widziała jej nigdy wcześniej i nie wiedziała, kim ona jest. Przyszła do „Mewy” w porze obiadowej w towarzystwie niemłodego, ale dobrze ubranego pana. Elegancka blondynka przypominała przedwojenne aktorki, które Anna widywała czasami na zdjęciach w gazetach i na filmowych plakatach. Tlenione wyondulowane włosy, ułożone w fale wokół kształtnej głowy, z tyłu tworzyły misternie upięty kok. Mocny makijaż podkreślał oczy i usta, a dobrze skrojona szara garsonka uwydatniała zgrabną sylwetkę. Zamszowe szare buty na koturnie z pewnością robił na miarę dobry szewc. Całość dopełniała kolorowa jedwabna bluzka, pończochy z idealnie prostym szwem z tyłu, miękkie rękawiczki i oczywiście torebka. Dziewczyny z kuchni szeptały, że to jedna z „tych pań” od Czarnej Janki. Widać było, że kobieta nie czuła się dobrze w otoczeniu podpitych mężczyzn, którzy przyglądali się jej nachalnie i z tępym osłupieniem. Raził ją także zapach knajpy, bo co rusz przykładła do nosa chusteczkę, prawdopodobnie perfumowaną. Jej towarzysz był trochę podpity i najwyraźniej sytuacja go bawiła. Niedbałym ruchem rzucił na stół plik kartek, bez których nie można było od kwietnia tego roku zjeść mięsa w restauracjach. Zamówił dwa razy schabowe z kapustą i kazał podać dla siebie i dla partnerki dobrze schłodzoną wodę sodową i zimną wódkę. Kobieta wychyliła pierwszą setkę z wprawą, która wywołała aprobowany uśmiech na twarzach mieleńskich pijaczków i rozluźniła się. Elegancka para zjadła, wypila i wyszła, pozostawiając w Mewie duży napiwek oraz zapach dobrych papierosów i drogich perfum. Annie tak bardzo się spodobała, że narysowała ich siedzących

przy stole z papierosami w dłoniach, a także wychodzących z knajpy, kiedy mężczyzna otwierał przed kobietą drzwi.

Anna przez dwa dni nie spotkała się z Marianną. Nie chciały zwracać na siebie uwagi. Marianna obiecała jednak, że zabierze Annę z Mielna do Koszalina na umówione niedzielne spotkanie, na którym będą także Paweł i Tadeusz. Planowały wyjazd w sobotę wieczornym autobusem pekaesu. Anna obawiała się jazdy do Koszalina, spotkania z Pawłem i z tym drugim. Nie miała się w co ubrać, bo sukienki od koleżanek z baru nadawały się raczej pod fartuch, a nie na niedzielę. Najgorzej było z butami. Stare, powykręcane i niezgrabne. Wolałyby uniknąć wyjazdu, ale już było za późno. Nie mogła znów stchórzyć i schować się przed całym światem. Na szczęście w piątek po pracy zdążyła zanieść buty do szewca. Wiedziała, że jest w Mielnie tylko jeden szewc. Mówiono, że to straszny pijus, że rzeczywiście pije jak szewc, ale z butami potrafi zrobić cuda. Trzeba było go tylko dobrze przypilnować i za skarby świata nie płacić, zanim nie skończy roboty. Szewc mieszkał blisko morza, przy ulicy Pionierów, w małym, bardzo skromnym domku - warsztat na dole, a mieszkanie na górze. Jego żona też piła. Nigdy jednak nie przychodzili do „Mewy”. Upijali się w domu wódką kupioną w geesie, albo bimbrem. Anna zaszła do nich najwcześniej, jak mogła, bo tak radziły koleżanki. Powiedziała im, że jedzie do Koszalina, bo nigdy tam nie była, że chce pospacerować i pooglądać wystawy.

- Musisz zdążyć zanim się spije do nieprzytomności – powiedziały. - Jeśli chcesz mieć buty na sobotę po południu to zanieś je jak najwcześniej w piątek, a w sobotę przed pracą leć do niego i przypomnij się.

Posłuchała tych dobrych rad. Szewc nie był taki stary, jak sobie wyobrażała, ale wyniszczony alkoholem. Pomyślała o Antonim.

- Może też by teraz tak wyglądał – przyszło jej do głowy i posmutniała, ale zaraz odpędziła od siebie tę myśl.

Buty odebrała od żony szewca, bo on się nie pokazał. Zelówki naprawione, obcasy podbite, skóra odświeżona. Naprawdę można było być zadowolonym.

- Dobry fachowiec, ale wkrótce zapije się na śmierć. Muszę ratować siebie – pomyślała, choć przecież ostatnia myśl nie miała jasnego związku z pijaństwem szewca.

6. Przypadek. 20 września 52



Tadeusz Wysocki był z siebie bardzo zadowolony. Pierwsza wyprawa do Mielna udała się znakomicie i nie przyniosła żadnych niespodzianek. No może poza tą, że znajomy Pawła, Robert, był, jak można było sądzić, częstym bywalcem, albo nawet współpracownikiem, Czarnej Janki. Przede wszystkim jednak zapowiadało się, że nocnych wypraw do Mielna nie będzie wiele. W pracy też się dobrze ułożyło. Jego zmiennik o imieniu Bolek deklarował, że chętnie mu pomoże, bo rozumie „męskie” potrzeby młodego i nieżonatego kolegi. Jedyna uciążliwość polegała na tym, że Bolek przy każdej okazji wypytywał o dziewczynę i Tadeusz musiał się wykręcać od odpowiedzi. Argument, że dżentelmeni nie zdradzają intymnych spraw, dotyczących kobiet, oczywiście kolegi nie przekonywał, ale zamykał mu na chwilę usta. Tadeusz, żeby go nie irytować i trochę zaspokoić jego ciekawość, sugerował, że związek jest ryzykowny, bo dziewczyna jest z kimś związana, ma narzeczonego albo męża, więc muszą być bardzo dyskretni. Spotykają się potajemnie i boją się wpadki.

- Stary, to się źle skończy- podsumował Bolek, gdy Tadeusz w sobotę rano wskakiwał do kabiny ich mocno wyeksploatowanego Opla Blitza z demobilu. - Niedługo dostaniesz w łeb, albo ci nogi z dupy wyrwie jej absztyfikant. Znajdź sobie kobitkę w Koszalinie. Wolną i chętną. Będziesz ją miał pod ręką bez komplikacji. Lepiej na tym wyjdiesz.

- Ty! Uważaj, nie zmajstruj jej bachora – dodał ponuro.

- Masz rację. Muszę z tym skończyć, zanim wpadniemy – Tadeusz skwapliwie przyznał rację koledze.

- No. Słuchaj starszych i bardziej doświadczonych, to pożyjesz przyjemnie i nie będziesz się musiał żenić – spuentował rozmowę zadowolony z siebie Bolek.

Od dwóch tygodni rodzice Tadeusza patrzyli na niego z niepokojem, ale o nic nie pytali. Chyba uznali, że jeżdżąc do Mielna w poszukiwaniu Juliana, poznał kobietę, albo wpadł w jakieś dziwne towarzystwo. Ponieważ jednak przychodził do domu o różnych porach, zmęczony i niewyspany, ale trzeźwy, w dobrym humorze i napełniony wewnętrznym optymizmem, dali mu spokój. Cieszyli się nawet, że prowadzi własne życie poza ich przepełnionym smutkiem domem.

Irena Wysocka pogрузzyła się w głębokim smutku. Straciła nadzieję na odnalezienie Juliana, a przede wszystkim przestała wierzyć, że Julian żyje, że uciekł zagranicę. Robiła zakupy, gotowała, sprzątała, prała i brała szycie. Prowadzenie domu uważała za swój obowiązek. Wieczorem chodziła do fary, do franciszkanów. Starszych zakonników i księży znała z Gniezna, podobnie jak organistę. Modliła się i przypominała sobie lepsze czasy, co pozwalało jej chwilowo zapominać o nieszczęściach, jakie spotkały jej rodzinę.

Tadeusz widział, że jego optymizm nie udziela się matce i coraz bardziej się o nią niepokoił. Miał wrażenie, że matkę drażni jego dobry nastrój, że ma do niego żal, bo zapomniał o żałobie po stracie Julianie. Udawał, że nie zdaje sobie sprawy z niewypowiedzianych pretensji i w czasie krótkich z nią spotkań wychwalał potrawy, które przygotowywała, czule obejmował i całował w policzki. Nie broniła się, a nawet czasami odwzajemniała uścisk.

Roman Wysocki także zamknął się w sobie, ale chętniej niż Irena Wysocka rozmawiał z Tadeuszem. Głównie o sprawach obojętnych - o samochodach, pracy, pogodzie. Wydawał się spokojny. Ożywiał się jednak niesamowicie, kiedy zaczynał mówić o polityce. Od pewnego czasu wytrwale słuchał rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa. Cierpliwie wyszukiwał odpowiedniej częstotliwości wśród zagłuszających program Radia szumów, generowanych przez specjalne nadajniki. Rozgłośnia działała od maja i w pewnym stopniu zdołała przełamać blokowanie informacji napływających do Polski z wolnego świata. Roman tkwił przy radiu całe wieczory i namiętnie słuchał podawanych z Monachium wiadomości. Obawa, że ktoś doniesie, że jest amatorem rzeczy surowo zakazanej, była mu obca. Emocjonował się i oburzał nową Konstytucją, zmianą nazwy państwa na Polska Rzeczpospolita Ludowa, nową ordynacją wyborczą, która dawała szanse jedynie tak zwanemu Frontowi Narodowemu, czyli rządzącym prosowieckim komunistom z Bierutem, Bergmanem i Rokossowskim na czele. Rozpalała go

także rozmowa o budowie Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, „darze” sowietów dla narodu polskiego, za który obdarowany naród sam miał zapłacić. Przeklinał i wrzeszczał, żałując wyburzonych kamienic i wysiedlanych ludzi. O Julianie i wyjazdach Tadeusza do Mielna nie rozmawiali w ogóle.

Tadeuszowi szybko nadarzyła się okazja, aby poznać Roberta, a właściwie, przypomnieć mu o sobie. Pomógł mu przypadek. Zaraz po powrocie z Mielna, w sobotę, jechał samochodem do drukarni po nowy załadunek. Stał na skrzyżowaniu 1 Maja i Lampego, a tuż obok stał Robert na swym charakterystycznym motocyklu z koszem. Tadeusz zatrąbił. Robert spojrzał na kierowcę ciężarówki z oburzeniem widocznym nawet zza lotniczych okularów. Tadeusz uśmiechnął się do niego szeroko i przyjaźnie pomachał dłonią. Tamten, zaintrygowany, bo najprawdopodobniej nie poznał mężczyzny, którego widział tylko raz i do tego w nocy, zjechał na chodnik i zatrzymał się. Tadeusz zrobił to samo i nie wysiadając, zawołał przez otwarte okno:

- Dzień dobry! Pozdrowienia od Pawła Górskiego! Wiózł mnie pan kiedyś z Mielna do Koszalina!

- Ach, to pan. Dzień dobry – odpowiedział Robert, który zbliżył się już do okna ciężarówki, a teraz podał Tadeuszowi dłoń na przywitanie.

– Spotyka się pan z Pawłem? Jeździ pan do Mielna? A jak się ma pana narzeczona? – dopytywał.

- Ta pani, z którą wtedy jechałem do Koszalina jest tylko moją znajomą. Ona sympatyzuje z Pawłem. Czasami ich odwiedzam. Bardzo lubię Mielno. Zwłaszcza wczesną jesienią – odrzekł Tadeusz.

- To może da się pan namówić na wspólny wypad motorem nad morze?

Pytanie Roberta zaskoczyło Tadeusza.

- O co mu chodzi?- przemknęła szybka myśl. – Chce mnie zwabić do Czarnej Janki? Niemożliwe, jestem za biedny.

- Byłoby wspaniale, ale ja, poza Pawłem, mam w Mielnie jeszcze jedną bliską znajomość, a prawdę mówiąc mam sympatię. Odwiedzam ją najczęściej późnym wieczorem – odpowiedział Tadeusz i zarumienił się aż po uszy.

- Niech się pan nie wstydzi, młody człowieku – życzliwie odezwał się Robert. - Młodość ma swoje prawa. Ja także czasami jadę do Mielna wieczorem. Mam tam mały interes. Może się pan kiedyś ze mną zabrać. Piękna jest wieczorna wyprawa motocyklem, ale trzeba się ciepło ubierać. Cóż, mamy jesień.

- Pan to ma odpowiedni strój! Chyba sprawdza się nawet zimą? - Tadeusz udawał naiwne zainteresowanie i męską zazdrość.

- O, to dobrej jakości, solidny, skórzany, podbity futrem komplet. Wytrzyma każdą pogodę – podziw Tadeusza wyraźnie polectał próżność motocyklisty. - Mogę panu na drogę dać podobną kurtkę i pilotkę.

- Naprawdę! Dziękuję! Dopiero drugi raz będę jechał takim motorem! - entuzjazm Tadeusza był bardzo wiarygodny.

- No to kiedy pan ze mną jedzie?

- Mogę się do pana dostosować.

- Dziś wieczorem, odpowiada to panu?

- Oczywiście!

- Jesteśmy zatem umówieni, będę czekał pod ratuszem o dziewiątej. Nie za późno dla pana? – zapytał Robert i zaczął zakładać precyzyjnie, palec po palcu, skórzane rękawiczki

- Nie, nie! Bardzo dobra pora! Będę punktualnie!

- Do widzenia! – zawołał Robert, kopiąc pedał motoru. Silnik zapalił za pierwszym razem.

- Za łatwo poszło – pomyślał Tadeusz. - Nie przesadzaj – upomniął zaraz sam siebie. – Facet po prostu lubi chwalić się swoim wycacanym pojazdem. Przed wyjazdem zdążę się jeszcze trochę zdrzemnąć.

Wieczorem spotkali się w pobliżu postoju taksówek przy koszalińskim zburzonym ratuszu. Robert był bardzo serdeczny. Pomógł założyć Tadeuszowi kurtkę i sprawdził czy okulary dobrze pasują. Ruszyli w drogę w doskonałych nastrojach. Kilka mijanych osób pozdrowiło kierowcę motocykla, a on im serdecznie machał ręką.

- Ma facet dużo znajomości. Muszę go jakoś wybadać. Na szczęście jest rozmowny – uspokajał sam siebie Wysocki.

Motocykl zatrzymał się w centrum Mielna. Zaczęli rozpinać kurtki i zdejmować pilotki. Droga zabrała im jakieś dwadzieścia minut, więc było przed dziesiątą wieczór. Ulica była pusta a rzadko rozstawione latarnie malowały na ziemi żółte kręgi. Wiał silny wiatr od morza i Tadeusz zadrżał z zimna.

- Może podwiozę cię na miejsce? - zapytał Robert .– Jest późno. Gdzie mieszka ta twoja znajoma?

- A ty gdzie jedziesz? - Wysocki odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Jadę na łąki.

- Na łąki? – zaskoczenie Tadeusza było autentyczne. - Co robisz na łąkach w nocy?

- Mam tam małą fermę lisów. Czasami na niej nocuję, choć zapach, a właściwie smród, jest nieznośny. Można się jednak przyzwyczaić. Cóż, trzeba jakoś dorabiać.

Zaskoczenie Tadeusza jeszcze bardziej dało się zauważyć i wyraźnie rozśmieszyło Roberta.

- A ty myślałeś, że co robię nocą w Mielnie – zapytał ze śmiechem – że bawię się u Czarnej Janki albo w „Mewie”? A może myślałeś, że mam tu kochankę? Niestety, nie mam. Moja małżonka jest bardzo zazdrosna.

- Nie, oczywiście, że nie. Właściwie to nic nie myślałem. Tylko hodowla lisów nie przyszła mi do głowy.

- To tylko dodatkowe źródło dochodów. Pracuję w Koszalinie. Na szczęście mogę pogodzić jedno z drugim.

- Podziwiam cię, świetnie sobie radzisz – odezwał się Tadeusz, a jego podziw był szczery.

- Dobra, siadaj, zawiozę cię do twojej ukochanej. Na pewno już martwi się o ciebie. Młode dziewczyny są takie niecierpliwe.

Wykręcanie się od miłej propozycji wydało się Wysockiemu niestosowne. Mogło budzić podejrzenia. Dodatkowo instynkt mu podpowiadał, że trzeba trzymać osoby postronne, a więc także Roberta, z daleka od miejsca ich punktu obserwacyjnego. Krygował się już więc tylko z grzeczności:.

- Ale to nie jest dla ciebie po drodze. Moja dziewczyna mieszka w budynku przylegającym do „Mewy”. Ona tam pracuje – powiedział i natychmiast pożałował swej nadmiernej szczegółowości.

- Aaa – teraz Robert był wyraźnie zaskoczony. - Twoi rodzice akceptują ten związek? Przepraszam. Nie powinienem o to pytać. Jesteś dorosły.

- Oni nie wiedzą – bąknął Tadeusz i poczuł się jak przed młokos, stojący przed swym mentorem.

- Wskakuj! Nie powinienem się wtrącać. To z pewnością porządna dziewczyna.

- Cholera - pomyślał Tadeusz, zsiadając z motoru przed „Mewą” i żegnając się z Robertem – nie poszło mi dobrze. Trzeba było wysiąść w centrum. Ale przynajmniej dowiedziałem się o fermie – pocieszał się. - Trzeba będzie się jej się przyjrzeć. Powiem o wszystkim na jutrzejszym spotkaniu. Szkoda, że nie dopytałem Roberta, co robi w Koszalinie. Ogólnie to miły gość, ale lubi się wymądrzać i pokazywać, że jest starszy i bardziej doświadczony. Mam teraz kawał drogi do kryjówki. I to przez las. Paweł tam już powinien być. Bylebym go tylko nie wystraszył. Przecież się mnie nie spodziewa.

7. Szczęśliwy traf. Sobota/niedziela, 20/21 września



Ciemność nie ustępowała, ale świadomość powoli wracała, bo Paweł Górski nagle zdał sobie sprawę, że żyje i poczuł tępy ból, który uniemożliwiał mu swobodne poruszanie głową. Jęknął i powoli otworzył oczy. Poczuł też, że na karku ma coś zimnego. Dotknął tego. Mokra szmata. Najpierw pomyślał, że szmata jest przesiąknięta jego krwią, ale przecież dobrze znał ciepło, lepkość i zapach krwi. To nie mogła być krew.

- Położyłem ci okład z zimnej wody – usłyszał cichy głos. – Dostałeś w kark.

- Tadeusz? - wymamrotał pytanie.

- Nie. To ja, Grześ - powiedział głos.

- Grześ? Jaki Grześ? Kim ty jesteś? Czego chcesz!? - strach otrzeźwił Pawła, a zaskoczenie sprawiło, że krzyknął.

- Bądź cicho Orzeł, to ja, Grześ, byłem u Stefana, działaliśmy razem w Białogardzie. Musisz mnie pamiętać. Ja ciebie poznałem, ale dopiero jak cię wałęnałem w łeb, upadłeś a ja oświetliłem twoją twarz latarką – powiedział osobnik i skierował strumień światła z latarki na swoją twarz.

- Grzegorz, Grześ – jęknął Paweł. – Człowieku, byłbyś mnie zabił.

- Kolego – odpowiedział tamten – masz szczęście, że ja ciebie tu nakryłem, bo już byś pływał w jeziorze.

- Ale dlaczego? O co tobie, czy tam wam, chodzi? Kim ty jesteś? Bandytą, tajniakiem czy ubekiem?

- Wolnego, wolnego. Tylko nie ubekiem. Pracuję dla Czarnej Janki. Jestem, można powiedzieć, szefem odpowiedzialnym za porządek i spokój. Ciekawsze jest, co ty tu robisz? Taki chojrak, doświadczony, a dałeś się podejść jak dziecko. Od trzech nocy widziałem błyski latarki na tym strychu. Dziwne, co? Akurat w oknie wychodzącym na nasz burdel. Musiałem sprawdzić. Jak zobaczyłem to twoje, pożałuję Boże, stanowisko, to od razu pomyślałem, że to musi być jakaś dziwna sprawa, i że to nie służby nas obserwują. Nie muszą. Służby wchodzą do nas kiedy chcą i wszystko nadzorują.

- No to jednak z nimi współpracujesz – wypomniał Paweł, żeby choć trochę odgryźć się dawnemu koledze.

- Ja nie mam z nimi nic wspólnego. Nie muszę. Są inni, którzy chętnie z nimi gadają. Ja zmieniłem nazwisko i polityka mnie nie obchodzi. Zarabiam pieniądze i tyle. A pod latarnią najciemniej, jak wiadomo. Zresztą, nie zamierzam się tłumaczyć. To ty wyjaśnij mi, co tu robisz – zażądał Grzegorz.

Zapadła cisza.

- Co mam mu powiedzieć? - z trudem kombinował Paweł i starał się zebrać myśli, pomimo bólu, który rozsadzał mu głowę i mącił wzrok.

Nie zdążył wymyślić odpowiedzi, bo nagle w ciszy, która panowała, usłyszał skrzypnięcie deski na schodach. Zauważył, że i Grzegorz usłyszał hałas, lecz nie pokazuje po sobie zaniepokojenia, więc szepnął:

- To może być któryś z twoich ludzi?

Umilkł jednak natychmiast i zamarł w bezruchu, bo drzwi na strych otwierały się powoli, a ten, kto je wreszcie otworzył powiedział półgłosem:

- Pawle, to ja Tadeusz. Jesteś tu?

Paweł odetchnął głęboko, dał uspokajający znak Grzegorzowi i odpowiedział:

- Jestem. Podejdź i nie przestrasz się. Nie jestem sam.

Prawie fizycznie poczuli, jak Tadeusz zastygł z przerażenia i dopiero po jakimś czasie ostrożnie ruszył w stronę kryjówki. Nie podszedł blisko, lecz zatrzymał się w bezpiecznej odległości.

- Panowie – powiedział głośno Grzegorz. – Wyjdźmy stąd. Pogadamy na zewnątrz.

Istotnie, nie miało już sensu tkwienie na strychu i szeptanie. Mieszkańcy domu dawno zasnęli i nawet maszyna do szycia już nie terkotała. Tadeusz skwapliwie ruszył pierwszy, o nic nie pytając. Grzegorz pomógł Pawłowi dźwignąć się z podłogi. Schodzili po schodach, nie starając się zachować ciszy. Obaj wiedzieli, że kryjówka do niczego się już nie przyda. Na dole czekał Tadeusz, który dopiero teraz zobaczył, że Paweł ledwo trzyma się na nogach. Przyskoczył do niego i krzyknął:

- Co ci się stało! Kim jest ten człowiek!

- Wszystko w porządku – uspokoił go Paweł. - Nastąpiło małe nieporozumienie, ale już się wyjaśniło. Poznaj Grzegorza. Nadal jesteś Grzegorzem, czy masz inne imię? - zwrócił się do kolegi.

- Nadal mam na imię Grzegorz – odparł niespodziewany gość, podał rękę Tadeuszowi i powiedział:

- Spotkajmy się jutro w jakimś ustronnym miejscu. Wyjaśnimy sobie spokojnie wszystko. Dziś Paweł źle się czuje. Jutro dojdzie do siebie. Macie gdzie spać? - zainteresował się nagle.

- Dobrze, spotkajmy się jutro późnym wieczorem. Spotkajmy się na wydmach, po lewej od wejścia na plażę na końcu tej uliczki - zaproponował Paweł, który wreszcie odzyskał jasność myślenia i nie zamierzał odpowiadać na zadane pytanie.

– O której? - zapytali jednocześnie dwaj pozostali mężczyźni.

- O dwudziestej drugiej może być?

- Może być – odpowiedział Grzegorz, a Tadeusz skinął głową.

Rozstali się. Grzegorz poszedł w stronę domu Czarnej Janki, a Paweł i Tadeusz weszli do lasu. Odszukali ukryty tam rower i, nie zważając na ewentualnych świadków, wyjechali na główną ulicę. Tym razem Paweł siedział na ramie. Po drodze opowiedział Tadeuszowi o tym, co się stało, dla siebie zachowując historię znajomości z Grzegorzem. Powiedział tylko, że się znają, że Grzegorz pracuje u Czarnej Janki i że chyba można mu ufać. Tadeusz nie pytał o więcej. Uwaga o ewentualnej zmianie imienia przez spotkanego kolegę wiele wyjaśniała.

Bez przygód dojechali do pegeeru i wypróbowanym sposobem dostali się do pokoju Pawła, nie będąc zauważonymi przez nocnego stróża. Paweł z ulgą opadł na łóżko. Bez słowa wysłuchał relacji Tadeusza o przyjeździe do Mielnia razem z Robertem. Nie skomentował nawet informacji, że to Robert jest właścicielem hodowli lisów na nadjamneńskich łąkach.

- No to mamy kłopot. I to podwójny – powiedział i zasnął, zanim Tadeusz zdołał coś dodać.

Wysockiemu emocje nie pozwalały zasnąć. Był przekonany, że muszą zmienić plany i poszerzyć ekipę.

- Musimy zaryzykować. Musimy powiedzieć nowym znajomym o naszych poszukiwaniach – rozmyślał. - Robert i Grzegorz dużo wiedzą o tym, co dzieło się i dzieje w Mielnie. Obaj dużo wiedzą o domu Czarnej Janki i o tych, którzy tam bywają. Bez nich trudno będzie wpaść na jakiś trop. Nasza obserwacja stała się niemożliwa i właściwie niepotrzebna. Oni są najlepszym źródłem informacji. Powinni stać się członkami naszej grupy.

Sen przyszedł dopiero nad ranem. Wysocki spał mocno i spokojnie, bo pamiętał, że umówili się u Marianny dopiero po południu. Obudził się przed ósmą. Spojrzał na pogrążonego w śnie Pawła i dopiero teraz zobaczył sińce pod jego oczami. Wymknął się z pałacu i poszedł na przystanek pekaesu. Zdążył na poranny autobus do Koszalina. Spojrzał na zegarek. Było wpół do dziewiątej. Postanowił, że pójdzie na mszę do franciszkanów. Z pewnością będą też na niej rodzice. Uspokoją się, gdy go zobaczą w kościele. Potem zjedzą razem śniadanie.

8. Ploty i plotki. Sobota, 20 września 52



W sobotę Marianna miała dodatkowy wolny dzień i postanowiła pojechać do Mielna, żeby uzupełnić, uporządkować i sprawdzić wiadomości, które udało jej się do tej pory zebrać od mieszkańców. Za najbardziej efektywne uznała skonsultowanie ich z Raczykową. Zauważyła bowiem, że Raczykowa była w Mielnie szanowana za rozsądek, powściągliwość i życzliwość. Podzielała to powszechnie dobre zdanie o starszej pani.

- Mieleńskie plotkarki szanują ją za to, że plotkarką nie jest – śmiała się w duchu.

W drodze z Koszalina do Mielna, jadąc pustawym w przedpołudniowej porze autobusem, przypominała sobie, co jej naopowiadały mieleńskie kobiety. Były to rewelacje o nagannym prowadzeniu się niektórych panien i mężatek, o dziwnych skłonnościach niektórych panów, którzy mieli rodziny i uchodzili za dobrych mężów i ojców, a mieli podobno drugie ukryte związki, czy o szemranych interesach osób, o których nie było wiadomo, skąd biorą pieniądze na wystawne i beztroskie życie. Marianna nie potrafiła jednak przyporządkować owych rewelacyjnych doniesień określonym osobom. Nie wiedziała też, które z nich są prawdziwe, a które przesadzone lub wymyślone. Zresztą mówiono z nią dość niechętnie i tylko w cztery oczy, żeby pożalić się i bezkarnie obmówić siebie nawzajem. Kiedy dopytywała o szczegóły, rozmówcy najczęściej zegnali się i odchodzili. Nadal była dla nich kimś obcym, kto nie powinien za dużo wiedzieć o mieleńskich sekretach.

Wysiadła z pekaesu w centrum Mielna i próbowała niezauważona ominąć obserwującą przechodniów Nowakową. Nie udało się.

- Halo! Pani ładna! - usłyszała wołanie i od razu wiedziała, że skierowane jest do niej.

-Trudno, porozmawiam z nią. Przecież kontakty z nią wzięłam na siebie. Nie powinnam tchórzyc po pierwszym niefortunnym spotkaniu w geesie i po gęstwinie plotek – pomyślała i, przywołując na usta serdeczny uśmiech, zawróciła.

- Dzień dobry pani – przywitała radośnie kobietę, która niespokojnie kręciła się w miejscu, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

- Mam dla niej coś. Niech idzie za mną – powiedziała cicho Nowakowa, nie odpowiadając na grzeczne powitanie.

Potem odwróciła się i skierowała swą korpulentną dynamiczną cielesność na tyły publicznego szaletu. Marianna nie od razu zrozumiała, że używając trzeciej osoby liczby pojedynczej pani Nowak zwraca się wprost do niej. Spojrzała odruchowo za siebie, sprawdzając czy nie zobaczy tam prawdziwego adresata słów. Nie zobaczyła nikogo, zreflektowała się w porę i podążyła śpiesznie za królową mieleńskich ulic. Ta dotarła już do celu i energicznie machała ręką, sygnalizując dobitnie, że Marianna niepotrzebnie opóźnia konfrontację z przygotowaną specjalnie dla niej niespodzianką.

- Chodź pani szybko! - zawołała, otwierając jakieś boczne drzwi. Marianna podeszła i zobaczyła wewnątrz niewielkiego składziku na sprzęt do sprzątania. Pani Nowak zaczęła wystawić wiadra, łopaty, grabie i nowiutkie nieużywane miotły. Za tym wszystkim stał duży karton. Kobieta schyliła się, otworzyła karton, pogrzebała w nim i wyjęła męską zniszczoną czapkę z daszkiem. Otrzepała ją z kurzu i pajęczyn, po czym podsunęła Mariannie pod sam nos.

- Pani - powiedziała konspiracyjnym szeptem – to chyba jest czapka tego, co to zaginął kilka lat temu latem. Jak mu tam było? Antoni! Wiesz pani? Czapka męża tej dziewczyny z „Mewy”, coś jej pani podobno pomogła. Znalazłam ją i zabrałam. Mam tu karton na rzeczy znalezione. Pani! Czego to ludzie nie gubią. Wszystko! Nawet łeb by swój zgubili, gdyby to było możliwe. Zbieram to i tu trzymam. Jak zgubią coś cenniejszego, to szybko przychodzą i pytają. Ale jak co starego i byle jakiego, to się nie interesują. Przypomniałam sobie zaraz po zniknięciu tego Antoniego, że ja go w tej czapce widziałam. Był nieźle wcięty i szedł po 1-go Maja. Akurat tam zamiatałam. Potem wracał i pamiętam, że też był w czapce. Utrapienie z tymi pijusami - rozkręciła się kobieta - gonię ich miętłą, krzyczę „idź do domu pijaku”, ale czy taki posłucha.

Pani! Nic tylko wódka i piwo, piwo i wódka. Wstrętne moczymordy. Ale jak ten Antoni wracał, to mówię pani, że czapkę jeszcze miał. A następnego dnia rano znalazłam ją w parku przy jeleniu. Nie od razu pomyślałam, że to jego. Dopiero później. Ale jak potem widziałam jego żonę, jak lata po Mielnie i o niego wypytuje, to nie miałam serca jej tej czapki pokazać. Zresztą nikomu o niej nie mówiłam. Co komu po czapce? Sama o niej zapomniałam. Chłop zapił i gdzieś przepadł. Wiadomo co taki wymyśli? - zadumała się na chwilę, ale zaraz dodała:

- Weźże ją pani kochana. Pokaż tej biednej dziewczynie. A co z nią? Chyba jej lepiej po pani odwiedzinach?

- Chyba tak - odrzekła Marianna bardzo powściągliwie.

Patrzyła jak zahipnotyzowana na czapkę, którą Nowakowa cały czas mocno potrzasała

- Starałam się ją pocieszyć, ale nie wiem, czy mi się udało. Nie chcę jej nachodzić – dodała po chwili, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że pytanie pani Nowak dotyczy Anny.

- Słyszałam, że zaczęła dbać trochę o siebie. Może się zakochała? – Nowakowa przyglądała się z przekornym uśmiechem młodej kobiecie, jakby czekała na najmniejszy przejaw zazdrości.

Marianna nie zareagowała na zaczepkę.

- Dobrze. Wezmę czapkę i przy okazji jej przekażę.

- Dobra z pani kobieta - podsumowała dotychczasową rozmowę Nowakowa i natychmiast zmieniła temat, pytając:

- A dokąd to się pani wybiera w ten piękny sobotni poranek?

- Idę odwiedzić panią Raczykową – odpowiedziała Marianna i była zadowolona z pytania, bo miała ochotę pociągnąć panią Nowak za język.

- Raczykową, Raczykową.– powtórzyła kobieta jak echo – dobra kobiecina, ale bidna.

- Biedna? - zdziwiła się Marianna. – Przecież mają z mężem duży dom z ogrodem i chyba nieźle sobie radzą.

- Radzą, radzą – znów poszło echo.– Ona sobie radzi. Tyra jak wół. Ogród, indyki, kury, świnka, a do tego wszystkiego cały dom na głowie. A ten jej mąż Leser to tylko koniem się zajmuje i róże hoduje. Cały dzień jeździ po Mielnie i zaczepia młode kobiety. Tfu!

- Wydał mi się miły – zaproponowała Marianna. – Podwiózł mnie kiedyś.

- Miły, miły – powtórzyło znów echo. – Miły był, boś pani młoda. A nie świntuszył przy pani? Ja go nie lubię i on mnie też. Niejedno widziałam i słyszałam.

- A co takiego pani widziała i słyszała?

- Nic ważnego – ucieła pani Nowak, energicznym ruchem wręczyła czapkę Mariannie i pośpiesznym krokiem przeszła na drugą stronę ulicy, bo do stojącego tam kiosku Ruchu podeszły dwie starsze panie.

Najwyraźniej znała je i pilnie musiała z nimi pogadać.

- Do widzenia! Dziękuję! - zawołała za nią lekko zdziwiona nagłym odejściem Marianna, ale tamta nawet się nie odwróciła.

Dom Raczykowej Marianna widziała wiele razy w czasie spacerów, ale teraz pierwszy raz weszła w głąb posesji. Za żelazną bramką w drucianym ogrodzeniu betonowa ścieżka wiodła do drewnianej furtki. Z jednej strony ścieżki rozłożył się duży ogród warzywny z równiutkimi, perfekcyjnie wypielonymi grządkami marchwi, porów, buraczków i cebuli. Dojrzałe warzywa czekały na zbiór. Niektóre grządki były już puste i przygotowane do nowych zasiewów i nasadzeń. Po drugiej stronie betonowej ścieżki znajdowało się wejście do ogrodzonego ogrodu różanego. Dalej zaczynał się dom: przeszklona weranda, zadaszone wejście po kilku schodkach na obszerny ganek, z potem duże, dwuskrzydłowe drzwi. Drzwi były zamknięte i pomimo intensywnego pukania, nikt ich nie otworzył. Marianna podeszła więc do znajdującej się na końcu ścieżki drewnianej furtki, za którą słychać było regularny gulgot indyka. Uchyliła ją. Rozległ się natychmiast wściekły jazgot psa, a olbrzymi indor znów zagulgotał i zaczął się zbliżać, ciągnąc po ziemi napięte skrzydła. Zatrzasnęła furtkę i zaraz usłyszała zza niej spokojny głos Raczykowej:

- Nora! Cicho! Do budy! Proszę się nie bać, odgoniłam indyka, a pies jest na łańcuchu.

Łańcuch zadźwięczał donośnie, co wskazywało na to, że pies się schował do budy. Gulgot oddalił się. Marianna ostrożnie uchyliła furtkę, za którą znajdowało się duże wewnętrzne podwórze gospodarcze. Raczykowa uśmiechnęła się zachęcająco:

- Proszę, proszę wejść. Dobrze, że pani przyszła. Mam dobre nowiny o Annie do przekazania.

Przeszły podwórze i weszły na kamienne schody prowadzące do kuchennego wejścia. Za dużą zimną sienią znajdowała się obszerna kuchnia, z której, jak zobaczyła Marianna, następne drzwi prowadziły w głąb domu, prawdopodobnie do części mieszkalnej, do której można było wejść także przez paradny ganek przy głównym wejściu.

- Królestwo Raczykowej – pomyślała Marianna, czując ciepło bijące z kaflowej kuchni, patrząc na drewniany stół pod oknem wychodzącym na wewnętrzne podwórze i wdychając przyjemny mocny zapach jabłek.

Jabłka leżały wszędzie - na stole, na półkach, a także, pokrojone w plasterki, na kuchni. Na kuchni stał także parujący czajnik i duży metalowy imbryk.

- Zrobię herbaty, a potem usiądziemy i porozmawiamy – powiedziała gospodyni. – Proszę usiąść przy stole.

Stół był przykryty podniszczoną ceratą, ale Mariannie to nie przeszkadzało. Podziwiała stojącą na stole kryształową cukiernicę w posrebrzonym koszyczku, tkwiącą w cukiernicy piękną pozłacaną łyżeczkę i porcelanową miseczkę w niebieskie kwiatki wypełnioną landrynkami. Raczykowa podała herbatę w szklankach osadzonych w metalowe uchwyty. Do swojej herbaty, zamiast cukru, wrzuciła dwie landrynki i zaczęła obierać jabłko.

- Nasze jabłka. Za warzywnikiem jest niewielki sad. Dobre niemieckie odmiany. Proszę spróbować.

Podała Mariannie z ręki przygotowane sprawnie kawałki obranych i wydrążonych jabłek.

- Doskonałe. Bardzo aromatyczne – pochwaliła Marianna.

- Przychodzą do mnie sąsiadki i inne kobiety. Dużo mi opowiadają, bo wiedzą, że nie rozpowiadam tego, co mi mówią – zaczęła Raczykowa i szybko przeszła do rzeczy. - Mówią, że Anna bardzo się zmieniła. Zaczęła się porządnie czesać i ubierać. Twierdzą, że to pani

sprawka. Ma teraz pani w Mielnie opinię uzdrowicielki, bo podobno wystarczyła jedna wizyta, żeby Annę całkowicie odmienić. Ale wie pani, jacy są ludzie. Teraz chwalą, a za chwilę zaczną wymyślać niestworzone historie. Na przykład, że się pani w niej zakochała, albo że coś razem kombinujecie. Musi pani uważać, bo plotkarki już wzięły panią na języki.

- A myślałam, że jak nie będę spotykać się z Anną, to ludzie zapomną i nie będą gadać – zmartwiła się Marianna. – Myliłam się.

- Gadać będą zawsze. Nieważne, czy by się pani z nią spotykała, czy nie. Ale chyba lepiej byłoby, gdyby myślano, że to pani dalsza rodzina, albo córka dobrych znajomych i dlatego jej pani pomaga. Ja mogę taką wersję podtrzymywać, jeśli pani chce.

- Sama nie wiem. Może ma pani rację. Mogłabym wówczas odwiedzać ją bez głupich podejrzeń i komentarzy.

- Właśnie. Ludziom trudno uwierzyć w bezinteresowną pomoc. Wolą myśleć, że za wszystkim kryje się interes, bo wtedy sami czują się lepiej.

- A pani mi wierzy?

- Tak, ja pani wierzę i dlatego chcę pomóc pani, i Annie też.

- Dziękuję. Ja też pani ufam. I muszę teraz o czymś powiedzieć. Idąc tu, spotkałam panią Nowakową.

- Trudno jej nie spotkać, skoro zawsze jest na swoim posterunku – roześmiała się starsza pani.

- To prawda. Ale ona wręczyła mi męską czapkę i powiedziała, że to czapka męża Anny, Antoniego – Marianna wyjęła czapkę z torby i położyła na stole

- Nieprawdopodobne! – wykrzyknęła Raczykowa, biorąc czapkę do ręki i oglądając z każdej strony. – Ale skąd ona może to wiedzieć!

- Twierdzi, że znalazła ją w parku z jeleniem zaraz po zaginięciu Antoniego.

- I nikomu nic nie powiedziała, nie oddała Annie!

- Twierdzi, że nie chciała Anny denerwować. Ale mówiła też nieprzyjemne rzeczy o pani mężu – wydukała zakłopotana Marianna.

Chciała być jednak z Raczykową szczerą na tyle, na ile to nie zaszkodzi sprawie poszukiwań.

- Niech się pani nie kłopotce. Ona do mnie też mówi źle o Raczyku. Nie lubią się – powiedziała starsza pani, zamilkła, a potem dodała ze smutkiem:

- Mój mąż nie jest dobrym człowiekiem. Ale nie mówmy o nim. Może kiedyś opowiem pani moją historię - Raczykowa poklepała lekko rękę Marianny. – Mówmy o pani i o Annie.

Marianna przez krótką chwilę miała ochotę wyznać Raczykowej tajemnicę o prowadzonych poszukiwaniach. Intuicja podpowiadała jej, że jest to osoba dobra i godna zaufania, a przy tym znająca miejscowe sprawy i ludzi.

- Ona może nam pomóc bardziej niż Nowakowa i z pewnością nie przyczyni się do żadnej wpadki. Jest mądra i dyskretna – pomyślała, ale szybko odrzuciła pomysł wtajemniczenia kolejnej osoby. - Musimy wszystko ustalać razem. Po to się spotykamy. Ryzyko zdrady jest zbyt duże.

- Pani Marianno – usłyszała głos gospodyni. – O czym pani myśli?

- Nic ważnego, zastanawiam się, czy mogę panią podpytać o ludzi mieszkających w Mielnie. Nie znam tu nikogo i mnie też nie znają, ale już zdążyłam usłyszeć trochę plotek i ploteczek. Może pani mi pomoże wyrobić sobie opinię o niektórych mieszkańcach. Lepiej żebym wiedziała, komu można ufać, z kim rozmawiać, a kogo unikać.

- Tak. To się pani przyda – rzekła Raczykowa, nie zwracając uwagi na zażenowanie Marianny, której z trudem przyszło małe krętaństwo. - A kogo ma pani na myśli, mówiąc o unikaniu?

- Na przykład panią Nowak, chociaż teraz wiem, że pani ją lubi.

- Lubię ją, bo znamy się od przyjazdu do Mielna. Nie spoufałam się z nią zanadto i pani też nie radzę. Za dużo gada, wszystko rozpowiada, do wszystkiego się wtrąca. Straszna pleciuga z tej podwarszawskiej kumoszki - roześmiała się Raczykowa. - My też jesteśmy spod Warszawy – dodała.

- A jej córka? - dopytywała Marianna z nieudawanym niepokojem. - Ona stale ją podsuwa Pawłowi.

Śmiech jej rozmówczyni rozbrzmiewał teraz głośniejsze.

- Nie ma powodu do zmartwienia! Nowakowa chciałaby, żeby jej Halinka złapała inżyniera. Tak nazywa pana Glińskiego. Ale sama nie wierzy, że to możliwe. Inne światy. Nowakówna, czyli Halinka Nowak, zawsze prowokowała ludzi wyglądem. Z pewnością ją kiedyś pani widziała. Drobną, ale bardzo energiczną osobką, podobną w tym do swojej matki. Zawsze ostro się maluje, tleni włosy na jasny blond, tapiruje i wysoko upina. Postarza się, a jest młodziutka. Nie wiem, czy ma dwadzieścia lat. Ale jak się wystroi w jaskrawe, wydekoltowane, obcisłe suknie i zasuwa na wysokich obcasach, to wygląda na trzydzieści. Gadać też potrafi, jak jej matka, ale zagaduje najchętniej młodych i przystojnych facetów. Jej absztyfikant, niejaki Mietek Kwiatek, wścieka się na nią za to i chyba nie raz już jej przyłożył. To bardzo burzliwy związek. Nigdy nie wiadomo, czy są razem, czy może akurat nie chcą się znać. Zawsze się ostatecznie godzą, bo łączą ich interesy. On zdobywa, w sobie tylko znany sposób, tak zwane towary luksusowe, ale w ilościach niewielkich, a ona je dyskretnie sprzedaje. Chyba wszyscy w Mielnie, poza biednymi żonami pijaków tracących wszystkie zarobione grosze w „Mewie”, coś już od niej kupiły: dobrą kawę, pończochy, kolorowe ubranka dla dzieci, perfumy, mydełka, czekolady. Matka jej pomaga. Obie mówią, że te dobra pochodzą z zagranicznych paczek, że pomagają je sprzedawać tym, którzy paczki dostają. Może to prawda. Nie wiem. Wiem, że oboje młodzi często jeżdżą do Gdyni, więc pewnie kupują też towar od marynarzy. Ale się rozgadałam – zakończyła wywód Raczykowa.

- Ależ to bardzo ciekawe, co pani mówi. Muszę na tę rodzinę uważać. Zastanawiam się, jak to możliwe, że milicja ich nie prześladowa – zauważyła Marianna.

- Opłacają się. Chroni ich przede wszystkim ten ormowiec Matczak. Duży, gruby typ. Wiecznie podpity. Anna powinna go dobrze znać, bo często wysiaduje w „Mewie”. Podśłuchuje, co ludzie mówią. Obnosi się z ormowską naszywką i straszy porządnym ludzi. A ma taką sympatyczną żonę. Tylko że ona jest chora na cukrzycę. Ciężko jej się poruszać. Biedna kobieta.

- Będę mu schodzić z drogi – oświadczyła Marianna. - A kogo jeszcze mam unikać?

- Trudno powiedzieć. Mielno przyciąga życiowych rozbitków. Dużo jest dziwaków, kombinatorów, samotników. Na przykład w ładnym domu z małym parkiem, na rogu Pionierów i Chrobrego, mieszka rodzina Kozłowych. Mają troje dzieci. Ona, piękna kobieta, siedzi w domu, prawie nie wychodzi, a jak wyjdzie, to z nikim nie rozmawia. Nikt nie wie natomiast, czym zajmuje się Kozłowa. Niczym nie handluje, przynajmniej nie w Mielnie. On chyba w ogóle nie ma stałego zatrudnienia i nikt się za to go nie czepia, a przecież jest obowiązek pracy. Wyjeżdża, przyjeżdża, ciągle zmienia towarzystwo. Niedawno kupił duży osobowy samochód i jeździł nim z szaloną prędkością, dopóki nie rozbił go na mieleńskiej lipie tuż za swoim domem. Podobno nocami wysiaduje u Czarnej Janki, albo jedzie do Koszalina do hotelu. Gra w karty i jest za pan brat z tamtejszymi paniami lekkich obyczajów. Nie wiadomo kto to i z czego żyje. Ale w Mielnie są też tacy, którzy pracują, wyglądają na porządných ludzi, ale z nikim z Mielna nie utrzymują kontaktów. Na przykład Ziemińscy. Mówi się o nich, że zajęli najlepszy dom i obłowili się w ponemieckie dobra. Prawie nikogo do domu nie wpuszczają. Przyjechali z Łodzi i tam mają przyjaciół. W Łodzi zostawili podobno swoich pierwszych małżonków. Podobno przechowywali Żydów w czasie wojny i teraz dostają od nich paczki z Ameryki. To eleganccy i kulturalni ludzie, ale wszystkich mieszkańców Mielna bez wyjątku, trzymają na dystans, więc nie są zbyt lubiani. Podobnie jak tacy Zydrewicze. Straszne odludki. Zydrewicz, zawsze tymi samymi kursami pekaesu jeździ do pracy do Koszalina i z powrotem. Jest księgowym. Wraca zawsze z wypchaną teczką. Chyba robi wszystkie zakupy w Koszalinie, bo Zydrewiczowa prawie nie wychodzi. Czasami tylko porozmawia ze mną przez płot, kiedy pracuje w ogrodzie. Mieszkają sami w niewielkim domu z ogrodem przy Chrobrego. Obok tego ładnego ceglanego domu z wieżyczką. W tym domu też zresztą mieszkają odludki, Barańscy. Widzi więc pani, że sporo tu tajemniczych postaci. Jedni są na świeczniku, tak jak Świerczyńscy, a inni wiodą swoje pokręcone życie w biednych domkach ukrytych w nadmorskim lesie albo w mieszkankach bez wygod, przerobionych samodzielnie z pomieszczeń dawnych pensjonatów. Każda rodzina, każda osoba to oddzielna i najpewniej skomplikowana historia. Tu wszystko może się zdarzyć.

- Czy ona się domyśla, że my poszukujemy zaginionych chłopców? - pomyślała Marianna po ostatnim zdaniu Raczykowej, wygłoszonym z naciskiem i uważnym spojrzeniem w oczy.

- Tak, taak – powiedziała przeciągle jakby w zamyśleniu, udając, że nie widzi uważnego spojrzenia gospodyni. – Każdy ma za sobą jakieś tragiczne przeżycia i każdy ma swoje

tajemnice. Dziękuję, że mi to pani uświadomiła, a przecież sama mogłam się domyślić. Pójdę już. Za dużo czasu pani zajęłam.

- Nie szkodzi. Proszę do mnie zaglądać. Pozdrowienia dla Anny i pana Pawła. No i oczywiście także dla tego młodego człowieka z Koszalina.

- Młodego człowieka? – wyrwało się Mariannie. – Jakiego młodego człowieka?

- No tego, z który często pojawia się w Mielnie. Znacie go przecież.

- Ona wie! - spanikowała Marianna i z trudem wydusiła. – Dziękuję, przekażę, do widzenia.

Opuściła dom Raczykowej z ulgą i zamieszaniem w głowie. Aby się uspokoić i przemyśleć to, co usłyszała, poszła ulicą Cichą nad morze. Plaża była pusta. Morze wzburzone. Wiatr otrzeźwił ją i wywiał z głowy złe myśli. Przecież Raczykowa mogła wiedzieć od innych kobiet o Tadeuszu. Przecież Tadeusz był kilka razy u Pawła. Ktoś to widział. Poczuła chłód. Skręciła w lewo i wyszła znad morza wyjściem od ulicy Pionierów. Tu wiatr był niewyczuwalny, a przymglone wrześnie słońce mocno grzało. Nadal mając w głowie opowieści starszej pani, patrzyła z większą niż zwykle uwagą na mijane domy ukryte za płotami, drzewami, schowane w głębi piaszczystych podwórek. Nie spieszyła się. Do Pawła nie chciała zaglądać. Pracował, a potem musiał wypocząć, bo miał siedzieć w nocy w tej nieszczęsnej kryjówce. Niepokoiła ją myśl, że coś niedobrego tam się Pawłowi stanie. Postanowiła pójść nad jezioro, w stronę domu Czarnej Janki, i zgadnąć, gdzie chłopcy mogli się ulokować. Trasa okazała się jednak nazbyt daleka. Rozbolały ją stopy w bucikach nie nadających się na dłuższe spacer, więc zawróciła i poszła na przystanek. Na przystanku miała się spotkać z Anną. Czekala spokojnie na autobus, ale kiedy nadszedł czas odjazdu, a Anny nie wciąż nie było, zaniepokoiła się, że dziewczyna znów się załamała. Wreszcie ujrzała Annę dobiegającą do autobusu w momencie, gdy kierowca ruszał. Autobus gwałtownie zahamował, Anna wskoczyła do środka, lekko dysząc przeszła między siedzeniami i z przepaszającym uśmiechem usiadła obok Marianny. Marianna oddała uśmiech. Z zadowoleniem patrzyła na odmienioną twarz Anny, jej wyprostowaną postać i błyszczące oczy. Dziewczyna ubrana była bardzo skromnie, ale ubogi strój rekompensowały młodość, ładna twarz, zgrabna figura i gęste jasne włosy.

- Raczykowa miała rację. Anna wygląda inaczej. Jest w tym trochę mojej zasługi – pomyślała z satysfakcją.

9. Narada. Niedziela, 21 września 52



O drugiej po południu wszyscy już byli w pokoju Marianny na Młyńskiej w domu Kozińskich. Wcześniej Kozińska zabrała do siebie Zosię.

- Dobrze, że zaczęłaś spotykać się z ludźmi. Zmieniłaś się po pobycie w Mielnie. Wreszcie się uśmiechasz. Może to zasługa panny Anny – powiedziała Kozińska do Marianny zanim wyszła z Zosią. – Zosia będzie wam przeszkadzać - dodała, przypominawszy sobie o przyjściu innych gości. - A my z Zosią bardzo się lubimy razem bawić. Prawda Zosieńko – zwróciła się do dziewczynki, a ta z uśmiechem skinęła główką, na której tkwiły mocno dwie piękne kokardy. .

- Nie obawiaj się – Marianna uspokoiła Annę po wyjściu gospodyni. – Kozińscy to porządni ludzie. Nie są wścibscy, nie donoszą. Niech myślą, że jesteś panną.

Marianna i Anna zbliżyły się do siebie od wczorajszego wieczora. Miały okazję swobodnie i spokojnie porozmawiać. Nie wałkowały sprawy poszukiwań i nie wracały do przeszłości. Mówiły o swoim codziennym życiu. Wieczorem poszły do kuchni Kozińskich i upiekły ciasto drożdżowe. Pośmiały się przy tym, bo żadna nie miała wprawy i musiały poddać się radom gospodyni. Później, już w pokoju Marianny, ustaliły, co będą mówić wszystkim ciekawskim o swojej znajomości. Wersja, że Anna jest córką dawnych dobrych znajomych rodziców

Marianny jeszcze z Maniewicz, była najwygodniejsza. Marianna opowiedziała Annie o Maniewiczach, o mieszkających tam ludziach, o swojej rodzinie. Pierwszy raz, po tylu latach, wspomnienia sprawiły jej przyjemność. Dopiero w niedzielę rano zdecydowała się na pokazanie Annie czapki, którą znalazła pani Nowak. Anna zareagowała spokojnie, co zmartwiło Mariannę. Nie raz widziała spokój ludzi, którzy byli na skraju załamania nerwowego. Anna wzięła do ręki czapkę, podeszła do okna, przyjrzała się jej uważnie i powiedziała:

- Tak, to jego czapka. Zawsze w niej chodził.

Potem przycisnęła czapkę do siebie i rozszlochała się.

- Dzięki Bogu - pomyślała Marianna. – Płacz oczyszcza.

Niedzielne spotkanie zaczęli od picia herbaty, kosztowania drożdżowego ciasta i banalnych głośnych rozmów. Marianna włączyła radio i usłyszeli znany i ograny refren „ukochany kraj, umiłowany kraj”. Słuchali. Nie chcieli, aby gospodarze podejrzewali, że spotkanie ma inny charakter niż towarzyski, że gromadzi ich jakaś poważniejsza sprawa, a nie flirtowanie i żarciki. Zresztą im także przydała się chwila beztroski.

- Ładny odbiornik – stwierdził Tadeusz Wysocki podchodząc do stojącego na małej szafce radia. – Przedwojenny Simens Mars. Dobrze odbiera.

- Dostałam je od gospodarzy. Oni mają większe radio. Też poniemieckie – odpowiedziała Marianna.

Odprężyli się, a Anna, milcząca i smutna od przyjścia mężczyzn, wreszcie zaczęła się lekko uśmiechać. Informacji, które mieli sobie przekazać było dużo. Paweł jako pierwszy opowiedział o wydarzeniu na strychu, bo wszyscy niewtajemniczeni od początku spotkania z niepokojem przyglądali się sińcom pod jego oczami. Zaskoczyła ich wiadomość o Grzegorzu. Paweł przedstawił go jako kolegę z czasów wojny, z podziemia, człowieka przedsiębiorczego i honorowego. Ale fakt, że Grzegorz pracuje u Czarnej Janki nie spodobał się nikomu.

- Mam spotkać się z nim dziś późnym wieczorem – powiedział Paweł, patrząc na Tadeusza. Ten natychmiast chciał zaprotestować, ale Paweł oznajmił stanowczo:

- Spotkam się z nim sam, ty odpocznij. Od dłuższego czasu krążysz między Koszalinem a Mielnem. Narażasz się, zarywasz noce, a potem rozwozisz samochodem gazety. Zamęczysz się. Kończymy obserwację domu Czarnej Janki, bo to już nie ma najmniejszego sensu. Grzegorz wie o wszystkim, co tam się dzieje. Zaryzykuję i powiem mu o naszych poszukiwaniach. Jeśli się nie zmienił, pomoże nam.

- A jeśli współpracuje z UB? A jeśli sam jest zamieszany w te zaginięcia? - padały pytania, ale i tak wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że muszą zaufać Grzegorzowi. Być może będą musieli zdradzić swoją tajemnicę także innym osobom, bo wyglądało na to, że bez poszerzenia grupy nie posuną się ani o krok dalej.

- Zaryzykuję. Żałuję tylko, że Grzegorz widział też ciebie, bo jeśli się co do niego mylę, to ty też będziesz zagrożony. Wszyscy będziemy – dodał ponuro Gliński.

- Ale zastanówmy się, co nam grozi? - trzeźwo zapytała Marianna i zaraz odpowiedziała na postawione przez siebie pytanie. – Niczego złego nie zrobiliśmy. Jesteśmy znajomymi, spotykamy się i tyle. Nic nam nie robią.

- Spotykamy się i tyle, nic nie zrobiliśmy – zdenerwowany Tadeusz przedrzeźniał Mariannę. - Przepraszam cię, ale dla nich samo spotkanie się jest podejrzanе i mogą nas oskarżyć o wszystko: spisek przeciwko władzy ludowej, szpiegostwo na rzecz wrogich mocarstw czy założenie faszystowskiej organizacji. Moja rodzina już jest uznana za wroga ludu. A pomyśl o Pawle!

- Przestań! - zawołała Marianna. - Chciałam was uspokoić. Przecież mamy tylko dwa wyjścia. Zaprzestać poszukiwań i nie ryzykować, albo prowadzić poszukiwania i ryzykować. Ja też chciałam zaproponować wtajemniczenie jednej osoby. Nazywa się Racykowa. Dużo mi powiedziała o ludziach z Mielna i jeśli powiem jej o naszej sprawie, to myślę, że powie mi jeszcze więcej. Mam wrażenie, że ona już się domyśla, o co nam chodzi. Wie o Annie, o Tadeuszu i oczywiście o tobie – zwróciła się do Pawła.

Powiedziawszy to, Marianna pytająco spojrzała na Annę. Ta skinęła przyzwalająco głową, więc Marianna wzięła leżącą na okiennym parapecie czapkę i powiedziała:

- To jest czapka Antoniego Czupy. Nowakowa, następnego dnia po jego zaginięciu, znalazła ją w parku z jeleniem, a dokładnie przy samym pomniku jelenia. Widziała Antoniego w tej czapce

w dzień zaginięcia, jak szedł do parku i kiedy z niego wracał. Nikomu o znalezieniu czapki nie powiedziała, nawet Annie. Wczoraj dała ją mnie i prosiła o przekazanie żonie Antoniego. Sama prawdopodobnie wstydziła się swojego długiego milczenia. To naprawdę jest czapka Antoniego. Anna ją rozpoznała.

Paweł i Tadeusz byli zaskoczeni. Paweł dokładnie obejrzał znalezisko.

- Nie ma na niej śladów krwi – orzekł – ale teraz wiemy, że Antoni znalazł się w dniu zaginięcia w miejscu, w którym nigdy przedtem nie bywał. Coś albo ktoś wyciągnął go z baru. Skoro Nowakowa widziała także, że wracał w czapce z parku do „Mewy”, to musiał być w parku dwukrotnie, dwukrotnie też wchodził i wychodził z „Mewy”. Czy rzeczywiście nikt go wtedy nie widział? Nikt nie zauważył, co się z nim działo? Nikt nie wie, czy się z kimś spotkał? Trudno w to uwierzyć!

Czapka Antoniego zmieniła ich nastawienie. Wszyscy poczuli to samo. Złapali trop i już nie będą zważać na ryzyko. Nie mogli porzucić poszukiwań. Marianna przekazała krótko opowieści Raczykowej o mieleńskich przypadkach – Paweł już o nich w większości wiedział – w tym o Raczyku i jego zainteresowaniu młodymi kobietami Tadeusz czekał z niecierpliwością na swoją kolej.

- Nawiązałem kontakt z Robertem - rozpoczął gorączkowo – gościem, który jeździ motorem z przyczepą. Zaobserwowaliśmy z Pawłem, że był u Czarnej Janki. Przywiózł klientów, karciarzy. Zabrałam się z nim wczoraj wieczorem do Mielna. Był bardzo miły i usłużny. Dowiedziałem się, że przyjeżdża tak często do Mielna, bo prowadzi hodowlę lisów, tę na łąkach nad Jamnem. Przyszło mi nawet do głowy, żeby też go włączyć do naszej ekipy, bo wygląda na to, że ma dużo kontaktów i prowadzi z różnymi typami różne interesy. Sprowadza ludzi do burdelu, hoduje lisy i do tego pracuje w Koszalinie. Ciekawy osobnik. Prawda? Może przydałby się nam ktoś taki, mający dobre układy. Ale chyba na to za wcześnie. Trzeba by się o nim czegoś więcej dowiedzieć.

- Racja – zgodził się Paweł. – Podpytam Grzegorza, a potem zdecydujemy. Do tej pory w ogóle nie zdążyliśmy sprawdzić, co dzieje się po drugiej stronie jeziora. Trzeba będzie się tym zająć.

Tadeusz przez chwilę zastanawiał się, czy powiedzieć o tym, że Robert podwiózł go do „Mewy”, do jego rzekomej dziewczyny. Łatwo było domyślić się, że chodziło o Annę, więc i Robert mógł tak pomyśleć. Teraz, w obecności Anny, Tadeusz czuł się z tego powodu mocno

zażenowany. Widział ją dziś po raz pierwszy. Przyjrzał się i stwierdził, że jest ładna, ale zabiedzona i źle ubrana.

- Mogłaby się podobać, gdyby nie brak klasy – pomyślał i natychmiast zawstydził się swojego poczucia wyższości.

- Robert podwiózł mnie do „Mewy” – wydukał. - Było późno i powiedziałem mu, że jadę na noc do dziewczyny, która tam pracuje i mieszka w sąsiedztwie. Chyba źle zrobiłem. Mógł pomyśleć, że chodzi o panią – zwrócił się do Anny, nie patrząc na nią.

Anna spłonęła mocnym rumieńcem i nie odezwała się. Wyjęła zeszyt i położyła na stole. Otworzyła go i przekartkowała. Pozostała trójka pochyliła się nad zeszytem, pomijając milczeniem wyznanie Tadeusza. Zdumieni patrzyli teraz na szkice postaci zrobione tak dokładnie, że można było rozpoznać twarze, sylwetki i ubiory.

- To jest pan Kozłow – Anna wskazała na rysunek przedstawiający mężczyznę pochylonego nad stołem. Zajadał obiad. - A to ormowiec z Mielna. Nazywa się Matczak. Wszyscy się go boją.

- A to kobieta z domu Czarnej Janki! – wykrzyknął Tadeusz, widząc przedstawienie pięknej blondyny. - Otworzyła mi drzwi, kiedy poszedłem tam pytać o Juliana!

Spojrzał na Annę z podziwem – Ależ pani pięknie rysuje!

- Chyba tylko to potrafię – odrzekła Anna i uśmiechnęła się smutno. – Uczyłam się trochę w szkole przed wojną.

- Mówcie do siebie po imieniu - Anna, Tadeusz – zaproponowała Marianna, a oni oboje skinęli głowami.

– Anno, ty naprawdę masz wielki talent i z pewnością nie tylko rysować potrafisz – poparła Tadeusza Marianna, która z nieukrywanym podziwem patrzyła na rysunki. Anna mówiła dalej:

- Ten Kozłow często do nas, to znaczy chciałam powiedzieć do „Mewy”, przychodzi. Je obiady. Bufetowa mówi, że widzi go raz, dwa razy w tygodniu, a kelnerki go lubią, bo daje im napiwki – Anna wyraźnie walczyła z nieśmiałością i z trudem przełamywała w sobie niechęć do odzywania się. – Ormowiec Matczak bardzo często przychodzi. Pije i rozmawia z różnymi

takimi. Najczęściej z milicjantem z posterunku w Mielnie. Ta pani z tym panem, to byli pierwszy raz. Nie wiem, kim są. Dziewczyny z kuchni ich podglądały i śmiały się, że taki stary i gruby, a ona ładna i elegancka, ale że na pewno luksusowa kurwa.

Mocny rumieniec wypłynął na twarz młodej kobiety po tym, gdy wypowiedziała ostatnie słowa.

- Chyba mają rację - odezwał się Paweł, chcąc przykryć zażenowanie Anny.

Tadeusz chrząknął i zrobił kwaśną minę. Wulgaryzm w ustach Anny wyraźnie mu się nie spodobał. Marianna z uwagą przeglądała rysunki i czytała zapiski. Na kilku z nich robotnicy z pegeeru pili piwo i wódkę. „Mówili o robocie”, „mówili o inżynierze”, „śmiali się z Polusia” zapisała pod rysunkami Anna.

- To ciebie nazywają inżynierem – przypomniała sobie Marianna, zwracając się do Pawła i natychmiast zapytała Annę:

- Co mówili o Pawle, o inżynierze?

- Słyszałam, że zastanawiali się, skąd się wziął w Mielnie, dlaczego nie ma rodziny i takie tam. Ale chwalili, że zna się na swojej robocie, że wszystko umie naprawić – padła odpowiedź.

- A kim jest Poluś? - dopytywała Marianna.

- To taki co jeździ wozem w geesie. Wozi węgiel, cement i wszystkie takie rzeczy, których nie wozi Raczyk. Raczyk wozi spożywcze, a Polus budowlankę i śmieci. Raczyk uważa się za wielkiego pana, a Polusia to ma za nic. Inni też się z niego śmieją, bo zawsze jest umorusany i wesołkowaty.

- Zbierzmy to wszystko razem i zastanówmy się, co dalej robić – przerwał rozmowę kobiet Paweł.

- Dobrze – zgodziła się Marianna i podniosła z krzesła. - Ale najpierw zjedzcie jeszcze trochę ciasta, a ja nastawię wodę na herbatę. Stara zupełnie wystygła.

Ucichli na chwilę. W pokoju Marianny nie było przytulnie. Proste stare meble, gołe wyszorowane deski na podłodze, przykryte kapą podwójne łóżko i wiszący nad nim landschaft nie nadawały pomieszczeniu domowej, ciepłej atmosfery. Żadnych ozdób, wazoników,

doniczek z kwiatami, serwetek i innych drobnostek łagodzących skromność umeblowania. Goła żarówka wisząca nad stołem, jeszcze niezapalona, wzmagала odczucie surowości. Jedyne pokrojony placek drożdżowy, parująca już z kubków świeża herbata i spokojny głos Mieczysława Fogga płynący z radia, ocieplały serca siedzących przy stole.

- Ustalmy najpierw kogo wtajemniczymy w naszą sprawę – Paweł rozpoczął nowy wątek rozmowy. - Z pewnością musi to być Grzegorz i jego biorę na siebie. Roberta trzeba jeszcze sprawdzić, a przy okazji spenetrować łąki. A co z Raczykową? - spojrzał po zebranych.

- Ja jej ufam i chętnie z nią porozmawiam – zapewniła Marianna.

- Trzeba poczekać – zaproponował Tadeusz. – Trzeba dowiedzieć się więcej o niej i jej mężu.

- W porządku, poczekam – zgodziła się natychmiast Marianna. – Ale kogo o nich dopytywać?
- zastanowiła się głośno.

- Ja mogę popytać w „Mewie” - zaproponowała Anna. – Tam zawsze dużo się plotkuje.

- A teraz ustalmy dalsze działania – Paweł ponownie przejął inicjatywę. - Kilka osób warto by dyskretnie poobserwować. Na przykład tego Mietka Kwiatka od Halinki Nowak. Także lesera i karciarza Kozłowa. Trochę się o nich dowiem od Grzegorza, ale dobrze byłoby ich pośledzić. Co do reszty nie mam zdania. Wszystkich i tak od razu nie rozgryziemy. Od kogoś trzeba zacząć i liczyć na łut szczęścia.

- A ormowiec? - zaniepokoiła się Marianna. – Moim zdaniem ten Matczak, to podejrzany typek.

- Mogę pośledzić ormowca. I Mietka Kwiatka też. Znam ich. Kwiatek też pije w „Mewie” piwo – odezwała się Anna.

- Ale to niebezpieczne! Ty i dwa typy spod ciemnej gwiazdy! - krzyknęła szczerze zaniepokojona Marianna, a panowie, zgadzając się z nią, pokiwali głowami.

- Poradzę sobie. Umiem chodzić cicho i być niewidzialna. Byłam w harcerstwie – powiedziała Anna, nie zamierzając ustąpić. - Zresztą mnie prawie nie widać. Nikt na mnie nie patrzy. Nic mi się nie stanie. Czasem nie śpię w nocy, a czasem mam wolny dzień. Nie chcę już siedzieć w domu. Położę za nimi.

- Dobrze – zgodził się Paweł, bo wyczuł w jej głosie zdecydowanie i nutkę desperacji. – Ale musisz bardzo uważać. - Pomyślałem – zwrócił się teraz do Tadeusza – że moglibyśmy obserwować Roberta i Kozłowa razem, to znaczy ty w Koszalinie, a ja w Mielnie. Przez jakiś czas nie będziesz musiał jeździć do Mielna.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł – naburmuszonym tonem skomentował propozycję kolegi Wysocki, bo czuł się lekko urażony tym, że zostaje odsunięty od poważnych działań.

- Musisz trochę przystopować z wizytami w Mielnie – upierał się przy swoim Górski. – Moje włóczenie się po Mielnie nikogo nie dziwi, ale na ciebie ludzie patrzą uważnie.

- Dobrze. Rodzice będą spokojniejsi – poddał się Tadeusz. - W wolnym czasie przyuważę, gdzie mieszka Robert i odwiedzę hotel, w którym przesiaduje Kozłowski. Czy może pani, czy możesz Anno - poprawił się – dać mi rysunek, na którym jest Kozłowski? Będę mógł pokazywać w hotelu i w ogóle.

Anna bez słowa wydarła kartkę z zeszytu i podała Tadeuszowi, a on spojrzał na rysunek i z podziwu pokręcił głową.

- Niesamowite – wyszeptał.

- No to dla mnie zostali Raczykowie i Halinka – zauważyła Marianna.

- Możesz jeszcze rozpracować Polusia – roześmiał się Paweł. - Doprowadzi cię na mieleńskie śmietnisko.

- Na śmietniku można znaleźć ciekawe rzeczy, więc się tam wybiorę – odcięła się natychmiast Marianna.

Przy stole znów zapadła cisza, a z radia do ich uszu przebiła się piosenka: „Małe mieszkanko na Mariensztacie”. Małe mieszkanko, spokój, rodzina, miłość – taki prosty, a dla nich nieosiągalny obcy świat. Rozmowa o ich sprawie nagle zaczęła wszystkich męczyć. Mieli dość podejrzewania wszystkich dookoła, bez żadnego punktu zaczepienia. Poza czapkę Antoniego nie mieli przecież innych śladów, a i czapka, prawdę mówiąc, niewiele mogła pomóc. Dotychczas nie udało się wytypować podejrzanego, o ile taki ktoś w ogóle istnieje. Może nikt nie był winny zaginięcia? Działali na ślepo, narażali się. Nie mieli pewności, czy ich podejrzenia są słuszne, a przecież zabawa w policjantów mogła skończyć się aresztowaniem i

przesłuchaniami. Służby nie uwierzą, że nie knują przeciw władzy. Oni, społeczni wyrzutowie. W dodatku tak naprawdę pomawiali na chybił trafił być może zupełnie niewinnych ludzi, rozgrzebywali stare historie i wkraczali z butami w prywatne życia. Ponure myśli i ogólne zaszępienie przerwało pukanie do drzwi pokoju i szebiot dziecka. Kozińska przyprowadziła Zosię.

- Dzień dobry! – zawołała od progu Kozińska. – Jakie miłe towarzystwo! Powiedz „dzień dobry”- zachęciła zawstydzoną dziewczynkę.

Zosia dygnęła i powiedziała „dzień dobry”. Stała trochę onieśmielona licznym towarzystwem, spuściła główkę, ale zerknęła na gości ciekawie. Uśmiechnęła się szeroko na widok Pawła. Podbiegła do niego i przytuliła się ufnie.

- Zosieńko, jak ty urosłaś! - wyjąkał zakłopotany Paweł, bo nic mądrzejszego, poza tą wyświechtaną formułką, nie przyszło mu do głowy.

Wszyscy roześmiali się i odprężyli. Mały spokojny świat przyszedł do nich sam. Wiedzieli, że tylko na krótko, ale przyjemnie było zanurzyć się w nim choć na krótki czas. Marianna zaprosiła Kozińską do stołu i z zakłopotaniem rozejrzała się za dodatkowym krzesłem.

- Przyniosę trochę nalewki. Musicie spróbować. To specjalność mojego męża. Niech pan pójdzie ze mną, panie Pawle. Przyniesie pan krzesło – zdecydowała Kozińska, wyraźnie zadowolona z zaproszenia.

Po minucie dodatkowe krzesło stało przy stole, a na nim taca z kryształową karafką z purpurową zawartością oraz pięć małych kryształowych kieliszków.

- Pójdę zaprosić pani męża – sumitowała się Marianna.

- Nie trzeba. Śpi. A ja chętnie trochę popatrzę na młodych. Przypomną się dawne dobre czasy – stwierdziła gospodyni.

Rozmowa przy stole potoczyła się wartko i przyjemnie. Zosia, siedząc już na kolanach Marianny, zjadała ciasto i patrzyła na wszystkich uważnie. Kozińska uśmiechała się radośnie do młodych ludzi, chowając pod stołem spękane od pracy ręce. Dopiero teraz Marianna zauważyła jej podniszczoną wiekiem, pracą i złym losem urodę: jasne włosy zaplecione w

warkocz owinięty dokoła kształtnej głowy, duże niebieskie oczy, piękny wykrój ust, za którymi, niestety, rzucał się w oczy brak dwóch przednich zębów.

- Boże - pomyślała Marianna – jakże nas wszystkich sponiewierała wojna, a teraz pozbawiono nas także nadziei na lepsze jutro.

Najwcześniej wyszedł Paweł.

Rozdział trzeci



1. Pierwszy ślad. Niedziela noc - poniedziałek, 21-22 września 52



Rzucili się sobie w objęcia. Nie mogli się powstrzymać. Długo klepali się po plecach, nie patrząc sobie w twarze, aby ukryć wzruszenie. Każdy z nich dobrze wiedział, że cudem jest to,

że żyją. Kiedy zwolnili uścisk, spojrzeli jeden na drugiego z nieukrywaną radością i znów uścisnęli. Stali potem obok siebie bez słowa i patrzyli na ciemne, spokojnie falujące morze. Paweł Gliński, a właściwie Paweł Lach, czuł jeszcze w sobie ciepło wypitej u Koźmińskich nalewki, gdy Grzegorz wyciągnął zza pazuchy butelkę.

- Stary, musimy się napić za nasze spotkanie – powiedział. - Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem zawsze. Oczywiście, gdy człowiek ciągle jeszcze żyje. A my żyjemy!. Stary! Żyjemy! Spróbuj – zaproponował, podając Pawłowi butelkę. - Bimber, ale z dobrego źródła. Czyściutki i doprawiony karmelem.

Usiedli pod wydmą. Rozgrzani emocjami i alkoholem nie czuli chłodu wrześniowej nocy. Piasek był jeszcze ciepły po słonecznym dniu, noc bezwietrzna, niebo zachmurzone, morze spokojne. Fale szemrały monotonnie, rozplywając się na przybrzeżnym piasku. Pili bimbier z butelki i milczeli. Zbyt dużo było do powiedzenia. Ich milczenie było tym dobrym rodzajem milczenia, które zbliża, a nie oddala. Wiedzieli, że obaj myślą teraz o tym samym - o kolegach, którym nie udało się przeżyć czasów wojny, a szczególnie o tych, którzy zostali zabici po wojnie, po tak zwanym wyzwoleniu.

- Grzesiu – Paweł odezwał się pierwszy. – Jak ci się udało? Jak trafiłeś do Mielna, do tego... – zawiesił głos.

- Do tego burdelu? - podjął Grzegorz.

- Tak, do burdelu i to dla sowietów – dokończył Paweł i nie krył złości.

- Stary, mówiłem ci, że najciemniej jest pod latarnią. Ale poważnie. Słuchaj bracie. Jak się rozproszyliśmy, zostałem w Białogardzie i pewnie siedziałbym tam do dziś na lewych papierach, gdyby nie fatalna historia z pijanym czerwonoarmiejcem. Może słyszałeś o procesie Heńka Piotrowskiego? – rozgadał się Grzegorz.

- Nie słyszałem.

- No tak, sprawa była utajniona. Więc nie możesz wiedzieć, że byłem z Heńkiem wtedy, kiedy on zabił Wasyla Walownika. Tak nazywał się ten czerwonoarmiejec. Heniek stanął w obronie Niemki. Nazywała się Gehrke. Wiem to wszystko z procesu. Obu nas aresztowano na miejscu. Myślałem, że ze mną koniec. Ale okazało się, że szefem Wojskowego Sądu Rejonowego w

Koszalinie jest mój brat stryjeczny Filip Feld. Nie widziałem go od lat trzydziestych, czyli przez kilkanaście lat. Wiedziałem, że komunizuje, ale nie wiedziałem, że przez lata zrobił u bolszewików prawdziwą karierę. Skończył Szkołę Ludowego Komisariatu w Kujbyszewie i stał się szyczą w UB. Przyszedł do mojej celi po aresztowaniu. Taki przypadek, łut szczęścia. Poznał mnie i za mnie poręczył, choć oczywiście nie podał mojego prawdziwego nazwiska. Stary, on mnie wyciągnął z łap UB i nigdy nie wydał! I tak uniknąłem czapy. Heniek dostał kaes. Nie wiem, czy go zastrzelili, czy powiesili. On też mnie nie wydał, choć o tym, że uratował mnie Filip, nie mógł przecież wiedzieć.. Zeznał, że spotkaliśmy się dopiero w pociągu i że ja nic wspólnego nie mam z zabiciem sowieta. A wiesz jak naprawdę było? Przyjechaliśmy wtedy razem z Białogardu do Koszalina, bo mieliśmy umówione spotkanie. Pech chciał, że natknęliśmy się na tego ruska i tę nieszczęsną Niemkę niedaleko dworca. Rusek się do niej dobierał, a kiedy zaczęliśmy go odciągać, wyciągnął pistolet i w nas wymierzył. Ja nie byłem uzbrojony, ale Heniek miał waltera. Zawsze był honorowy. Zabił kanalię. Nie zdążyliśmy zwać. I tak to się skończyło. On nie żyje. A ja? Cóż, głupi ma zawsze szczęście – Grzegorz zamilkł i zwiesił głowę.

- I to kuzyn wsadził cię do Czarnej Janki? – zapytał zaskoczony opowieścią kolegi Paweł.

- Tak. To on załatwił mi tę robotę – butnie odpowiedział Grzegorz.

- I co? Chcesz w niej dalej tkwić?

- Nie wiem. Nieźle zarabiam. Mam dwóch ludzi od czarnej roboty. Pilnuję, żeby był spokój i do niczego innego się nie wtrącam. Mniej wiesz, dłużej żyjesz, jak mówią Rosjanie. Czasy są takie, że można tylko wegetować. Albo to się skończy, albo nie. Nie wiadomo. Paweł, ja już mam dość nadstawiania głowy za innych.

Paweł rozumiał Grzegorza bardzo dobrze, ale nie mógł pogodzić się z jego znajomościami z ludźmi z UB, NKWD, partyjniakami i szemranymi typami.

- To jakich masz teraz przyjaciół? - zapytał, a tamten natychmiast zrozumiał kontekst pytania.

- Nie mam przyjaciół, nie mam nawet znajomych, a z kuzynem nie spotykam się. Obaj nie mamy na to ochoty.

Nie wiedzieć czemu, Paweł uwierzył Grzegorzowi. Chyba wyłapał głęboki i szczery smutek w jego głosie.

- No cóż. Teraz moja kolej. Opowiem ci moją historię – powiedział i poczuł ulgę, że wreszcie znalazł właściwego słuchacza, takiego, który wiele o nim wie i wszystko zrozumie.

- Nie zależy mi już na tym, czy mnie zdradzi, czy nie. Jeśli mnie zdradzi, to mam nadzieję, że zdąży zastrzelić i jego i siebie, zanim mnie aresztują - pomyślał zanim zaczął swoją opowieść.

Kiedy skończył, alkohol mocno szumiał im w głowach. Śmiali się na przemian i płakali. Wróciły wspomnienia. Wrócili wojenni i powojenni nieżyjący przyjaciele, zabierając im radość z tego, że przeżyli.

- Grzesiu – powiedział Paweł, czując jak nagle trzeźwieje – chcę ci wreszcie wyjaśnić, co robiłem na strychu.

- Stary! Ty też jesteś w czepku urodzony! - wykrzyknął Grzegorz i sam się uciszył. - Cholera, jeszcze nas ktoś nakryje. Ale co tam, nie wolno się napić nad morzem w nocy! Jesteś w czepku urodzony – powtórzył szeptem - bo gdybym posłał na strych jednego z moich zakapiorów, to już byś nie żył. Paniatno!

- Paniatno! Paniatno! Mam mówić, czy jesteś za bardzo pijany?

- Pijany! Chyba ze szczęścia, że ciebie widzę! – wykrzyczał szeptem Grzegorz i uściśnął Pawła.

- Może spotkajmy się jutro i wtedy pogadamy. Obaj mamy już nieźle w czubie – Paweł ostrożnie wyzwolił się z objęć kolegi.

- Mów, już się uspokajam – stwierdził Grzegorz, wstał i wciągnął głęboko w płuca morskie powietrze.

- Zrób to samo – zwrócił się do kolegi. - Oprzytomniejesz. Uwielbiam zapach morza.

Stali, oddychali i patrzyli na łagodnie falującą wodę. Za horyzontem był wolny świat. Duńska wyspa Bornholm. Kiedy znów usiedli Paweł spokojnie i krótko wyłożył sprawę tajemniczych sierpniowych zaginięć. Opowiedział o Marianie, Antonim i Julianie. Powiedział też o Walerii, Mariannie, Annie i Tadeuszu.

- Jasna cholera – zaklął Grzegorz. – Wiesz co? Słyszałem o zaginięciu dziewczyny w sierpniu dwa lata temu. Hałas był na całe Mielno i Unieście, bo to była córka zastępcy burmistrza Koszalina. Akurat przygotowywano przeniesienie województwa do Koszalina, więc nikomu nie była na rękę żadna afera. Ale jej ciało znaleziono, więc może sierpień to tylko przypadek. Ale coś tam słyszałem o żołnierzu, który także zaginął w sierpniu ubiegłego roku. Nie znaleziono go ani martwego, ani żywego. Za bardzo go nie szukali. Podobno chłopak dużo pił, więc przyjęto, że się utopił. Przyjechała jego matka z centralnej Polski i pytała o niego, ale wojsko odprowadziło ją z niczym.

- O tej dziewczynie też słyszałem. Wiosną 50-tego roku przeprowadziłem się do Mielna i pamiętam, jak jej szukali – przypomniał sobie Paweł i zamyślony dodał:

- O żołnierzu nie wiedziałem. Po tym, co powiedziałeś zaczynam być pewny, że nawet jeśli nasze poszukiwania nie mają sensu i nie skończą się dobrze, to już nie możemy ich zaniechać. Sprawy zaszły za daleko. Prawdę mówić, liczę na to, że nam pomożesz - zwrócił się do Grzegorza.

- Kłopoty to moja specjalność – roześmiał się Grzegorz. – Oczywiście, że wam pomogę. Już się nie mogę doczekać, kiedy zobaczę twoje dzielne panienki, Annę i Mariannę. Wiesz, z jakimi kobietami mam teraz do czynienia. Ale co ja bredzę. Przecież w większości to dobre dziewczuchy.

- Grzesiu – przerwał mu Paweł, bo poczuł straszliwe zmęczenie. – Spotkajmy się jutro, a właściwie to już dzisiaj. Możesz? Ja zasypiam. Za dużo wrażeń na dziś i za dużo alkoholu.

- Mogę, ale najlepiej przed wieczorem. A jeszcze lepiej przed obiadem.

- Dobrze. Gdzie się spotkamy? O której? Ja wezmę dzień wolny.

- Mówiłeś o czapce znalezionej w parku. Może przeszukamy park i rozejrzemy się w pobliskim terenie? - zaproponował Grzegorz. - Bez pracy nie ma kołaczy. Przy okazji powiem ci, kto i po co bywa u Czarnej Janki.

- O której? – dopytał Paweł.

- Trzeba się wyspać. O dwunastej może być?

Kiedy Paweł przyszedł do parku, kolega już na niego czekał. Siedział na białej ławce odwrócony bokiem do muszli koncertowej i patrzył na pobliski las. Pachniało jesienią. Drzewa spowijała ciepła wilgoć i lekka mgła. Kwiaty na klombach przekwitały i czerniały.

- Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje! – zawołał Grzegorz na widok Pawła. - Dobra pogoda. Ludzie nie łążą. Jak się spało? Nie bałeś się przyjść? Nie pomyślałeś, że będę na ciebie czekał w towarzystwie funkcjonariuszy? - roześmiał się z nieukrywaną złośliwością. – Nie uwierzę!

- A coś ty taki nie w sosie? Wstałeś lewą nogą? – zapytał Paweł, podejmując styl Grzegorza, choć w duchu musiał przyznać mu rację, bo miał obawy.

- Przepraszam – powiedział na to Grzegorz. - Nad ranem wytrzeźwiałem i naszły mnie czarne myśli. O mnie, nie o tobie. Ale dość już mazgajstwa. Co robimy? Gadamy, czy działamy? -

- Pogadajmy. Znasz tego faceta, który hoduje w Mielnie na łąkach lisy? - Paweł przysiadł na ławce obok kolegi.

- Czy ty mnie sprawdzasz? - wściekłym głosem zapytał Grzegorz. – Przecież musiałeś go widzieć u nas, kiedy siedziałeś na strychu!

- Teraz to ja przepraszam, wygłupiłem się. Powiedz mi, co nim wiesz – ugodowo poprosił Paweł.

- Zarzycki to cwaniak i kombinator. Ze wszystkimi trzyma sztamę, bo chce zarobić. Wiesz, że mieszka w Koszalinie. Zaczepił się w Spółdzielni Przemysłu Skórzanego. Dużo jeździ po terenie. Często przyjeżdża do Mielna, bo dorabia sobie, gdzie tylko może. Hoduje lisy. Trzeba przyznać, że ma dobry towar. Skóry są gęste, puszyste i dobrze wyprawione, a ceny przystępne, ale tylko dla znajomych. Nasze panienki od niego kupują. Wiesz, szale, etole i takie tam różne modne kołnierze. Nasi klienci też od niego kupują. Dla swoich żon – roześmiał się Grzegorz - żeby nie pytały, co robili w nocy. Robert więc bywa u nas często. Czasami lubi się zabawić, ale zawsze z tą samą ulubioną panną. Przyprowadza też do nas nowych klientów. Różnych takich nadzianych karciarzy i dziwkarzy. Chyba ma z tego jakąś dolę, a przy okazji znajduje chętnych na swoje lisy. Zarabia niezłe sumki. Wiadomo, za dziękuję nic się nie kupuje. Ma też dobre zabezpieczenie, bo u nas byle kto nie bywa. Nikt go nie rusza. Przynajmniej na razie.

- A byłeś na jego fermie? Kogoś zatrudnia, czy sam sobie radzi?

- Nie byłem. Słyszałem, że ktoś mu pomaga, ale nie wiem kto. Podejrzewasz go o coś? Według mnie to tylko chytry na forszę cwaniak i goguś. Lubi się dobrze ubrać i paradować przed innymi. Chwali się do znudzenia tym swoim Zündappem, lotniczymi kurtkami, spodniami i pilotkami. Ale w sumie to spokojny i całkiem miły gość. Każdemu pomoże, jak może – znów parsknął śmiechem Grzegorz. - Janka go bardzo lubi, a ona ma nosa do ludzi.

- Swoją cięgnie do swego - podsumował Paweł, strofując się w duchu, że naśladuje Grzegorza, który najwyraźniej lubił posługiwać się przysłowiami. -- Taka mała złośliwość z mojej strony – usprawiedliwił się natychmiast i zapytał:

- A Kozłów? Co o nim wiesz?

- Kozłowa interesuje tylko gra. Jest zatwardziałym hazardzistą i szulerem. Nie może żyć bez hazardu, więc gra wszędzie, z każdym i we wszystko, byle tylko grać. Wygrywa duże sumy i wszystko natychmiast przegrywa. Nie wiem, jak żona z nim wytrzymuje. Ładna kobieta. Ma z nim dzieci, więc chyba musi się godzić na wszystko. Mieszkają w Mielnie w niezłym dużym domu na rogu Chrobrego i Pionierów.

Rozmowa urwała się. Paweł dowiedział się tego, co go ciekawiło najbardziej. Wstali więc i rozejrzeli się w parku. Weszli do muszli, sprawdzili jej skromne i zaniedbane zaplecze, przyglądali się śmieciom rzuconym za muszlą. Nie znaleźli niczego, co mogłoby ich zainteresować.

- Zajrzyjmy do bunkrów. Są tu niedaleko. Ponure miejsca, więc warto je sprawdzić – zaproponował Grzegorz. – Byłeś w środku?

- Nie, nie byłem. Słyszałem, że trzeba do nich wchodzić przez okna, bo nie mają wejść. Ciekawe dlaczego? - zastanawiał się Paweł. - Nie wziąłem latarki, a w środku jest ciemno – dodał.

- Ja mam latarkę - Grzegorz wyjął z wypchanej kieszeni kurtki zgrabną latarkę sygnałową Narva i pochwalił się. - Zdobyczna. Ja też tam nie włąziłem. Nie mam dobrych wspomnień z ciemnych, mokrych i zimnych piwnic. Ale z tobą pójde. Wiadomo, dla towarzystwa cygan dał się powiesić.

Szli wolno przez las z przyjemnością wdychając wilgotne jesienne zapachy, które łagodziły poalkoholowe dolegliwości. Kierowali się na południowy zachód w stronę ulicy Kościelnej.

Przekroczyli pierwszy wał, weszli na drugi i zobaczyli wschodni bunkier. Obeszli go wokół i niczego nie znaleźli oprócz połamanych sosnowych gałęzi i dojrzałych szyszek. Wejście do środka nie sprawiało trudności. Prostokątne otwory okienne w grubych betonowych ścianach były dość szerokie i umieszczone niewysoko nad ziemią. Światło z zewnątrz padało przez nie kilkucentymetrową smugą. Dalej panowała nieprzyjemna ciemność. Grzegorz zapalił latarkę i, powoli prowadząc strumień światła, wydobywał systematycznie z mroku najpierw fragmenty betonowej podłogi, potem ścian i sufitu. Na podłodze ukazywały się brudne papiery, stare fekalia, potłuczone butelki; na ścianach mech oraz wydrapane ostrymi narzędziami obelżywe napisy na przemian z krzywymi sercami i wyznaniem miłości. Sufit przeciekał i utworzyły się na nim małe cementowe stalaktyty. Unikając wdepnięcia w kupy przeszli pod przeciwległą ścianę i raz jeszcze wodzili wzrokiem po oświetlanych miejscach.

- Wycofujemy się – zarządził Grzegorz. – Idź za mną, bo się poślizniesz.

Wyszli i z ulgą odetchnęli rześkim i wonnym powietrzem.

- Idziemy do drugiego – ni to zapytał, ni stwierdził Paweł.

Obaj nie mieli ochoty znów znaleźć się w publicznym nielegalnym wychodku, ale trudno było rezygnować w połowie zadania, które sobie wyznaczyli.

- Kto nie idzie naprzód, ten się cofa – filozoficznie zauważył Grzegorz. - Trzeba dokończyć robotę.

Gdy doszli walem do drugiego bunkra, większego i leżącego dalej na zachód, powtórzyli wszystkie czynności. Obeszli go dokoła, weszli do środka i przeglądali oświetlone fragmenty podłogi, ścian i stropu. Bunkier wydawał się suchszy i mniej zabrudzony. Na ścianach też widniały napisy. Szli powoli wzdłuż ścian i czytali. Kilka wulgaryzmów, duże serca przebite strzałą, inicjały. Obeszli dwa obszerne pomieszczenia, które właściwie stanowiły jedno, bo dzieliła je przez środek ściana, kończąca się mniej więcej metr przed zewnętrzną ścianą z oknami. Kiedy przekroczyli wąskie przejście z jednej części do drugiej, w świetle latarki zobaczyli, że następna ściana, ta która powinna być ścianą zewnętrzną, także nie dochodzi do ścian z oknami. Przeszli dalej i okazało się, że przy zachodniej ścianie bunkra Niemcy dobudowali dodatkowe małe pomieszczenie bez okna. Ze ścian wystawały skorodowane uchwyty od jakichś urządzeń.

- Co szkopy tu trzymały? - Grzegorz wypowiedział pytanie, które zadawał też sobie Paweł.

Na ścianach małego pomieszczenia nie zauważyli napisów. Śmiałkowie-wydrapywacze nie lubili widać panującej w nim nieprzeniknionej ciemności. I tu jednakże dokonali dokładnych oględzin. Zauważyli tylko niewyraźne, szerniałe i zarośnięte mchem zadrapania tuż przy podłodze na ścianie północnej. Zdało im się, że mech ułłada się w kształt koślawych liter. Zaciekawieni, przyjrżeli się bliżej, kłładąc się na zimnej wilgotnej podłodze. Grzegorz oświałł ścianę, a Paweł rękawem wycierał mech. Stopniowo spod mchu ukazywały się krzywe, nierówno rozstawione litery. Paweł wyciągnął z kieszeni scyzoryk i praca przyśpieszyła. Oczyszcział kolejne wydrapanie w betonie znaki. Z bliska i przy punktowym świetle trudno je było połączyć w sensowne słowa. Ale kiedy Grzegorz podniósł się, odsunął od ściany i rzucił szerszy strumień światła, zaczął literować, potem sylabizować i wreszcie przeczytał: „m sekut..wala ...raszam.” I powtórzył: „m sekut..wala...raszam”.

- Słuchaj! - Paweł także wstał i odwrócił się do Grzegorza - M! Wala! Chłopak, który zaginął w 47-mym miał na imię Maniek, Marian. M to może być Marian. Nazwiska nie znam, ale mógł nazywać się Sekuta, Sekutowski, Sekutnik, czy jakoś tak! - mówił spokojnie, ale z przejęciem, odwracając się na przemian raz do Grzegorza, raz do ściany. - Dziewczyna, którą zostawił w Koszalinie to Waleria! Wala! To ta, która jest chora i leży w Rokosowie. Ona urodziła córeczkę, Zosię i twierdzi, że to dziecko Mariana. Co mamy dalej? „Raszam”?

Paweł stał, patrzył jak zahipnotyzowany na oświałlane światłem latarki koślawe litery i intensywnie myślał.

- „Raszam”, czyli „przepraszam” – wykrzyknął.

2. Napis. Sierpień 47



Marian Sekutowski leżał na betonowej podłodze bunkra związany i zakneblowany. Wiedział, że umrze i wiedział, jak umrze. Kiedy minęło zaskoczenie i niedowierzanie, że wszystko dzieje się naprawdę, kiedy po około dwóch dobach zdał sobie sprawę, że nikt go nie odnajdzie, a sam nie zdoła uciec, postanowił zostawić jakiś ślad. Jedyne co mógł zrobić, to wydrapać napis na ścianie, przy której leżał. Tak robili, jak słyszał, więźniowie i skazańcy. Zostawiali po sobie ślad. Pisali nazwiska, imiona, kilka słów modlitwy, nie wiedząc, czy ktokolwiek kiedykolwiek je odczyta. Ale zostawić po sobie ślad, to dać sobie odrobinę nadziei. Nie na życie, a tylko na czyjaś pamięć, na wspomnienie, na wypowiedzenie imienia, zawołanie po imieniu. Musiał zrobić napis jak najszybciej, dopóki zupełnie nie straci sił i świadomości.

Wiedział, co będzie się z nim działo, bo jego oprawca poinformował go o tym przy, jak powiedział, wydawaniu wyroku. Marian był wówczas oszołomiony i nie słyszał wszystkiego, co tamten mówił, ale to, co zdołał usłyszeć i tak wystarczyło, aby ogarnął go paniczny strach. Miał żyć przez siedem dni, bo tyle mniej więcej żyją ludzie pozbawieni jedzenia i picia. Będzie tracił siły i świadomość, będzie miał halucynacje, a zanim przyjdzie wyzwalamąca śmierć, będzie cierpiał. Tyle zapamiętał. Dlaczego wyrok został wydany nie zapamiętał. Wiszący nad nim ciemny ludzki kształt mówił coś o karze za zdradę germańskiej rasy, o honorze narodu niemieckiego i o szlachectwie pochodzenia. Maniek nie wiedział, co to wszystko mogłoby z nim mieć wspólnego i po co mu się to mówi. Kiedy wreszcie cień odszedł, zostawiając go w zimnym i wilgotnym mroku, zaczął płakać i żałować, że w ogóle dał namówić się kolegom na

wyjazd na szaber, a już najbardziej, że niepotrzebnie pojechał do Mielnia sam, że w ogóle nie powiedział wcześniej rodzinie, że zabrał rodzicom oszczędności.

Samotną wyprawę z Koszalina do Mielnia zaczął od przeszukania pałacu, folwarku i parku, choć były tam ślady intensywnych wcześniejszych poszukiwań. On jednak wtedy wierzył w swoje szczęście, myślał, że los mu sprzyja. Marzył o triumfalnym powrocie, najpierw do Walerii, a potem do Otwocka. Poszukiwania prowadził w dzień. Nie bał się. Napełniająca go radość i pewność powodzenia sprawiły, że całkowicie stracił czujność. Po poszukiwaniach w pałacu i parku, gdzie znalazł tylko kilka zniszczonych posrebrzanych sztućców, powłóczył się trochę po Mielnie. Podobała mu się ta cicha, jakby nietknięta wojną miejscowość. Wyznaczył kilka miejsc do przeszukania w następnym dniu. Cały ten czas myślał:

- Niech wracają beze mnie. Poradzę sobie sam. Spotkam się z Walerią, porozmawiamy spokojnie, bez drwin koleżków, ustalimy następne spotkanie i wtedy dopiero wrócę do domu. W domu pewnie już się o mnie martwią, chociaż musieli się domyślić, że wyjechałem na kilka dni. Jeżeli zauważyli brak dolarów, to czeka mnie niezła bura. Ale uspokoją się, gdy wyrzucę na stół zdobycze. Ależ będą zaskoczeni!

Wieczór spędził na plaży, napawając się w samotności widokiem morza. Noc postanowił spędzić w jednym z bunkrów, który odkrył, idąc z pałacu przez las ku morzu. Miejsce było trochę ponure, ale podobało mu się, bo mógł poczuć się jak żołnierz. Wolał też być niewidoczny dla przypadkowych przechodniów, bo w plecaku miał skitrane w specjalnej kieszeni już zdobyte fanty. Nie zostawił ich chłopakom, bo do końca im nie ufał. Wybrał większy bunkier, który leżał dalej od drogi prowadzącej do morza, tej samej, którą szli za pierwszym razem. Postanowił spać przy samym oknie. Wrzucił trochę sosnowych gałęzi i suchą trawę. Zdjął buty, postawił je w nogach, a plecak trzymał pod głową. Nie było mu zimno. Zasnął natychmiast.

Zadrżał, przypominając sobie początek koszmaru, w który nadal trudno mu było uwierzyć. Śpiąc jeszcze, poczuł na czole zimny okrągły metal, lufę pistoletu, jak szybko się domyślił. Otworzył oczy i natychmiast je zamknął, bo oślepiało go silne światło latarki. Nie widział tego, kto go oślepiał i groził pistoletem.

- Wstawaj – usłyszał przenikliwy szept i zerwał się z posłania bardzo przestraszony.

- To milicja albo wojsko - pomyślał i żał zrobiło mu się straconej szansy na triumfalny powrót do dziewczyny i do domu. - Cholera będą kłopoty, albo mnie okradną, albo zapudłują, bo chyba nie zastrzelą, to nie ruskie.

- Obywatelu milicjancie – powiedział zduszonym głosem. – Ja tu tylko śpię, niczego nie ukradłem, możecie sprawdzić.

- Zamknij mordę – usłyszał w odpowiedzi.

- Panie władzo – zapiszczał. - Ja nie zrobiłem nic złego. Jestem spod Warszawy. Przyjechałem zobaczyć morze.

Osobnik z latarką, który dotąd stał na zewnątrz i pochylał się nad leżącym pod oknem chłopcem, sprawie wśliznął się do bunkra.

- Stul pysk i wykonuj polecenia - głos, który teraz usłyszał chłopak wydał mu się złowieszczy.

- Idź w głąb do pomieszczenia, za światłem latarki.

Marian schylił się i sięgnął po buty, chcąc je założyć.

- Zostaw – padła krótka komenda.

- Mogę zabrać plecak? - zapytał cicho chłopak, myśląc o ukrytych w plecaku zdobyczach.

- Zostaw – powtórzył tamten.

Marian ruszył w skarpetach po zimnym betonie i szedł w ciemnościach po świetlistej drodze, która zaprowadziła go do ciasnego pomieszczenia.

- Idź pod ścianę i połóż się na brzuchu. Ręce trzymaj z tyłu. Nogi razem – padły spokojne polecenia.

Zrobił, co mu kazano. Bał się coraz bardziej, bo niewidzialny mężczyzna zachowywał się dziwnie - nietypowo jak na żołnierza, albo milicjanta. Osobnik położył skierowaną na Mariana latarkę na podłodze i wyjął coś z kieszeni obszernego płaszcza. Był to sznur. Po chwili Maniek miał związane ręce i nogi. Potem chwycono go za ubranie i położono na boku, tyłem do ściany. Widział teraz od dołu zarysy ciała swojego prześladowcy. Napastnik nie miał na sobie munduru. Nie był więc milicjantem i nie był żołnierzem na służbie. Kim zatem był? Marian

chciał się czegoś o nim dowiedzieć, zorientować się, o co napastnikowi chodzi, czego od niego chce. Nie zdążył jednak powiedzieć nawet jednego słowa, bo tamten znów się nad nim pochylił i sprawnie wcisnął mu w usta szmatę. Potem wyprostował się, zniknął z kręgu światła i zaczął przemowę.

- Zdechniesz z głodu. Skazuję cię na śmierć głodową – te słowa Marian zapamiętał najlepiej.

Spokojny głos mówił dalej, ale ofiara wpadła w panikę i niewiele słyszała, a jeszcze mniej rozumiała. Do Mariana dochodziły tylko te najstraszniejsze informacje o śmierci głodowej. Zaczął się więc po ziemi i bełkotał w szmatę. Dostał kilka mocnych kopniaków. Były wymierzone precyzyjnie w najbardziej czułe miejsca. Kopany bezgłośnie zawył z bólu i rozpaczy.

Marian nie pamiętał, jak długo trwała przemowa jego kata. Pamiętał tylko, że tamten był silny, zdecydowany i niezwykle konkretny. Nie krzyczał i nie szarpał, ale systematycznie karał kopniakiem za każdy ruch, który mu nie odpowiadał.

- Mamo, mamusiu ratuj! – wył w duchu Marian. – Kto to jest? Czego ode mnie chce?

Po pewnym czasie oprawca odszedł, zostawiając obojętnego Mańka pod ścianą bunkra. Więzień zdał sobie sprawę z beznadziejności swojego położenia. Nikt go tu nie znajdzie. Nikt nie wie, gdzie jest. Ma umrzeć z głodu i pragnienia. Bez końca odtwarzały się w jego głowie opisane z okrutną precyzją etapy czekającej go śmierci. Wpadł w panikę i chyba zemdlął. Ocknął się i znów wrócił fizyczny ból i psychiczna męka. Postanowił, że będzie myślał o Walerii, o tym, jaka była ufna, dobra, ciepła i zakłopotana. Była piękna. Poczuł ulgę, ale zaraz ogarniała go żal, że już nigdy jej nie zobaczy. Ta żal właśnie przyniosła myśl o wyrzyciu napisu. Przesuwał się powoli po podłodze, aż trafił na kawałek metalu. Na moment rozbłysła w nim nadzieja, że przetrze o metal więzy, oswobodzi się i ucieknie. Ręce miał związane z tyłu, więc pocieranie sznura o przesuwający się kawałek metalu wyczerpało go bardzo szybko, a sznura nie naruszyło. Nadzieja zgasła, a strach ogarnął go od stóp do głów i sparaliżował na kilka godzin. Potem znów przysunął się plecami do ściany i zaczął cierpliwie skrobać. Praca przyniosła zmęczenie, fałszywe uspokojenie i chwilowe zapadanie w półsen. Postanowił wyrzeźbić wielką literę M i swoje nazwisko, bo przecież Waleria go nie znała. Praca trwała długo. Musiał odpocząć. Kiedy odpoczął, namacał koniec wykonanego wcześniej napisu i wyskrobał jej imię, Wala, bo tak mówiły do niej koleżanki. Następnego dnia, po dniu pełnym cierpienia, dodał słowo

„przepraszam”. Kierował je do siebie, do Walerii, do rodziców i do rodzeństwa. Siebie przepraszał za chciwość, Walerię za to, że się nie spotkają, a z rodziną po prostu się żegnał. Starał się widzieć ich twarze: matki, ojca, braci i siostry. Łkał bezgłośnie. Z postaci Walerii pamiętał włosy i jej zapach. Potem obrazy już się nie chciały pojawiać, bo głód i pragnienie wyciągały z głowy wszystkie myśli. Był pusty. Nie pamiętał kim jest.

Oprawca przychodził jeszcze dwa razy. Przynajmniej te dwa Marian zdołał jeszcze dostrzec, zanim ból, śmiertelne zmęczenie i konwulsje odjęły mu wszelką zdolność myślenia. Leżał przyciśnięty do ściany, zakrywając sobą napis. Napis był jedyną rzeczą, która została mu w głowie. Za wszelką cenę chciał, aby tamten go nie zauważył. Wcześniej, dopóki to jeszcze było możliwe, ocierał się plecami o ścianę, aby zatrzeć świeżość liter. Nie wiedział, po co to robi, bo w pomieszczeniu było ciemno, a kat nie zapalał latarki. Stał nad nim wyprostowany, nie schylał się, nie bił, nie mówił, tylko stał i patrzył. Jego sylwetka ogromniała w ciemności. W krótkich przeblaskach świadomości Marian wyczuwał w jego wzroku pogardę i obrzydzenie. Rozumiał je. Leżał we własnych odchodach, śmierdzący, skulony, sponiewierany bólem, a sznur wbijał się w jego obrzmiałe nogi. To doskwierało mu teraz najbardziej. Stracił wszelką rachubę i orientację. Nie liczył dni, więc nie wiedział, czy przewidywanie kata spełniło się. Czy wytrzymał siedem dni, czy może przeżył trochę dłużej.

Oświecił skulone i skarłate ciało chłopka i patrzył na nie z ciekawością.

- Jakżeż szybko młode, zdrowe i krzepkie ciało zamienia się w kościotrupa bez wieku - pomyślał.

Chłopak żył ponad tydzień. Musiał zdechnąć kilka godzin przed jego przyjściem, bo gdy dotknął zwłok kijem były sztywne. Uświadomił sobie dopiero teraz w pełni geniusz rozwiązań stosowanych w obozach. Świeżo dostarczeni więźniowie musieli się rozebrać, więc oszczędzano w ten sposób ich ubrania i odzyskiwano to, co zostało w nich schowane. Najbardziej ekonomiczne okazywało się zagłodzenie więźnia, gdyż zmniejszała się masa ciała, której należało się pozbyć. To, co zostało było palone, co znów znaczne zmniejszało objętość resztek.

- Dobrze, że przynajmniej zabrałem mu plecak i buty – pomyślał. – Ubranie jest teraz do niczego. Trzeba je spalić razem z truchłem.

Plecak i buty zabrał zaraz pierwszej nocy. W ukrytej kieszeni w plecaku znalazł złote monety i biżuterię. Przydały się po dobrej dezynfekcji. Buty, choć były w jego rozmiarze i w miarę nowe, postanowił za jakiś czas sprzedać. Brzydził się nimi, więc nawet ich nie przymierzył.

Butelkę z benzyną miał już wcześniej przygotowaną. Polał ciało i podpalił. Nie obawiał się, że ktoś zobaczy dym. W nocy prawie nikt nie przychodził do lasu. A już z pewnością nie wlaził do bunkrów. Postanowił przyjść za dwa dni, kiedy smród palonych zwłok wywietrzeje, i zakopać w pobliżu bunkra to, co pozostanie. Po dwóch dniach wrócił. Niewiele zostało, ale i tak było co sprzątać po szczeniaku. Do dołu wrzucił także plecak.

Po zakończeniu akcji postanowił, że musi dobrze przemyśleć zorganizowanie następnych przedsięwzięć. Więźniowie powinni być samowystarczalni od początku do końca, tak, aby on nie brudził sobie rąk. Pierwszy raz zaimprovizował, ale przecież tylko praktyka czyni mistrza. Należy zacząć działać, gdy teorię ma się doskonale przyswojoną.

3. Niespodzianki. Poniedziałek, 22 września 52



Marianna Kupryszak miała dyżur w sanatorium w nocy z niedzieli na poniedziałek. Wieczorem po przyjściu do pracy zajrzała do Walerii i wywołała ją z pokoju, który Wala dzieliła z dwiema innymi kobietami. W dyżurce czekała już herbata. Po zdaniu relacji o Zosi, opowiedziała chorej o niedzielnym spotkaniu. Walerię szczególnie poruszyła wieść o odnalezionej czapce Antoniego. Przejęła się także wypadkiem Pawła.

- Narażacie się, a ja tu leżę i nie mogę wam pomóc – zamartwiała się. – Jeszcze jestem słaba, ale mam się dużo lepiej. Lekarz mówi, że wyjdę na początku października. Mam zamiar poprosić go o wypisanie już teraz, nawet na własną prośbę.

- Walu, długo prądkowałaś i brałaś streptomycynę. Jesteś bardzo osłabiona. Jeśli chcesz, to ja porozmawiam z lekarzem. Jeszcze raz przejrzę twoje wyniki, żeby sprawdzić, czy możesz dochodzić do zdrowia w domu. Rozumiem, jak bardzo ci ciężko, ale nie ryzykuj własnym zdrowiem – powstrzymywała ją Marianna.

- Kochana, zrób to – prosiła tamta. - W domu szybciej wyzdrowieję. Tęsknię za Zosią ogromnie. Będę ci wdzięczna do końca życia, że się nią zajęłaś - dodała.

Uściskały się na pożegnanie.

- Jutro mam wolny dzień. Zdrzemnę się trochę i pojadę do Mielna. Do zobaczenia we wtorek – rzuciła Marianna za wychodzącą z dyżurki Walerią.

W poniedziałek wczesnym popołudniem Marianna wysiadła z pekaesu przy mieleńskiej szkole. Rozejrzała się za panią Nowak. Nie chciała jej spotkać. Na szczęście nie było jej przez sklepem. Pośpiesznie poszła Lechicką, minęła „Mewę” i po kilkudziesięciu metrach skręciła w polną drogę prowadzącą na nadjamneńskie łąki. Pogoda była nie najlepsza. Od rana padała mżawka, ale jej to nie przeszkadzało. Miała na sobie obszerną wojskową pelerynę, jeszcze z czasów wojny. Przewidując, że droga będzie błotnista, nałożyła kalosze. Przydały się. Szła przed siebie, tak jak ją prowadziła droga i z przyjemnością wdychała wilgotne powietrze nasączone gorzkimi zapachami jesiennej łąki. Postanowiła, że nie wejdzie na wał przeciwpowodziowy, oddzielający łąki od jeziora, lecz od razu pójdzie na wysypisko śmieci.

Śmieci wożono inną drogą, wygodniejszą. Jechano z Mielna w stronę Strzeżenic i kilometr za wiatrakiem skręcano w lewo, w drogę częściowo wyłożoną betonowymi blokami. Droga polna, którą szła Marianna była krótsza i dyskretniejsza. O tej porze dnia i podczas nie najlepszej pogody nikt nią nie jeździł, ani nie chodził. Już po kilkunastu metrach widziało się punkt docelowy, bo miejsce wysypywania śmieci wyznaczono w dużej kępie starych olch. Kępa odcinała się wyraźnie na tle szarego nieba. Bliżej, w podobnej kępie, jak już wiedziała Marianna, Robert hodował lisy. Zauważyła, że też korzystał z krótszej trasy, bo w mokrej ziemi wyraźnie wycisnęły się ślady charakterystyczne dla jego trójkołowego pojazdu. Postanowiła popatrzeć na fermę w drodze powrotnej. Nie miała żadnego planu ani wskazówek. Chciała

rozejrzeć się i odpajkować teren jako sprawdzony. Przechodząc obok pierwszej kępy poczuła ostry zwierzęcy zapach i usłyszała leniwe szczekanie psa.

- Lisy, nieźle śmierdzą - pomyślała i poszła dalej.

Do drugiej kępy miała kilkaset metrów. Wysypisko nie było wysokie, ale rozległe. Można było zauważyć, że śmieci są co jakiś czas plantowane i przysypywane ziemią. Tu i ówdzie wystawały dziurawe garnki i potłuczone talerze. Z boku leżały stare podarte materace zdjęte z żelaznych łóżek. Mokre i poplamione. Marianna aż się wzdygła na ich widok. Przypominały jej brud i nędzę polowego szpitala. Przeszła śmietnisko wszerz i wzdłuż. Potem obeszła dokoła, szukając wzrokiem czegoś w otaczających je zaroślach. Kopała od czasu do czasu fragmenty trudnych do zidentyfikowania przedmiotów. Jeden z nich potoczył się i zatrzymał na czymś białym, przylgniętym do niskiej gałęzi. Marianna podeszła bliżej i ujrzała zadrukowaną kartkę. Zdziwiła się, bo żadnych papierów na wysypisku dotąd nie zauważyła. Papier był dobrze wykorzystywany i cenny. Służył za podpałkę i do celów higienicznych. Nadwyżki trafiały do skupu makulatury. Podobnie było ze szmatami. Takich rzeczy nie wyrzucano na śmietnik. Marianna musiała się schylić i wtłoczyć w gęste krzaki. Peleryna wzięła na siebie spływającą z krzaków wodę. Ostrożnie odlepiła mokrą kartkę od gałęzi i uważnie się jej przyjrzała. Była to kartka wyrwana z książki, z książki z poezją, bo pomimo zmięcia i zabrudzeń, można było rozpoznać czterowersowe strofy. Na jednej stronie, stronie numer 31, przeczytała, zaczynając od góry:

„I odtąd kąpałem się w wielkiej pieśni Morza,

Przesyconej gwiazdami, śpiewnej jak muzyka,

Pożerałem toń modrą, gdzie pośród bezdroża

Zadumany topielec niekiedy przemyka.”

Zadrżała, jakby trafiła na złowróźbne prorocstwo i odwróciła kartkę z nadzieją, że z jej drugiej strony znajdzie pocieszające słowa. Spojrzała tym razem na ostatnią strofę wydrukowanego wiersza i czytała:

„Jak wysepka gościłem ptaków roje gwarne,

Swarliwe i niechlujne, o żrenicy płowej,

I żeglowałem dalej, gdy me więzy marne

Zerwał, na sen zstępując w głąb, topielec nowy”.

Znów zadrżała, nie wiedząc, czy z zimna, czy z powodu złego przeczucia. Otarła kartkę delikatnie z wody i błota i włożyła ostrożnie, żeby jej nie przerwać, za bluzkę na piersi. Tam powinna wyschnąć i nie pomiać się.

- Ciekawe, czyj to wiersz, taki ponury – pomyślała nadal drżąc, bo mokry zimny papier dotknął jej rozgrzanego marszem ciała. – Brat Tadeusza miał przy sobie jakąś książkę. Może Tadeusz dowiedział się jaką. Można będzie sprawdzić strony. Ale to mrzonki – uspokajała samą siebie. – Nie ma takich zbiegów okoliczności.

Rozejrzała się jeszcze trochę wokół śmietniska, szukając bezskutecznie innych kartek, a potem poszła w stronę fermy. Schowała się za grubą olchą i nasłuchiwała. Pies nie szczekał, lisów też nie było słychać. Nie wiedziała, czy lisy wydają dźwięki. Odpoczywała oparta o pień. Ferma była otoczona wysokim płotem z desek, szczelnie do siebie przylegających. Dostrzegła, że brama, też drewniana, dwuskrzydłowa, nie była zamknięta na kłódkę, bo ta luźno zwisała z zasuw. Najpewniej ktoś był w środku. Nie musiała długo czekać, aby zaspokoić ciekawość. Po około pięciu minutach jedna część bramy uchyliła się do wewnątrz i wyszedł zza niej niewysoki, krępy mężczyzna. Poznała go, bo w Mielnie wszyscy go znali i nazywali Głupim Jasiem, ponieważ był psychicznie niedorozwinięty. Mieszkał ze starszą panią, którą nazywał ciotką, w ładnym, otoczonym wysokim żywopłotem domku, między ulicą Pionierów a Sosnową. Podobno nie byli rodziną. Mówiło się, że kobieta zaopiekowała się Jasiem, bo rodzice go porzucili, albo zginęli. Marianna odruchowo cofnęła się za pień drzewa.

- Właściwie powinnam z nim porozmawiać – pomyślała, ale było już za późno.

Jasio zamknął kłódkę i szybko przebiegając krótkimi nogami oddalał się, idąc na skróty przez łąki w stronę wałów. Z pewnością dobrze znał przejście, bo sprawnie omijał wszelkie przeszkody. Wszedł na wał, a następnie skręcił w prawo, w drogę wychodzącą z łąk na Chrobrego na wysokości Pionierów.

Marianna wracała poprzednią trasą. Postanowiła zajrzeć do Pawła i opowiedzieć mu o znalezisku. Kiedy weszła na plac przed pałacem, zobaczyła motocykl z przyczepą i spłoszyła się. U Pawła był Robert. Nie chciała go teraz widzieć, a z Pawłem i tak nie mogłaby przy nim

porozmawiać. Poszła więc na przystanek pekaesu w centrum Mielna. Otrzeptała z deszczu pelerynę, kalosze wytarła w trawie z błota. Kiedy nadjechał autobus, niezaczepiana przez nikogo, wróciła do Koszalina. Kartka schowana na piersi już jej nie chłodziła.

Tadeusz Wysocki postanowił dyskretnie popytać o Kozłowa w restauracji hotelu „Polonia”. Pracowało tam jeszcze kilka osób, które znał z czasów niestety już minionych, kiedy to prywatny hotel z restauracją nosił ładną nazwę „Pod Białym Orłem”. W tej właśnie restauracji, na niedzielnych obiadach, spotykali się kiedyś świeżo upieczeni koszalińscy rzemieślnicy i kupcy, finansowa elita zniszczonego, ale znów żyjącego miasta. Teraz hotel „Polonia” był miejscem, w którym mogli zatrzymywać się napływający do Koszalina – od dwóch lat miasta wojewódzkiego - nowi urzędnicy i osiedleńcy, zanim na podstawie zaświadczenia z miejsca pracy otrzymali kwaterunek. Hotel stał się więc czymś w rodzaju tymczasowego miejsca zamieszkania dla przyszłych obywateli miasta, a restauracja powoli traciła resztki przedwojennej elegancji i stawała się zwykłym punktem żywieniowym. Ruch w restauracji był jednak duży, bo ogólne braki w zaopatrzeniu i rozbudowany system kartkowy skłaniały nie tylko przybyszów, ale też tubylców, szczególnie ich męską część, do korzystania z państwowej gastronomii. Sala restauracyjna, niezależnie od pory dnia, była zadymiona, co nikomu zdawało się nie przeszkadzać. Kelnerzy w białych lnianych kurtkach, z przewieszonymi przez przedramię białymi serwetami, trzymali jeszcze przedwojenny styl, co nadawało restauracji rzadko już spotykany urok, mocno jednakże przyćmiony papierosowym dymem i kuchennymi zapachami.

Tadeusz, znając niedzielne opowieści Pawła i Marianny, mógł się tylko domyślać, że w restauracyjno-hotelowym zespole, poza oficjalną i dla każdego dostępną działalnością, stale funkcjonuje niewidoczny dla przeciętnego obywatela Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej półświatek. Nie mylił się. Koszaliński półświatek, jak każdy inny, był zmienny, gdyż zmieniali się jego bywalcy. Był też niezmienny, bo rządził się swoistymi, ale stałymi zasadami. Jeśli nie należało się do osób wtajemniczonych, do półświatka można było dołączyć według określonego trybu. Albo z własnej inicjatywy, za wstawiennictwem któregoś ze stałych gości, albo bez niej. Po prostu niektórzy pracownicy hotelu lub restauracji, wytrawni znawcy klienteli, bezbłędnie wylapywali gości, którzy się do niego nadawali, choć oni sami jeszcze o tym nie wiedzieli. Przynależność do półświatka dawała pewne przywileje, ale narzucała też określone obowiązki. Do przywilejów należała specjalna obsługa pokojowa, świeże jedzenie w

restauracji, mocniejsza, czyli niechrzczona wodą, wódka, czy korzystanie, poza wszelką kolejnością i w dowolnym czasie, z podwózek samochodem. Obowiązki też zdawały się przyjemne. Przynajmniej na początku. Wpadało bowiem w miarę systematycznie i, dopóki było na to stać, uczestniczyć w spotkaniach organizowanych na dalszym zapleczu hotelu. Nie dla każdego bilans wypadał na plus. Na minusie kończyli najczęściej ci, których wytypowała obsługa. Na zapleczu znajdowało się skromne - w porównaniu do tych przedwojennych - kasyno, z przynależącymi do kasyn dodatkowymi atrakcjami, takimi jak niedostępne na rynku zagraniczne alkohole i papierosy, występy striptizerek czy zespół muzyczny, grający na zamówienie wszelkie rodzaje utworów – polskie, rosyjskie i amerykańskie, wedle życzenia klienta. Interes opłacał się wszystkim, poza tymi, na których zarabiano, czyli świeżo upieczonymi, lub mało doświadczonymi hazardzistami. Ci dawali się ponieść żądzy wygranej i woli przynależności do wybrańców losu, ale ich charakter i umiejętności nie odpowiadały ich ambicjom.

Tadeusz miał mgliste pojęcie o świecie hazardu, jego urokach i rządzących w nim bezwzględnych regułach. Czasami grywał z kolegami w oczko i w kości. Stawką były najczęściej zapałki, rzadziej papierosy. Partyjki pokera zdarzały się nieczęsto, a obstawianie zakładów dotyczyło siłowania się na rękę. Teraz miał okazję poznać nieznaną mu dotąd rzeczywistość, której istnienia mógł się tylko domyślać. Czuł niepokój i miłe podniecenie na myśl o planowanej wizycie. Bał się nowych doświadczeń i swego braku obycia, a jednocześnie był ciekawy, jak smakuje „zakazany owoc”, którego dotąd nie skosztował.

Udał się do restauracji „Polonia” już w poniedziałkowy wieczór, czyli następnego dnia po niedzielnym spotkaniu u Marianny. Miała to być wizyta próbna. Chciał rozejrzeć się w sytuacji, spotkać znajomego szefa sali, albo któregoś z dawnych kelnerów i sprawdzić, czy uda mu się zyskać przychylność któregoś z nich. Usiadł przy małym stoliku blisko wejścia do kuchni. Młody nieznajomy kelner postawił przed nim zamówione w przelocie piwo i podał kartę. Tadeusz wypił łyk piwa, stwierdził, że jest niezłe i odpowiednio zimne. Rozejrzał się wokół. Nie wszystkie stoliki były zajęte. Panował leniwy i spokojny nastrój, więc i on się odprężył. Z karty zamówił śledzia, setkę wódki, oranżadę, a na gorąco kielbasę z musztardą i chlebem. Przyglądał się gościom, na nikogo nie patrząc zbyt długo. Czekał na okazję, aby zapytać młodego kelnera, czy jeszcze pracuje w restauracji pan Muzyczka, znajomy rodziców z ich pierwszych koszalińskich lat. Na pomoc pana Muzyczki liczył najbardziej. Wiedział, że pan Muzyczka sam będąc pionierem ma sentyment do pierwszych koszalińskich osadników.

Goście „Polonii” jedli spóźnione obiady, albo wczesne kolacje. Byli to głównie mężczyźni w średnim wieku, w trochę pomiętych tanich garniturach. Rozpinali marynarki, rozluźniali krawaty i popijając piwo z zapoconych kufli, czekali na podanie głównych dań. Obok krzeseł stały ich skórzane teczki, atrybuty stanu urzędniczego. Niektórzy jedli przystawkę - śledzia w oleju z cebulkę – wychylając do tego stopkę dobrze schłodzonej wódki. Inni zjadali zupę pomidorową z kluskami lub flaki z bułką. Większość przechodziła od razu do drugiego dania, na które serwowano mielone z ziemniakami, kapustą na gęsto lub buraczkami. Ci, którzy byli już po posiłku, z błogim wyrazem twarzy odchylali się na krzesłach, prostowali pod stołem nogi i zapalali papierosy. Popielniczki szybko wypełniały się popiołem i petami, a przebiegający kelnerzy opróżniali je sprytnie przykrywając popielniczkami pustymi, które zawsze nosili na tacach.

Zanim Tadeusz wypił połowę kufła, kelner podał śledzia i postawił przed nim pustą szklankę, butelkę czerwonej oranżady i setkę wódki.

- Panie starszy – zapytał Tadeusz kelnera, kiedy ten wyprostował się i zamierzał odejść od stolika. – Czy pracuje tu jeszcze pan Muzyczka? Znamy się z dawnych lat – dodał szybko, bo kelner lekko się usztywnił.

- Pan Muzyczka jest kierownikiem sali, proszę szanownego pana. Jest bardzo zajęty. A jak pańska godność? – wydeklamował grzecznie kelner, zachowując wobec gościa odpowiednią powściągliwość, a jednocześnie oceniając uważnym wzrokiem jego wartość.

- Proszę mu powiedzieć, że czeka na niego ktoś, kto pozdrawia go od Romana i Ireny Wysockich. To moi rodzice. Z pewnością ich pamięta.

- Jak szanowny pan sobie życzy. Przekażę pozdrowienia – kelner nie zmienił tonu i zniknął za wahadłowymi drzwiami prowadzącymi na zaplecze.

Tadeusz nie czekał długo. Pan Muzyczka, trochę tylko zmieniony i trochę mniej pedantycznie niż przed kilkoma laty ubrany w strój służbowy, z uśmiechem podszedł do stolika i jeszcze stojąc, zapytał:

- Pan Tadeusz Wysocki?

Tadeusz szybko wstał i przytaknął. Usiedli, a Muzyczka zadał następne grzeczne pytania:

- Jak się mają pańscy rodzice? Czy Julian się odnalazł? Słyszałem, że nie. Co za nieszczęście!

- Nie odnalazł się – potwierdził Tadeusz.

Spokój, który czuł siadając wcześniej przy stoliku, zniknął i ogarnęło go przygnębienie. - Ja trochę w tej sprawie do pana – powiedział i natychmiast dodał, obawiając się, że Muzyczka odejdzie, bo na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju i zaniepokojenia. - Proszę, niech pan ze mną porozmawia. Teraz albo później. Ja poczekam. Mogę też przyjść jutro, jeśli pan woli. Nie chcę pana do niczego mieszać. Potrzebuję tylko kilku informacji o pewnym człowieku.

- Teraz mam trochę czasu – usłyszał odpowiedź. – W poniedziałki zwykle mamy mało gości. Możemy spokojnie porozmawiać, jeśli pan chce. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Zamówił pan coś?

- Tak, kielbasę na gorąco.

- Dobrze, ja wezmę dla siebie to samo. Zjemy i pogadamy. Kielbasa jest świeża i niezła. Z dobrego źródła. Nie musisz dawać za nią kartki – starszy kelner gładko przeszedł z Tadeuszem na „ty” i kiwnął ręką na kelnera, który stał przy wahadłowych drzwiach i najwyraźniej podsłuchiwał.

- Daj mi to samo, co panu – oznajmił kelnerowi, gdy ten się zbliżył. - Przez pół godziny nie ma mnie dla nikogo. Chcemy spokojnie pogadać o starych dobrych czasach – wyjaśnił, zmieniając ton na bardziej przyjacielski.

Oba zamówienia prawie natychmiast pojawiły się na stole, odruchowo ponownie przetartym przez kelnera. Pojawiły się też dwa zamglone kieliszki wódki, a ich zamglenie wskazywało na dobre schłodzenie napoju. Kelner przyniósł także talerzyk z apetycznie pachnącymi czosnkiem i koprem kiszonymi ogórkami. Wypili, stukając się uprzednio bez słowa kieliszkami i z apetytem zaczęli zajadać soczystą kielbasę. Pieczywo i masło okazały się nadzwyczaj świeże, a musztarda nieprzyschnięta. Kelner zajął się innymi klientami i stracił zainteresowanie tematem ich rozmowy.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał Muzyczka i dodał:

- Nie będę się w nic mieszał. Powiem tylko to, co mogę powiedzieć.

Tadeusz dyskretnie wyjął rysunek Anny. Rozpostarł złożony na dwoje papier i pokazał Muzyczce.

- Ten facet nazywa się Kozłow – rzekł do kierownika sali. – Czy on tu bywa?

- No tak, oczywiście. To jest Wacek Kozłow. Przychodzi tu, żeby pograć w karty. Chyba wiesz, że to hazardzista, a właściwie szuler. Dobrze gra w pokera. Niejednego frajera ograł. Tadeuszu – Muzyczka ojcowskim tonem zwrócił się do swego rozmówcy po imieniu. – Chyba nie grałeś z tym typem w karty? Nie dałeś się wykiwać?

- Nie, nie – zaprzeczył gwałtownie młody człowiek, któremu nie przeszkadzało przejście na „ty” ze strony Muzyczki. - Chcę się o nim czegoś więcej dowiedzieć z innego powodu.

- Wiele ci o nim nie umiem powiedzieć. Przyjeżdża z Mielna, ale to z pewnością wiesz. Odwiedza nas systematycznie. Jesienią, zimą i wiosną bardzo często, a latem trochę rzadziej, bo chyba wtedy intensywniej działa w Mielnie, w tamtejszych domach wczasowych. Ma tu wielu znajomych, z którymi współpracuje.

Muzyczka opowiedział Tadeuszowi co nieco o działalności na zapleczu Polonii.

- Kozłow gra w ukrytym kasynie i w pokojach – dodał. - Wyłapuje przede wszystkim jeleni, którzy przyjeżdżają na krótko i aż się palą do zakazanych rozrywek. Daje dolę recepcjonistom, więc wchodzi i wychodzi kiedy chce. Ogrywa gości kulturalnie i bezboleśnie. Nie chce narobić sobie kłopotów. Ostrzejszą grę uprawia w kasynie, bo tam przychodzą wariaci, nałogowi gracze. On też do nich należy, więc dużo wygrywa i jeszcze więcej przegrywa. Plotkarze mówią, że opłacają mu się niektóre panienki, pracujące w hotelu. Wiesz, w jakim charakterze. U nas panienki zmieniają się dość często. On rzeczywiście niekiedy przywozi z prowincji świeży towar i instaluje u nas za zgodą tutejszego alfonsa. Ma z nim układ. Niektóre z nich to młode Niemki. Ja się od tego interesu trzymam z daleka, na ile się da. Ci, co w nim siedzą muszą współpracować, wiesz z kim. U nas rządzą niepisane prawa. Każdy trzyma się swojego terytorium, nie wchodząc innym w drogę i o nic nie pytając. Tak jest zdrowiej.

- Wie pan – z ociąganiem się powiedział Tadeusz zmartwiony brakiem jakiegokolwiek punktu zaczepienia w dotychczasowych opowieściach Muzyczki. – Tak naprawdę to ja nadal szukam Juliana i dlatego wypytuję o Kozłowa. Czy on przywozi tu młodych mężczyzn?

Muzyczka aż się odchylił na swoim krześle.

- Wchodzimy na grząski teren – powiedział szeptem. – Ja nigdy nie widziałem go z młodymi mężczyznami. Nie wiem, z kim sypia i czy jest amatorem kwaśnych jabłek. Tadeuszu! – Muzyczka wstał, dając do zrozumienia, że nie może i nie chce dłużej rozmawiać. – Popytaj o niego w Mielnie. Może porozmawiaj z jego żoną. Więcej się dowiesz. Nie płacisz. Byłeś moim gościem. Przekaż ukłony rodzicom.

- Dziękuję panu. Przekazę – odpowiedział Tadeusz, który także z wstał z krzesła i ujął wyciągniętą w jego stronę dłoń kelnera.

Stał i wahał się, nie wiedząc, czy wypada jeszcze zapytać Muzyczkę o Roberta Zarzyckiego. Szybko jednak zdał sobie sprawę z tego, że już niczego więcej się od niego tego dnia nie dowie, więc dodał tylko:

– Dziękuję też za poczęstunek.

- Na zdrowie, Uważaj na siebie – Muzyczka popatrzył na niego z współczuciem, jakby miał w stosunku do niego złe przeczucia.

- Panie Muzyczka! – zawołał za odchodzącym Tadeusz – panie Muzyczka!

Muzyczka zawrócił.

- O co chodzi? - odezwał się niezbyt grzecznie. – Ja już powiedziałem, co miałem do powiedzenia.

Tadeusz nachylił się do ucha rozmówcy.

- Czy mógłby mnie pan wprowadzić do kasyna? – wyszeptał niezrażony jego oschłym tonem.

- Przyjdź jutro późnym wieczorem, zobaczę co da się zrobić - usłyszał szybką odpowiedź.

Tadeusz wyszedł na zewnątrz lekko zamroczony alkoholem i papierosowym dymem. Nie miał wprawy w używaniu życia w ten sposób. Jego koledzy z pracy kurzyli papierosy i nie stronili od kieliszka, ale on był wśród nich wyjątkiem. Nie przeszkadzało mu, że uważają go za dziwaka czy nieudacznika. Nie zamierzał spędzać za kółkiem reszty życia. Czekał na normalniejsze czasy, żeby coś w swoim życiu zmienić, choć nie wiedział dokładnie czego chce. Na razie nie

miał głowy do myślenia o takich sprawach. Myśl o jutrzejszym wejściu do kasyna przyjemnie go podniecała. Rozejrzał się wokół. Ruiny, które jeszcze pozostały, wyglądały ponuro. Skręcił w lewo w ulicę Zwycięstwa i postanowił zajrzeć na chwilę do pobliskiego baru Myśliwskiego, prawdziwej koszalińskiej „mordowni”. Nie liczył na nic. Może tylko na łut szczęścia. Może natknie się na Kozłowa? Był pewien, że go rozpozna, bo dobrze się przyjrzał rysunkowi wykonanemu przez Annę.

W porównaniu z panującą w „Myśliwskiej” gęstwą papierosowego dymu salę restauracji „Polonia” można było uznać za wypełnioną czystym górskim powietrzem. Tadeusz po wejściu widział tylko poruszające się, jakby we mgle, zarysy ludzkich sylwetek. Przedostał się do bufetu, na którym błyszczała piękna stalowo-porcelanowa pipa do piwa.

- Podajemy tylko przy stoliku - burknął ogólnie przybrudzony bufetowy i gestem nieogolonej szczęki wskazał wolny stolik tuż przy bufecie.

Tadeusz nie miał ochoty na jakikolwiek alkohol, a z pewnością nie miał ochoty na kolejne piwo.

- Proszę tylko o wodę gazowaną, albo oranżadę – rzucił szybko i odwrócił się w stronę sali.

Ze zdziwieniem dostrzegł, że ktoś macha do niego ręką od stolika stojącego w głębi. Podeszedł. Przy stoliku zastawionym pustymi i pełnymi kuflami piwa siedzieli Paweł Wysocki i Robert Zarzycki.

- Co za spotkanie! - wykrzyknął Zarzycki. – A my wspominamy stare dobre czasy! Siadaj!

Tadeusz spojrzał na Pawła pytającym wzrokiem, ale ten tylko uśmiechnął się szeroko i podsunął mu krzesło.

- Gadamy o motocyklach. Robiłem Robertowi jego Zündappa KS750. Niezła maszyna – wesoło oznajmił Paweł.

Miał beztroską nutę w głosie, której Tadeusz wcześniej u niego nie słyszał. Ubrany też był inaczej niż zwykle, swobodnie i elegancko zarazem.

- Chodzi teraz jak nowy. Ale dbam o niego, jak o piękną kobietę – Zarzycki podjął temat motocykla, a następnie zapytał:

– Zamówić ci piwo?

- Nie, dziękuję. Wracam do domu. Wpadłem tu tylko na chwilę, wypić oranżadę. Jestem zmęczony – odrzekł szybko Wysocki.

Jego ton i jego humor, nie harmonizowały z nastrojem przypadkowo napotkanych starszych kolegów.

- A skąd wy się znacie? - Robert rzucił pytanie i cały czas uważnie przyglądał się Tadeuszowi.

- Z Mielna – odpowiedź na pytanie szybko przejął Paweł. – Spotkaliśmy się latem na plaży i zaczęliśmy rozmawiać. Polubiliśmy się, ale jeszcze zbyt dobrze się nie znamy.

- No tak. Ty jesteś bardzo młody – Robert nadal patrzył na Tadeusza i do niego się zwracał. - Nie to co my, stare konie. A jak się ma twoja mieleńska dziewczyna?

Tadeusz zaczerwienił się i spieszył jeszcze bardziej. Nie wiedział, co powinien odpowiedzieć. Sytuację znów uratował Paweł.

- Masz dziewczynę w Mielnie?! Nie wspominałeś o niej. Znam ją? Ładna? - przekonująco udawał niewiedzę i żartował.

- Nie znasz – Tadeusz próbował też przyjąć lekki ton. – Zresztą to już przeszłość.

- No proszę. Młody człowiek zmienia kobiety jak rękawiczki - natychmiast skomentował wypowiedź Tadeusza Robert. - Takim to dobrze. Można tylko pozazdrościć.

Kelner przyniósł butelkę oranżady i niezbyt czystą szklankę.

-Wypiję z butelki. Szklanka jest lepka – stwierdził Wysocki, oglądając szklankę pod światło, a tak naprawdę chcąc zmienić temat. - Zaraz zmykam - dodał.

- Ja też wychodzę – zareagował Górski. – Muszę się dostać do Mielna. O tej porze nie będzie to łatwe.

- Przywiozłem cię, więc także odwiozę – ton propozycji Zarzyckiego był stanowczy.

- Świetnie. Dziękuję. Ale czy nie robię ci kłopotu? - mówiąc to, Paweł nawet nie spojrzał na Tadeusza.

- Żaden kłopot - zaprzeczył Robert i rzekł:

- Dziś ja funduję. Płacę i wychodzimy.

Machnął na kelnera, a ponieważ ten był zajęty, poszedł do kasy przy bufecie.

- Niedobrze, że wpadliśmy na siebie tak głupio – wyszeptał Paweł. – Ale trudno, i tak mieliśmy go bliżej poznać. Ja się tym zajmę. Ty trzymaj się od niego z daleka.

Zarzycki już zbliżał się do nich energicznym krokiem.

- Motor stoi w sąsiedniej uliczce. A gdzie pan mieszka? - zwrócił się do Tadeusza. - Podrzucę pana.

- Nie, nie, dziękuję – ten gwałtownie zaprotestował. - Muszę się przejść. Mam niedaleko. Mieszkam przy dworcu.

Wyszli razem. Podali sobie ręce na pożegnanie i rozstali się. Tadeusz głęboko odetchnął i ruszył w stronę ulicy Dworcowej.

Robert Zarzycki wysadził Pawła Glińskiego przy wylocie ulicy Kościelnej w miejscu, w którym spotkali się przypadkiem tego samego dnia późnym popołudniem. Wtedy namówił Pawła na wspólne wypicie piwa, nalegając jednak, żeby pojechać do Koszalina. Twierdził, że nie lubi „Mewy”.

- Ależ mam ostatnio szczęście do koleżków i butelki – pomyślał Paweł, rozbawiony znów nadarżającą się okazją. – Chyba się rozpiję.

Był zadowolony. Od dawna nie popijał z kolegami. We wszystkich dojrzałych mężczyznach widział kapusiów. Teraz, pod wpływem sprawy którą się zajął, podejrzenia zmieniły treść i pozwalały nie myśleć o zdradach, popełnianych przez tych, którym jeszcze niedawno ufał.

Podjechali najpierw na kilka minut do pałacu, żeby Paweł mógł się przebrać i ruszyli w drogę. Zasiedli w „Myśliwskiej”, gadali o samochodach i, oczywiście, o motocyklach. Paweł opowiedział trochę o swojej pracy w pegeerze, a Robert o swojej hodowli lisów. Nawet zapraszał, aby ją zobaczyć. O interesach z Czarną Janką nie wspomniał, a Paweł nie zdradził się, że o nich wie. Nieoczekiwane wejście Tadeusza Wysockiego do „Myśliwskiej” popsuło Glińskiemu szyki. Chciał jeszcze więcej od Zarzyckiego wyciągnąć, licząc na to, że ten otworzy się przy kolejnym piwie. Musiał jednak przywołać Tadeusza do stolika, bo jego aktualny kompan od kufła też go zauważył.

Zsiadając w Mielnie z siodelka motoru Paweł przypomniał Robertowi o jego wcześniejszym zaproszeniu na fermę.

- Chętnie zobaczę lisy - zagadnął. – Nigdy nie widziałem srebrnych, a ty mówiłeś, że takie właśnie hodujesz.

- Ja mam najpiękniejsze srebrne lisy w całym powiecie – roześmiał się Robert. - Wpadnę po ciebie jutro wczesnym wieczorem, a raczej późnym popołudniem, jadąc na fermę. - Zobaczysz, są naprawdę ładne. Będiesz mógł wybrać jednego na etolę dla twojej sympatii.

- Obawiam się, że mnie na to nie stać – uśmiechnął się Paweł – ale chętnie zobaczę. Czołem. Widzimy się jutro.

- Serwus – odpowiedział młodzieńczym pozdrowieniem Robert, zawrócił motor i pojechał w kierunku Koszalina. Warkot motoru długo było słychać w nocnej ciszy.

- Uprzejmy facet – pomyślał Gliński. - Nadłożył niezły kawał drogi, żeby mnie odwiedzić.

Spojrzał na zabudowania mieszkalne przy „Mewie” i poszukał wzrokiem okna Anny. Było oświetlone. Przez chwilę miał ochotę pójść do niej i zapytać, co udało się jej wysledzić. Uśmiechnął się, przypominając sobie jej odwagę. Zdał nagle sobie sprawę z tego, że przede wszystkim chciałby komuś powiedzieć o napisie znalezionym dziś po południu w bunkrze. Trudno mu było trzymać wieść o tym niesamowitym znalezisku tylko dla siebie. Korciło go, aby się nią z kimś natychmiast podzielić. Szybko się jednak zreflektował.

- Nie powinienem powiadamiać Anny jako pierwszej. Jako pierwsza powinna dowiedzieć się Marianna, żeby móc przekazać wiadomość Walerii. Dla Walerii będzie ona mocnym ciosem. Mańka musi zdecydować, czy jest w stanie go znieść osłabiona chora dziewczyna.

Ruszył w stronę pałacu.

- Grzegorz ma rację – myślał po drodze . – Trochę pyszny człowiek z tego Roberta, mały cwaniak i kombinator, ale chyba jest w porządku. Po prostu radzi sobie jak może. Przecież ma rodzinę. Ciekawe tylko jak szanowna małżonka znosi jego wyjazdy. Kiedy on w ogóle bywa w domu?

W poniedziałek późnym wieczorem Anna wróciła z „Mewy” i popijając gorącą herbatę, żeby strawić tłuste jedzenie, które tam zjadła, zastanawiała się, czy tak, jak poprzedniej nocy po powrocie z Koszalina, pochodzić po Mielnie i poobserwować podejrzanych. Była senna, ale do pracy miała stawić się dopiero następnego dnia po południu, więc mogła wyspać się rano.

Wczorajszej nocy pochodziła za ormowcem Matczakiem. Nie zauważyła żadnych podejrzanych ruchów. Matczak siedział w „Mewie”, kiedy zajrzała do baru w niedzielę wieczorem, udając, że czegoś zapomniała zabrać dnia poprzedniego. Dyżurujące pracownice dopytywały, jak udał się wypad do Koszalina. Powiedziała im kilka zdań i przeszła z zaplecza na salę dla gości. Stała przy drzwiach, jakby zamierzała wyjść i patrzyła. Matczak już wyglądał na nieźle wstawionego, a stały przed nim jeszcze dwa kieliszki wódki i duże piwo. Głowę musiał mieć jednak mocną, bo kiedy dosiadł się do niego posterunkowy, rozmawiał z nim bardzo przytomnie. Anna wolniutko przeszła obok stolika, przy którym siedzieli i usłyszała, że mówią o klubie żeglarskim, a właściwie o bosmanie. Padały wulgarne słowa. Niektórych nie rozumiała i nie wiedziała, czy warto je zapamiętywać. Na wszelki wypadek zapisała dwa na serwetce, którą wzięła z sąsiedniego pustego stolika: „przycisnąć tego pedzia”, „stary zbok”. Potem szybko wyszła z baru i schowała się za rogiem budynku.

Posterunkowy wyszedł, a Matczak jeszcze został w środku. Pewnie po to, żeby wypić swoje wódki. Po dłuższym czasie wytoczył się wreszcie z „Mewy” chwiejnym krokiem. Odczekała kilka minut i ruszyła za nim. Dogoniła go jeszcze na Lechitów i odtąd szła kilkanaście kroków za nim. Kiedy stawał i odwracał się, kryła się za przydrożnymi lipami. Przeklinał paskudnie, bo co jakiś czas się potykał. Na skrzyżowaniu Lechitów i Chrobrego ktoś niewidoczny krzyknął

za nim piskliwym głosem „kapuś!”. Głos rozległ się z drewnianej galeryjki, z pierwszego piętra wielorodzinnej narożnej kamienicy. Matczak podniósł głowę i chwiejąc się wygrażał zaciśniętą pięścią. „Dorwe cie k...” powtórzył kilka razy i ruszył dalej, nadal klnąc pod nosem. Zmierzał w kierunku ulicy Pionierów, bo prowadziła do ulicy Sosnowej, przy której mieszkał. Kiedy dotarł do swojego domu, wyjął spod wycieraczki klucz od drzwi wejściowych i długo szukał dziurki od klucza. Cały czas głośno przeklinał. Udało mu się wreszcie trafić kluczem do zamka, otworzył drzwi i wszedł. Drzwi zostawił otwarte. Zapalił światło w korytarzu. Anna dostrzegła dużą kobiecą postać w nocnej flanelowej koszuli. Matczakowa, nie zwracając uwagi na pokrzykującego na nią męża, zatrzasknęła drzwi wejściowe. Po chwili w domu Matczaków pogasły światła. Na zewnątrz zapanowała cisza i ciemność. Dopiero teraz Anna zdała sobie sprawę z tego, że Matczak od pewnego czasu oświecał sobie drogę latarką. Na Sosnowej nie było oświetlenia. Stała i słuchała szumu morza i nadmorskich sosen. Sosnowa, jak prawie wszystkie mieleńskie uliczki odchodzące od Chrobrego, prowadziła prosto na plażę.

- Już nic się tu nie wydarzy – pomyślała i, ostrożnie stawiając stopy w ciemności, wróciła do głównej ulicy. Postanowiła wracać do domu. Szła, rozglądając się uważnie. Kryła się za drzewami, ilekroć zobaczyła z daleka jakąś postać. W centrum stanęła za kioskiem Ruchu i czekała.

- Może będę miała szczęście i pojawi się Kwiatek – pomyślała o narzeczonym Haliny Nowak i jego szemranych interesach.

Nie miała jednak szczęścia. Po kwadransie czekania, zziębnięta wróciła do siebie.

- Muszę być silna – umacniała teraz samą siebie w przekonaniu, że pomimo wczorajszego niepowodzenia, nie powinna rezygnować z obserwacji.

Postanowiła ubrać się tym razem cieplej i postać pod domem Nowakowej i Kwiatka. Mieszkali w małym domku przy piaszczystej uliczce prowadzącej przez nadmorski lassek. Nowakowa z córką zajmowały główną część, a Kwiatek przybudówkę. Na ich posesji stały liczne szopy i szopki. Nie wiadomo, co w nich trzymali. Anna założyła dwa swetry, płaszcz a na głowie zawiązała chustkę. Cicho zeszła po schodach, wyszła na podwórze, minęła wejście do „Mewy” i ruszyła pustą o tej porze ulicą Lechicką. Na Chrobrego można było jeszcze spotkać nielicznych przechodniów. Kryła się przed nimi tak samo jak poprzedniej nocy. Kiedy skręciła w Orła Białego, ogarnęła ją ciemność. Zapomniała, że leśne uliczki nie są oświetlone

i znów nie zabrała ze sobą latarki. Ruszyła w kierunku majaczących w oddali jasnych punktów, bo wiedziała, że to są okna domu Nowakowej. Kiedy już znacznie oddaliła się od Chrobrego i ciemność zgęstniała, zaczęła się obawiać, że nieoczekiwanie wpadnie na kogoś, kto także porusza się drogą. Niewiele bowiem widziała a słyszała tylko swój własny głośny oddech, który mógł zagłuszyć obce kroki. Stała i nasłuchiwała. Cisza. Zeszła na skraj drogi i posuwała się wolno, brodząc w piachu i starych liściach. Pomyślała o swoich butach, o tym, że będzie je musiała niedługo wyrzucić a na nowe nie ma pieniędzy. Wreszcie dotarła na miejsce.

Wszystkie okna w domu Nowakowej były rozświetlone. Stała za krzakiem bzu, rosnącym tuż przy płocie, i obserwowała posesję. Kiedy zamierzała wyjść zza bzu i podejść pod dom, żeby przez okna dyskretnie zajrzeć do wnętrza i sprawdzić, co się w nim dzieje, usłyszała kroki. Zamarła i wstrzymała oddech. Ktoś przeszedł tuż obok niej i skierował się do drzwi domu. Usłyszała ściszone głosy. Dopiero w jasnym prostokacie okna, zobaczyła dwie kobiety. Zapukały cicho do drzwi. Drzwi otworzyły się natychmiast, kobiety wskoczyły do środka i drzwi równie szybko się zamknęły. Anna podkraśla się do okna, zza którego dobiegały teraz podniesione głosy i ostrożnie zajrzała do pokoju. Cztery kobiety siedziały przy stole założonym kolorowym towarem. Dwie z nich czekały cierpliwie, aż dwie pozostałe obejrzą sobie wszystko i na coś się zdecydują.

- Nowakowa z córką upłynniają towar – stwierdziła Anna. – Nic nowego.

Znów doznała rozczarowania. Postanowiła zajrzeć przez okno do wnętrza przybudówki i sprawdzić, co robi Kwiatek. Pokój mężczyzny był jednak pusty. Nagle za jej plecami rozległo się skrzypienie drzwi jednej z licznych szop. Skuliła się i wcisnęła w ścianę. Serce podeszło jej do gardła. Kwiatek niósł coś, ale nie widziała, co to może być. Poszedł prosto do głównych drzwi. Wszedł bez pukania i po chwili głosy kobiet stały się jeszcze głośniejsze.

- Nowy towar – pomyślała Anna.

Niespodziewanie dla siebie samej, prowadzona nagłym impulsem, odkleiła się od ściany przybudówki i zbliżyła się szopy, z której przed chwilą wyszedł Kwiatek. Nie otworzyła drzwi, bo wiedziała, że głośno zaskrzypią. Zawołała cicho: „Antek”, „Antoś”, „to ja Anna” i nasłuchiwała. Cisza. Przypomniała sobie o bracie Tadeusza i znów wyszeptała: „Julian”, „panie Julianie”. Cisza. Ponieważ gwar w domu nie ucichł, obeszła pozostałe szopy i w głąb każdej z nich szeptała imiona zaginionych. Odpowiedzi nie było. Ogarnęło ją śmiertelne znużenie i

przemóżny smutek. Nie miała tu już nic do roboty. Wymacując drogę z trudem dotarła do Chrobrego. Usiadła za grubą lipą i ciężko dyszała. Kiedy odzyskała trochę sił, postanowiła podejść jeszcze do przystani. Z oddali widać było latarnie na terenie klubu i połyskującą toń jeziora.

Na plac klubu żeglarskiego weszła przez dziurę, na którą natknęła się, idąc wzdłuż drucianego ogrodzenia okalającego klub. Przechodząc przez dziurę, zaczęła płaszczem o wystający drut, szarpnęła i usłyszała dźwięk rozdzierającego się materiału. Nawet się nie zdenerwowała.

- Już i tak wyglądam jak łachmaniarka – powiedziała w duchu i trzymając się blisko ścian hangarów, przemknęła w stronę mola.

Na końcu pomostu kołysał się mały jacht z kokpitem. Kołysał się bardzo energicznie, jakby poruszany wewnętrzną siłą, bo fal na jeziorze nie było. Jej buty zastukały po drewnianych deskach. Przestraszyła się głośniejszych dźwięków, zawróciła i pobięła z powrotem. Ukryła się w cieniu hangaru w ostatniej chwili, bo z jachtu na pomost wyszedł mężczyzna. Była prawie nagi. Tylko biodra owinał ręcznikiem. Poznała bosmana.

- Kto tam? - ściszone głosem zawołał bosman.

Nasłuchiwał. Nadleciała mewa. Usiadła na początku mola i podreptała w jego stronę. Rozległo się głośnie tupanie, a bosman roześmiał się i wchodząc na łódź powiedział dziwnie słodkim głosem:

- Jacuś, to tylko mewy.

- Co oni tam robią? - Anna była zdziwiona i zaniepokojona. Słowa, które zapisała dzień wcześniej podsłuchując ormowca i milicjanta nabierały teraz niejasnego sensu. Czuła się zagubiona i zmieszana. Ulżyło jej, gdy postanowiła, że jutro rano pójdzie do Pawła. Nie szkodzi, że on będzie w pracy. Dla zmylenia pana Edzia powie, że coś się w „Mewie” zepsuło i prosi Pawła o poradę.

4. Nieszczęścia chodzą parami, a szczęście samotnie. Wtorek, 23 września 52



Pan Muzyczka, tak jak obiecał, załatwił Tadeuszowi wejście do kasyna. Nie był jednak zadowolony ze spełnienia obietnicy. Patrzył na młodego człowieka z niechęcią. Nie podobał mu się także jego strój.

- Tak nie możesz się tam pokazać – orzekł, patrząc z politowaniem na rozpiętą pod szyją białą koszulę i tweedową marynarkę. - Chodź, dam ci moją służbową marynarkę i krawat. Wychodząc, weźmiesz z recepcji swoje ubranie, a zostawisz moje. Przebierzesz się w toalecie, bo mnie już prawdopodobnie nie będzie. Zaraz kończę swoją zmianę.

Tadeusz poczuł się niezręcznie, robiąc Muzyczce dodatkowy kłopot, ale nie pozostało mu nic innego, jak tylko posłuchać rady doświadczonego pracownika nocnych lokali. W czarnej marynarce i w jedwabnym szarym krawacie wyglądał naprawdę nieźle. Do kasyna wchodziło się za hotelową kuchnią. Prawdopodobnie, aby je urządzić wykorzystano dawne magazyny. Wyglądało jednak imponująco. Duża długa sala nie miała wprawdzie okien, ale musiała mieć dobrą wentylację, bo nie była ani duszna, ani nadmiernie zadymiona. Wokół dłuższych ścian, na których dla ozdobienia surowego wnętrza powieszono kolorowe kilimy, stały stoliki do gry, wyłożone zielonym suknem. Stoliki skompletowano bardzo starannie. Pod lewą ścianą umieszczono półokrągłe, nieduże stoły do gry w oczko oraz nieco większy stół do pokera. Jeszcze większe stoły do ruletki umieszczono po prawej stronie. Dobrano także krzesła – wyściełane, z wygodnymi oparciami i podłokietnikami. Na krótszej ścianie, tej przy wejściu, był bar, w którym sprzedawano nie tylko kolorowe alkohole i apetyczne przekąski, ale także żetony do gry. Na przeciwległej, na końcu sali, znajdował się podest dla orkiestry. Całość

dobrze oświetlały cztery kryształowe żyrandole. Muzyczka, kiedy zauważył, że Tadeusz jest zdumiony wystrojem tego nielegalnego lokalu, uśmiechnął się do niego i powiedział ściszym głosem:

- Bez obaw. Nikt ich nie ruszy. Służby trzymają na tym przybytku nielegalnych rozkoszy swoją łapę.

Powiedziawszy te słowa oddalił się i podszedł do stojącego przy barze dorodnego osobnika w sile wieku, którego zbójcka twarz kontrastowała z eleganckim strojem. Długo szeptał mu coś do ucha. Osobnik popatrzył na Tadeusza przeciągle nieprzyjaznym wzrokiem, ale ostatecznie pokiwał przytakująco głową. Muzyczka poklepał go uspokajająco po plecach, wrócił do Tadeusza i obwieścił:

- Musisz zapłacić wstęp i musisz grać. Najlepiej w oczko, bo to najłatwiejsze i najmniej możesz stracić. Masz pieniądze na żetony? - zapytał zaniepokojony.

- Tak, mam – Tadeusz pomyślał o sporej kwocie, którą przeznaczył na dzisiejszy wieczór, a była to połowa jego miesięcznej pensji, ponad 300 złotych.

- Wstęp kosztuje 20 złotych – poinformował go Muzyczka. - Płacisz temu dżentelmenowi przy drzwiach. Ja wracam do pracy. Powodzenia. Uważaj na siebie.

- Dziękuję panu, panie Muzyczka. Poradzę sobie – zapewnił Tadeusz, choć wcale nie czuł się pewnie.

- Oczko nazywa się tutaj blackjack – dorzucił Muzyczka. - Pamiętaj, że w blacjacku damy, króle i walety mają po dziesięć punktów, a asa liczysz za 1 lub 11, zależy jak jest korzystniej. Żeby wygrać należy liczyć karty. Zrozumiałeś?

Wysocki skinął głową bez przekonania. Kiedy Muzyczka wyszedł, opłacił wstęp, kupił żetony za 100 złotych i postanowił na odwagę wypić drinka, którego zaproponował przechodzący kelner. Wypił duszkiem. Nie zauważył cynicznych uśmiechów przyglądających mu się dwóch facetów z obsługi. Postawił pustą szklankę na pobliskim pustym stoliku i udał się pod lewą ścianę sali, gdzie przy czterech stołach grano w oczko. Szedł wzdłuż stolików i przyglądał się grającym. Krupierzy zapraszająco wskazywali mu wolne miejsca. Uśmiechnął się do tego przy trzecim stole i usiadł, dając jednak znak, że na razie nie zamierza dołączyć do trzech grających

klientów. Przez dłuższy czas patrzył uważnie. Stawki nie były wysokie a szczęście grających zmienne. Przeżegnał się w duchu i machnął na krupiera, że teraz dołączy. Przegrał trzy razy z rzędu, bo miał furę, a krupier nie musiał pokazywać w takim przypadku swoich kart. Zaczął uważać i liczyć karty. Wygrał i podniósł stawkę. Po około godzinie stracił wszystkie żetony. Mógł jednak teraz, jak sądził, poszwendać się trochę po sali, nie budząc niczych podejrzeń. Wstał, podszedł do baru i zamówił jeszcze jedną szklaneczkę, za którą musiał zapłacić, ale za to trunek okazał się mocniejszy niż ten poprzedni. Popijając, chodził od stolika do stolika.

Podest dla artystów był pusty. Dziewczynek też nie było. Nic nie zapowiadało, że to się zmieni, więc trochę pożałował, że nie pozna erotycznej strony nocnego życia. Kozłowa też nie zauważył. Przystawał kolejno przy stołach do ruletki, przy których siedziało więcej osób niż przy kartach. Wszyscy zdawali się być całkowicie skoncentrowani na działaniach swoich, krupiera i toczącej się kulce. Gra niewątpliwie wciągała, bo kibicując jednej młodej i ładnej kobiecie, która często wygrywała, Tadeusz spędził przy jednym ze stołów prawie godzinę. Ocknął się wreszcie i odszedł w stronę baru, gdzie kupił następnego drinka i żetony za następne 100 złotych. Tym samym jego fundusze wyczerpały się. Ze szklaneczką w dłoni usiadł przy innym niż poprzednio stoliku do blacjacka. Dobrze wybrał, bo Kozłow - poznał go natychmiast - usiadł przy tym samym stoliku kilka minut później. Był to szczupły wysoki mężczyzna w średnim wieku. Rysunek Anny dobrze oddawał ostre rysy twarzy, ciemną cerę i bystre błyszczące oczy. Nie był przesadnie elegancko ubrany, ale pewny siebie i rozluźniony. Podał rękę kilku osobom, które przechodząc zagadywały go, mówiąc do niego po imieniu, Wacek. Kiedy zaczął grać, nie odzywał się do nikogo, choć nadal nowo przybyli klepali go przyjaźnie po ramieniu. Grając, był skupiony i wyglądał jak drapieżny ptak, który już wypatrzył swą ofiarę. Tadeusz przez chwilę miał wrażenie, że tamten go poznał. Odrzucił tę bezsensowną myśl, bo przecież nigdy się przedtem nie spotkali. Starał się nie patrzeć na Kozłowa zbyt długo i natrętnie. Rozproszył się, stracił czujność i zaczął przegrywać. Przestraszył się nie na żarty, że straci wszystko, co przyniósł.

- Muszę się odegrać – pomyślał – ale jeśli Kozłow zmieni stół, powinienem pójść za nim. Jak to zrobić?

W głowie miał chaos. Aby się uspokoić, zaczął liczyć rozdawane karty i skupił się na grze. Oplacało się, bo wkrótce leżąca przed nim kupka żetonów powiększyła się znacznie. Nie miał pojęcia, ile to jest w przeliczeniu na pieniądze, ale postanowił odejść od stolika i pójść do

toalety. Zgarnął żetony, upchnął po kieszeniach i uśmiechając się przepraszająco do krupiera o kamiennej twarzy, zapytał przechodzącego kelnera o WC.

- Za wejściem w prawo – kelner uprzejmie wskazał mu drogę.

Toaleta była niewielka, jednoosobowa i koedukacyjna. W istocie grających pań w kasynie było tylko kilka, chyba trzy.

- Obsługa ma osobną – pomyślał Tadeusz i odetchnął głęboko, patrząc na swoją twarz w matowym lustrze. - Pozbieraj się chłopie do kupy i działaj – powiedział do odbicia, a potem obmył twarz zimną wodą i wrócił na salę.

Kozłów siedział teraz przy stole do pokera.

- Rozkręca się – mruknął do siebie Tadeusz, ale zauważył, że goście przy pokerowym stoliku podają Kozłowskiemu koperty.

- Ki czort? - zdziwił się. – Płacą mu za dziwki? Aż tylu naraz?

Kozłów wstał, nie podszedł do innych karcianych stołów, lecz przeszedł do najdalszego stołu do ruletki. Nie siadał, lecz podchodził do niektórych gości, a ci też wręczali mu koperty.

- Muszę natychmiast stąd wyjść, złapać Muzyczkę i spytać go, o co chodzi – pomyślał Tadeusz wpadając w popłoch. Bał się, że cerber o zbójckiej twarzy, który miał oko na wszystko i wszystkich, zatrzyma go przy wyjściu. Ilość żetonów, które wygrał, zdawała mu się teraz większa od ilości wszystkich wcześniej przez niego zakupionych. Otarł pot z czoła i nie spoglądając na cerbera, podszedł do baru. Wysypał żetony i czekał, aż obsługujący go mężczyzna skończy je liczyć.

- Pan już wychodzi? - usłyszał pytanie, którego się obawiał.

Elegancki zbój patrzył na niego dziwnie przyjaźnie.

- Tak, zapomniałem o czymś, muszę wracać do domu, ale z pewnością tu jeszcze wrócę – Tadeusz starał się mówić spokojnym niskim głosem, aby dodać sobie powagi. - Jeśli pan oczywiście pozwoli – dodał natychmiast, widząc, jak wzrok pytającego staje się zimny i wrogi.

- Zapraszamy – rzekł wystrojony bandzior słodkim głosem. - Miał pan dziś szczęście w grze, Życzę jednak panu szczęścia także w miłości. Miłość jest najważniejsza.

Wysockiego zdziwiła wypowiedź cerbera i nie odpowiedział. Schował do kieszeni spodni odliczone ponad 400 złotych i wyszedł, nie okazując pośpiechu, który rozsadzał mu pierś. Niestety Muzyczki już nie było. Zabrał więc z recepcji swoją marynarkę, przebrał się i wrócił do recepcji z ubraniem Muzyczki. Musiał jeszcze przejść do szatni. Wisiał w niej już tylko jeden płaszcz i leżał jeden kapelusz. Jego. Obudzony szatniarz podał mu rzeczy bez słowa i znów schował się za kontuarem.

Noc była jasna. Inna od tej wczorajszej, deszczowej i ponurej. W oknach domów nie świeciły się już światła. Tadeusz zapiął płaszcz, włożył na głowę kapelusz i ruszył szybkim krokiem w stronę ulicy Zwycięstwa. Nikogo po drodze nie spotkał. W otaczającej go pustce jego zabezpieczone podkuwkami buty dudniły po bruku. Kiedy skręcił w ulicę Dworcową poczuł się bezpieczniej. Nagle z mroku wyszły dwie ciemno ubrane postacie.

- To koniec – przeszło mu przez głowę, kiedy otrzymał pierwszy cios. - Szkoda matki – pomyślał, upadając.

Starał się osłaniać głowę rękami. Zwinął się w kłębek, chroniąc brzuch. Ciosy spadały na plecy, ręce i nogi.

- Tadeusz! – usłyszał przeraźliwy kobiecy głos dobiegający gdzieś z wysoka i stracił przytomność.

Irena Wysocka nie mogła zasnąć. Wróciła z wieczornej mszy później niż zwykle, bo odwiedziła panią Marię Pilecką. Rozmawiały o książkach. Pilecka, kierująca Powiatową Biblioteką Publiczną w Koszalinie, prowadziła także bibliotekę przy farze. Była nieocenionym źródłem wiedzy o książkach. Opowiadała Irenie o koszalińskim zborze protestanckim i wydawanych przez zbór książkach religijnych. Kobiety dobrze się rozumiały. Obie były, jak się mówiło, przedwojenne. Wysocka szanowała Pilecką. Wiedziała, że jej dzielnego brata Witolda, zamordowali komuniści. Rozstały się przed dwudziestą drugą. Irena wolnym krokiem wróciła pustawymi ulicami do domu. Była pewna, że w domu zastanie Romana tkwiącego przy radiu i kręcącego gałką w poszukiwaniu zanikających fal. Tadeusza też mogło nie być. Rozwłóczył się. Wracał późno i nie tłumaczył się z niczego. Wiedziała także, że obaj, mąż i syn, kochają ją i chcieliby jej pomóc, ale przecież sami nie radzili sobie z zaginięciem Juliana.

W jej głowie Julian wciąż żył. Nigdy nie myślała i nie mówiła sama do siebie o jego śmierci, zawsze o zaginięciu. Jeśli ona uzna syna za zmarłego, Julian naprawdę umrze. Roman i Tadeusz zgodzili się już na jego śmierć. Dlatego tak trudno było im z nią szczerze rozmawiać. Każdy z nich zamknął się w świecie własnych złudnych pasji. Roman zagłuszał się radiowym szumem. A Tadeusz? Kto wie czym?

Po wejściu do mieszkania, skierowała się najpierw do kuchni. Zrobiła sobie herbatę z dużą ilością cukru. Przeszła do pokoju. Pokręciła z dezaprobatą głową, słysząc jazgot radia za ścianą i usiadła w fotelu. Wzięła do ręki książkę pożyczoną od Pileckiej, ale nie mogła się skupić na czytaniu. Zamknęła oczy. Pod powiekami widziała swoich małych synków, Tadeusza i Juliana. Przypominała sobie dom w Gnieźnie i ostatnie szczęśliwe lata w nim spędzone. Musiała się zdrzemnąć, bo nagle drgnęła gwałtownie. Szum radia ucichł. Senność odeszła, a po krótkim śnie umysł rozjaśnił się i mogła zacząć czytać. Pożyczyła od Pileckiej książkę Zofii Kossak „Pożoga”, choć zawierała niełatwe do przyjęcia treści. Nie miała jednak ochoty na lekką lekturę. Drażniła ją każda wesołość nieskutecznie maskująca dziejące się wokół dramaty. W „Pożodze” były treści trudne, ale prawdziwe.

Minęły dwie, albo trzy godziny czytania, a sen nie przychodził. Podeszła do okna, otworzyła je i długo patrzyła na pustą nocną ulicę. Zamknęła okno.

- Muszę się położyć. Rano będę nieprzytomna – pomyślała.

Z ulicy dobiegły ją jęki i głucho uderzenia. Otworzyła szeroko okno i mocno wychyliła się na zewnątrz. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Dwóch zbirów kopało leżącego na bruku Tadeusza. Coś w niej zawył i usłyszała swój wysoki przeraźliwy krzyk. Oderwała się od okna, wybiegła z mieszkania i już zbiegała po schodach, gdy dogonił ją obudzony krzykiem Roman.

- Dokąd biegiesz? – krzyczał. – Co się stało?

- Tadziu, Tadziu - bełkotała nieprzytomnie w biegu.

Wypadli na ulicę.

- Tadeusz, Tadeusz – wołała Roman Wysocki który, ubrany w pasiastą pidżamę i domowe kapcie, pierwszy dopadł do nieprzytomnego, leżącego na bruku syna i zaczął nim lekko potrząsać.

- Zostaw go! Dzwoń po pogotowie! – krzyczała Irena.

Teraz ona przypadła do syna.

– Biegnij na dworzec – zawołała do męża. - Tam zawsze ktoś jest.

Pogotowie ratunkowe przyjechało po dwudziestu minutach. Roman Wysocki zdążył w tym czasie wrócić i przebrać się. Irena pozostała przy Tadeuszu. Jęczał głośno, ale odzyskał przytomność. Krew z głębokiej rany na dolnej wardze zalewała mu pierś.

- Synku, zaraz będziesz w szpitalu, zaraz ci pomogą – przemawiała Irena, trzymając głowę syna na kolanach i nie zwracając uwagi na głowy sąsiadów pojawiające się w otwartych oknach. Zdjęła z siebie rozpinany sweter i próbowała zatamować krew. Tadeusz pokręcił głową.

- Mamo – wyszeptał, lekko podniósł głowę i spojrzał na nią zbolalym wzrokiem. – Pieniądze. Sprawdź czy są w kieszeni w spodniach.

Zaskoczona żądaniem syna matka z wahaniem sięgnęła do jego kieszeni. Wyjęła plik banknotów.

- Schowaj! Nie pokazuj! - wykrztusił. - Nie bój się. Nie ukradłem. Wygrałem w karty.

- Synu, synu – lamentowała Irena. – Co ty zrobiłeś? Co ciebie opętało? Nie przeżyję kolejnej straty!

Nie miał siły, aby ją uspokajać.

Anna przyszła we wtorek do pracy zmęczona i smutna. Wydarzenia poprzedniej nocy wytrąciły ją z równowagi. To, co widziała w klubie żeglarskim bardzo ją zaniepokoiło. Słyszała niekiedy uwagi o dziwnych upodobaniach mężczyzn, jakieś sprośne żarciki na ten temat i rzucane pod czyimś adresem obelgi, ale nigdy nie wnikała o co chodzi. Po powrocie z nocnej wyprawy nie zasnęła, ponieważ zaczęły ją nękać natrętne myśli. Myślała oczywiście o Antonim, o jego dziwnym wycofaniu się z ich związku, o tajemniczym i nagłym zniknięciu. Najbardziej zabolą ją, gdy przypomniła sobie, że Antek nie cieszył się z tego, że będą mieli dziecko.

- On nie chciał dziecka, nie chciał mieć dziecka ze mną, przestał mnie kochać, wszystko mu przeszkadzało, zaczął pić – złe myśli plątały się w jej głowie, ale jednocześnie składały na przerażające wyjaśnienie. - Opuścił mnie i dziecko dla mężczyzny, bo przecież nigdy nie oglądał się za innymi kobietami. Wydawał się szaleńczo zakochany tylko we mnie, ale do czasu. Coś się musiało wydarzyć w tej wstrętnej „Mewie”, coś, o czym nikt nie chciał mi nigdy powiedzieć!

Łkała bezgłośnie. Ból, który czuła, był podwójny, bo oprócz bólu odrzucenia dopadł ją także ból po stracie synka. Nie pamiętała nawet jak wyglądał. Nigdy nie była na jego grobie. Nie myślała o Adasiu, bo wiedziała, że to ją zabije. Teraz czerń rozpacz spadła na nią z całą hamowaną wcześniej siłą i przygwoździła do łóżka. Przysnęła na krótko dopiero o świcie. Obudziła się nagle, czuła lęk, dygotała i była prawie nieprzytomna. Wkrótce dawna czarna rozpacz znów weszła w nią i rozeszła się po wszystkich zakamarkach jej ciała. Jej głowa była zbyt umęczona, aby myśleć, więc mechanicznie wykonała wszystkie poranne czynności i poszła do „Mewy”. Nie spodziewała się następnego uderzenia. Niczego się nie spodziewała. Obierała warzywa – od tego zaczynała pracę – kiedy do obieraka wkroczył kierownik. Stał nad nią, a gdy podniosła głowę, aby na niego spojrzeć i powiedzieć „dzień dobry panie kierowniku”, odwrócił wzrok, też podniósł głowę i spojrzał na brudny sufit.

- Będę musiał cię zwolnić – powiedział szybko. – Żle pracujesz, goście się na ciebie skarżą. Możesz zostać do końca miesiąca. Poszukaj sobie innej pracy. Nie nadajesz się do lokalu.

Nastała cisza. Byli w pomieszczeniu sami. Słyszeli, jak w kuchni dźwięczą garnki i talerze a kucharka pokrzykuje na pomoce kuchenne. Marianna znieruchomiała. Nie odezwała się. Kierownik nagle odwrócił się i wyszedł. Poczuli, że nie może zostać w tym miejscu ani chwili dłużej. Rzuciła do wody nieobraną do końca marchew, zdjęła fartuch i klapki, włożyła płaszc, buty i poszła za kierownikiem. Kobiety w kuchni patrzyły za nią zdziwione.

- Anka, ty dokąd! - zawołała kucharka.

Anna weszła do biura i, nie patrząc na Majewskiego, powiedziała spokojnie:

- Chcę odejść od razu. Proszę o moje papiery.

- Siadaj. Zaraz wszystko przygotuję – powiedział i wstał zza biurka.

Przez jakiś czas stał odwrócony do niej tyłem i grzebał w jednej z szuflad szafy z dokumentami. Nie odwracając się powiedział:

- Chyba nie będziesz latała do nikogo na skargę? Pamiętaj, że nic ci to nie da.

Nie odpowiedziała. Wzięła papiery podane przez kierownika i wyszła z kantorka. Nie wróciła na zaplecze i nie pożegnała się z koleżankami. Wyszła na zewnątrz. Nie wiedziała dokąd iść. Była oszołomiona i dziwnie obojętna. Dzień był słoneczny i ciepły.

- Babie lato – pomyślała. – A wczoraj padało; wrzesień; lubię wrzesień.

Przeszła na drugą stronę ulicy, wciągnęła w nozdrze zapach dymu i świeżego chleba z piekarni, minęła sklep, skład materiałów z magazynami i hałdami węgla. W bramie składu była waga, na której ważono wyjeżdżające pojazdy. Stał na niej konny wóz załadowany węglem. Woźnicy Polusia nie było. Anna podeszła do konia. Poklepała go po szyi, dotknęła miękkich nozdrzy i poszła dalej. Kiedy mijała zabudowania pegeeru zatrzymała się. Patrzyła w głąb placu, jakby spodziewała się zobaczyć tam Pawła, ale nie zobaczyła nikogo. Słyszała tylko dalekie odgłosy pracy. Trwały wykopki. Poszła więc dalej i po kilku minutach weszła na przykościelny cmentarz. Z łatwością odnalazła wzrokiem miejsce z małymi kopczykami zwieńczonymi białymi krzyżykami. Grób Adasia zapadł się a krzyżyk pochylił. Ktoś jednak musiał zmiatać z grobu liście, wyrywać zielsko i zapalać świece, bo nie był zarośnięty a resztki wosku zastygły w wilgotnej ziemi. Litery na tabliczce były słabo widoczne. Uklękła i zaczęła się modlić, choć od dawna tego nie robiła. Szloch rozrywał jej pierś. Rozpacz wypływała z niej razem ze łzami, pozostawiając w ciele łatwiejszy do zniesienia smutek. Urwała kilka stokrotek i położyła na grobie. Postanowiła, że kiedy przyjdzie następnym razem, weźmie ze sobą narzędzia, świerkowe gałęzie, kwiaty i doprowadzi grób do porządku. Postanowiła też, że teraz poszuka Pawła i powie mu o wszystkim, co się wydarzyło. Wstała z kolan. Poprawiła ubranie i włosy. Poczekała, aż obeschną łzy a z twarzy zejdzie opuchlizna. Potem ruszyła w stronę zabudowań pegeeru.

Przy bramie wejściowej na peegerowski plac stała stróżówka. Stróż nie chciał wpuścić Anny na teren gospodarstwa, ale zgodził się pójść i wywołać Pawła z warsztatu. Szybko wrócił i bez słowa dał znać ręką, że może wejść. Paweł, umorusany smarem, pracował w warsztacie razem z panem Edziem. Spojrzał na Annę i od razu poznał, że stało się coś niedobrego. O nic nie zapytał, tylko poprosił pana Edzia, aby sam dokończył robotę.

- Skończę, skończę – odezwał się pan Edzio, zajęty naprawą koła poniemieckiej kopaczki do ziemniaków. - Wróc po obiedzie.

- Dziękuję ci Edziu – powiedział Paweł, wytarł zabrudzone ręce i dał Annie znak, aby poszła za nim. W pokoju zrobił jej herbatę i podał kromkę chleba z masłem.

- Najpierw zjedz, a potem powiesz, co się stało. Ja idę się umyć i przebrać.

Jego spokój i opanowanie udzieliły się Annie. Wiedziała, że Paweł jej pomoże, że może na niego liczyć, tak samo jak na Mariannę. Kiedy wrócił opowiedziała o swoich nocnych wypadach, o tym, co widziała w klubie żeglarskim, o domysłach, dlaczego Antek zostawił ją i ich nienarodzone dziecko i wreszcie o nagłym zwolnieniu z pracy.

- Nie sędzę, żeby twój mąż lubił mężczyzn. Przecież nic nie zauważyłaś, kiedy byliście razem. Uspokój się więc i nie wymyślaj Bóg wie czego – stwierdził Paweł. - A pracy w „Mewie” nie ma co żałować. Znajdziesz lepszą. Poczekaj tu na mnie. Zejdę do biura i zadzwonię do Marianny. Powinna dziś być w sanatorium.

Wrócił po chwili.

- Rozmawiałem z nią, ale powiedziałem tylko, że nie masz już pracy. Wiesz, że ona się ucieszyła. Poradziła, żebyś zwolniła pokój, spakowała swoje rzeczy i jutro, ale najlepiej pojutrze, przyjechała do niej. Czwartki ma wolne, więc będzie od rana na ciebie czekać. Ja też pojutrze po pracy do niej się wybieram. Musimy znów zastanowić się, co dalej robić. Nie tylko z tobą, ale też z naszymi poszukiwaniami. Trzeba będzie jeszcze Tadeusza powiadomić o spotkaniu.

Anna była zbyt zmęczona, aby protestować. Zrozumiała, że skończyło się jej dotychczasowe życie, ale nie czuła strachu, ani żalu. Nic nie czuła. Poddawała się losowi, a raczej tym, którzy jej dobrze życzyli.

Paweł Gliński po skończonej pracy czekał na przyjazd Roberta Zarzyckiego. Nie miał ochoty jechać na fermę lisów, bo niczego po tej wizycie się nie spodziewał. Zanim zajęty mu głowę sprawy Anny, myślał wciąż o napisie, o Marianie i Walerii. Miał przeczucie, że odkryli z Grzegorzem jądro jakieś mrocznej tajemnicy. Przeczucie męczyło go tym mocniej, im dłużej

nikomu o napisie nie mówił. Kiedy Anna wyszła od niego i wróciła do swego marnego pokoju przy „Mewie”, znów dopadły go wspomnienia z poniedziałkowej wyprawy. Nic więc dziwnego nie było w tym, że nie chciało mu się prowadzić grzecznych rozmówek z facetem, którego prawie nie znał i który go właściwie nie interesował. Nie interesowały go ani jego małe szwindle i cwaniactwa, ani jego motocyklowe bajery, a już najmniej interesowały go jego lisy. Nie było jednak łatwego sposobu wymówienia się z wizyty, na którą sam przecież się wprosił.

- Może dobrze mi robi oderwanie się od rozmyślań o Marianie – pocieszał się bez większego skutku.

Ubrał się tym razem niedbale i czekał, przechadzając się po placu przed pałacem. Od czasu do czasu zamieniał kilka zdań z przechodzącymi pracownikami pegeeru. Wkrótce nadjechał Robert, więc usiadł na tylnym siodełku motocykla i ruszyli. Gdy zjechali z głównej drogi, wjechali na polną, rozmokłą po wczorajszym deszczu, drogą. Robert, uśmiechnięty i zadowolony, nie zwrócił uwagi na poważny nastrój Pawła. Mówił coś, śmiejąc się wesoło, ale siedzący na tylnym siodełku pasażer niewiele słyszał. Starał się jednak także śmiać w odpowiednich momentach, co dobrze mu nawet zrobiło. Dojechali na miejsce. Zarzycki dziarsko zeskoczył z motoru i zaczął otwierać z kłódki drewnianą bramę.

- Poczekaj tutaj – powiedział, odwracając się do stojącego koło motoru Pawła. - Muszę zamknąć psa. Jest ostry, ale dobrze odstrasza ciekawskich i złodziei.

Wszedł za bramę i słychać było jak spokojnie przemawia do psa, a ten skamle i poszczekuje, ciesząc się z wizyty swojego pana. Kiedy wjechali do środka pies już nie zaszczekał ze głębi swego zamknięcia.

- Witaj w moim królestwie – powiedział Zarzycki, zdjął okulary, pilotkę i przygłądził zwichrzone jasne włosy.

Świetnie wyglądał w swoim skórzanym stroju. Wysoki, wyprostowany. Nie wyglądał na swoje lata.

Wolny od klatek na norki plac wewnętrzny był na tyle duży, że poza motocyklem z przyczepą mieściły się na nim sprzęty do karmienia zwierząt, do czyszczenia klatek, dwie metalowe beczki z wodą i zadaszenie z parnikami. Zapach nie był tak przykry, jak można było się spodziewać. Wiał wiatr. Klatki otaczały plac z trzech stron podwójnymi rzędami. Czwartą

stronę zajmował murowany budynek z jednym oknem. To w nim prawdopodobnie Zarzycki zamknął psa. Budynek wyglądał na bardzo zadbany – otynkowany na biało, drzwi i obramowanie okna pomalowane zieloną farbą, na zewnętrznym parapecie obficie kwitnące pelargonie w kilku glinianych doniczkach, przed drzwiami po obu stronach krzaki bzu i jaśminu.

- Ładnie tu – stwierdził Paweł rozglądając się wokół siebie.

- Zobacz lisy – zaproponował gospodarz. - One to dopiero są ładne. Może jednak wybierzesz któregoś. Cena będzie przystępna, ale musisz poczekać. Zabijamy je dopiero w grudniu, kiedy mają najpiękniejszą sierść po jesiennym linieniu. Dobre wyprawienie skóry też musi potrwać. Zobacz, ten będzie piękny!

Podeszli do jednej z klatek. Prawie we wszystkich zwierzęta niespokojnie chodziły od jednego brzegu klatki do drugiego. Tylko w nielicznych leżały. Piękny srebrzysty lis, którego teraz oglądali, także leżał i tylko podniósł łeb. Uważnie patrzył na przybyszów, zwracając ku nim czarny spiczasty pysk.

- To lis polarny, tak jak pozostałe – informował z pasją Robert. - Ten będzie niebieski, już to widać. Może wolisz śnieżnobiałe?

- Nie znam się na lisach – Paweł bronił się przed szczodrością Roberta. - Jak ty sobie z tym wszystkim radzisz? - zapytał, aby zmienić temat.

- Mam pracownika. Przychodzi tu codziennie. Karmi lisy i sprząta. U mnie, jak widzisz, jest porządek. Ferma jest mała. Nawóz wywozi się na łąki i zakopuje w dołach. Karma, resztki z wojskowej masarni z kaszą, od razu są gotowane w parnikach. Dajemy też lisom trochę owoców i zieleniny. Zobacz młode. Już podrosły, więc oddzieliłem je od matek.

Pawła nie rozczulały młodzieńcze jeszcze mordki małych lisków. Żałował ich, bo nigdy nie zaznają wolności. Nie chciał wypytywać o szczegóły hodowli, zabijanie zwierząt i wyprawianie skór. Wiedział już, że Robert pracuje dla koszalińskich „skórek”, więc z pewnością korzysta z pomocy fachowców. Wolał porozmawiać o pracowniku.

- A kto ci pomaga? Ktoś z Mielna? – zapytał, odwracając się od klatek.

- Tak. Trochę niedorozwinięty chłopak, właściwie mężczyzna. Chory na umyśle, ale silny i pracowity. Trzeba oczywiście nim kierować. Ale jest spokojny i posłuszny. Mieszka z ciotką. Oboje są zadowoleni, że może dorobić. Trudno by mu było znaleźć stałą pracę. Nazywa się Jan Siedzik, ale wszyscy mówią na niego Głupi Jasio. Na pewno go widziałeś.

- Tak, widziałem, ale nie wiedziałem, że ci pomaga. Nigdy z nim nie rozmawiałem.

- On w ogóle niewiele mówi. Ze mną też mało rozmawia. Najczęściej pyta, co i jak ma zrobić.

- Wymarzony pracownik – roześmiał się Paweł.

- Masz rację – ze śmiechem zgodził się z rozmówcą Robert i zapytał:

- Chcesz zobaczyć jak się urządziłem w budynku? Mam tam przebieralnię, miejsce do mycia i łóżko, żeby się przespać w razie potrzeby.

- Nie będę zabierał ci czasu – grzecznie odrzucił propozycję Gliński, bo nie miał ochoty zostawać na fermie ani chwili dłużej. - Dziękuję, że mi pokazałeś swoje lisy. Są naprawdę bardzo ładne. Ale co tam moje pochwały. Kompletnie się na tym nie znam – dodał, żeby złagodzić odmowę.

- Trudno – odrzekł właściciel fermy. - Odbijemy sobie przy najbliższej okazji. Pamiętaj, żeby polecać moje lisy swoim znajomym. Daję gwarancję jakości i dobrej ceny.

- A, to o chodzi. Szukasz nowych klientów – pomyślał Gliński a głośno skwapliwie obiecał:

- Oczywiście. Wszystkim znajomym będę polecał. Jeszcze raz dziękuję.

- Do zobaczenia – wykrzyknął, będąc już przy bramie.

Wracał do siebie inną drogą. Myślał o Głupim Jasiu, o tym, czy warto go wypytawać o Zarzyckiego. Uznał, że nie. Przekonał się przed chwilą, że Robert jest po prostu typem, który bardzo dba o pieniądze, zawsze myśli tylko o interesach i dlatego kombinuje z kim może i gdzie może.

Paweł Gliński postanowił sprowadzić Grzegorza - którego nowego nazwiska jeszcze nie poznał - na czwartkowe spotkanie w Koszalinie, więc prosto z fermy udał się do Czarnej Janki., gdzie spodziewał się go zastać. Zaproszenie było z jego strony przede wszystkim dowodem

zaufania do dawnego kolegi z podziemia oraz oficjalną próbą poważnego zaangażowania go w ich akcję. Po drodze rozmyślał głównie o tym, że ponieważ nie spotkał się z Marianną osobiście a przez telefon o poszukiwaniach nigdy nie rozmawiali, to o znalezieniu napisu trzeba będzie powiedzieć przy wszystkich zebranych. Trzeba będzie także przemyśleć informacje, które zdobyła Anna. Czyżby zaginięcia młodych chłopców rzeczywiście miało coś wspólnego ze środowiskiem klubu żeglarskiego i upodobaniami bosmana? Może Grzegorz, który w związku ze swoją robotą zna ludzkie słabości od podszewki, będzie mógł odpowiedzieć na to pytanie.

Grzegorza zastał rozmawiającego z Czarną Janką przy drzwiach wejściowych do jej domu. Kolega przedstawił go kobiecie a ta przyjrzała mu się uważnie, ale życzliwie. Z bliska wyglądała starzej, ale niewątpliwie była atrakcyjna. O nic nie pytała i szybko zostawiła ich samych. Rozmawiali krótko. Grzegorz obiecał stawić się w czwartek u Marianny.

5. Niepokój. Czwartek, 25 września 52



Panowie, Paweł i Grzegorz, pojechali do Koszalina osobno. Kiedy Gliński wszedł do pokoju Marianny - po tym, jak przywitał się na podwórzu z rąbiącym drewno Kozińskim i bawiącą się nieopodal Zosią - Grzegorz był już w środku i rozmawiał z Anną. Marianna przygotowywała herbatę. Uściskał ją mocno, bo poczuł, że bardzo się za nią stęsknił. Grzegorz spojrzał na nich znacząco, ale nic nie powiedział.

- Ma szczęście, że nie wypalił z jakąś uwagą – pomyślał Paweł. – Nie znoszę głupich przymówek. Jesteśmy już na nie za starzy.

Usiedli wszyscy czworo przy stole, pili herbatę i czekali na Tadeusza. Zawsze dawali sobie zapas czasu na przyjście, żeby nie wchodzić razem na posesję Kozińskich. Czas jednak mijał, a Wysocki nie nadchodził. Paweł nie mógł jednak dłużej milczeć. Wążąc słowa i patrząc co jakiś czas na Grzegorza, aby uzyskać od niego potwierdzenie tego, co mówi, opowiedział o znalezisku. Nie rozwijał znaków ujawnionych na ścianie bunkra. Nie chciał niczego sugerować.

- „M Sekut..wala...raszam” – sylabizował, a następnie wziął kartkę i odtworzył napis.

Marianna patrzyła na kartkę. Milczała, ale na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia i zaskoczenia. Anna siedziała ze spuszczoną głową, jakby wiedziała, że zbyt mało wie, aby pomóc.

- To chyba niemożliwe – wyszeptała wreszcie Marianna. – To chyba niemożliwe. Czy „m” to może być „Marian”? A „wala”, to „Waleria”? To chyba niemożliwe – powtarzała.

- Znasz nazwisko Mariana? - zapytał Paweł.

- Już mówiłam, że nie znam. I chyba Waleria też nie zna. Opowiadała, że spędzili ze sobą tylko jeden dzień i niewiele o sobie mówili. On obiecał, że porozmawiają, kiedy wróci z Mielna a jej to wystarczyło. Ale nie wrócił – odpowiedziała Marianna a Paweł oznajmił:

- Wiesz, że ja też od razu pomyślałem, że „m”, to „Marian”, a „wal”a, to „Waleria”? „Sekut” może być początkiem nazwiska. Marian mógł nazywać się Sekutnik, Sekutow, Sekutowski, albo jakoś tak. „Raszam” natomiast, to końcówka od „przepraszam”, bo chyba nie „zapraszam”, czy „wypraszam”.

- Zrobiliśmy błąd – odezwał się dotąd milczący Grzegorz. – Należało przekopać ziemię wokół bunkra. Przecież jeśli Marian był w bunkrze, jeśli wykrobał swoje nazwisko, imię Walerii i dodał „przepraszam”, to chyba musiał wiedzieć, że sam już tego Walerii nie powie. Za co on ją mógł przepraszać? Jasne jak słońce, że za to, że nie wróci. Wyskrobał „M”, bo Wala знаła jego imię. Ale nazwisko podał w całości, bo ona nazwiska nie знаła. Pisał z wielkim trudem. Litery, jak widziałeś, są pokraczne, nierówne. Te wyryte powierzchownie, zniknęły. Nie jest to napis w stylu serca przebitego strzałą z inicjałami kochanków. Nie upamiętnia młodości miłości. Jest wyznaniem tragicznym.

- Ależ jesteś romantyczny – wypalił Paweł i zaraz pożałował komentarza, bo Marianna spojrzała na niego i pokręciła głową z dezaprobatą.

- A ty nigdy w młodości nie byłeś zakochany? Nie przeżywałeś rozdzierających duszę rozstań?

- odparował złośliwość Pawła Grzegorz.

Wzrok miał utkwiony w Annie a Anna patrzyła w oczy mówiącego Grzegorza. Zaczerwieniła się, gdy zorientowała się, że jej nowi przyjaciele patrzą na nią z lekkim zdziwieniem.

- Przepraszam. Masz rację. Marian był młodym zakochanym chłopakiem. Jeśli bał się o swoje życie, to musiał myśleć o Walerii, o tym, że już jej nie zobaczy – wycofywał się ze swej wcześniejszej wypowiedzi Paweł. - Ale kopanie wokół całego bunkra zwróciłoby uwagę ludzi. Byłoby podejrzan.

- I co z tego! – Grzegorz nie zamierzał ustąpić. – Zawsze możesz powiedzieć, że szukasz robaków. Wiecie co, nic straconego. Zrobię to z jednym z moich chłopaków. Oni niczego się nie boją a zwykłych ludzi z Mielna, to już najmniej. Pójdziemy tam i przekopimy teren. Nawet jutro. Do odważnych świat należy.

Anna znów patrzyła na Grzegorza. Tym razem z podziwem. Marianna pokręciła głową z niedowierzaniem a Paweł zamilkł, ale nie protestował. Nie był jednak przyzwyczajony do nadmiernego chojractwa.

- Bać się i być ostrożnym, to dwie różne rzeczy – pomyślał, ale nie wypowiedział tej myśli głośno. - Grzegorz nie musi aż tak uważać jak ja, ma zabezpieczenie, ma kuzyna w UB.

- Dobrze – zabrał głos po chwili milczenia. – Co dalej? Czy mówimy Walerii o napisie?

- Nie mówmy – Marianna była poruszona rewelacjami, które usłyszała. - Może okaże się, że to fałszywy alarm. Po co dziewczyna ma przeżywać jeszcze jeden wstrząs. Powiemy jej, jeśli Grzegorz coś znajdzie przy bunkrze – dodała załamującym się głosem. - Ale co z Tadeuszem?

- zaniepokoiła się nagle i wyjrzała przez okno na podwórze. Kozińskiego i Zosi już na nim nie było.

- Może coś mu wypadło w pracy i przyjdzie dużo później. Przecież zostawiłaś mu kartkę z informacją o spotkaniu w drzwiach. Tak?

Marianna skinęła głową a Paweł kontynuował:

- Widziałem go w poniedziałek w „Myśliwskiej”. Miał się bardzo dobrze i zapewniał, że stawia się na każde wezwanie i to z ważnymi informacjami.

- Byłeś w Koszalinie? - Marianna nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Byłem w „Myśliwskiej” z Robertem Zarzyckim. Zaprosił mnie na piwo. Nie chciał iść do „Mewy”, więc pojechaliśmy jego motorem do Koszalina. Chciałem coś z niego wyciągnąć. Ale najpierw gadaliśmy o niczym, a potem wszedł Tadeusz i zawołaliśmy go do stolika. Niewiele więc się dowiedziałem, ale za to Robert zaprosił mnie na fermę. Byłem tam przedwczoraj i trochę się rozejrzałem. Pracuje u niego taki chłopak z Mielnia, właściwie mężczyzna, ale trochę słaby na umyśle.

- Głupi Jasio! – zawołała Marianna. – Ja go tam widziałam! Byłam w poniedziałek na mieleńskim śmietniku. Przechodziłam obok fermy a on z niej wychodził. Ale zobaczcie, co znalazłam.

Podeszła do szafy i spod białej pościelowej wyjęła pomietaną kartkę.

- Była przylepiona do krzaków na śmietniku. Chyba wiatr ją tam przywiał. To kartka z książki z wierszami. Zabrałam ją, bo tylko ona do niczego tam w ogóle nie pasowała. Przypomniałam sobie, że Julian, brat Tadeusza, miał ze sobą jakąś książkę. Może Tadeusz będzie wiedział jaką, bo miał poprosić kolegów Juliana.

Popatrzyli na kartkę, ale nikt nie miał ochoty czytać wierszy.

- Zaczekajmy spokojnie na Tadeusza – zaproponował Grzegorz i trochę się spieszył, bo nie czuł się jeszcze pełnoprawnym członkiem ekipy.

Wiedział już jednak, że został do niej przyjęty. Cieszył się najbardziej z tego, że będzie widywał Annę. Rozczulała go jej nieśmiałość, skromny ubiór, jasne długie włosy gładko uczesane, związane i oplecione wokół głowy oraz brak makijażu. Była tak inna od kobiet, które spotykał na co dzień. Jaśniała jakimś trudno uchwytnym wewnętrznym blaskiem.

- Porozmawiajmy w międzyczasie o Annie i jej sytuacji – odezwała się znów Marianna, jakby zgadywała myśli Grzegorza. - Ustaliliśmy, że Anna przez jakiś czas zamieszka u Walerii. Na

razie mieszkanie stoi puste, ale Waleria może niedługo opuści sanatorium i będzie potrzebowała pomocy. Jeszcze jej nie pytałam, ale z pewnością się zgodzi. Oczywiście trzeba będzie znaleźć Annie pracę w Koszalinie. A jak już się zdomowi, to pomyśli o szkole. Tak, Anno?

Anna skinęła głową i popatrzyła na Pawła pytającym wzrokiem. Domyślił się, że nie ma odwagi mówić przy wszystkich o sprawie bosmana i swoich podejrzeniach. Zrobił to za nią.

- Bosman jest nieszkodliwy – zauważył Grzegorz. – Znam go trochę, bo pracujemy po sąsiedzku. Zawsze spokojny i trochę speszony. Ma chyba jednego bliskiego przyjaciela i to wszystko. Do nas oczywiście nie przychodzi. Dbą bardzo o klub. Przewija się tam mnóstwo młodzieży. Latem żeglują, później czyszczą i malują sprzęt. Ale cholera wie – dodał po chwili – może taki cichy i porządny a diabła ma za skórą.

- Na razie jest pierwszy na liście podejrzanych – Paweł skwitował wypowiedź Grzegorza. - Trzeba będzie lepiej mu się przyjrzeć. Jak przyjdzie Tadeusz podzielimy się zadaniami.

- Bosmana i kopanie biorę na siebie – zdecydował Grzegorz.

Nikt nie zaprotestował.

Nieobecność Tadeusza niepokoiła zebranych coraz bardziej. Marianna postanowiła, że razem z Anną pójda na ulicę Dworcową. Wyruszyły natychmiast i po niecałej godzinie były z powrotem.

- Zastałyśmy w mieszkaniu tylko matkę Tadeusza – oznajmiła zmartwiona Marianna. - Niewiele nam chciała powiedzieć, tylko to, że Tadeusz jest w szpitalu. Chyba nas się bała. Była straszliwie roztrzęsiona. Pojedziemy do szpitala? - Marianna zwróciła się do Pawła. – Ja się tam wszystkiego dowiem. Mnie wpuszczą.

- Dobrze. Jedźmy natychmiast.

Paweł wstał i zaczął zakładać płaszcz.

- Ja muszę wracać do Mielna – z żalem oświadczył Grzegorz i także zaczął zbierać się do wyjścia.

- Anno! Ty zostań tutaj – poprosiła Marianna. – Niedługo wrócimy.

Odnalezienie Tadeusza nie było trudne. Leżał na oddziale wewnętrznym w dużej zbiorowej sali. Dopiero kiedy podeszli do łóżka zobaczyli, że został pobity. Rozcięta i zszyta dolna warga spuchła, zmieniając wyraz twarzy. Oczy ledwo były widoczne spod opuchlizny.

- Kto ci to zrobił? - Paweł nachylił się nad Tadeuszem i potrząsnął nim gwałtownie.

Ten jęknął i przewrócił oczyma:

- Mam odbite nerki – wyszeptał.

- Kto ci to zrobił? - Paweł nie mógł się uspokoić, ale już nie szarpał Tadeusza a jedynie wisiał nad nim i wbijał w niego wściekły wzrok.

- Uspokój się, on cierpi i nie może mówić – strofowała Glińskiego Marianna.

Tadeusz dał znak oczami, żeby usiedli na łóżku. Zrobili to niezdarnie, bo każde z nich próbowało usiąść bliżej głowy Tadeusza. Ostatecznie usiadła tylko Marianna, a Paweł stanął tak, aby pozostali pacjenci widzieli jak najmniej. Znow pochylił się nad łóżkiem.

- Byłem w „Polonii”. Mam tam znajomego. Pana Muzyczkę – Tadeusz mówił cicho, z wysiłkiem i krótkimi zdaniami. – Tam działa nielegalne kasyno. Pod egidą UB. Widziałem Kozłowa. Grał, ale niektórzy dawali mu po kryjomu jakieś koperty. Nie wiem, co w nich było. Nie zdążyłem się dowiedzieć. Wygrałem. Wyszedłem i napadli na mnie pod domem. Było ich dwóch. Matka mnie uratowała. Pieniędzy nie zdążyli zabrać. Matka zaczęła krzyczeć i uciekli. Ojciec wezwał pogotowie.

- To był napad rabunkowy? - dopytywał Paweł.

- Nie wiem. Mogli mnie namierzyć w kasynie. Chcieli nastraszyć albo odstraszyć. Żeby tam więcej nie przychodził.

- Możliwe – zgodził się Wysockim Gliński i zapytał:

- Jak się nazywa twój znajomy z „Polonii”?

- Muzyczka. Jan Muzyczka.

- Będzie ze mną chciał rozmawiać? Mogę go zapytać, co wie o pobiciu i o tych kopertach? – niecierpliwie dopytywał Paweł.

- Nie wiem. Możesz spróbować – słabym głosem oznajmił chory.

- Zostawmy już go. Jest zmęczony – zdecydowała Marianna, bo odezwał się w niej duch pielęgniarki. – Porozmawiam przy najbliższej okazji z lekarzem o twoim stanie i o leczeniu – zwróciła się do Tadeusza. Chodźmy już – przynagliła mocno zasępionego Pawła.

- Marianno – wydyszał Tadeusz. – Idź do moich rodziców. Uspokój matkę. Tobie uwierzy, że nic mi nie grozi. Powiedz im o naszych poszukiwaniach. Powiedz im wszystko.

- Dobrze. Jeszcze dziś do nich pójde – obiecała kobieta. - Do ciebie przyjdę w sobotę. Jutro mam dyżur.

Wyszli ze szpitala oszołomieni - pobicie, Kozłów, koperty, Muzyczka, Anna, bosman, napis. Znow nic nie składało się w sensowną całość.

- Miałam go zapytać o książkę – zreflektowała się Marianna - trudno, zapomniałam.

Rozstali się przy rynku. Paweł, przed wyjazdem do Mielna, miał jeszcze wstąpić na Młyńską i poinformować Annę o pobiciu Tadeusza. Marianna, choć śmiertelnie zmęczona, postanowiła od razu odwiedzić rodziców chłopaka. Tym razem drzwi od mieszkania otworzył Roman Wysocki.

- Jestem pielęgniarką i dobrą znajomą Tadeusza. Byłam u państwa wcześniej i żona powiedziała mi, że Tadeusz jest w szpitalu. Wracam właśnie od niego. To on mnie do państwa przysła – powiedziała szybko, żeby Wysocki nie zatrasnął jej drzwi przed nosem, bo nieufna i niechętna mina mężczyzny wskazywała, że miał na to wielką ochotę.

- Proszę wejść – powiedział ojciec Tadeusza po chwili milczenia, zdjął łańcuszek blokujący drzwi, wpuścił ją do środka i zaprowadził do pokoju.

– Proszę. Niech pani usiądzie. Chce pani herbaty? - zapytał, patrząc na jej zmęczoną twarz.

- Tak, proszę. Czy jest też pańska małżonka? – zapytała kobieta.

- Żona odpoczywa.

- Ale ja mam coś ważnego państwu do powiedzenia. Obojgu.

- Irenko! Irenko! - zawołał Wysocki w głąb mieszkania, przechodząc do kuchni.

Wysocka wyszła z pokoju i poszła za nim, Rozmawiali cicho, a potem razem weszli do jadalni, w której siedziała Marianna. Wysocki niósł tacę z dzbankiem, filiżankami i cukiernicą. Postawił ją na stole. Wysocka bez słowa nalała herbatę do filiżanek i jedną podsunęła Mariannie.

- Byłam w szpitalu – zaczęła z trudem Marianna, czując na sobie przytłaczający wzrok zaniepokojonych rodziców Tadeusza. - Mówiłam już, że jestem pielęgniarką. Proszę mi wierzyć. Tadeuszowi nic poważnego nie grozi. Wkrótce opuści szpital.

- Pani się myli – odezwała się ciężkim głosem Irena Wysocka.

Wstała, wyszła z pokoju i po chwili wróciła. Położyła przed Marianną nieduży świstek papieru.

- To jeszcze nie koniec. Następnym razem go nie uratujesz - czytała głośno Marianna drukowane litery. - Co to jest? – zapytała, patrząc kolejno na Wysocką i na jej męża.

- Ta kartka leżała pod naszymi drzwiami, kiedy mąż wrócił w nocy ze szpitala zaraz po odwiezieniu Tadzika. To było tej samej nocy, kiedy Tadzika pobili.

- Proszę państwa – Marianna starała się zachować spokój. – Tadeusz był tej nocy w nielegalnym kasynie. Sporo wygrał. Prawdopodobnie chcą go nastraszyć i państwa także.

Opowiedziała Wysockim o wszystkim. Słuchali oniemiała. Irena rozplakała się.

- Po co wy to robicie? – szlochała. – Zabiją was. To jacyś straszni ludzie, to bandyci, niczego i nikogo nie uszanują. Gorszy od ubeków.

Roman Wysocki przyniósł żonie krople walerianowe i szklankę wody. Wypiła.

- Panie Wysocki – Marianna zwróciła się wprost do niego. – Czy zna pan Jana Muzyczkę? Czy może pan z nim porozmawiać? Dowiedzieć się czegoś o tym Kozłowie?

- Pójdę do niego jutro – odpowiedział spokojnie Roman i przytulił Irenę, która powoli uspokajała się. – Irenko – zwrócił się do żony. – To będzie okropne, ale trzeba ten koszmar wreszcie zakończyć. Za dużo nas kosztuje. Nie żyjemy normalnie i nie będziemy żyć, dopóki

nie dowiemy się, kto stoi za zniknięciem tamtych chłopców i naszego Juliana, kto pobił Tadeusza, kto nam grozi.

- Czy mogę przyjść w sobotę przed południem? - zapytała Marianna wstając i szykując się do wyjścia. - Będę wtedy po wizycie u Tadeusza.

- Tak, żona będzie w domu. Wszystko pani przekaże.

- Proszę pani, jaką książkę miał ze sobą Julian tego dnia, kiedy zaginął? – spytała Marianna, stojąc już przy drzwiach jadalni.

- Nie wiem. Chyba jakiś wybór poezji. Julian kochał poezję – padła odpowiedź matki.

Irena Wysocka nie chciała wiedzieć, dlaczego Marianna pyta o książkę. Zbyt wiele spadło na nią w ciągu ostatnich dwóch dni. Ale nie udało jej się uchronić przed następnym ciosem, bo wychodząca kobieta powiedziała:

- Moja koleżanka Anna przyniesie jutro stronę z książki. Znalazłam tę stronę na śmietniku w Mielnie. Czy mogłaby pani znaleźć wydanie, z którego strona pochodzi? Czy mogą państwo dowiedzieć się, jaką książkę miał ze sobą Julian w dniu zaginięcia? Czy ta strona, to strona z tej właśnie książki?

- Boże, Boże – jęknęła Wysocka. – Na śmietniku. Mój syn na śmietniku.

Wysocki poklepał Mariannę uspokajająco po ramieniu i odprowadził do drzwi wyjściowych.

- Żona znajdzie tę książkę. Musi się trochę uspokoić. To dzielna kobieta – powiedział przy pożegnaniu.

6. Stara papiernia. Piątek- sobota, 26-27 września 52



Paweł Gliński był wdzięczny Mariannie, że tak rozsądnie rozwiązała problem rozmowy z Janem Muzyczką. Miał poważne wątpliwości, czy kierownik sali w restauracji „Polonia” zechce rozmawiać z nieznajomym facetem. Kamień spadł mu z serca, kiedy zadzwoniła i poinformowała go o obietnicy Romana Wysockiego. Miał teraz dużo pracy. Trwały wykopki i sfatygowany sprzęt wymagał napraw. Jednocześnie z niecierpliwością czekał na wieści od Grzegorza. Z Marianną mieli się spotkać w sobotę. Chciał pojechać do niej sam. Chciał z nią pobyć bez innych. Ale czy to było możliwe w sytuacji, w jakiej się znaleźli?

Grzegorz przyszedł w piątek wieczorem. Przyniósł ze sobą mały jutowy worek zawiązany sznurkiem. Bez słowa rozwiązał sznurek i rozchylił brzegi worka. Paweł nachylił się. Domyślał się, co może zobaczyć. Dziwił się, że objętość worka jest tak niewielka. Musiał podnieść pakunek do światła, bo wewnątrz były jakieś czarne i białe kawałki trudne do zidentyfikowania. Wreszcie zauważył większy fragment i spojrzał pytająco na Grzegorza.

- Zostało kilka kości i spora część czaszki. Ciało zostało najpierw spalone, a dopiero potem zakopane – relacjonował Grzegorz, który domyślił się, na co patrzy kolega. – Pod spodem znajdziesz resztki plecaka. Materiał zbutwiał, ale zachowały się sprzączki i skórzane paski. Plecak leżał na wierzchu. Był wrzucony w całości, no wiesz, nie był spalony.

Grzegorz posmutniał i dodał:

- Zabrałem go, żeby już po nim nikt nie deptał. Sądząc po długości kości, to musiał być mężczyzna, młody mężczyzna, bo niektóre zęby też zostały i wszystkie wyglądają na mocne i

zdrowe. Nie wiem, jak zginął. Trudno powiedzieć. Na czaszce nie ma otworu, więc chyba nie dostał kulki w głowę. No cóż, śmierć i żona od Boga przeznaczona. Weszliśmy jeszcze raz do bunkra z dobrymi latarkami. Stwierdziliśmy, że ściana z napisem jest na dole ciemniejsza, jakby zakopcona. Prawdopodobnie tam go podpalono. Mamy teraz więcej śladów – ciało spalone i zakopane przy bunkrze, napis na ścianie i okopcenie tej samej ściany. Jak to złożymy do kupy, mamy Mariana. Chyba, że te trzy elementy nie mają ze sobą nic wspólnego.

- Niemożliwe – cicho odezwał się Paweł wciąż patrząc na szczątki – Niemożliwe. To byłby nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

- Też tak myślę – poparł jego konstatację Grzegorz i zapytał:

- Co z nim zrobimy?

- Na razie zostanie tutaj – zdecydował Gliški. – za kilka dni zbiję małą trumnę skrzynkę i pochowam go w parku pod drzewem. Tam będzie miał spokój. Teraz wyjmijmy strzępy plecaka. Zastanawiam się, czy pokazać je Walerii do rozpoznania. Jeśli złożymy kawałki, to będziemy wiedzieli, jaki to mógł być plecak - duży, mały, wojskowy czy harcerski.

- Na pewno nie jest to „sierściuch” - stwierdził Grzegorz. - Raczej jeden z tych dużych brezentowych plecaków, jakie nosili cywile w czasie wojny, bo na wojskowy - wermachtu albo sowiecki mieszok - raczej nie wygląda. Jeśli Waleria powie, że taki miał, będziemy mieli jeszcze jedno potwierdzenie. Nie musimy pokazywać jej tych resztek.

- Niech Marianna zdecyduje, co i kiedy powiedzieć i pokazać Walerii. W końcu trzeba będzie to zrobić. Może Waleria będzie chciała znaleźć jego rodzinę? Urządzić mu normalny pogrzeb? – mówił Paweł wysypując zawartość worka na rozpostarte prześcieradło.

Zaczęli składać resztki plecaka.

- Miałeś rację – przyznał Paweł. – To polski plecak. Duży. Chyba samoróbka. Podobny do tych, jakie w czasie wojny szyli sobie handlarze.

Szcątki zawinęli w prześcieradło. Włożyli do worka, dołożyli resztki plecaka i Paweł schował worek za szafę.

- Obserwowałaś bosmana? - zapytał, kiedy umyli ręce i usiedli przy stole.

- Tak, ale niczego niepokojącego nie zauważyłem. Nazywa się Janusz Plader. W Mielnie ma rodzinę, matkę, dwóch braci z żonami i dziećmi, ale odwiedza tylko matkę. Bracia chyba z nim nie gadają. Pasjonuje się żeglarstwem. Trzyma się na posadzie, bo z pewnością panowie z UB zmusili go do współpracy. Nie ma nic za darmo. Mają na niego haka, jako amatora kwaśnych jabłek. Ale mnie on wydaje się za słaby na grube numery. Jeszcze mu się przyjrzę.

- Słuchaj – zawołał Paweł, który przypomniał sobie przypadek Tadeusza. – Mam jeszcze jedną złą wiadomość. Tadeusz został pobity. Wracał z kasyna. Tego nielegalnego przy hotelu „Polonia”. Miał rozejrzeć się za Kozłowem i rzeczywiście widział go tam. Znasz to miejsce?

- Nigdy tam nie byłem. Za wysokie progi. Jestem tylko zwykłym ciecieniem w małym burdelu. Mówiłem ci, że Kozłow do nas przychodzi, ale interesuje go głównie hazard. Dość zagadkowy gość. Też ktoś za nim stoi, ale nie wiem personalnie kto.

- Tadeusz twierdzi, że Kozłow dyskretnie odbierał od niektórych gości kasyna koperty. O co tu może chodzić?

- Koperty? No to zbierał zakłady. Obstawiali walki bokserskie. Organizuje się dla wybranych nielegalne walki. Wiesz, takie ostrzejsze. Słyszałem, że robią to w jakiejś hali fabrycznej. Ktoś wspominał o starej papierni w Koszalinie. Nie pomyślałem, że ten Kozłow też w tym siedzi. Niezły cwaniak.

- Byłeś tam? Widziałeś walki? – dopytywał Paweł, coraz bardziej rozdrażniony.

- Stary. Mówiłem ci, że nawet kasyno, to za wysokie progi na moje nogi, a co dopiero specjalne walki. Wchodzą na nie tylko wybrani. Ścisłe tajne spotkania.

- A ci, którzy walczą? Znasz któregoś?

- Coś tam słyszałem, ale tylko pogłoski. Niektórzy, ci najlepsi, z tego żyją. Prawdopodobnie jeżdżą na walki po całej Polsce. Kilku z nich na pewno należy do klubu „Gwardia”. Stasiu Kowalczyk na przykład jest dobry, ale czy go do tego wciągnęli, trudno powiedzieć. Znam go trochę, i wiem, że on się do niczego nie przyzna. Za dużo ryzykuje.

- Słuchaj – Paweł niecierpliwił się coraz bardziej. - Czy jest możliwe, żeby porywali młodych ludzi, szkolili i wystawiali wytrawnym bokserom?

- Na tym świecie wszystko jest możliwe – filozofował Grzegorz. - Słyszałem, że dla wybranych gości robią pokazy walk specjalnych. Wiesz, wszystkie chwytaki dozwolone. Nikt nawet o tym nie bąknie, ale łatwo domyślić się, że nie wszyscy zawodnicy przeżywają.

- Jasna cholera! – wykrzyknął Paweł, bo z poczucia bezsilności wpadł we wściekłość. - Jak to sprawdzić! Jak się tam dostać! Przecież jeśli złapali brata Tadeusza, to może jeszcze żyć. Tadeusz opowiadał, że Julian był silny, zdrowy i wysportowany!

- Trudna sprawa – zasępił się Grzegorz. - Jak zacznę nagle wypytywać tych, którzy u nas bywają i mogą mieć z tym coś wspólnego, to zrobi się nieprzyjemnie. Stasiu Kowalczyk też mi nic nie powie. Za mało się znamy. Słuchaj, może trzeba pogadać z Robertem. On może więcej wiedzieć.

- Nie, to też niebezpieczne. Zacznie się nami interesować. Powie Kozłowski. Znają się przecież bardzo dobrze – wyraził swoje obawy Gliński.

- Ja nie widzę innego wyjścia – powiedział Grzegorz i obaj zamilkli.

Pierwszy odezwał się Gliński:

- A gdybyśmy sami rozejrzeli się w dyskretnie w starej papierni?

Grzegorz od razu przeszedł do konkretów. Ustalili, że dostaną się na teren papierni, dając w łapę jednemu z kierowców, którzy ciężarówkami wywożą gruz z miasta. Nie chcieli wchodzić tam sami, bo woleli mieć opłaconego przewodnika. Przynajmniej na początku wyprawy. Kierowcy państwowego transportu, zamiast wywozić gruz za miasto, zrzucali go do dołów na ogromnym terenie nieczynnej zniszczonej fabryki. Zarabiali w ten sposób na paliwie i oszczędzali czas. Nie trzeba będzie kierowcy za wiele tłumaczyć. Wystarczy powiedzieć, że chcą zbadać teren, zobaczyć pozostałości i ruiny, albo że szukają poniemieckich skarbów. Legenda o skarbach krążyła po Koszalinie. W Papierfabrik Köslin, którą spalili sowieci po wywiezieniu wyposażenia, wycofujący się Niemcy zatopili ogromne kilkukondygnacyjne podziemia. Ulokowany w nich był w czasie wojny ściśle chroniony przez SS tajny ośrodek naukowo-badawczy, w którym pracowano nad nową bronią. Razem z pomieszczeniami ośrodka i zatrudnionymi w nim pracownikami przymusowymi, zatopiono, twierdzili ludzie, skrzynie z platyną. Mówiło się bowiem, że w papierni był produkowany papier z platynowym paskiem do fałszywych funtów brytyjskich drukowanych w Sachsenhausen. Wielu śmiazków

próbowało szukać zatopionych skrzyń, narażając własne życie. Bezskutecznie. Na wielki obszar starej papierni zwożono teraz potajemnie gruz.

Panowie umówili się na sobotę, licząc na to, że Pawłowi uda się zwolnić z pracy i że znajdą kierowcę, który wwiezie ich na teren zniszczonej fabryki, trochę oprowadzi, a potem zostawi w spokoju. Nie zawiedli się. Gliński dostał wolne a ciężarówkę z chętnym kierowcą spotkali na rynku przed ratuszem, bo wywóz gruzu z centrum miasta był dla władz priorytetem. Na szczęście Grzegorz przezornie miał przy sobie zapas gotówki, gdyż kierowca zażądał za swoją usługę aż pięćdziesięciu złotych. Nie żałowali. Teren był wielki i poruszanie się w nim bez orientacji byłoby utrudnione.

- Tam było osiedle domów dla pracowników papierni – pokazywał kierowca. – A tam w czasie wojny Niemcy postavili baraki dla pracowników przymusowych. Niewiele z nich zostało. Spaliły się. Tu była bocznicą kolejowa, a to jest jeden z magazynów z rampą.

Brnęli wąską ścieżką wydeptaną przez chaszcze i zwały gruzu, omijając doły po pociskach. Doszli do wystającego z ziemi wejścia.

- Bunkier wartowniczy – poinformował kierowca i zapytał:

- Chcecie zobaczyć wieżę? Mówią na nią wieża ciśnień, ale to wieża do oczyszczania wody. Rurami tłoczono z niej wodę do papierni, żeby ją wykorzystać do produkcji papierów wartościowych.

Zapytani mężczyźni spojrzeli po sobie i kiwnęli głowami na znak zgody.

- Niech nas pan zaprowadzi. Bez pana wpadniemy do jakiejś dziury i nie wyleziemy z niej – roześmiali się.

- Chodźmy, ale potem radźcie sobie sami, bo ja wracam do pracy – wypalił ni z tego ni z owego ich przewodnik, któremu musiało przypomnieć się nagle, że ma inny zawód, do wykonywania którego powinien powrócić.

Zostawił ich przy wieży. Była położona bliżej miasta. Nieopodal płynęła rzeka Dzierżęcinka. Przez otwór w ceglanej grubej ścianie dostali się do środka i znaleźli się na korytarzu obiegającym potężne urządzenia i żeliwne rury.

- Wracajmy do magazynów. Szkoda czasu. Tu z pewnością nie ma miejsca na ring i na publiczność – uznał Grzegorz.

Ruszyli znaną już sobie ścieżką w stronę nie istniejącej już kolejowej rampy, w pobliżu której stał nieźle zachowany budynek magazynu i jeszcze jeden, wyższy, wyglądający na halę produkcyjną.

- Panowie – usłyszeli za sobą męski głos. – Proszę się zatrzymać. To mój teren.

Obejrzelisię i zobaczyli obdartego człowieczka w niemożliwym do określenia wieku. Szedł ku nim nisko pochylony. Kroki jednakże stawiał pewnie i szybko. Kiedy się zbliżył i wyprostował, okazało się, że jest dość wysoki, postawny i nie tak stary, jak można by sądzić z daleka. Tuż przy jego lewej nodze stanął piękny czarny wilczur z podkulonym ogonem.

- Panowie pozwolą, że się przedstawię – powiedział grzecznie nieznajomy. – Fryderyk Szluciński alias Friedrich Schlutius, potomek dawnego właściciela papierni i jego prawowity następca. Jeśli panowie szukają pracy, zapraszam do mojego biura.

Spojrzelisię po sobie i obaj pomyśleli to samo, a mianowicie, że gość ma nierówno pod sufitem.

- Chętnie zajrzemy do biura – powiedział Grzegorz i uśmiechnął się porozumiewawczo do Pawła. – A gdzie się ono mieści?

- Proszę za mną – zawołał Fryderyk Szluciński, ominął ich i ruszył przodem.

Pies, trzymając się nogi swego pana, nawet na nich nie spojrzał. Ruszyli gęsiego wąską ścieżką w kierunku hali. Weszli do środka. Tuż za drzwiami Szluciński wyciągnął z kieszeni pomiętą zeszyt, ołówek kopiowy, który poślinił, i poprosił o nazwiska. Podali, co im przyszło do głowy i zostali zapisani w zeszycie.

- Polacy – zawyrokował domniemany potomek właściciela i rzekł, wciąż wpatrzony w swój zeszyt:

- Przeszkoleni? Nieprzeszkolonych nie przyjmujemy. Polacy pracują na dole.

Kiwnęli potakująco głowami. Nie uśmiechali się już, bo wkurzyła ich uwaga o Polakach pracujących na dole, czyli przeznaczonych do gorszych robót.

- Teraz pokażę wam zakład – stwierdził mężczyzna i ruszył w głąb hali.
- Tu stoją bardzo drogie maszyny. Wam nie wolno ich dotykać – mówił machając rękami. – Wy zjedziecie na dół.
- Podeszli do jednego z ogromnych otworów w podłodze. Nachylili się, spojrzeli w dół i zobaczyli zarysy swoich postaci w odległym lustrze wody.
- Czy tam są ludzie? - zapytał Paweł pochylonego razem z nimi Szlucińskiego.
- Oczywiście!
- A kiedy ostatnio ktoś tam wchodził? - dopytywał Gliński.
- Ostatnio schodził tam tylko pies – padła odpowiedź.
- Pański pies?
- Nie, inny. Poszedł tam, bo był zakrwawiony. Tam mu z pewnością pomogli.
- A dlaczego był zakrwawiony? Co mu się stało? - podjął rozmowę Grzegorz, orientując się, że Paweł chce od mężczyzny wyciągnąć jakieś informacje.
- Był pogryziony. Walczył z innym psem i przegrał. Przegrane psy schodzą na dół. Tak samo jak Polacy – oznajmił Szluciński, posmutniał i poklepał po łbie swojego wilczura. - Mój Herman nie walczy. On tylko pilnuje fabryki i mnie.
- A gdzie psy walczą? - zapytali obaj jednocześnie.
- Tam, za tamtą ścianą, ale ja na to nie patrzę.
- A ludzie też tam walczą? - zapytał Paweł trochę drżącym głosem.
- Ludzie tu nie walczą. Tutaj ludzie pracują – oburzył się pytany.
- Dziękujemy panu. Przyjdziemy jutro do pracy – Grzegorz dał znak, że powinni się już wycofać.

Wyszli z hali, zajrzeli jeszcze do magazynu, który okazał się być zavalony śmieciami i ruszyli w stronę kolejowego nasypu. Szluciński za nimi nie poszedł.

- Cholera jasna – zaklął Grzegorz. – Urządzają tu walki psów. Jeszcze jeden nielegalny interes. Ten stuknięty człowiek mówi prawdę. Zagryzione psy topią. Bokserzy muszą walczyć w innym miejscu. Nie wiem gdzie.

- Może ojciec Tadeusza dowie się czegoś – markotnie odpowiedział Paweł. - Idę do Marianny. Ona powinna już coś wiedzieć. Idziesz ze mną, czy wracasz do Mielna?

- Pójdę z tobą – usłyszał odpowiedź, która go nie zachwyciła.

- Trudno - pomyślał – i tak nie bylibyśmy sami. Anna przecież mieszka u Mańki.

Marianny nie zastali. Anna zapewniała, że powinna łała moment wrócić. Zrobiła im herbaty i poczęstowała kruchymi ciasteczkami, które, jak z dumą powiedziała, sama upiekła.

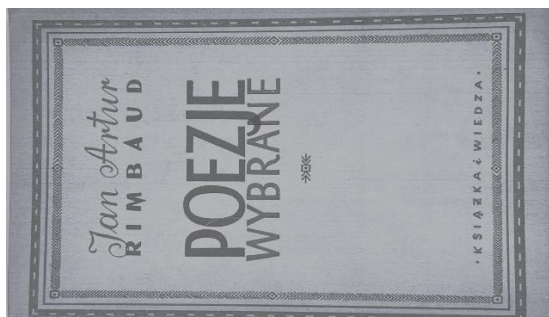
- Zosi bardzo smakowały – oznajmiła, częstując najpierw Grzegorza, a potem Pawła.

- Są pyszne – pochwalił Grzegorz zanim zdążył spróbować.

- On się chyba zakochał w Annie – pomyślał Paweł, spojrzał na Annę i dodał w myśli:

- I to z wzajemnością!

7. Troski Marianny. Sobota, 27 września 52



Stan zdrowia Tadeusza Wysockiego poprawił się, ale lekarz powiedział Mariannie Kupryszak, że muszą go zostawić w szpitalu ze względu na stan nerek.

- Nerki pracują, ale trzeba obserwować ich funkcjonowanie – stwierdził.

Marianna weszła do sali, w której leżał chory. Uśmiechał się do niej, ale niewiele mógł powiedzieć, bo usta miał nadal spuchnięte a okolice ust sine. Stracił dwa zęby. Ich brak nie tylko dodatkowo utrudniał mowę, ale też bardzo go krępował. Mówiła więc głównie Marianna. Zaczęła opowiadać o wizycie u jego rodziców, ale przerwał jej ruchem dłoni. Wiedział wszystko. Niedawno odwiedziła go matka. Powiedziała o kartce z książki i o tym, że ojciec ma porozmawiać z panem Muzyczką. Nie było powodu, aby dłużej męczyć chorego. Marianna chciała zostawić Tadeuszowi dwa piękne dojrzałe jabłka z jabłonki Kozieńskich, ale zdała sobie dopiero teraz sprawę z tego, że chłopak ich nie ugryzie. Zażenowana pożegnała się i wyszła.

Na Dworcową podjechała autobusem. Irena Wysocka, spokojniejsza niż w czasie poprzedniej wizyty Marianny, przekazała jej, że Roman Wysocki poszedł do restauracji w hotelu „Polonia” tego samego wieczora, kiedy się spotkali, zastał tam pana Muzyczkę i poprosił, żeby przyszedł do nich, kiedy skończy pracę, nawet jeśli będzie późno. Powiedział mu także o pobiciu Tadeusza. Muzyczka zmartwił się, bo poczuł się za Tadeusza odpowiedzialny. Zgodził się więc na nocną wizytę. Przyszedł i długo rozmawiali. Muzyczka twierdził, że rozpytywał o zdarzenie bosa z kasyna, ale ten zaprzeczył, jakoby pobicie Tadeusza, było robotą jego ludzi. Nie ruszaliby przecież znajomego pana Muzyczki. Muzyczka uważał, że Tadeusza mogła przyuwać grupa złodziejasków, gdy wychodził z restauracji. Liczyli na łatwą zdobycz. Kartka z pogrózkami to też może być ich robota. Chcieli się zemścić za wkroczenie Wysockich do akcji i uniemożliwienie zabrania ofierze pieniędzy.

Rodzice Juliana nie całkiem uwierzyli w wersję pana Muzyczki, ale zmuszeni byli przyznać, że jest wielce prawdopodobna. Poinformowali Muzyczkę o poszukiwaniach, ale wspomnieli tylko o Julianie. O tym, że są podstawy, aby sądzić, że Julian żyje. Zapytali wreszcie o Kozłowa i koperty. Muzyczka ociągał się z odpowiedzią, ale w końcu zdecydował się na powiedzenie prawdy, bo pomyślał, że może rzeczywiście sprawa, o którą go pytają łączy się z zaginięciem Juliana. Wysocky dowiedzieli się kilku rzeczy, które przysięgli utrzymać w tajemnicy. Mianowicie, że Kozłowski pośredniczy w zakładach. Polega to na tym, że wtajemniczeni panowie z „lepszych sfer”, czyli głównie partyjniacy, ubecy i kryci przez nich malwersanci, obstawiają walki bokserskie. Dostają najpierw – od Kozłowskiego, albo innego osobnika - listę walk i zawodników, a potem typują wygranych. Jeśli nie mogą uczestniczyć w turnieju osobiście, oddają kopertę z typami i określoną sumą. Wygrane wypłaca się na miejscu, albo znów przez pośrednika. Muzyczka nie chciał powiedzieć, gdzie odbywają się turnieje, ale obiecał, że zrobi

co może, żeby się dowiedzieć, czy wykorzystuje się w nich młodych chłopaków, zmuszając ich do walki z „zawodowcami”. Uznał, że jest to wysoce prawdopodobne. Przyjdzie do Wysockich w niedzielę po pracy i powie, jakie informacje zdobył.

Irena Wysocka przekazywała powyższe informacje spokojnie, ale na jej twarzy widoczny był głęboki smutek. Kiedy skończyła relację, podsunęła Mariannie książkę, która od początku rozmowy leżała na stole.

- To jest *Wybór poezji* Rimbauda wydany w 1949 roku. Kartka, którą dostałam od pani koleżanki, ta kartka z mieleńskiego śmietnika, pochodzi właśnie z takiej książki. Tadzio potwierdził, że Julian pożyczył od kolegi poezje Rimbauda i najprawdopodobniej zabrał do Mielna – oznajmiła, wzięła książkę do ręki i otworzyła ją w miejscu założonym kartką.

- I odtąd kapąłem się w wielkiej pieśni Morza – przeczytała drżącym głosem.

Marianna poczuła ucisk w gardle i strach. Wysocka rozplakała się.

- Mój Boże – łkała teraz niepohamowanie. – Juluś miał taki tom z sobą. Dlaczego kartka była na śmietniku? Może i on tam leży?!

- Z pewnością tak nie jest. Proszę nie płakać – poprosiła Marianna.

Chciałaby pocieszyć zrozpaczoną matkę, ale sama była mocno poruszona.

– Dam pani tabletkę luminalu na uspokojenie – powiedziała tylko.

Irena Wysocka przyjęła lek i wypiła szklankę zimnej wody, przyniesioną z kuchni przez Mariannę. Siedziały długi czas w milczeniu. Wysocka wreszcie uspokoiła się i rzekła:

- Skoro Julian był wtedy w Mielnie i tę kartkę znalazła pani w Mielnie, to może walki tam się właśnie odbywają.

Jej głos słabł w miarę wypowiedzania kolejnych słów. Traciła siły.

- Być może. Postaram się czegoś dowiedzieć – odrzekła Marianna, która postanowiła wyjść i nie dręczyć dłużej kobiety przykrą rozmową.

- Tadeusz czuje się już dużo lepiej – dodała jeszcze, aby ją pocieszyć. - Lekarz powiedział, że nerki pracują dobrze, ale chcą jeszcze poobserwować go kilka dni.

Wstała od stołu i zapytała przed wyjściem:

– Czy już lepiej pani się czuje?

- Tak. Chcę zostać sama. Dziękuję pani. Dziękuję wam wszystkim. Uważajcie na siebie, bo mam złe przeczucia – usłyszała na pożegnanie.

Słowa Wysockiej nie podniosły jej na duchu.

Na Młyńskiej czekali na nią Paweł i Grzegorz. Paweł śpieszył się, ale znalazł czas, aby opowiedzieć o odnalezieniu szczątków Mariana i o wydarzeniach na terenie starej papierni. Marianna było bardzo poruszona. Wiadomość o makabrycznym znalezisku potwierdziła najgorsze przypuszczenia. Wieść o kartce pochodzącej prawdopodobnie z książki Juliana, zesłała na drugi plan. Postanowiono, że Waleria jeszcze się o niczym nie dowie. Marianna w luźnej z nią rozmowie miała jedynie dowiedzieć się, jak wyglądał plecak, z którym widziała Mariana.

Marianna odpoczęła chwilę i postanowiła ruszyć z panami do Mielna. Grzegorz powiedział jednak, że chce pojechać późniejszym autobusem. Anna zarumieniła się, ale nie wyglądała na niezadowoloną. Widząc to, Marianna i Paweł uśmiechnęli się do siebie i wyszli. Idąc na przystanek pekaesu mieli wreszcie sposobność, aby porozmawiać o swoich osobistych sprawach. Rozmowa jednak nie kleiła się i większość drogi przeszli w milczeniu. Paweł mocno trzymał dłoń Marianny w swojej dłoni, nie bacząc na kose spojrzenia przechodzących starszych pań. Poczuł rozczarowanie, kiedy dowiedział się na mieleńskim przystanku, że nie wstąpi do niego, tylko pójdzie prosto do Raczykowej.

- Muszę coś sprawdzić – upierała się Marianna. – Jedna myśl nie daje mi spokoju.

Nie dawała jej spokoju myśl o Raczyku. Pamiętała słowa, które usłyszała od pani Nowak, że to kobieciarz i świntuch, że coś tam o nim Nowakowa niedobrego wie. Raczykowa też powiedziała, że jej mąż nie jest dobrym człowiekiem. Postanowiła więc odwiedzić Raczykową, wyznać jej wszystko i poprosić o wyjaśnienie. Uznała, że niewiele ryzykuje. I tak coraz więcej

osób musieli wtajemniczać w sprawę poszukiwań, a główne podejrzenia kierowały ich teraz w inną stronę, w stronę Kozłowa i bosmana. O nich też zamierzała rozpytać.

Poszła brzegiem morza, odetchnęła morskim powietrzem i wyszła z plaży na zakurzoną uliczkę, którą dobrze już знаła. Cicha prowadziła prosto pod posesję Raczyków, ale od strony zabudowań gospodarczych, stojących wokół wewnętrznego podwórza. Podchodząc, nie usłyszała jak poprzednio gulgotu indyków, lecz rozpaczliwy skowyt psa. Podeszła bliżej i wyjrzała ponad płot. Raczyk okładał Norę batem, trzymając mocno łańcuch, by nie mogła schować się w budzie. Skowytowi psa odpowiadało niespokojne głośnie rzenie konia. Dochodziło z otwartych drzwi stajni, znajdujących się obok psiej budy. Marianna zastygła w bezruchu. Była sparaliżowana. Raczyk skończył okładać psa, puścił łańcuch, a Nora poczołgała się do budy. Łańcuch załomotał. Mężczyzna otarł pot z czoła, wygładził ubranie, przeciągnął dłonią po zmierzwionych siwych włosach i poszedł w stronę domu.

- Nie wejdę tam – wyszeptała bezgłośnie Marianna – nie dzisiaj. Chyba już wiem, dlaczego Raczykowa tak o nim powiedziała. Wściekle znęca się nad zwierzęciem, to i ludzi może źle traktować. I to jest człowiek, który kocha róże! Chyba tylko róże!

Roztrzęsiona ruszyła w dalszą drogę. Postanowiła przejść się po wałach przeciwpowodziowych nad jeziorem, uspokoić, a potem wstąpić na chwilę do Pawła. Wieczorem musiała wracać do Koszalina. Ulicą Pionierów dotarła do Chrobrego, przeszła na drugą stronę ulicy, odwróciła się i popatrzyła stamtąd na proporcjonalny, jednopiętrowy, ale spory dom z wysokim naczółkowym dachem krytym czerwoną dachówką. To w tym domu, przypomniawszy sobie, mieszka Kozłowie z rodziną. Dom stał w głębi niewielkiego parkowego ogrodu, oddzielony od ulicy metalowym ogrodzeniem przeciętym wąską furtką, za którą wchodziło się na wyłożoną płytami, szeroką alejkę. Alejka prowadziła do dolnego tarasu z murowanymi kolumnkami. Do prawej ściany domu zbudowanego na planie prostokąta, przylegała zgrabna murowana weranda. Na jej płaskim dachu urządzono obszerny taras, zabezpieczony metalową balustradą. W fasadzie domu były dwa duże prostokątne okna. Na tej samej wysokości umieszczono okno w werandzie.

- Pod dachem też są pomieszczenia mieszkalne – pomyślała Marianna zauważając, że na wyższy taras wychodzi właśnie stamtąd szczupła wysoka kobieta o czarnych długich rozpuszczonych włosach. Za nią wybiegła kilkuletnia dziewczynka. Stała przy kobiecie i coś zrzucała z tarasu, śmiejąc się do matki. Ta tylko kiwała głową, nie dzielając wesołości

dziecka. Kobieta wyglądała na wychudzoną, ale zdała się Mariannie bardzo piękna. Miała cygańską urodę i jakiś nieokreślony urok.

- Jaka ona jest śliczna. Jaka wdzięczna – powiedziała do siebie Marianna. - Nigdy jej przedtem nie widziałam.

Kobieta wyczuła na sobie wzrok Marianny i spojrzała w jej stronę. Marianna, trochę zakłopotana, uśmiechnęła się szeroko i zawołała:

- Dzień dobry! Ładną ma pani córeczkę! Czy mogę podejść bliżej? Bardzo mi się podoba wasz dom i ogród.

Kobieta skinęła głową na znak zgody, więc Marianna przekroczyła ponownie ulicę Chrobrego i przez furtkę weszła do małego parku, w którym rosło kilka gatunków drzew. Za częścią parkową ujrzała miejsce dawnego klombu. Było nieobsadzone. Pierwsza z drzwi werandy wybiegła dziewczynka i, widząc zbliżającą się obcą osobę, stanęła zawstydzona. Kozłowa wyszła za nią i wzięła dziecko za rączkę. Ku zdziwieniu Marianny, obie były bardzo skromnie ubrane, a przecież mąż żył wytwornie.

- Przepraszam, że się wprosiłam, ale macie państwo taki ładny dom z tarasami, werandą i parkiem. Musiałam go zobaczyć z bliska.

- Może pani zobaczyć. Z drugiej strony jest wejście od podwórza – Kozłowa odezwała się dziwnie cicho.

Wyglądała na kogoś, komu jest wszystko jedno. Marianna zdała sobie sprawę, że to ona musi podtrzymywać rozmowę.

- Popatrzę tylko tutaj, na wejście paradne – roześmiała się, schyliła do dziewczynki i zapytała:

- Jak masz na imię?

- Danusia – odpowiedziało dziecko, chowając się za matkę.

- A ile masz lat?

- Pięć i pół.

- A masz rodzeństwo?

- Mam jeszcze troje starszych dzieci. Syna i dwie córki. Są prawie dorośli – odpowiedziała matka.

Marianna wyprostowała się i przedstawiła:

- Nazywam się Marianna Kupryszak. Jestem pielęgniarką.

- Wiem. Widuję panią. Ja jestem Kozłowa, Jadwiga Kozłowa. Pani pracuje w Mielnie?

- Pracuję w Koszalinie. Latem pomagałam siostrze Drolńskiej. Polubiłam Mielno, polubiłam morze i często tu wracam. A pani pracuje? Nie spotkałyśmy się nigdy wcześniej - Marianna starała się jak najdłużej podtrzymać rozmowę.

- Nie. Nie pracuję. Mąż nie byłby zadowolony. Lubi, gdy jestem w domu.

- No tak, dobre prowadzenie domu wymaga wysiłku i czasu – Marianna pokiwała ze zrozumieniem głową i nie wiedząc czemu zaproponowała. – A może pójdziecie ze mną na spacer? Idę na łąki za jeziorem.

- Nie, nie, nie mogę. Mam robotę w domu – zaprotestowała Kozłowa.

Wydawała się nie tylko zaskoczona, ale i zaniepokojona propozycją.

- A nie przeszkadza tam pani podczas spacerów smród lisów Zarzyckiego? - zapytała z wyraźną złością.

- Nie za bardzo. A pani zna pana Zarzyckiego?

- Przychodzi do męża. O czymś tam rozmawiają. Nie wiem o czym, bo nie słucham. Najgorzej jest jak za dużo wypiją.

- Nie lubi go pani?

- Jakiś dziwny typek. A pani go zna?

- Podwiózł mnie kiedyś do Koszalina motorem. Ale nie znam go dobrze. Od innych słyszałam, że jest uprzejmy i miły.

- Może i jest – ton Kozłowej świadczył o tym, że niezbyt wierzy w opinię innych o Robercie Zarzyckim. - Do widzenia. Choć Danusiu, idziemy do domu – zwróciła się do dziewczynki, która przez cały czas rozmowy, wyraźnie nią znudzona, ciągnęła matkę za rękę.

- Do widzenia. Dziękuję za pokazanie domu – zawołała za nimi Marianna.

Kozłowa tylko machnęła ręką i nie było to machnięcie pożegnalne.

Spotkanie z Jadwigą Kozłową pozwoliło Mariannie oderwać myśli od brutalności Raczyka. Dziwiło ją teraz co innego. Mianowicie zła opinia Kozłowej o Robercie, którego wszyscy raczej chwalili za zaradność, uprzejmość i niewyszukaną elegancję. Postanowiła raz jeszcze podejść pod fermę. Nie wiedziała, co ją tam ciągnie. Tym razem nie włożyła wygodnych butów, więc szła wolno, patrząc uważnie pod nogi. Kiedy podniosła głowę, aby spojrzeć przed siebie na drogę, zauważyła, że przed nią idzie pracownik Roberta.

- Jakże on się nazywa? - próbowała sobie przypomnieć. - Na imię mu na pewno Jan. Przylgnęło do niego jakieś paskudne przezwisko. Biedny chłopak.

Przez chwilę miała ochotę na przekór przezwisku zawołać „panie Janie” i porozmawiać z nim po przyjacielsku, ale był za daleko i nie mógł jej usłyszeć. Kiedy doszła do fermy, on już był w środku. Otwarta kłódka wisiała na skoblu, a z wewnątrz dobiegały piski cieszącego się psa.. Właśnie zastanawiała się, co robić dalej, gdy usłyszała ciche kroki. Ktoś szedł ostrożnie wzdłuż ogrodzenia fermy, ale jeszcze nie był widoczny. Przestraszyła się i pomyślała, że nie zdąży odejść od bramy na bezpieczną odległość, a żeby skryć się za rogiem, musiałaby pobiec, więc i tak zostałaby zauważona. A co będzie, gdy Jasio, przestraszony odgłosami, wypuści za nią psa? Czekwała z głośno bijącym sercem na kogoś, kto za chwilę miał wyjść zza rogu ogrodzenia.

8. Szczęście Anny. Sobota - niedziela, 27-28 września 52



Kiedy zostali sami Grzegorz usiadł daleko od Anny, bo nie chciał jej spłoszyć. Postanowił, że opowie jej o sobie. Przede wszystkim wyjaśni, dlaczego pracuje u Czarnej Janki. Wiedział, że Annie nie może się to podobać. Zanim zaczął mówić, patrzył na nią spokojnie, ale bez cienia uśmiechu. Ona także była poważna i skupiona. Oboje przeczuwali, że los, który ich zetknął, nadal działa, że ich wspólna historia nie skończy się wraz z końcem poszukiwań. Przeciwnie, koniec poszukiwań, jakkolwiek by nie był, dla nich może stać się początkiem. Początkiem czego, tego jeszcze nie wiedzieli.

Grzegorz opowiadał o najważniejszych wydarzeniach ze swego życia, a Anna słuchała w milczeniu. Kiedy skończył, ona opowiedziała o sobie. Najtrudniej jej było powiedzieć o dziecku. Rozpłakała się, a on podszedł do niej i przytulił. Nie broniła się. Od dawna nie czuła na swym ciele męskich wspierających ramion, więc rozszlochała się jeszcze bardziej i długo nie mogła uspokoić. Głaskał jej jasne włosy i drgające ramiona. Podał chusteczkę do nosa. Kiedy się wreszcie ucichła, podniosła głowę i spojrzała w jego oczy. Pocałował ją delikatnie w usta. Były jeszcze wilgotne od łez.

- Anno – powiedział. – Kiedy skończy się ta nieszczęsna historia, odejdę od Czarnej Janki. Ale wtedy będą musiał wyjechać. Najlepiej daleko od Mielna. Za dużo wiem i za dużo widziałem. Czy ty wyjechałabyś ze mną?

Anna cofnęła się i zeszywniała.

- A więc wszystko znów się powtórzy – powiedziała głuchym głosem.– Znów się wszystko powtórzy. Wyjazd i zniknięcie. Ty też mnie zostawisz samą, tak jak Antoni. Ja tego drugi raz nie przeżyję.

Dopiero po tych słowach zdał sobie sprawę, co ona czuje.

- Przepraszam. Głupiec ze mnie. Nie mówmy o przyszłości. Później wymyślimy coś razem – powiedział i przygarnął dziewczynę do siebie.

Ucałował obie jej dłonie, a potem potrząsał nimi długo i zabawnie, aż się roześmiała.

- Muszę wracać. Praca czeka - powiedział.

Uścisnął ją na pożegnanie i raz jeszcze delikatnie pocałował.

- Przyjadę dopiero w poniedziałek. W niedzielę jestem tam potrzebny. Mamy dużo gości – tłumaczył lekko zażenowany.

Wiedział jednak, że Anna mu wierzy i że go rozumie. Poczuł ulgę na myśl, że wreszcie wyrwie się z dusznego i pokrętnego świata wielbicieli nocnych wrażeń, że wyjdzie z mroku na światło dnia.

Anna znów poddała się losowi bez oporu. Po wyjściu Grzegorza powoli ustąpił lęk przed powtórzeniem się nieszczęść, które ją dotąd spotkały. Powoli stawała się dawną Anną. Nie inną, lecz właśnie dawną, tą sprzed czasu opuszczenia rodziców, teraz już dojrzałą i bardziej doświadczoną. Spadła z niej osłona, która, jak skorupa, narastała i sztywniała na niej przez ostatnie lata. Przez ostatnie lata to, co tkwiło w skorupie, czyli ona sama, wysychało. Żyła tylko pozornie, poruszała się bezwiednie, nie myślała, a tylko odczuwała. Odczuwała lęk i smutek. Teraz dawna Anna znów spojrzała na świat własnymi oczami, zaczęła myśleć własnymi myślami. Otworzyła się przed nią perspektywa na dalsze życie, życie, nad którym ona sama mogła zapanować, które mogła planować, w którym mogła spełniać swoje pragnienia i marzenia. Szczerość i czystość uczucia, jakim obdarzył ją Grzegorz, zwięźczyła dokonujący się w niej proces wychodzenia z ciemnicy. Była teraz otoczona ludźmi, którzy chcieli jej pomóc, darzyli ją życzliwością i bezinteresowną przyjaźnią, którzy po prostu podali jej pomocną dłoń. Ich próby wyjaśnienia zaginięcia Antoniego i pozostałych mężczyzn mogły się nie powieść. Mogły też skończyć się dla nich i dla niej klęską. Ale Anna nie obawiała się

oberwania wiszącej nad ich głowami czarnej chmury niepowodzenia. Miała w sobie chęć życia tu i teraz. Żal po stracie dziecka pozostał, ale nie przytłaczał. Świadomość, że Antek nie żyje, nie wywoływała wszechogarniającego bólu. A że Antek nie żyje, była teraz pewna. Była pewna, że zginął tak samo, jak Marian, a jego szczątki zniknęły w miejscu, którego nikt nigdy nie odkryje. Nie chciała myśleć o tym, jak zginął. Nie chciała sobie przypominać ostatnich miesięcy ich wspólnego życia i jego nieprzytomnej, pijanej i wrogiej twarzy. Nie chciała wracać do wnętrza skorupy. Pragnęła światła i powietrza.

Zabrała się za sprzątanie skromnego pokoju Marianny. Potem zajrzała do Kozińskich. Pogawędziła z nimi o niczym i pobawiła się z Zosią. Kozińscy, być może domyślając się, jakie jest jej położenie, nie dopytywali o jej prywatne sprawy.

- Zna się na gospodarstwie? - zapytał Koziński. - Mogłaby nam pomóc. My już starsi. Przydałby się ktoś do zakupów i gotowania. Marianna zapracowana, ale ona mogłaby pomóc żonie. Pokój dostałaby na górze. Stoi pusty. Nie musi płacić, dopóki się jakoś nie urządzi.

Kozińska potakująco kiwała głową i uśmiechała się zachęcająco. Anna, trochę zaskoczona propozycją, której się nie spodziewała, przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zosia natomiast, ucieszona, że zyska jeszcze jedną ciocię zawołała:

- Ciociu, zostań z nami! Będziemy się razem bawić!

Anna przytuliła dziecko.

- Dziękuję – powiedziała wzruszona. – Chętnie pomogę, chętnie zostanę. Dziękuję.

- No i bardzo dobrze robi – powiedział Koziński, wstał i oświadczył:

- Nie ma na co czekać. Pokażę jej pokój. Może tam wprowadzić się od razu. Niech odpocznie, urządzi się, oswoi. Żona potem powie, co może u nas robić. Gwałtu nie ma.

Weszli po drewnianych schodach na pierwsze piętro do niewielkiego pokoju z pochyłymi ścianami. Był przytulny i jasny, bo okno wychodziło na południe. Przenosiny polegały na wniesieniu do pokoju jednej tekturowej walizki i powieszeniu na haku, wbitym od wewnątrz w drzwi, podniszczonego płaszcza Anny.

- Dziecko – odezwała się Kozińska, widząc nędzę młodej kobiety – taka jesteś młoda. Weź od nas trochę rzeczy. Nam nie będą już potrzebne. Wzięliśmy je ze sobą z myślą o naszej córce, ale ona nie wróciła i pewnie nie wróci.

Nie czekając na zgodę Anny, Koziński zbiegł na dół i po chwili przyniósł ciepły płaszcz, dwie wełniane spódnice, kilka bluzek i brązowe damskie buciki.

- Niech bierze, niech się nie krępuje, bo mole zjedzą – stwierdził, rzucając te skarby na łóżko.

Anna stała oszołomiona.

- Czego jej jeszcze potrzeba? Matka, przygotuj pościel i ręcznik. Ja przyniosę wiadro z wodą i miskę, żeby miała jak się umyć. Wodę może grzać na piecyku. Na noc sobie rozpali. Drewno ma na podwórzu.

Po godzinie Anna była już urządzona. Siedziała na łóżku i rozmyślała. Martwiła się trochę o to, co powie Marianna, która zaproponowała jej zamieszkanie u Walerii, ale jej rozmyślenia przerwał radosny okrzyk Zosi dochodzący z podwórza - „mama!”. Zbiegła więc na dół i razem z Kozińskimi wyskoczyła na zewnątrz. Zosia, trzymana na rękach, wtulała się w szczupłą młodą kobietę. Kozińscy musieli ją znać, bo podbiegli do niej i witali serdecznie.

- Waleria wróciła - domyśliła się Anna, która trzymała się na uboczu.

Kiedy skończyły się wybuchy radości i Zosia odkleiła się od szyi matki, ta podeszła do Anny i powiedziała:

- Ty jesteś Anna. Prawda? Marianna mówiła mi o tobie.

- Ja też o pani słyszałam od Marianny. Pani ma na imię Waleria – wykrztusiła trochę onieśmielona Anna.

- Tak. Mam na imię Waleria. Mówmy sobie po imieniu. Przecież tak naprawdę dobrze się już znamy – zaproponowała przybyła.

Wszyscy weszli do kuchni Kozińskich, usiedli przy stole i pili herbatę podaną przez gospodynię.

- To już po leczeniu? - zagaiła Kozińska. - I jak się pani czuje?

- Dobrze. Niedługo wracam do pracy, a dziś jeszcze zabieram Zosię i pójdziemy do domu. Trzeba zacząć żyć normalnie. Poczekam na Mariannę, ale już teraz dziękuję wam wszystkim, bardzo dziękuję. Bez Marianny i bez was nie poradziłybyśmy sobie. Prawda Zosiu?

Zosia pokiwała główką. Siedziała na kolanach Walerii i kurczowo trzymała się jej szyi. Bała się, że matka znów ją opuści.

Marianna wróciła przed zmrokiem. Zanim weszła do siebie, zauważyła przez okno zebranie w kuchni Kozińskich i wkroczyła tam niespodziewanie dla wszystkich. Znów wybuchły radosne okrzyki powitania, a potem wymiana wiadomości. Mówili przede wszystkim Kozińscy i Waleria. Anna i Marianna słuchały. Ponieważ zbliżał się wieczór, młode kobiety przeszły do pokoju Marianny. Kozińska zaopatrzyła Walerię w upieczony przez siebie chleb i świeże masło. Spakowały rzeczy Zosi, podzieliły się bagażami i poszły do mieszkania Walerii. Dopiero kiedy rzeczy zostały rozpakowane, mieszkanie odkurzone, piec rozpalony a Zosia położona do łóżka, usiadły w kuchni i zaczęły rozmawiać. Decyzję Anny, aby zostać u Kozińskich i pomóc im w gospodarstwie, uznały za bardzo dobrą. Marianna pomyślała, że powinna powiedzieć wreszcie Walerii o ostatnich wydarzeniach, a przede wszystkim o odkryciu napisu i szczątków, szczątków, które były najprawdopodobniej szczątkami Mariana. Wstała, chwyciła Walerię za rękę i zaczęła mówić. Kiedy skończyła, Waleria była bardzo poruszona. Potrzebny był jej czas, aby przepracować ten nieoczekiwany i mocny powrót do przeszłości. Marianna zmieniła zatem temat i opowiedziała o wizycie u Wysockiej, kartce z książki Juliana, a także o wydarzeniach, które spotkały ją tego dnia w Mielnie.

Osobą, która zaskoczyła Mariannę przed wejściem na fermę Zarzyckiego okazał się Paweł. On także postanowił sprawdzić okolicę fermy i pokrążyć wokół niej. Kiedy zobaczył Mariannę, był równie spłoszony jak ona. Odeszli od bramy na bezpieczną odległość, wymienili informacje i postanowili wejść na fermę pod nieobecność Roberta. Nie byli zresztą pewni, czy tam go nie ma. Mieli jednak dobre wytłumaczenie, a mianowicie, że przyszli zobaczyć lisy, bo Marianna chciała kupić sobie kołnierz na zbliżającą się zimę. Wrócili więc pod bramę i zastukali. Rozszczękał się pies, a po chwili usłyszeli głośne pytanie:

- Kto tam?

Pytał pomocnik Zarzyckiego, Jan Siedzik.

- My do pana Roberta - zawołał Paweł. – Czy możemy wejść?

Brama się uchyliła, a Jan Siedzik, wpychając do środka szalejącego psa, wyszedł na zewnątrz.

- Nie ma – powiedział. – Nie można.

Był jednak wyraźnie zaintrygowany niespodziewaną wizytą i osobami, które przyszły.

- Panie Janie – odezwała się Marianna – czy mogę zobaczyć najładniejszego lisa?

Zaskoczony grzecznym zwrotem Jan Siedzik nie zdążył odpowiedzieć, bo z oddali doszedł ich warkot silnika. Nadjeżdżał Robert Zarzycki. Opiekun lisów szybko wskoczył za bramę i zamknął ją za sobą, oni zaś wyszli na spotkanie właściciela fermy.

- Jaka miła niespodzianka! - wykrzyknął Robert. – Postanowiła pani zobaczyć swój kołnierz? A nie mówiłem – zawołał w stronę Pawła. – Kobiety to lubią! Zapraszam! Pojadę przodem i zamknę psa. Jasio powinien być na fermie, ale on się nie domyśli.

Kiedy znaleźli się wewnątrz ogrodzenia i obejrzeli zwierzęta, zachwycając się trochę nadmiernie ich wyglądem, Paweł postanowił zapytać Roberta, co wie o walkach. Udał, że jest nimi zainteresowany, że sam kiedyś ćwiczył boks i że chętnie dorobiłby sobie w tym interesie. Robert nie był zaskoczony pytaniem. Zaprosił ich do pomieszczenia w budynku, bo Jan Siedzik zaczął obrządek. Okno pomieszczenia, w którym przysiedli na stołkach wokół niewielkiego stołu, było zamknięte, więc smród nie był w nim tak intensywny jak na zewnątrz. Robert szczegółowo opowiedział o nielegalnym interesie. Okazało się, że walki są organizowane w jednej z hal na terenie fabryki zapalek w Sianowie. Od początku jej reaktywowania, zajęto tę halę do wyłącznej dyspozycji służb. Nie miał tam wstępu nawet dyrektor fabryki. W środku hali urządzono ring, wokół ustawiono krzesła dla widzów, pod jedną dłuższą ścianą zorganizowano szatnie dla zawodników, prowizorycznie oddzielone od reszty pomieszczenia, a pod drugą, bar i okienka kas, w których obstawiano walki. Obsługa była dowożona przez zaufanych ludzi. Wstęp tylko dla wtajemniczonych. Walki odbywały się raz albo dwa razy w miesiącu. Zawsze w niedzielę wieczorem. Uczestnicy mogli dostać się na teren fabryki wyłącznie wjeżdżając nań samochodami, których numery rejestracyjne otrzymywał człowiek pilnujący w tym dniu bramy. Zastępował on strażników zatrudnionych na co dzień w fabryce. Robert twierdził, że raz jeden oglądał walki, bo zna Kozłowa, a ten siedzi po uszy w tym interesie. Kozłow zabrał go jakiś czas temu do Sianowa i wwiózł na teren fabryki. On jednak nie zna się na boksie, a brutalność walk nie przypadła mu do gustu, więc nigdy więcej tam się

nie pokazał. Jeśli jednak Paweł jest poważnie zainteresowany walkami, może skontaktować go z Kozłowym.

- Wacek to zapalony hazardzista i tylko gra jest dla niego ważna – stwierdził Robert. - Gra we wszystko. Najczęściej w pokera, bo w tym jest najlepszy. Zna różne sztuczki i ma mocną psychikę, ale to, co wygra w pokera, najczęściej przepuszcza w ruletkę. Znasz go? - zwrócił się do Pawła.

- Nie znam osobiście. Wiem, że mieszka na rogu Chrobrego i Pionierów. Ma ładny dom, a ludzie mówią, że i żonę ma ładną.

- Ładna kobieta, ale nie w moim guście – skrzywił się Robert. - Trochę przygaszona. Wacek krótko ją trzyma i jest cholernie zazdrosny. Taki pies ogrodnika. Zaniedbuje ją, ale nikogo nie dopuści i kobieta marnieje w zamknięciu. Czasami myślę, że on nie lubi kobiet. Wiecie, co mam na myśli? - spojrzał znacząco na swoich gości.

Paweł kiwnął głową. Marianna nie miała ochoty reagować.

- Pójdziemy już. Muszę zdążyć na autobus – powiedziała i wstała od stołu. Paweł także się zerwał ze stołka.

- Ależ usiądźcie! - oponował gospodarz. – Napijemy się po kieliszku, pogadamy, a potem odwiozę panią do Koszalina.

Tego właśnie Marianna nie chciała, więc zaczęła mówić o złym samopoczuciu, bólu głowy i braku przyzwyczajenia do lisich zapachów. Gospodarz zrozumiał tłumaczenia. Serdecznie żegnani, wyszli za bramę. Kiedy oddalili się od fermy, Marianna podzieliła się z Pawłem kilkoma spostrzeżeniami. Po pierwsze, zdziwiło ją, że Robert bez oporu przekazał im informacje przeznaczone tylko dla wybranych osób.

- Przecież on nas dobrze nie zna – dziwiła się. – Szczególnie mnie. A jednak moja obecność mu nie przeszkadzała.

- Ale mógł pomyśleć, że i tak się dowiesz, bo ja ci powiem – oponował Paweł. - Wie, że coś nas łączy. Zresztą niczym nie ryzykuje. Jak możemy mu zaszkodzić? Pójdziemy na milicję?

- Masz rację - musiała się zgodzić Marianna. – Ale mnie jego otwartość wydaje się podejrzana. Może zasugerowałam się opinią Kozłowej, która nie ma o nim dobrego zdania. Ale kiedy rozmawialiście rozglądałam się dyskretnie po pomieszczeniu. Zdziwił mnie porządek, który tam panuje. Mężczyźni na ogół nie dbają o porządek.

- Maniu - niecierpliwił się Paweł. - On pod tym względem jest po prostu wyjątkiem. Lubi porządek., Dbą o siebie, o fermę, o motocykl. Co w tym dziwnego?

- A zauważyłeś, że na podłodze leżał duży dywan. Po co mu dywan w takim miejscu?

- Uprzedziłaś się do niego - skwitował Paweł.

- Być może – odpowiedziała. – Ale przy najbliższej okazji porozmawiam z Jasiem Siedzikiem. Oczywiście w innym miejscu, poza fermą. Może nawet odwiedzę go w domu jego ciotki.

- Ciekawe, co powiesz ciotce? - roześmiał się Paweł. - Może powiesz, że zakochałaś się w Jasiu?

- Coś wymyślę - Marianna nie podzielała wesołości Pawła. - Teraz odprowadź mnie na przystanek.

Niedziela przyniosła potwierdzenie informacji, które podał Zarzycki. Pan Muzyczka opowiedział Wysockim o Sianowie i wskazał Kozłowa, jako jednego z najlepiej zorientowanych pośredników. Nie miał o nim najlepszego zdania. Twierdził, że jest uzależniony od hazardu, gra bez opamiętania, wygrywa, ale potem wszystko przegrywa. Ma opinię szulera. Jest jednak bardzo operatywny, jeśli idzie o wyszukiwanie dobrych klientów do nielegalnych interesów, więc nikt go nie rusza. Być może macza też łapy w wylapywaniu chłopców do walk, ale o takich sprawach nikt nie chce rozmawiać, a Muzyczka boi się dopytywać. Wie tylko, że w typowych walkach biorą udział doświadczeni zawodnicy. Co się dzieje w czasie specjalnych pokazów, nie wie i woli nie wiedzieć, bo chce dożyć i dopracować do emerytury. Tego wszystkiego dowiedziała się Marianna, kiedy odwiedziła Wysockich po niedzielnym dyżurze.

W niedzielny poranek Anna po obudzeniu nie mogła uwierzyć w to, co ją spotkało poprzedniego dnia. Leżała w pościeli pachnącej powietrzem i krochmalem.

- Tak jak w domu – pomyślała z radością zabarwioną smutkiem.

Od trzech lat nie napisała do rodziców do Miłkowa. Wcześniej wysłała kilka listów, ale raz tylko otrzymała odpowiedź. Ona i Antek byli jeszcze wtedy w Sławnie. Matka odpisała, że jest jej bardzo ciężko i wyrzucała Annie, że nie została w domu, aby jej pomóc. Kiedy, będąc już w Mielenku, Anna zaszła w ciążę, powiadomiła rodziców, że będą dziadkami, ale tym razem nie odpowiedzieli. Teściowie także się nie odzywali. Wywieziono ich gdzieś pod Szczecin, a Antek nigdy się z nimi nie kontaktował. Nie wiedziała więc nawet, czy jej i Antka rodzice jeszcze żyją. Powinna była ich odnaleźć i powiadomić, że została sama, że Antek zaginął. Wcześniej nie miała siły tego zrobić.

Szybko odpędziła złe myśli i wstała z łóżka. Postanowiła przejść się po Koszalinie i pójść na mszę do kościoła. Przypomniała sobie przedwojenne niedzielne wędrowanie z rodzicami i rodzeństwem z Miłkowa do Siemienia, ciepłe popołudnia spędzane nad siemieńskim stawem, majówki, na których tańczyło się do późnej nocy, choć rano trzeba było wstawać do pracy. Słońce świeciło dziś tak samo intensywnie, jak przed wojną. Ubrała spódnicę i bluzkę od Kozińskich. Były luźne, ale leżały dobrze. Płaszcz, trochę za szeroki, także wyglądał na niej nieźle. Ponieważ i buty były za luźne, ich czubki wypchała papierem, żeby nie spadały. I tak w nowym stroju wyglądała w świetnie. W kuchni nie było nikogo. Wypiła kubek mleka, zjadła kromkę chleba z masłem i wyszła. Wiedziała, że będzie musiała znaleźć pracę, żeby nie wykorzystywać Kozińskich. Nie chciała jednak o tym myśleć w tę pierwszą od kilku lat niedzielę, kiedy poczuła, że jest normalną młodą kobietą.

9. Więzień. Sierpień – wrzesień 52



Julian Wysocki przestał się bać. Nie wiedział dokładnie, dlaczego minął strach, który tak długo odczuwał. Prawdopodobnie szok związany z uwięzieniem zelżał i pozwalał mu teraz w miarę trzeźwo oceniać swoją sytuację i swojego prześladowcę. Trudno mu było policzyć dni

niewoli, bo dopiero od pewnego czasu zaznaczał je tuż nad podłogą na jednej ze ścian pomieszczenia, w którym był uwięziony. Sądził, że musiały minąć trzy tygodnie, albo nawet miesiąc. Przez kilka pierwszych dni nie mógł uwierzyć, że to, co się z nim dzieje, dzieje się naprawdę. Nie pamiętał, jak znalazł się w zamknięciu. Pojechał sam do Mielnia okazją w niedzielę rano. Był rozdrażniony i przygnębiony domową atmosferą. Kierowca wysadził go przed dawnym Böttcher's Hôtel – lubił tę nazwę, którą dawny właściciel koszalińskiego hotelu „Pod Białym Orłem” nazywał budynek w centrum Mielnia. Ulicą 1 Maja poszedł w stronę plaży. Po drodze przyglądał się ładnym pensjonatom, z których jeden, drewniany z wieżyczką, szczególnie mu się podobał. Nie zszedł na plażę. Wspiął się na betonową opaskę zabezpieczającą wydmy przed sztormami i kroczył nią ostrożnie - nie chciał uderzyć bosą stopą o wystające metalowe pręty, wiedząc z doświadczenia, jak jest to bolesne. Szedł w stronę Unieścia. Przystawał często i patrzył na morze. Było spokojne. Fale miarowo uderzały o brzeg, a ich monotonny szum uspokajał. Zszedł z betonowej opaski w miejscu, gdzie plaża była zupełnie pusta. Usiadł na zabranym z domu lnianym ręczniku i wyjął z plecaka książkę oraz aluminiową manierkę z kompotem. Szum morza i dzika atmosfera pustej plaży nastrajały do wczytania się w intrygującą i fascynującą poezję Rimbauda. Wcześniej przeczytał kilka buntowniczych wierszy/tekstów tego młodego poety, napisanych w ostatnim okresie jego twórczości. Pierwsze wersy z wiersza/tekstu, który przeczytał wstrząsnęły nim i zmroziły swoją brutalną prawdą:

„Dawno już po dniach i porach i stworzeniach i krajach. Chorągiew z krwawiącego mięsa na jedwabiu mórz i arktycznych kwiatów (one nie istnieją)”.

Zabrał ze sobą na niedzielną wycieczkę nad morze pożyczony od kolegi tomik „Poezji wybranych”, żeby w spokoju przeczytać wcześniejsze wiersze Rimbauda. Raz jeszcze spojrzął na stronę tytułową i rozśmieszyło go spolszczenie jego imion - Jan Artur. Pomiął wprowadzenie, napisane przez Adama Ważyka wiedząc, że poezja poety wyklętego, buntownika i barbarzyńcy, będzie tam przedstawiona jako proletariacka, wyprzedzająca bunt robotników i chłopów przeciw krwiożerczym burżujom, do których ostatnio zaliczono także jego rodzinę. Chciał smakować czyste słowa poezji. Przekartkował książkę i trafił na wiersz zatytułowany „Romans”. Poczuł radość i głęboką tęsknotę za czymś nieokreślonym, kiedy czytał:

„Ach, nie jest się poważnym w siedemnastej wiosnie. Wieczorem wśród bomb piwa, szklanek lemoniady, kawiarni oświetlonych i gwarnych radośnie, aleja lip oświetla ciche promenady.

Powietrze takie słodkie przymyka powieki, tak dobrze pachną lipy w czerwcowe wieczory, wiatr obciążony gwarem – miasto niedalekie - Ma w sobie zapach winnic i piwa odory”.

Powtarzał te dwie strofy kilkakrotnie, aby je zapamiętać. I zapamiętał! Teraz mógł je powtarzać w myśli, aby przywołać ostatnie dobre wspomnienia i tę atmosferę, w której pragnąłby się zanurzyć i nigdy nie wypłynąć.

„Powietrze takie słodkie przymyka powieki” - pomyślał i z gorzkim uśmiechem dodał - „Ach, nie jest się poważnym w siedemnastej wiosnie”.

Ledwie przed dwoma laty miał siedemnaście lat i słowa Rimbauda dotyczyły także jego, choć żył w innym niż poeta czasie i w innych okolicznościach. Teraz było inaczej. Było okropnie i nienormalnie. Ktoś, z nieznanym i trudnym do pomyślenia powodem, kazał mu przeżywać koszmar, przypominający minione wojenne czasy. Koszmar spadł jedynie na niego, bo świat na zewnątrz jego więzienia dalej żył swoim trudnym powojennym, ale przecież w miarę normalnym życiem i nic nie wiedział o jednoosobowym niby-obozie koncentracyjnym, stworzonym przez oszalałego z nienawiści człowieka.

Julian nie pamiętał kiedy i jak został zaatakowany. Musiało to nastąpić wtedy, gdy po zjedzeniu zabranej z domu kanapki i wypiciu resztki kompotu z manierki, zszedł z plaży i wszedł do nadmorskiego lasku za potrzebą. Ocknął się już w pomieszczeniu, które mogło być piwnicą, albo innym podziemiem, czując mocny ból z tyłu głowy. Oszołomiony, ale jednocześnie wściekły, próbował wstać, ale zdał sobie sprawę, że jest skrupowany. Leżał na zimnym betonie przez długi czas, zanim pojawił się on - jego oprawca i szaleniec w jednym - i poinformował, co go czeka. Po wysłuchaniu wygłoszonej mowy zdezorientowany Julian pomyślał, że spotkało go coś niewiarygodnego, bo teraz, po wojnie, on ma przeżywać coś, o czym wprawdzie słyszał w związku z głośnymi procesami obozowych katów, ale w co trudno było uwierzyć wszystkim tym, którzy nie widzieli obozów na własne oczy. Oprawca twierdził, że Julian został więźniem, tak jak przed nim miliony osób. Kiedy Julian uświadomił sobie, że te miliony nie doczekały końca wojny, bo cywilizowany świat dowiedział się o nich zbyt późno, by je uratować, wpadł w głęboką rozpacz. Dopiero po kilku dniach opamiętał się i zaczął powtarzać sobie, że przecież niektóre ofiary przeżyły. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że przecież jego położenie jest inne, że wojna dawno się skończyła, a obozy zagłady stały się historią. Trzymał się kurczowo paradoksalnego przekonania, że skoro niektórzy przetrzymali

obóz, to i jego koszmar musi się kiedyś skończyć, że nadejdzie niespodziewane wyzwolenie, a oprawca zostanie surowo ukarany. Prawdziwy przełom w myśleniu przyszedł później.

W dłużącym się czasie strasznej beznadziejnej samotności starał się żyć wspomnieniami. Ciężko było mu myśleć o rodzicach i Tadeuszu. Wyobrażał sobie, jak boleśnie przeżywają jego zniknięcie. Cierpiał razem z nimi. Wierzył jednak, że nadal go szukają. Rodzice być może stracili siły, ale Tadeusz nie mógł się przecież poddać. Nie mógł zaprzestać poszukiwań młodszego brata. Julian nie dopuszczał do siebie myśli, że rodzina uznała go za zmarłego i powoli o nim zapomina. Aby ich podtrzymać w przekonaniu, że wciąż żyje, starał się jak najczęściej nawiązywać z nimi kontakt duchowy. Przypominał sobie ich twarze, w myśli wykonywał z nimi zwyczajne codzienne czynności i co rusz przysyłał wiadomość – „tu jestem, przyjdźcie po mnie, uratujcie mnie”. Niekiedy próbował zapomnieć o swoim nieszczęsnym położeniu recytując wiersze. Zawsze miał dobrą pamięć. Chętnie uczył się utworów poetyckich. Mówił więc szeptem wiersze Tuwima, Broniewskiego, Apollinaire'a i Rimbauda, które czytał niedawno i nauczył się na pamięć. Przez jakiś czas potrafił także modlić się. Z czasem wiersze i modlitwy opuściły go. Nie mógł wypowiadać ich słów.

Upokorzenia i cierpienia, których doświadczał w czasie wizyt swego prześladowcy, stawały się z biegiem dni trudne do zniesienia. Zdał sobie sprawę z tego, że aby je wytrzymać, nie może uciekać od swojej żalosnej codzienności. Musi przede wszystkim myśleć o strategiach przetrwania dnia następnego. Piwnica, w której był uwięziony została dobrze przygotowana do przetrzymywania ludzi tak, by nikt z zewnątrz nie wiedział o ich istnieniu. Zrobiono głęboki wykop i zabezpieczono go betonowymi płytami – ich stan wskazywał, że pochodziły z jakiejś wcześniejszej budowli. Strop także był betonowy. W jednym jego rogu była kłapa, prawdopodobnie drewniana, ale od spodu wyłożona workami wygłuszającymi dźwięki. W ścianie przy klapie znajdował się półokrągły, nieprzeszkłony, ale zakratowany otwór, przez który wpadała odrobina światła i trochę powietrza. W podłodze, także wybetonowanej, w rogu po przekątnej do tego, w którym była kłapa, zostawiono prostokątny nieduży otwór do szamba. Można go było zakryć jedynie szmatami. Szambo nie było puste, więc wcześniej też kogoś tu więziono. Tak zresztą twierdził oprawca Juliana w swoim „inauguracyjnym przemówieniu”, zaznaczając, że stąd idzie się prosto do nieba. Był przekonujący. Ubrany nienagannie - w szarozielony oficerski mundur SS w randze Obersturmbannführera, czapkę z „gapą” i trupa czaszką na otoku oraz błyszczące oficerki - wchodził do piwnicy przez kłapę w stropie po opuszczanej drabinie. Kiedy Julian zobaczył go po raz pierwszy, był tak zaskoczony, że nie

zwrócił uwagi na to, że błyskawice SS znajdują się nie tylko na patkach, ale także na naramiennikach. Zresztą i tak nie wiedziałby, że jest to mundur SS-TV. Zauważył za to skórzany bicz w ręku swojego prześladowcy.

- Jako wróg narodu niemieckiego zostałeś skazany na pobyt w obozie korekcyjnym – odezwał się nienaganną polszczyzną domniemamy oficer SS do związanego, leżącego na podłodze Juliana. - Ponieważ nie wykazujesz skłonności do zmiany stanowiska będziesz tu przebywał do śmierci. Przed tobą ukarałem kilku odszczepieńców. Już nie żyją.

Julian milczał. Starał się patrzeć w górę, żeby zobaczyć twarz mówiącego. Ten schylił się i ignorując strach ofiary rozciął więzy sztyletem wyciągniętym z pochwy.

- Wstań – powiedział spokojnie, chowając sztylet, którego ostrze na chwilę rozbłysło w skąpym świetle.

Julian z trudem dźwignął się, zatoczył i o mało nie wpadł do otworu szamba. Kiedy złapał równowagę, mężczyzna wskazał mu kupkę szmat, leżących w sąsiednim kącie i powiedział:

- Rozbieraj się i załóż pasiak.

- Ale dlaczego? - wyrwało się Julianowi.

Natychmiast otrzymał cios biczem. Oszołomiony, z piekącą raną biegnącą przez całą twarz, zaczął się powoli rozbierać.

- Szybciej – usłyszał i otrzymał następne uderzenie. - Czapka na głowę.

Ubrany w śmierdzący i wilgotny pasiak stał i patrzył prześladowcy prosto w oczy, jakby chciał z nich wyczytać jakieś racjonalne wyjaśnienie swego uwięzienia. Zamiast wyjaśnienia dostał kolejny cios.

- Nie patrzeć! – wrzasnął oprawca. – Głowa ma być spuszczone! Patrzeć w ziemię i słuchać!

To wtedy Julian dowiedział się, jak będą wyglądać jego dni do momentu, kiedy umrze. W przeciwległym do otworu szamba kącie piwnicy leżała kupa piachu. Miał ją przenosić gołymi rękami codziennie w kąt sąsiedni, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Przez jakiś czas będzie otrzymywał porcje jedzenia i wody. Potem zdechnie z głodu. Każda niesubordynacja będzie

karana odebraniem racji żywnościowych. Po zmroku ma leżeć na szmacianym barłogu, a o świcie wstawać do pracy. Kontrole będą niespodziewane i możliwe o każdej porze dnia i nocy. Ma podczas nich stać pod ścianą na baczność, patrzeć w dół i odzywać się tylko wtedy, gdy zostanie zapytany. Odpowiedzi ma udzielać natychmiast. Jeśli się poruszy, zostanie zastrzelony.

Przez pierwsze dni uwięzienia, oszołomiony i zrozpaczony Julian, codziennie wykonywał bezsensowną pracę. Przenosił piach z kąta w kąt, a potem leżał na barłogu. Kiedy zmienił wreszcie swoje myślenie i zaczął podtrzymywać w sobie nadzieję na uwolnienie, zmienił postępowanie. Zorientował się, że kontrole odbywają się średnio raz na dwa dni, więc pracował co drugi dzień. Co drugi dzień odpoczywał i oszczędzał siły. Zaczął zajmować się własną higieną na tyle, na ile było to możliwe, wykorzystując lekko zmoczone mniejsze szmaty. Z większych zrobił opończę, chroniącą w nocy przed zimnem. Podczas wizyt prześladowcy zrywał się błyskawicznie ze swego nędznego posłania, zrzucał opończę, wkładał czapkę, którą natychmiast zdejmował i stawał pod ścianą ze spuszczoną głową. Szybko wykonywał polecenia i nigdy się nie odzywał, aby uniknąć kar. Jedzenie i wodę, które dostawał raz na kilka dni, dzielił na porcje, a papier, w który niekiedy był zawinięty kawałek marmolady, czyścił i zachowywał. Papier, wetknięty za pasiak, dobrze trzymał ciepło. Przydawał się także do celów toaletowych.

Pewnego dnia w najciemniejszym kącie pomieszczenia, czyli nad otworem do szamba, zaczął zaznaczać upływające dni, wyskrobując kreski drewnienkiem znalezionym pod szmatami. Kiedy jego wzrok przyzwyczajał się do panującego w pomieszczeniu mroku, zauważył tam inne kreski i ledwo widoczne litery. Policzył kreski w jednym rzędzie. Było ich około stu. Rząd zaczynał się od liter – Z P. W drugim, po prawej od pierwszego, kresek było sześćdziesiąt. Liter nie znalazł. Znów przez dwa dni był załamany, bo zdał sobie sprawę z tego, że poprzednie ofiary żyły zaledwie dwa-trzy miesiące. Miałby zatem przed sobą jeszcze dwa miesiące życia - życia w hańbie i upokorzeniu. Pomyślał wtedy, że woli umrzeć. Jedynym sposobem, jaki przychodził Julianowi do głowy, było rzucenie się na schodzącego po drabinie oprawcę i sprowokowanie go do strzału. SS-man schodząc, zawsze trzymał w dłoni pistolet. Był to Browning, a właściwie jego niemiecki typ P640. Przez dwa dni myśl o sprowokowanej śmierci nie dawała Julianowi spokoju. Opuściła go po pewnym wydarzeniu, które wkrótce potem nastąpiło. Wieczorem najpierw usłyszał za oknem ciche kroki, a następnie zobaczył w okienku

rękę trzymającą kromki chleba. Ręka wepchnęła chleb przez kratę. Chleb pokruszył się i spadł pod nogi Juliana, który doskoczył do ściany z oknem.

- Halo! Halo! Ratunku! - wrzasnął, ale nikt się nie odezwał, a ręka szybko zniknęła.

Najpierw przestraszył się, że domniemany SS-man sprawdza go w ten sposób. Sprawdza, czy nie łamie bezwzględного zakazu wołania. Nasłuchiwał z lękiem, czy otwiera się kłapa w suficie i spuszcza drabina. Było jednak cicho. Wtedy właśnie nagle uświadomił sobie, że jego prześladowca, aczkolwiek groźny, jest przecież zwykłym przebierańcem. Wygląda wprawdzie na SS-mana i zachowuje się jak SS-man – Julian pamiętał dobrze strach, który towarzyszył każdemu pojawieniu się SS w czasach wojny – ale przecież działa w samotności, w ukryciu, żyje straszliwą fikcją i jako jedyny w nią wierzy. Ale on, Julian, nie powinien przecież w tę fikcję także uwierzyć. Nie może pozwolić na to, aby poczuć się prawdziwym więźniem tej żalosnej miniatURY obozu koncentracyjnego. Nie może dać się wplątać w tę niszczącą niebezpieczną grę, w tę groteskową, ale śmiertelną zabawę. Przeciwnie, powinien świadomie, z premedytacją, udawać więźnia w czasie wizyt szaleńca, ale poza tym zachować zimną krew i starać się przeżyć jak najdłużej. Od tego momentu zaczął dyskretnie obserwować mężczyznę w mundurze. Zauważył, że ten nigdy się do niego nie zbliża, ale z jakąś perwersyjną przyjemnością przygląda mu się i spokojnie, jakby z tego spokoju czerpał satysfakcję, wydaje polecenia. Wyglądało na to, że napawa się swoją władzą nad bezbronny i poniżany więźniem. Stawał zawsze w lekkim rozkroku, uderzał biczem o cholewki skórzanych wysokich butów i przemawiał mocnym głosem do stojącego na baczność Juliana, uzmysławiając mu beznadziejność jego położenia i swoją nad nim przewagę. Wspominał z szacunkiem Rudolfa Franza Ferdinanda Hössa, zawsze wymieniając wszystkie jego imiona. Informował, że on karze winnych za śmierć wielkiego SS-mana, śmierć haniebną, bo przez powieszenie. Twierdził, że on sam nadal wykonuje rozkazy przełożonych, którzy już nie żyją; że bezlitośnie prześladowając wrogów narodowego socjalizmu, odpluskwia ludzkość. Julian i jego poprzednicy są bowiem godnymi pogardy insektami, które należy tępić konsekwentnie i systemowo.

- Po co on tyle gada? - zastanawiał się Julian w chwilach spokoju. - Może sam siebie przekonuje do tego, w co nie jest w stanie uwierzyć? Albo jest szalony. Najwyraźniej napawa się swoją przewagą nade mną. Lubi mną rządzić i patrzeć na moje posłuszeństwo i moją nędzę.

Instynktownie starał się więc dawać szaleńcowi jak najwięcej satysfakcji. Stał przed nim skulony z gołą głową, patrzył w ziemię a w rękach miał czapkę. Wykonywał skwapliwie

wszystkie polecenia. Na rozkaz ćwiczył przysiady i skakał jak żaba. Stał bez ruchu twarzą do ściany w czasie, kiedy tamten rozkopywał jego legowisko w poszukiwaniu nie wiadomo czego, kulił się po razami bicia i wysoko podnosił ręce, gdy oprawca groził mu pistoletem. Od momentu, kiedy uświadomił sobie szaleństwo SS-mana, przestał odczuwać strach i pozbył się wstydu. Czuł się jak aktor na scenie, który chce odegrać swoją rolę najlepiej jak potrafi. Po takim seansie przychodziło jednak wyczerpanie i pojawiało się pytanie o to, jak długo wytrzyma tę śmiertelną grę, a także kiedy znudzi się ona drugiej postaci dramatu, kiedy wyda ona wyrok śmierci.

Julian Wysocki osłabł i wychudł. Głowa też zaczęła go zawodzić, a tego, że straci zdrowy rozsądek bał się najbardziej. Odzyskiwał nadzieję i trochę sił, po rzadkich, ale niezwykle ważnych dla niego, wizytach tajemniczej „ręki z chlebem”, jak zaczął nazywać swego wspomożyciela lub wspomożycielkę. Już do niego nie wołał. Wiedział, że nie otrzyma odpowiedzi. Mówił tylko łagodnie i cicho „dziękuję”. Zbierał z podłogi wszystkie części pokruszonego chleba i zjadał od razu, aby nie wpadły w ręce domniemanego szwaba. Zdarzało się, że znajdował też kawałki jabłka, a raz nawet przez okno wpadło kilka plasterków kiełbasy.

Wizyty w piwnicy dawały mu coraz mniej zadowolenia i zaczął myśleć o ostatecznym rozwiązaniu, czyli zagłodzeniu chłopaka. Chłopak był nadzwyczaj posłuszny, małomówny i zdyscyplinowany. Nie szlochał i nie błagał o litość. Nie zadawał pytań o to, co go czeka, nie żebrał o jedzenie i nie prosił o oswobodzenie. Wszystko to znacznie zmniejszało poczucie satysfakcji ze szkolenia. Pomimo ograniczania racji żywnościowych wyglądał lepiej niż powinien. Były zatem dwa rozwiązania. Poddać go jeszcze większym karom, aby wreszcie go złamać i sprawić, że będzie się czołgał i całował jego buty, albo go zagłodzić. Postanowił poczekać na ostateczne rozwiązanie jeszcze dwa tygodnie i zmaksymalizować dyscyplinę.

Czuł się poirytowany. Irytacja przechodziła we wściekłość, gdy przypominał sobie działania tych niewydarzonych samozwańczych śledczych, tej głupiej bandy nieudaczników. W każdej chwili mógłby się ich pozbyć definitywnie. Od dawna miał ich na widelcu i gdyby nie bawiła go gra z nimi w kotka i myszkę, załatwiłby całą czwórkę w kilku posunięciach. Za dwa tygodnie jednak zakończy tę zabawę i zajmie się uśmierceniem chłopaka.

Tadeusz Wysocki, starszy brat jego więźnia, ledwo uszedł z życiem, kiedy opłaceni opryszkowie załatwili go pod oknami domu rodziców. Podrzućli potem kartkę z pogrózkami pod drzwi mieszkania starych Wysockich. Wyobrażał sobie zaskoczenie i panikę, w którą musieli wpaść. O to właśnie chodziło. O strach. Chciał niszczyć strachem. Wysoccy szaleją teraz z niepokoju o swojego starszego syna. Dostali nauczkę. Niech natychmiast wszyscy przestaną węszyć. Czego się spodziewał ten głupiec Tadeusz, najpierw wypytać o brata ludzi w Mielnie, a potem zawierając znajomość z nedorobionym inżynierkiem z pegeeru i jego podstarzałą flamą? Lampka ostrzegawcza zapaliła mu się w głowie natychmiast, gdy tylko dowiedział się, że inżynierka i pielęgniarka nagle zaczęli rozmawiać z żoną chłopca z Mielenka. Pracowała od dwóch lat w „Mewie”, ale do tej pory mu to nie przeszkadzało. Dziewucha była wystraszona i pozbawiona silnej woli. Nieszkodliwa. Ale po wizytach inżynierka i jego flamy pokorna dotąd dziewczka zaczęła podnosić łeb i, co zauważył, ośmieliła się obserwować klientów. Z pewnością robiła to na zlecenie tamtych. Podniosła łeb, więc należało ją ukarać. Namówienie kierownika „Mewy”, żeby ją zwolnił nie było trudne. Z kierownikiem od lat łączyły go interesy. Słyszał, że pielęgniarka zabrała Annę Czupe do siebie do Koszalina. Plan był taki, aby najpierw rozprawić się z Glińskim, a następnie dobrać się do skóry pielęgniarki i tej drugiej dziwce.

Rozdział czwarty



1. Damska misja. Czwartek, 2 października 52



Od soboty 27 września minęło kilka dni. Wszyscy potrzebowali uspokojenia i przemyślenia nowej sytuacji, która wyłoniła się z wydarzeń minionego tygodnia. Tadeusz Wysocki czuł się lepiej. Obite nerki bolały, ale pracowały, więc planowano jego rychłe wypisanie ze szpitala.

Miał dostać zwolnienie lekarskie i leczyć się ambulatoryjnie. Paweł Gliński potrzebował kilku dni na podgonienie napraw sprzętu w pegeerze, a Grzegorz na podciągnięcie dyscypliny swoich dwóch podwładnych opryszków.

Marianna Kupryszak w towarzystwie Anny Czupy odwiedziły w poniedziałek Walerię. Pomogły jej na nowo zagospodarować się w mieszkaniu. Po męczących zakupach i generalnych porządkach mogły wreszcie usiąść, napić się spokojnie herbaty i porozmawiać o wszystkim bez skrępowania, zanim Zosia wróci z przedszkola. Waleria koniecznie chciała zobaczyć szczątki Mariana i zabrać je do siebie. Miała zamiar odszukać jego rodzinę, choć jeszcze nie umiała powiedzieć, jak to robi. Nie pomogły żadne perswazje. Przystała tylko na odłożenie sprawy do czasu zakończenia poszukiwań Juliana Wysockiego. Długo omawiały szczegółowo wszystkie dotychczasowe wydarzenia i odkrycia: znalezienie czapki Antoniego Czupy, kartkę z książki Juliana znalezioną na śmietniku, nagłe wyrzucenie Anny z pracy, jej nocną wizytę w klubie żeglarskim i oczywiście napis znaleziony w bunkrze i straszną, jak się domyślały, śmierć Mariana. W głowach miały mętlik. Rozstały się, postanawiając, że w czwartek pojedą razem do Mielna zaraz po odprowadzeniu przez Walerię dziecka do przedszkola. Miały dwa dni na uporządkowanie myśli i wyciszenie emocji.

Plan na czwartek okazał się bardzo rozbudowany. Postanowiły bowiem odwiedzić Raczykową i Kozłową, o ile ich mężowie będą poza domem. Chciały też porozmawiać z panią Nowak, bosmanem i Jasiem Siedzikiem. Poza tym ustaliły, że czas zacząć działać na wpół jawnie, że należy rozpytywać o zaginionych każdego w miarę znajomego mieszkańca Mielna. Przecież ci nie pobiegną zaraz z donosem na kobiety, szukające po wielu latach swoich mężczyzn. Powinni je zrozumieć, współczuć im i raczej zbagatelizować ich z góry skazane na niepowodzenie wysiłki. Anna, na podstawie fotografii, przygotowała trzy portrety - Juliana, Antoniego i Mariana. Miały zamiar pokazywać rysunki swoim rozmówcom.

Wysiadły z pekaesu przy szkole i natychmiast przyszło im do głowy, aby wejść do Mewy. Spojrzały po sobie i ruszyły. Mewa, jak często wczesnym przedpołudniem, była pusta.

- Czy zastałam pana kierownika? - zapytała głośno Waleria, której nikt tu jeszcze nie znał.

Anna i Marianna stały za nią, z trudem powstrzymując trochę nerwowy śmiech. Z zaplecza wybiegła zaaferowana bufetowa. W pierwszej chwili nie rozpoznała dwóch stojących za Walerią znanych sobie kobiet. Spostrzegła jedynie, że panie są trzy, więc pomyślała, że

przyszły w ważnej sprawie. Nie odpowiedziała na zadane pytanie, tylko zawołała w głąb pomieszczeń:

- Panie kierowniku! Jakież panie do pana przyszły!

Majewski, przyczesując przerzedzone włosy małym grzebykiem, wyłonił się z zaplecza i uwodzającym głosem spytał:

- Czy mogę szanownym paniom służyć?

- Chcemy z panem porozmawiać o interesach – odezwała się zza placów Walerii Marianna.

- Zapraszam zatem panie do mojego biura – Majewski uklonił się szarmancko i wskazał ręką drogę.

Dopiero kiedy weszli do małego biurowego pomieszczenia, kierownik przyjrzał się kobietom i rozpoznał Annę Czupe. Natychmiast stracił dobry humor i uwodzicielski urok. Nie poprosił nawet, aby usiadły. Waleria i Marianna usiadły więc, nie czekając na zaproszenie, a ponieważ przed biurkiem stały tylko dwa krzesła, Anna, trochę przestraszona, stanęła za nimi.

- O co chodzi? - burknął gospodarz, siadając na swoim miejscu.

- Dlaczego stał się pan nieprzyjemny? - zapytała grzecznie Marianna. – Czyżby był jakiś powód pana nieuprzejmości?

- O co chodzi! - wykrzyknął wkurzony pytaniem Majewski.

- Proszę pana, czy widział pan tutaj tych mężczyzn? - Marianna wyjęła ze swej przepastnej torby rysunki Anny i rozłożyła na biurku tuż pod nosem kierownika.

- Nie widziałem! O co chodzi?! - Majewski tracił opanowanie.

- To są osoby, które zaginęły w Mielnie. Tego musiał pan widzieć, bo często przychodził do „Mewy” – Waleria wskazała portret Antoniego.

- Nie przyglądam się pijakom! - wrzasnął mężczyzna. - Wynocha!

Krzyki kierownika zwabiły kilka zaciekawionych rozróbą pracownic, a ponieważ drzwi biura pozostawały otwarte, pojawiła się w nich głowa jednej z nich.

- Panie kierowniku wołać milicje? - zapytała głowa, spojrzała na kobiety i zdumiona dodała:

- Anna, to ty?

Głowa należała do kucharki. Kiedy kucharka rozpoznała Annę, nie czekając na jej odpowiedź, wycofała się i zamknęła za sobą drzwi.

- Do roboty! - rozległ się zza nich jej wrzask, którym wypłoszyła spod drzwi biura kierownika pozostałe pracownice.

Za drzwiami ucichło.

- Dlaczego zwolnił pan Annę? - padło następne pytanie Marianny.

- Wychodzić, ale już – kierownik nie podnosił już głosu, lecz wstał i otworzył drzwi.

- Spokojnie – poprosiła Marianna zdecydowanym tonem. - My tylko grzecznie pytamy. Jeśli nie chce pan z nami rozmawiać, to trudno. A mogłby pan nam pomóc.

Wstały i wyszły z biura. Anna, przed wyjściem, postąpiła jeszcze w biurze przez sekundę, patrząc z wyrzutem na Majewskiego. Odwrócił z niechęcią głowę, aby nie widzieć jej wzroku.

Kobiety nie zamierzały zbyt szybko się poddać, więc usiadły przy barowym stoliku i zamówiły trzy herbaty. Wiedziały, że dostaną łurę, bo przecież bywalcy „Mewy” nie byli amatorami herbat, ale chciały dopiec jeszcze trochę kierownikowi i przy okazji poczekać, co powie obsługa. Były pewne, że ciekawość wyprowadzi pracownice „Mewy” z zaplecza na salę. Nie myliły się. Co rusz któraś z kobiet przechodziła obok, patrzyła na nie i uśmiechała się porozumiewawczo. Bufetowa przyniosła herbatę, cukier i łyżeczki. Postawiła na stoliku, spojrzała w stronę korytarza, gdzie znajdowało się biuro i mrugnęła na Annę, dając jej znak, aby poszła za nią. Zniknęły obie w kuchni. Po chwili Anna wróciła i wyszeptała:

- Bufetowa mówi, że ktoś kazał Majewskiemu wyrzucić mnie z pracy i Majewski zrobił to, bo się boi. Bufetowa niby nie wie, kto postraszył kierownika, ale twierdzi, że Majewski poza

milicją boi się Kozłowa, bo Kozłow coś tam na niego podobno ma. Może rzeczywiście Kozłow kazał Majewskiemu mnie zwolnić? Ale dlaczego? Prawie mnie nie znał.

- Co ty mówisz! - zaprotestowała Marianna. - Z pewnością znał cię jako żonę Antoniego, jeśli ma coś wspólnego z jego zaginięciem.

- Tak, wtedy by mnie znał i nie spodobałoby mu się, że spotykam się z wami.

- Wychodzimy! - zdecydowała Marianna.

Zostawiły na stoliku niedopite herbaty. Zapłaciły za nie wcześniej.

Na zewnątrz odetchnęły z ulgą świeżym powietrzem. Gburowaty kierownik nie popsuł im nastrojów. Przeciwnie, bawiło je, że zdołały go rozwścieczyć. Śmiejąc się, ruszyły w stronę centrum. Wiedziały, że spotkają tam panią Nowak.

- Dzień dobry pani Nowakowa! - Marianna zawołała już z daleka, aby kobieta nie zniknęła w swoim pomieszczeniu.

Kobieta przyłożyła rękę do czoła, zasłaniając oczy przed słonecznym światłem i patrzyła z ciekawością na zbliżającą się trójkę.

- A co to? Delegacja?! - zawołała, rozpoznając Mariannę i Annę. – A dokąd to? Może na jesienny spacer?

- Chcemy z panią porozmawiać, dopytać o Antoniego i o innych - Marianna pierwsza stanęła przed Nowakową. - Annę pani zna, a to jest Waleria. Jej narzeczony też zaginął w Mielnie.

- Kobićki, co wy gadacie?! - starsza pani nie ukrywała zaskoczenia. - Jeden zginął, drugi zginął i może jeszcze trzeci.

- Żeby pani wiedziała – odezwała się Waleria, a Marianna wyjęła z torby portrety i rzekła spokojnie:

- Proszę zobaczyć. Ci trzej młodzieńcy zaginęli w Mielnie w odstępie kilku lat. Niech pani im się przyjrzy, bardzo prosimy. Może widziała pani któregoś jeszcze poza Antonim? Może widziała ich pani z jakąś osobą?

Kobieta zmrużyła oczy, jak to zwykli robić krótkowidze, i przyglądała się portretom.

- Kto tak ładnie rysuje? - zapytała. - Ten Antek to wypisz wymaluj on, jak żywy. A tych dwóch nie znam. Tego – wskazała na Juliana – to mi niedawno na fotografii pokazywał taki jeden z Koszalina. Brat, czy ktoś tam. Szukał go, bo ponoć odłączył się od rodziny i gdzieś zabradziażył. To wy jego też szukacie? Co on za jeden?

- Kolega. To znaczy Tadeusz, czyli brat zaginionego, który jest naszym kolegą. Pomagamy mu szukać jego młodszego brata. Na pewno go pani nigdy nie widziała? - naciskała Marianna.

- Kogo nie widziałam? Namieszałyście mi w głowie. Jeden brat, drugi brat. To kogo ja miałabym widzieć? Mówię przecież, że jeden mnie wypytywał. Ten wasz kolega. Przecież pani wie, bo się znacie – skwitowała rozmowę Nowakowa i dodała:

- Kobitki, znajdźcie sobie fajnych facetów i zapomnijcie o tych pijusach i łazęgach. Po co wam oni. Po co to całe szukanie. Jeszcze guza znajdziecie. Pani Marianna, to już sobie znalazła dobrego narzeczonego. Wy też się postarajcie, bo będzie za późno. Młodość nie trwa wiecznie, a stare baby nie mają szans.

- A zna pani Kozłowa? - nie poddawała się Marianna.

- No co, pani żartuje? Wiadomo, że znam. A czego od niego chcecie?

- Tak tylko pytam. To dobry człowiek?

- Dobrzy ludzie, to zginęli na wojnie - padła natychmiastowa odpowiedź. – A teraz to każdy musi sobie radzić, jak potrafi. Kozłow sobie radzi i nikogo o łaskę nie prosi. Nie mam czasu. Mam robotę.

Pani Nowak pośpiesznie odeszła w stronę budynku publicznej toalety. Odwróciła się kilka razy i potrząsała głową z dezaprobatą. Najwyraźniej nie podobała się jej damska ekipa poszukiwawcza i stawiane przez nią pytania.

Marianna była niezadowolona. Myślała, że kobieta, jak zwykle, rozgada się i dowiedzą się od niej czegoś nowego. Zawiedzione i w gorszych nastrojach ruszyły dalej, postanawiając, że pójdą do klubu żeglarskiego. Październikowy dzień był ciepły. Jezioro połyskiwało srebrzyście w słonecznym świetle. W klubie panował ruch. Miłośnicy żeglarstwa chyba urwali się z pracy

albo ze szkoły, żeby wykorzystać dobrą pogodę. Bosman siedział w swoim kantorku i rozmawiał z kimś przez telefon. Ze zdziwieniem popatrzył na trzy młode kobiety wchodzące do jego królestwa. Zakończył szybko rozmowę i zapytał:

- Panienki na pewno do mnie?

Marianna postanowiła działać tym razem z zaskoczenia.

- Czy zna pan tych chłopców?- zapytała mocnym głosem, podsuwając bosmanowi rysunki.

Mężczyźnie krew uderzyła do głowy. Jego twarz zrobiła się purpurowa. Zaskoczenie było piorunujące. Zamiast na portrety patrzył osłupiały na stojące przed nim kobiety.

- Kim wy jesteście? - wydusił z trudem.

Walerii zrobiło się żal speszzonego i mocno zaniepokojonego mężczyzny, więc powiedziała łagodnie, psując efekt zaskoczenia:

- Proszę pana, niech nam pan pomoże, My ich od dawna szukamy.

Marianna spojrzała na Walerię ze złością. Waleria skuliła się w sobie i zrobiła przeproszającą minę. Bosman, trochę uspokojony, patrzył teraz na portrety.

- Nie widziałem żadnego z nich. W klubie z pewnością nigdy nie byli. Zapamiętał bym. Mam dobrą pamięć do twarzy.

- Na pewno chłopców by pan zapamiętał – złośliwie odezwała się Marianna, a bosman znów pokraśniał, ale nie odpowiedział na zaczepkę, tylko zapytał:

- Czy mam pokazać portrety moim żeglarzom?

- Nie. Dziękujemy. Nie trzeba – odpowiedziała Waleria, wiedząc, że żaden z poszukiwanych nie interesował się żeglarstwem. – Do widzenia.

- Po coś ty go uspokoiła! - wyrzucała Walerii Marianna, gdy znalazły się na ulicy. - Może by puścił farbę!

- Przecież on się zdenerwował z powodu pytania o chłopców, a nie dlatego, że zobaczył twarze naszych zaginionych. Pomyślał, że znamy jego słabość do młodych mężczyzn i dlatego się przestraszył – odparowała Waleria.

- Może masz rację. Ale dotąd niewiele zdziałaliśmy. Chyba nikt nam nic nie powie. Niepotrzebnie robimy aferę na całe Mielno – zmartwiła się Marianna.

- Słuchajcie – Anna wreszcie zabrała głos. – Przecież nastraszyliśmy trochę obu panów, Majewskiego i bosmana. Jeśli coś wiedzą, to może popełnią jakiś błąd. Komuś o nas powiedzą. Zrobią coś nagle. Nie wiem co. Po prostu trzeba czekać. A przede wszystkim wiemy, że Kozłów prawdopodobnie maczał palce w całej sprawie. Bo dlaczego kazał mnie zwolnić? No dlaczego? Nowakowa też będzie gadać o nas. Ktoś się w końcu z czymś wyrwie, ktoś się zdradzi.

Marianna i Waleria popatrzyły na Annę z uznaniem. Miała rację. Wóz, albo przewóz. W ich poszukiwaniach musi w końcu nastąpić przełom. Miotają się przecież w sieci domysłów i przypuszczeń. Podniesione na duchu zmierzały w stronę domu Kozłowów. Nie weszły na posesję, bo w porę zauważyły stojący na podwórzu samochód. Kozłów był w domu. Skręciły w ulicę Pionierów i poszły do Raczykowej.

- Musimy uważać na psa i indora. Oba zwierzaki atakują obcych. Zawołam Raczykową przez furtkę od podwórza, poczekajcie tutaj – ostrzegła Marianna.

Anna i Waleria zostały na ścieżce w ogrodzie i z zachwytem patrzyły na róże. Z przyjemnością wciągały w nozdrza ich dojrzały zapach. Tymczasem Marianna wywołała Raczykową. Starsza pani zdawała się być bardzo rada swoim gościom.

- Pani Anna, prawda? - zwróciła się do stojącej najbliżej młodej kobiety. – A pani? - zapytała Walerię.

- Ja jestem Waleria, koleżanka Marianny. Nazywam się Sawko. Marianna mówiła mi o pani miłe rzeczy.

- Tak? A mi o pani nie powiedziała – roześmiała się Raczykowa. – Może teraz się wreszcie czegoś dowiem.

- Przepraszam – Marianna złapała ramię Raczykowej i uściśnęła. - Dziś będę z panią szczerą.

- Wejdźmy do kuchni. Słońce ładnie dziś grzeje, ale wiatr od morza wieje chłodny. Zrobię herbaty i poznamyamy.

Kuchnia Raczykowej nie była nasłoneczniona, ale palący się pod fajerkami ogień nagrzewał pomieszczenie i czynił je przytulnym. Raczykowa doniosła dwa krzesła z głębi domu i przygotowała herbatę.

- Muszę pani przyznać się do czegoś - zaczęła mówić Marianna do stojącej przy kuchni odwróconej tyłem gospodyni. – Kiedy ostatnio panią wypytywałam, to traktowałam panią jako źródło informacji. Zbierałam informacje o tym, co dzieje się w Mielnie i o mieszkańcach, bo my – my trzy i jeszcze oczywiście Paweł i dwóch jego kolegów – poszukujemy osób, które zniknęły w Mielnie.

Raczykowa odwróciła się i spokojnie powiedziała:

- Domyślałam się, że o coś więcej niż o rozmowę ze mną pani chodziło. Ale nie wiedziałam, że zniknął nie tylko Antoni Czupa. Kto jeszcze?

- W 47-mym roku zaginął mój narzeczony Marian – odezwała się Waleria i dodała załamującym się głosem:

- Koledzy Pawła Glińskiego znaleźli jego spalone szczątki koło bunkra w lesie. I napis w bunkrze, który Maniek wydrapał przed śmiercią.

- Po Antonim nadal nie ma śladu - dorzuciła Anna. - A w tym roku zniknął Julian Wysocki, chłopak z Koszalina, który przyjechał w niedzielę sierpniową na plażę i też słuch po nim zaginął.

- Mój Boże! - wykrzyknęła poruszona nieoczekiwanymi wiadomościami Raczykowa. - Ktoś mi mówił, że poszukują chłopca z Koszalina, ale wszyscy twierdzili, że utonął. Co roku latem kilka osób tonie. Kiedyś, chyba dwa lata temu w sierpniu - pamiętam, bo to była głośna sprawa - utonęła młoda dziewczyna z Koszalina. Była córką jakiegoś sekretarza partii, albo wysokiego urzędnika, więc ludzie dużo gadali.

- Ale mój mąż nigdy nie wszedłby do morza – cicho powiedziała Anna. – Umiał pływać, ale do morza nie wchodził. Lubił jeziora i rzeki w naszych stronach. On był wtedy w „Mewie”, nie na plaży.

- A wie pani, że coś sobie przypomniałam – Raczykowa zwróciła się do Anny. - Była u mnie przedwczoraj żona Matczaka. Wiecie, tego pijaka ormowca. Opowiadała, że jak panią wyrzucili z pracy, to w „Mewie” znów zaczęli gadać o pani i pani mężu. Matczakowa słyszała od tego swojego pijusa i donosiciela, że ktoś widział Antoniego w „Mewie” w dniu jego zaginięcia i upierał się, że Antoni najpierw rozmawiał z tym gościem, który hoduje lisy na łąkach, a potem z Kozłowem. Bywalcy „Mewy” nawet spierali się dość długo, z którym rozmawiał wcześniej, a z którym później, ale potem szybko zapomnieli o całej sprawie. Matczakowa nie bardzo wierzy w pijackie brednie, ale może coś jednak jest na rzeczy. Jeden i drugi - mam na myśli tego od lisów i Kozłowa – ma coś za uszami. Niby przyjemni i towarzyscy, ale nie wiadomo dokładnie, co robią. Zresztą oni się dobrze znają, bo plotki głoszą, że bywają u Czarnej Janki.

- Ten od lisów nazywa się Robert Zarzycki – przypomniała Marianna.

- Tak, rzeczywiście, Zarzycki – przytaknęła Raczykowa.

- Paweł go zna i trochę obserwuje. Nie wygląda na to, żeby coś ukrywał. Jest uczynny i miły, ale dba głównie o pieniądze. Człowiek interesu, można powiedzieć – kontynuowała Marianna.

- Gorzej z Kozłowem. Nigdzie nie pracuje, ma nieciekawe znajomości i robi jakieś podejrzone kombinacje. Rozmawiałam niedawno przez chwilę z jego żoną. Taka piękna kobieta, a chyba zastraszona. Paskudny typ z tego Kozłowa. W „Mewie” mówią, że to on kazał Majewskiemu zwolnić Annę. Muszę o coś panią zapytać – stwierdziła gwałtownie. - Z góry przepraszam, ale to pytanie nie daje mi spokoju – Marianna popatrzyła Raczykowej prosto w oczy. - Czy pani mąż znęca się tylko nad zwierzętami, czy także nad ludźmi? Widziałam, jak okładał batem waszego psa! To było straszne!

- Pani podejrzewa, że mój mąż mógł zabić tych młodych ludzi i ukryć ich ciała. Tak? - Raczykowa mówiła spokojnie, ale w jej głosie słychać było napięcie.

- Przepraszam, musiałam zadać to pytanie. Przeraził mnie wtedy. Musi nam pani szczerze powiedzieć, do czego jeszcze zdolny byłby pani mąż.

Raczykowa wstała i patrzyła przez kuchenne okno. Zachrobotał łańcuch i z psiej budy wyszła Nora. Kobieta usiadła znów przy stole i powiedziała:

- Tak, Raczyk czasami wpada w taki gniew, że nie panuje nad sobą. Ja nie umiem go uspokoić. Niestety wyładowuje się na psie i na koniu. Ale ja się go nie boję. Jest wybuchowy i może dość dziwny, ale bardzo bezpośredni. Bez ogródek mówi, co myśli i nie patrzy, do kogo to mówi. Wali prosto z mostu i dlatego nie jest lubiany. Ma swoje zasady. Proszę mi wierzyć, on nie jest szaleńcem mordującym niewinnych ludzi. Dobrze, że pani zapytała. Mamy to za sobą – dodała po chwili zadumy starsza pani.

- Jeszcze raz przepraszam – powiedziała Marianna, spuściła głowę i umilkła.

- Drogie panie! – zawołała wesoło Raczykowa. – Nie ma się czym przejmować! Nie zajmujemy się Raczykiem i zapomnijmy o pytaniu. Ja wszystko rozumiem. Miałyście powód do niepokoju. Powiedzcie, jakie macie plany, jeśli oczywiście nie jest to tajemnica.

- Chcemy odwiedzić panią Siedzikową, a właściwie porozmawiać z Jasiem. On pracuje u Zarzyckiego. Może nam coś powie – wyjaśniła Marianna, czując ulgę, że Raczykowa zmieniła temat.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł – zamyśliła się starsza pani. – Siedzikowa jest bardzo nerwowa i nieufna. Nie wpuszcza do domu nieznajomych. Jasiowi też nie pozwala rozmawiać z ludźmi, których oboje nie znają. Wiedzą panie, że Jaś jest adoptowany, czy raczej przysposobiony. Nie zna swoich rodziców. On nawet nie nazywa się Siedzik, choć tak o nim się mówi. Nie wiem, jakie jest jego prawdziwe nazwisko. Siedzikowa mnie nie odwiedza. Ja też do niej nie chodzę. Zamieniamy kilka zdań, kiedy się spotkamy, to wszystko. Jasio bardzo się jej słucha, a ona narzuca mu dyscyplinę, ale dobrze go traktuje. Dbą o niego.

- To oni mieszkają sami? - zapytała Waleria.

- Tak. Odkąd zmarł mąż Siedzikowej, czyli od czterech, albo pięciu lat. Siedzik zmarł zaraz po przyjeździe do Mielna. Był chory na astmę i ledwo już dychał. Oboje go teraz często odwiedzają na cmentarzu. Widuję ich, jak idą razem, zawsze ładnie ubrani. Niosą kwiaty z ogrodu. Jasio zawsze prowadzi ciocię, bo tak nazywa Siedzikową, pod rękę.

No to nie porozmawiamy z Jasiem – zmartwiła się Marianna. Szkoda. A pani mogłaby się od niego czegoś dowiedzieć?

- Spróbuję, ale niczego nie obiecuję – odrzekła starsza pani.

Młode kobiety podniosły się z miejsc i zaczęły żegnać z gospodynią. Raczykowa wręczyła im dużą siatkę wypełnioną jabłkami i powiedziała:

- Na zdrowie.

Odprowadziła je aż do bramki wychodzącej na ulicę.

- Uważajcie na siebie. Czasy takie niespokojne. - rzekła na pożegnanie. - I wpadajcie co jakiś czas. Dam wam jabłka, kwiaty i trochę świeżych warzyw.

Pod wpływem rady Raczykowej postanowiły zrezygnować z nachodzenia Siedzikowej, więc ruszyły ulicą Cichą w stronę plaży. Usiadły w zacisznym miejscu za wydrami na ogrzonym piasku, zdjęły buty i z rozkoszą wystawiły twarze do słońca. Zjadały jabłka, bo poczuły głód. Odpoczęły i ruszyły brzegiem morza do następnego wyjścia z plaży, żeby ulicą Pionierów dotrzeć znów do Chrobrego. Na Pionierów natknęły się na szewca. Był pijany. Ciężko opierał się o płot, ale był w bardzo towarzyskim nastroju.

- Dzień dobry pięknym paniom! – zawołał do przechodzących kobiet. – Jak się sprawują buciki?

- Dziękuję. Bardzo dobrze je pan wyreperował – odpowiedziała Anna z uśmiechem i nagle wyciągnęła dłoń do Marianny i wyszeptwała:

- Daj mi portrety.

Zaskoczona Marianna bez zastanowienia podała jej wyjęte z torby kartki, a Anna podeszła do ogrodzenia, spoza którego szewc wysyłał im mało przytomne uśmiechy. Pokazywała mu rysunki, jeden po drugim. Szewc patrzył na nie z pijacką powagą i skupieniem.

- Czy widział pan któregoś z tych chłopców? - zapytała Anna, gdy szewc wreszcie podniósł na nią zmęczone alkoholem spojrzenie.

- Czy widziałem? O, tego to widziałem – wskazał na Juliana Wysockiego.

- A kiedy go pan widział?

- Kiedy? No niedawno. Jechał ładnym motocyklem z takim drugim, co to też go widziałem. Zatrzymali się tu na chwilę, to zobaczyłem sobie motor.

- Niedawno, czyli kiedy? - Marianna i Waleria podeszły bliżej i jednocześnie zadały pytanie.
- Kochane panie – ucieszył się na ich widok szewc. – Czy ja wam nie wystarczę?
- Kiedy pan go widział? - Anna zmieniła ton na groźniejszy.
- A bo ja wiem. Może wczoraj, a może rok temu – obraził się mężczyzna i odkleił się od płotu.
– Co to was obchodzi. To moja sprawa – wybełkotał, zmierzając chwiejnym krokiem do drzwi swojego domu.
- Anno, przecież to pijak! Gada bzdury! Idziemy stąd! - denerwowała się Waleria.
- Pijak nie pijak, ale rozpoznał Juliana i widział motor! - odcięła się Anna.
- Wracamy do domu – zdecydowała Marianna – więcej dziś nie zdziałamy.

3. Męska akcja. Sobota/niedziela, 4/5 października 52



- Trzeba działać, trzeba zmienić taktykę – myślał Paweł Gliński, w pracy i poza nią, przez kilka dni wolnych od prowadzenia poszukiwań. Wiedział, że Tadeusz od wtorku powinien być w domu, bo jego stan się polepszył. Marianna obiecała opiekować się nim w wolnym czasie. Zastanawiał się, czy można angażować Tadeusza w dalsze działania. Nie chciał niepokoić Wysockich, którzy mają pełne prawo bać się utraty drugiego syna. Ojciec nie pokazuje tego po sobie, ale matka jest na skraju wyczerpania nerwowego. On sam nie traktował nazbyt poważnie ostrzeżenia, które podrzucono nocą pod drzwi Wysockich. Uważał, że autorowi anonimu albo idzie o zemstę za nieudany napad – tak jak twierdził pan Muzyczka – albo o wywołanie paniki

i zaprzestanie interesowania się losem Juliana, jeśli ten, kto pisał anonim ma coś na sumieniu. Było też możliwe, że Muzyczka się myli i napad oraz ostrzeżenie to robota ludzi z kasyna, którzy postanowili wyeliminować niechcianego gościa.

We wtorek zadzwonił do Marianny do sanatorium i dowiedział się, że Tadeusz rzeczywiście powinien być już w domu. Postanowił odwiedzić go tam następnego dnia wieczorem, żeby zapytać o zdrowie i sprawdzić, czy chce i może uczestniczyć w dalszych akcjach. W gruncie rzeczy miał potrzebę spotkania się w szerszym męskim gronie po to, by wymyślić sposoby bardziej radykalnego niż dotąd działania. Mówiąc wprost, myślał o jakiejś siłowej interwencji i dlatego postanowił skontaktować się najpierw z Grzegorzem i namówić go do odwiedzenia Tadeusza.

Pojechali do Koszalina w środę wieczorem. Paweł, pierwszy, pekaesem, a Grzegorza podrzucił ktoś od Czarnej Janki. Woleli nie manifestować się ze swoją znajomością, choć można było podejrzewać, że i tak niektórzy już o niej wiedzą. Kiedy Paweł zapukał do drzwi Wysockich, otworzyła mu Marianna. Ucieszyli się oboje z nieplanowanego spotkania i uścisnęli serdecznie na powitanie.

- Stan Tadeusza nie jest zły – oświadczyła Marianna, uwalniając się z trudem i niechętnie z jego ramion. – Usta dobrze się goją, opuchlizna schodzi, a ból pleców też się wyraźnie zmniejszył. Będzie dobrze.

- Bardzo się cieszę. Czuję się trochę winny za tę nieszczęsną przygodę – zaczął Paweł i nie skończył, bo Wysoccy wyszli z pokoju i zaczęły się powitania.

- Tadeusz czeka na pana już od wczoraj – powiedziała Irena Wysocka zaraz po podaniu dłoni Pawłowi. W jej głosie wybrzmiewała lekka nuta wyrzutu, kiedy dopowiedziała:

- Poczuł się lepiej i rwie się do działania, żeby znów się narażać. Mąż mi tłumaczy, że tak trzeba, ale jak ja mam być spokojna w takiej sytuacji.

- Może zostawmy panów samych – wtrąciła się Marianna. - Porozmawiają sobie spokojnie, a my potem sprawdzimy, co zamierzają zrobić.

- Ma pani rację – zgodziła się Irena. - Czy poszłaby pani ze mną na mszę do kościoła mariackiego? Pomodlimy się, żeby nic głupiego nie przyszło im do głowy.

Wysocka powiedziała ostatnie zdanie z lekkim uśmiechem i z prośbą w oczach. Potrzebowała towarzystwa, więc Marianna, pomimo zmęczenia, zgodziła się na jej towarzyszyć.

- W takim razie, zanim wyjdziemy, zrobimy wszystkim mocną herbatę. Podam też ciasto, które upiekłam na powrót Tadeusza – Wysocka, wyraźnie ucieszona akceptacją, zwróciła się do Marianny. - A panów zapraszam na pokoje. Tadeusz zaraz do was dołączy.

- Nie powiedziałam Pawłowi o naszym jutrzejszym wyjeździe do Mielna – pomyślała Marianna, zakładając przed wyjściem płaszcz w przedpokoju.

Grzegorz przybył już po wyjściu pań. Zastał Tadeusza, Romana i Pawła siedzących przy stole w dużym pokoju. Filiżanka już na niego czekała. Z przyjemnością pił mocną herbatę nalaną przez Romana Wysockiego z porcelanowego dzbanka. Rozmowa nie kleiła się. Tadeusz i Roman nie znali Grzegorza. Tadeusz widział go pamiętnej nocy w Mielnie, kiedy Paweł dostał od Grzegorza cios w głowę, a Roman jedynie o nim słyszał. Wiedzieli, że pracuje u Czarnej Janki i nie świadczyło to na jego korzyść. Paweł powziął decyzję, że czas wyjawić prawdę o sobie i Grzegorzu. Decyzja była trudna. Miał wrażenie, że oddaje swój los i los Grzegorza w ręce Wysockich. Nie widział jednak innego wyjścia. Spojrzał pytająco na Grzegorza. Ten wszystko zrozumiał i skinął przyzwalająco głową.

- Panowie! – powiedział Paweł. – Prawda jest taka, że obaj z Grzegorzem działaliśmy po wojnie w podziemiu. Cudem udało nam się przeżyć. Nie nosimy więc teraz prawdziwych nazwisk, więc trzeba wam wiedzieć, że nadal się ukrywamy. W każdej chwili możemy wpaść, więc trzymamy pod ręką krótką broń. W świetle obowiązującego prawa jesteśmy przestępcami i zbrodniarzami. Musicie o tym wiedzieć, jeśli mamy dalej współpracować. Zrozumiemy, jeśli odrzucicie naszą pomoc.

Nad stołem zapanowała grobowa cisza. Po chwili Tadeusz, jeszcze obolały, powoli podniósł się z krzesła i bez słowa podał rękę obu mężczyznom. Idąc za jego przykładem, to samo zrobił Roman Wysocki, który powiedział:

- Dziękujemy za zaufanie, którym nas panowie obdarzyli. Teraz wiemy o sobie nawzajem najważniejsze rzeczy i możemy na sobie polegać. Jestem spokojniejszy, bo mam do czynienia z fachowcami, z polskimi żołnierzami. Ufam, że nie działacie pochopnie.

Tadeusz patrzył na kolegów z podziwem. Uśmiechał się szeroko. Potwierdziły się jego wcześniejsze przypuszczenia. Pomyślał, że on też staje się teraz członkiem podziemia antykomunistycznego i był z siebie dumny.

- Panowie! – powtórzył uroczyście Paweł. – Jeśli chcemy pójść dalej w poszukiwaniach Juliana, w wyjaśnianiu zniknięcia Antoniego i Mariana, musimy zastanowić się nad dalszym postępowaniem. Uważam, że czas zbierania informacji mamy za sobą i należy zacząć działać stanowczo. Chcę zaproponować pewną akcję, która może być niebezpieczna. Dlatego liczę na ocenę panów, na krytykę i, nie ukrywam, na propozycje lepsze od mojej.

- Proszę mówić – odrzekł Roman Wysocki.

Termin akcji został wyznaczony na noc z soboty na niedzielę. Nie był to termin dobry dla Grzegorza, ale obiecał stawić się najszybciej, jak tylko będzie mógł urwać się z Mielna. Musieli więc zacząć bez niego. Ponieważ Tadeusz nie był w dobrej formie, postanowiono, że będzie stał na czatach. Roman Wysocki był odpowiedzialny za transport, to znaczy miał załatwić od kolegi samochód i siedzieć za kierownicą.

W czwartek Pawłowi udało się wreszcie porozmawiać z Robertem Zarzyckim. Uczestnictwo Zarzyckiego w akcji uznali za konieczne. Chodziło bowiem o wystawienie im Kozłowa. Paweł wybrał się na fermę w czwartek po południu, ale nikogo tam nie zastał. Dopiero późnym wieczorem, kiedy było ciemno a on jeszcze mordował się z kolejną popsutą koparką, usłyszał warkot motoru. Rozpoznał charakterystyczny pomruk silnika. To Robert jechał ulicą Kościelną w kierunku Lechickiej. Wyskoczył z warsztatu, ale oczywiście nie zdążył. Zarzycki oddalił się. Zastanawiał się więc, co robić. Wiedział, że robota zajmie mu jeszcze dwie-trzy godziny. Nocna wizyta na fermie nie bardzo mu odpowiadała, ale nie miał wyboru. Przecież Robert mógłby jeszcze tej nocy wrócić do Koszalina i nie będzie szansy na spotkanie. Skończył robotę, umył się pośpiesznie, przebrał i ruszył w drogę rowerem. Rower miał dynamo i lampkę z przodu, co ułatwiało pokonać panujące na polnej drodze ciemności. Pies na fermie usłyszał skrzypienie roweru z daleka i zaczął ujaść. Ktoś wyszedł na zewnątrz i patrzył w stronę nadjeżdżającej postaci. Tak jak się Paweł spodziewał, był to Robert.

- Cześć kolego! – zawołał Robert radośnie. – Jaka miła niespodzianka w tę piękną jesienną noc. Mam nadzieję, że napijesz się ze mną dzisiaj. A może ty jedziesz nie do mnie, tylko do jakiejś tajemniczej piękności, co?

- Do ciebie, do ciebie – Paweł zeskoczył z roweru i przywitał się z Robertem.

- Poczekaj, zamknę psa.

Po chwili siedzieli przy małym stole w pomieszczeniu mieszkalnym. Robert wyjął kieliszki i butelkę samogonu.

- Bardzo dobry – pochwalił napitek. – Mam bardzo dobre źródło. Ale mów, z czym przychodzisz.

Wypili po kieliszku i zakąsili kiszonym ogórkiem.

- Bardzo dobry bimber – przyznał Paweł. – Ty zawsze masz wszystko w najwyższej jakości.

- Tak mówisz? To proszę, zapal papierosa. Zagraniczny.

Roześmiali się, zapalili i wciągnęli głęboko do płuc aromatyczny papierosowy dym.

- Słuchaj! – przeszedł do konkretów Paweł. – Czy mógłbyś być w sobotę wieczorem w kasynie w hotelu „Polonia”? Razem z Kozłowym.

- Mów otwarcie o co chodzi. Nie lubię zagadek – rzekł Robert i nalał bimber do kieliszków. - Wypijmy.

- Chodzi o to, że muszę trochę przycisnąć Kozłowa w pewnej sprawie i chcę, żebyś go sprowadził do kasyna, a potem wyprowadził pod byle pretekstem przed hotel o umówionej godzinie. Potem ja się nim zajmę. Nie obawiaj się. Nic złego mu nie zrobię. Chcę się tylko czegoś dowiedzieć. Wiesz, stare sprawy, dawne porachunki – Paweł wypił drugi kieliszek i wyczekująco patrzył na Roberta.

- Myślałem, że wy się nie znacie – Robert wyraźnie był zaniepokojony nieoczekiwaną propozycją

- Nie znamy się, ale ktoś, komu z kolei ja chcę pomóc, zna go i ma do niego sprawę. Taką dyskretną, więc nie chcę o tym mówić. Mogę tylko obiecać, że Kozłowski nic złego się nie stanie. Nie będzie nawet wiedział, że to ty go wystawiłeś. Po prostu podejdę do was i poproszę go o rozmowę, a ty zostawisz nas i wrócisz do kasyna. Tylko tyle. Ale jeśli nie możesz tego dla mnie zrobić, nie będę miał do ciebie pretensji.

- Domyślam się, że chodzi o karciane długi. Mam rację? - zapytał Robert.

- Masz rację – przyznał Paweł z ochotą.

- Stary, ale co ja z tego będę miał? Kozłowski może się domyślić, obrazi się na mnie i stracę dobrych klientów, których mi podsyła.

- Zrobimy tak, żeby się nie domyślił – zapewnił Paweł zauważając, że Robert mięknie. – A o rekompensacie możemy pomówić.

- No nie. Nie trzeba – krygował się Robert. - No to zgoda, wypijmy.

Wypili, a Robert oznajmił:

- Po prawdzie, to nie lubię tego Kozłowskiego. Oszust karciany i stręczyciel. Powinien dostać od kogoś nauczkę.

Paweł odetchnął z ulgą. Opróżnili butelkę, pijąc za powodzenie sobotniego przedsięwzięcia i Gliński ruszył w drogę powrotną. Rower musiał prowadzić, ale przynajmniej mógł nim sobie oświetlać drogę.

W sobotnią noc Paweł, Tadeusz i Roman pojawili się w pobliżu hotelu „Polonia”. Roman Wysocki zaparkował pożyczonego od kolegi Forda Eifel przy wylocie ulicy Lampego na ulicę 1 Maja. Mieli stąd widok na front hotelu „Polonia” i mogli dostrzec każdą osobę, która do hotelu wchodziła lub z niego wychodziła. Kierujący zgasił światła samochodu, odkręcił okno, aby szyby w samochodzie nie zaparowały, ciężko opadł na oparcie samochodowego fotela. Zaczynał się czas oczekiwania.

Tadeusz siedział obok ojca na fotelu pasażera. Denerwował się, ale nie chciał, żeby ojciec to zauważył, więc prowadził z nim obojętną rozmowę o pożyczonym samochodzie. Paweł siedział na tylnym siedzeniu i milczał. Milczenie Pawła było spowodowane dręczącym go niepokojem,

a niepokój brał się stąd, że nie wiadomo było, kiedy dołączy do nich Grzegorz. Dodatkowo Paweł nie miał pojęcia, czy Robert dotrzymał słowa i jest w kasynie, a jeśli jest, to czy wyjdzie z Kozłowem przed hotel. Pretekstem do wyjścia, jak ustalili podczas czwartkowego nocnego spotkania, miała być dyskretna rozmowa o ponownym udziale Zarzyckiego w owianych tajemnicą niedzielnych walkach bokserskich w Sianowie. Kiedy mężczyźni staną przed hotelem, Gliński dyskretnie do nich podejdzie, zbliżając się od ulicy Zwycięstwa - kapelusz głęboko nasunięty na czoło, twarz schowana w mroku.

Robert Zarzycki został zapoznany z uproszczoną wersją akcji, w której nie było samochodu i osób innych niż on sam oraz Paweł. Nie wiedział zatem, że kiedy Paweł będzie podchodził, ukryty za rogiem ulicy Ford ruszy i powoli podjedzie pod hotel. Wiedział tylko, że Paweł będzie musiał mocno go popchnąć, a gdy upadnie, pozornie nieznany mu napastnik z ofiarą, czyli z Kozłowem, któremu przyłoży do gardła nóż, oddali się i zniknie w pobliskim parku.

Gliński zdawał sobie sprawę z tego, że jego działania będą bardziej brutalne, ale nie chciał uprzedzać o tym Roberta. Zaskoczonemu Kozłowowi miał zamiar przyłożyć do nosa i ust szmatę nasączoną eterem, następnie wepchnąć go do nadjeżdżającego samochodu i odjechać. Butelkę z eterem dostał od swojej sąsiadki pielęgniarki. Nie zadawała pytań. Gliński niepokoił się, bo plan był trudny do wykonania bez udziału Grzegorza. Liczył, że doświadczony w takich akcjach kolega, będzie go dyskretnie ochraniał. Jednak mijała już godzina wyczekiwania, a Grzegorz nie przychodził. Paweł zastanawiał się przez moment, czy zaangażować do pomocy Tadeusza. Kiedy jednak spojrzał na jego lekko skuloną postać na przednim siedzeniu, na stałe poprawianie ciała, które wywoływane było prawdopodobnie odczuwanym bólem, porzucił tę myśl i zaczął układać w głowie nowy scenariusz. Uznał, że powinien zagrozić mężczyznom pistoletem. Broń miał oczywiście przy sobie.

- Zarzycki z pewnością będzie zaskoczony przebiegiem zdarzenia – myślał. - Ale coż, trudno. Jakoś mu to później wytłumaczę. Nie odbezpieczę broni, żeby nie narażać wszystkich na nieplanowany wystrzał. Udając, że go nie znam, nie popchnę go, lecz wrzasną, żeby odwrócił się i biegł do parku. A Kozłowowi jedną ręką przyłożę lufę do głowy, a drugą, szmatę z eterem. Szmatę nasączone, idąc na nich. Butelkę odrzucę jak najdalej.

Planowanie samotnej akcji trochę uspokoiło Pawła, ale i tak w napięciu rozglądał się za Grzegorzem.

- Panie Romanie - odezwał się do starszego Wysockiego, a obaj Wysoccy odwrócili się szybko do niego.

- Też są spięci – pomyślał i powiedział:

- Panie Romanie, kiedy ruszy pan w stronę hotelu, niech pan jedzie wolno, ale z wyczuciem. Powinien pan znaleźć się na miejscu krótko po tym, jak przyłożę szmatę z eterem Kozłowowi do twarzy. Ale niech pan też patrzy na Roberta Zarzyckiego, czy jest dostatecznie daleko. Nie powinien was widzieć. Broń Boże nie wysiadajcie z samochodu. Jeśli ktoś niespodziewanie wyjdzie z hotelu, albo ktoś nadejdzie, ja, o ile będzie to konieczne, zostawię Kozłowa i wskoczę do auta, a pan ruszy, ale bez zbędnego pośpiechu, spokojnie, jakby nic się nie działo. W takim przypadku pojedziemy Gnieźnieńską i przyczaimy się koło cmentarza, żeby przeczekać ewentualne zamieszanie z milicją. Potem pan z Tadeuszem pojedziecie samochodem do domu bocznymi ulicami, a ja po prostu wysiądę przy cmentarzu. Jeśli jednak wszystko wypali, jedziemy 1-maja do Zwycięstwa, a potem na Morską do starej papierni. Jedziemy powoli, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Przed papiernią Tadeusz zostanie na czatach w wybranym miejscu, a pan wraca do domu. Samochód w żadnym razie nie może stać pod papiernią.

-Tak, tak, wszystko pamiętam. Niech się pan nie martwi. Nie wpadnę w panikę – zapewnił Roman Wysocki spokojnym głosem i zapalił papierosa.

- Tato – odezwał się Tadeusz. – Pamiętaj, że masz odjechać spod papierni. Poradzimy sobie bez ciebie. Wracaj do domu, nie martw się i nie rozmawiaj z mamą. Jak wszystko pójdzie zgodnie z planem, będę w domu wcześniej rano. Nawet nie zauważycie, kiedy przyjdę.

Roman Wysocki pokiwał głową, głęboko wciągnął do płuc papierosowy dym i spojrzał przez przednią szybę samochodu.

- Zobaczcie – wyszeptał. – Wychodzi dwóch facetów w płaszczach i kapeluszach. To oni?

Paweł wychylił się do przodu, ale zaraz opadł na siedzenie.

- To nie oni. Czekamy dalej – wycodził przez zaciśnięte zęby.

Nie musieli czekać zbyt długo, bo minęło zaledwie piętnaście minut od wyjścia nieznanymi im gości, z hotelowych drzwi wyszło kolejnych dwóch mężczyzn. Ci byli bez płaszczy i z odkrytymi głowami. Stanęli kilka dobrych metrów od drzwi i zapalili papierosa.

- To oni. Idę – rzucił Paweł i wysiadł z samochodu. Drzwi samochodu zamknął delikatnie, bo w wieczornej ciszy dźwięki niosły się daleko.

- Nawet nie skrzypnęły. Dobry właściciel, dba o samochód – pomyślał i wcisnął głębiej na głowę kapelusz.

Zbliżał się do rozmawiających mężczyzn powolnym i spokojnym krokiem. Robert, który był zwrócony do niego przodem, tak jak się umówili, starał się nie zwracać na niego uwagi i wpatrywał się w swego rozmówcę. Gliński wymacał najpierw w kieszeni płaszcza butelkę z eterem i szmatę. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości od rozmawiających i przez chwilę mocował z korkiem od butelki. Nasączył szmatę trzymając butelkę w lewej ręce, zakorkował ją, a następnie schylił się i mocnym ruchem popchnął butelkę w ciemność. Nie usłyszał hałasu tłuczonego szkła, lecz cichy odgłos turlania. Z prawej kieszeni wyjął nieodbezpieczony pistolet i ruszył naprzód szybszym krokiem. Udało mu się jednocześnie przyłożyć pistolet do głowy Kozłowa i szmatę do jego twarzy. Robert patrzył na niego wyraźnie zaskoczony zmianą wcześniejszych ustaleń, więc oby wyrwać go z bezczynności Gliński odezwał się do niego głośno i wyraźnie:

- Odwróć się i spieprzaj do parku, ale już, liczę do trzech.

Zarzycki ocknął się, posłuchał polecenia i ruszył biegiem. Gliński poczuł jak ciało Kozłowa wiotczeje i zaczyna mu ciążyć, ale zaraz usłyszał odgłos podjeżdżającego samochodu. Odwrócił głowę i zobaczył, że Tadeusz wysiada, otwiera tylne drzwi i podchodzi, aby mu pomóc władować mruczącego oś niewyraźnie Kozłowa do samochodu.

- Dziękuję – wydusił Paweł i mocniej przycisnął szmatę do twarzy bełkoczącego mężczyzny.

Załadowanie poszło sprawnie. Kozłow spał. Usiedli na swoich miejscach i ruszyli ku ulicy Zwycięstwa. Szmatę Paweł wyrzucił w stronę gruzów.

- Zapal światła i jedź normalnie – przypomniał Romanowi, przechodząc niespodziewanie na „ty”.

- Zapaliłem i jadę normalnie – odrzekł Roman spokojnie. – Skup się na pilnowaniu dziada.

Ulice Koszalina były puste. Dochodziła pierwsza w nocy. Minęli po drodze milicyjny radiowóz, jadący w przeciwnym kierunku.

- Robert chyba musi powiadomić milicję o uprowadzeniu – pomyślał Paweł. - Jeśli nie powiadomi, będzie podejrzewany o współudział. Miejmy nadzieję, że zrobi to możliwie późno i że nie powie o samochodzie. Może go w ogóle nie zauważył. Był już dość daleko, a ja mu nie mówiłem na wszelki wypadek, że będę w towarzystwie i że będziemy mieli samochód. Dobrze zrobiłem. Byłoby też lepiej, gdyby nie wspomniał milicjantom o pistolecie. Może sam na to wpadnie i zezna, że widział nóż albo inne narzędzie.

Nie chciał niepokoić swoich towarzyszy takimi myślami. I tak byli bardzo dzielni jak na cywilów, a czekały ich jeszcze mocniejsze wrażenia.

Bez kłopotów dotarli na wysokość zrujnowanej fabryki papieru. Roman Wysocki zaparkował samochód w nieoświetlonym miejscu. Wyłączył silnik i światła. Poczekali, aż oczy przywykną do ciemności, a potem wysadzili uspionego Kozłowa, położyli na ziemi i wyjęli z bagażnika sznur oraz dwie damskie pończochy. Sznurem skrupowali swojego jeńca, a pończochy założyli na głowy, żeby ukryć twarze. Samochód zgodnie z umową natychmiast odjechał.

- Zawlecemy go do bunkra wartownika. Grzegorz albo już tam jest, albo zaraz przyjdzie - wyszeptał Paweł.- Ja zostanę z Kozłowem w bunkrze, a ty zaszyj się w pobliżu i uważaj. Upatrzyłeś sobie wcześniej jakieś dobre miejsce?

- Oczywiście – odrzekł cicho Tadeusz. – Mam dobry punkt obserwacyjny. Nikt się bez mojej wiedzy nie prześliznie. Zastanawiam się tylko czy od razu walić niepożądanego gościa w łeb, czy poczekać i zobaczyć, kto i dokąd idzie.

- Mało prawdopodobne, aby ktoś pętał się tu po nocy. Rozmawiałeś wczoraj z tym stukniętym człowiekiem, który chodzi z psem? - dopytywał Paweł.

- Tak. Zgodnie z ustaleniami powiedziałem mu, że będą tu prowadzone nocą tajne badania i ma się nie pokazywać. Chyba zrozumiał.

- Gdyby jednak nadszedł, zatrzymaj go. Pamiętaj zdjąć pończochę, bo się może nieźle wkurzyć i poszczuć psem. Poza tym, każdemu, kto się zbliża do bunkra świeć w oczy latarką i mów krótko i ostro, że ma stąd zniknąć. Walisz w łeb tylko opornych. Jeśli przyjdzie więcej niż jeden, siedź cicho i staraj się, kiedy odejdą dalej, ostrzec mnie dyskretnie.

Ruszyli w stronę bunkra wartowniczego, ciągnąc Kozłowa trzymanego pod ramiona. Odległość, którą mieli do pokonania nie była długa. Nie oświetlali drogi, bo Tadeusz dobrze rozpoznał trasę dzień wcześniej. Nadal jednak niepokoił się nieobecnością Grzegorza. Porwali Kozłowa po to, aby go przepytac, a Gliński wolałby nie przesłuchiwać go sam. W bunkrze umieścili Kozłowa pod ścianą w pozycji siedzącej. Włączyli latarkę umieszczoną na drewnianym pieńku, też wcześniej przygotowanym przez Tadeusza. Kiedy ustawili ją tak, że strumień światła padał dokładnie na twarz jeńca, Paweł poprosił:

- Wyjdź na zewnątrz i sprawdź, czy widać światło. Jeśli nie będzie widać, zajmij swoją pozycję. Ja poczekam, aż gość się obudzi. Może Grzegorz do tego czasu przyjdzie.

Tadeusz wyszedł i nie wrócił, więc Paweł zgasił latarkę i usiadł pod przeciwległą ścianą. Ściągnął pończochę z głowy i zastanawiał się po raz kolejny, jak przepytac Kozłowa. Nie miał wprawy w prowadzeniu przesłuchań i liczył w tym względzie na Grzegorza, który dostał szkołę podczas zatrzymania przez UB.

- Trzeba go od razu zaatakować tak, żeby się nie stawiał – myślał. - Zapytam go, gdzie ukrył ciała. Będzie zaskoczony i może się zdradzi.

Z zewnątrz doszedł go odgłos cichej rozmowy. Domyślił się, że oczekiwany niecierpliwie towarzysz, dotarł wreszcie na miejsce. Czas był najwyższy. Było pół do drugiej i pomimo wewnętrznego napięcia, zaczął odczuwać senność. Najpierw pojawiło się światło latarki, potem głos Grzegorza i wreszcie on sam.

- Cześć – powiedziała niewidzialna zza światła postać. – Jeszcze się nie obudził? Przepraszam, ale wcześniej nie mogłem. Tadeusz powiedział, że dobrze wam poszło.

- Poszło nieźle, ale nie wiem, czy dowiemy się czegoś od gościa – podsumował Paweł.

- Nic się nie bój. Powie wszystko, co wie i nawet się nie zorientuje, z kim ma do czynienia. Wkładamy na łby pończochy. Zmienia się nam głosy no i nie zobaczy naszych twarzy. Dawaj go. Trzeba go dobudzić. Koniec spania. Uważaj. Typem mnie zna, więc będę stał w ciemności i bardzo cicho zadawał pytania. Ty możesz do niego podchodzić i go trochę poszturchać, ale też unikaj światła.

Gliński włączył stojącą na pieńku latarkę. Podeszli do jeńca i mocno nim potrząsnęli. Zaczął mamrotać. Grzegorz uderzył go w twarz i cofnął się w mrok. Tadeusz potrząsał Kozłowym tak długo, aż ten otworzył oczy. Oślepiiony, natychmiast je zamknął.

- Co jest? - padło bełkotliwe pytanie. – Co jest?

- Nic nie jest -odezwał się cicho i spokojnie Grzegorz. - Mamy do ciebie kilka pytań. Grzecznie odpowiesz i będziesz wolny.

- Kim jesteście? O co wam chodzi? – pieklił się porwany.

Szarpnął się i dopiero teraz właściwie ocenił swoją sytuację. Uznał, że nie ma szans na uwolnienie i musi pertraktować.

- Jeśli chodzi panom o pieniądze – powiedział już nieco bardziej niż przed chwilą otrzeźwiony i uspokojony – to z pewnością się dogadamy. Wyznaczcie termin i miejsce. Jutro wszystko oddam i nikomu słowa nie powiem.

- I tak nikomu słowa nie powiesz, bo jeśli nie będziesz grzecznie odpowiadał na pytania, to żywy stąd nie wyjdiesz i pies z kulawą nogą cię nie znajdzie. A jeśli odpowiesz, a my będziemy zadowoleni z twoich odpowiedzi, to może cię wypuścimy. Ale uważaj. Ty nas nie znasz, a my ciebie znamy. Dopadniemy cię, zanim nas dopadną. A teraz gadaj. Gdzie ukrywasz ciała? - powiedział ostrym tonem Gliński stojąc w ciemności.

- Panowie! O czym wy mówicie?! Jakie ciała?! Czyje ciała?! – pokrzykiwał mocno zaniepokojony więzień.

- Zabiłeś kilka lat temu młodego chłopaka. Zabiłeś go w bunkrze w Mielnie.

- Nikogo nie zabiłem. Nigdy nie byłem w bunkrze. Słyszałem, że są bunkry w mieleńskim lesie, ale ja nie łązę po lasach. Panowie! O czym wy mówicie?!

- Zakopałeś go koło bunkra. Tak? - zasyczał groźnie Grzegorz.

- Mówię prawdę. Nikogo nigdy nie zabiłem, nikogo nie zakopałem.

- Wiemy, że organizujesz dla wybranych drani walki bokerskie w Sianowie. Wiemy, że słabszy zawodnik ginie. Skąd bierzesz zawodników i co robisz z ciałami? - szybko padło następne pytanie Grzegorza.

- Nie organizuję walk. Ja tylko pomagam, ale jestem pionkiem, przysięgam. Nie dostarczam zawodników. Panowie! To jest grubsza sprawa. Zawodnicy są przywożeni przez służby. Wiecie jakie. Jeśli któryś chłopak nie przeżyje, to ciało też służby zabierają. Ja z tym nie mam nic wspólnego. Ja jestem tylko bukmacherem. Przyjmuję zakłady.

- Skąd służby biorą zawodników do odstrzału? - Grzegorz rzucił kolejne pytanie.

- Wiadomo skąd. Z więzień. Stamtąd wybierają młodych i silnych chłopaków. Szkolą ich, żeby mecz trochę potrwiał. Pewnie obiecują im wolność po wygranej walce, więc chłopcy walczą jak lwy. Ale nie mają szansy na wygraną. Jeśli mają trochę szczęścia i siły, to przeżywają. Nie wiem, co się później z nimi dzieje. Przysięgam!

- Ale ty sobie też na tym dorabiasz bandyto! - wykrzyknął oburzony słowami Kozłowa Paweł i uderzył go pięścią w twarz, a potem przyłożył mu do czoła pistolet i wycedził przez zęby:

- Gadaj, bo cię zastrzelę. Dostarczasz chłopców na walki i na tym zarabiasz!

- Nie! Nie! - protestował gwałtownie przerażony jeniec. - To nie byłoby możliwe. Za dużo rozgłosu. Za duże ryzyko. Oni wolą sami to wszystko sobie załatwiać. Ja podrzucam dziewczynki do hotelu i do kasyna, ale one godzą się na to. Chcą zarobić.

- Mieszkasz w Mielnie, tak? - zapytał Grzegorz. - Co wiesz o zaginięciach? O zniknięciu Antoniego Czupy, o zniknięciu Juliana Wysockiego?

- A, to o nich wam chodzi – uspokoił się trochę Kozłowski. - Słyszałem, że utopili się. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

- A kto ma? - padło następne pytanie. - Kto ma? Gadaj, co wiesz. Co się o tym mówi?

- Panowie! A kogo to obchodzi? Nic się o tym nie mówi.

- Ale rozmawiałeś w „Mewie” z Antonim Czupą? Ktoś cię widział – zablefował Paweł.

- Może i rozmawiałem. Nie pamiętam. Czasami człowiek zamieni kilka słów z pijaczkami z „Mewy”. Robert Zarzycki też tam wpada na obiad albo na piwo. Też rozmawia. Robert lubi sobie pogadać z młodymi chłopcami. Poucza ich i potem się tym chwali. Taki harcerz.

- Harcerz powiadasz. A może nie harcerz tylko pederasta? – dopytał Grzegorz.

- Nie sędzę. On lubi pouczać, dawać rady, ale co to, to nie. Woli dziewczynki.

Grzegorz zaświecił przyniesioną przez siebie latarkę, skierował jej światło na jeńca, zgasił tę stojącą na pieńku i dał znak Pawłowi, że wychodzą.

- Nie zostawiajcie mnie tu! - wrzasnął Kozłow. – Wszystko wam powiedziałem!.

- Zamknij gębę. Dobrze ci radzę – rzucił w jego stronę Gliński.

Więzień natychmiast umilkł. Wyszli na zewnątrz i z ulgą ściągnęli pończochy z głów.

- Myślę, że on nic nie wie o zaginionych – podsumował przesłuchanie Grzegorz. - To nie on. Źle wytypowaliśmy sprawcę.

Usłyszał ich Tadeusz. Wyszedł z kryjówki i wyłonił się z ciemności.

- I co? Powiedział coś? – zapytał.

- Nie. Twierdzi, że nie ma nic wspólnego z zaginięciami – odpowiedział Paweł.

- Fatalnie. Co z nim zrobimy? - zmartwił się Wysocki.

- Wiesz, gdzie śpi ten szalony Fryderyk? - zamiast odpowiedzi Tadeusz usłyszał pytanie.

- Wiem, bo byłem z nim wczoraj w jego siedzibie. Nieźle się urządził.

- Idź do niego, obudź go i przyprowadź – powiedział rozkazującym tonem Gliński.

- Tak jest – machinalnie odpowiedział Tadeusz. - Trochę potrwa, zanim dojdę i wrócę.

Paweł i Grzegorz stali w milczeniu i czekali. Po jakimś czasie usłyszeli szczekanie psa. Domyślili się, że chłopak dotarł do celu.

- Po co ci ten szalony człowiek? - zapytał Grzegorz, który nie mógł domyślić się, jaki jest plan kolegi.

- Namówię go, żeby popilnował Kozłowa i dopiero rano go uwolnił.

- A jak zabije Kozłowa? Nie jest normalny. Nie wiadomo, co mu przyjdzie do głowy. A jeśli go nie zabije, to Kozłow po uwolnieniu może mu coś zrobić, albo doniesie na niego na milicję

- Kozłow nie pójdzie na milicję. Nie będzie chciał, żeby sprawa doszła do uszu esbeków, jego protektorów – stwierdził Paweł. - A jak Szluciński go zabije, to trudno. Jednej łachudry będzie mniej.

Spojrzeni w stronę, skąd nagle usłyszeli kroki. Po chwili stał przed nimi znany im pochylony człowiek z psem u nogi, a za nim pojawiła się postać Tadeusza.

- Jak poszły eksperymenty? – zapytał poważnie Szluciński.

- Doskonale panie Schlutius, doskonale – Paweł zachowywał powagę. – Ale potrzebujemy pana pomocy.

- Służę uprzejmie – uklonił się tamten.

- Złapaliśmy kogoś, kto chciał nas podejrzeć. Przesłuchaliśmy go. Nie jest groźny, ale trzeba go przetrzymać do rana, żeby nas nie zdradził. My musimy oddalić się w bardzo ważnej sprawie i bardzo pana prosimy o przypilnowanie go i uwolnienie rano o godzinie szóstej. Teraz przebywa w bunkrze. Jest unieszkodliwiony. Czy możemy na pana liczyć?

- Oczywiście. Zajmiemy się tym razem z Hermanem. A kiedy mogę się panów spodziewać?

- Przyjdziemy jutro wieczorem, żeby kontynuować badania, ale proszę nikomu o tym nie mówić. To tajemnica państwowa – odrzekł Grzegorz z trudnością powstrzymując śmiech. - Proszę przypilnować, żeby więzień nie krzyczał.

- Herman go przypilnuje. Słowa nie piśnie – obiecał mężczyzna.

Wyszli z terenu papierni, nie wchodząc już do bunkra, bo nie mieli więcej pytań do Kozłowa. Uważając, aby nikogo nie spotkać, poszli do mieszkania Tadeusza. Wysoccy chyba nie spali, ale nie wyjrżeli ze swojego pokoju. Młodzi mężczyźni usiedli w kuchni. Wypili sporo herbaty,

obmyli ręce i twarze. Ogarnęła ich niepochamowana senność. Tadeusz z głośnym westchnieniem ulgi – dopiero teraz zaczął odczuwać ból całego ciała - położył się na łóżku. Dwaj goście ułożyli się na kołdrze rozścielonej na podłodze i przykryli kocami. Irena Wysocka pomyślała o nich i przygotowała prowizoryczne legowisko. Byli jej za to bardzo wdzięczni.

3. Korekty planu. Niedziela, 5 października 52



Pobudka nastąpiła wcześniej niżby sobie życzyli zmęczeni akcją mężczyźni. Obudziła ich pani Wysocka, udręczona własną niewiedzą na temat nocnych poczynąń męża, syna i ich przyjaciół. Przygotowała obfite śniadanie, które panowie z apetytem zjedli w grobowym milczeniu. Przebąkiwali jedynie o konieczności szybkiego skontaktowania się z dziewczynami i skorygowaniu dotychczasowego planu działania. Po śniadaniu goście dyskretnie opuścili mieszkanie Wysockich, wychodząc w odstępie piętnastu minut.

- Mamo, jeszcze nic nie wiemy, ale wszystko jest w jak najlepszym porządku – powiedział do niej Tadeusz, kiedy goście już wyszli i wrócił do swojego pokoju.

Roman udawał, że nie widzi jej pytającego wzroku i jakby nic się nie stało zaproponował:

- Skorzystajmy z tego, że mamy samochód. Pojedźmy na wycieczkę. Obiecałem oddać samochód dopiero późnym popołudniem. Pogoda jak na październik jest bardzo ładna. Mamy babie lato.

- Dobrze. Pojedźmy gdzieś po kościele – bez entuzjazmu zgodziła się Irena, wiedząc, że i tak nie wysiedzi spokojnie w domu. - Tylko nie do Mielna.

- Pojedziemy na Górę Chełmską i pospacerujemy po jesiennym lesie. Zabierzemy Skibiłłów. Dawno nie widzieliśmy Sabiny i Jana. Na pewno spotkamy się z nimi na mszy w kościele – ucieszył się Roman i Irena trochę poweselała.

Idąc do Marianny, gdzie miała spotkać się cała ekipa, aby omówić korektę planu działania, Gliński wstąpił po Walerię. Szli wolno, z uradowaną wizytą Pawła Zosią, przez niedzielnie pustawe ulice. Zatrzymali się w parku, żeby mała pozbiierała kasztany. Przypomnieli sobie, że Marianna ma dyżur, więc zostawili Zosię z kasztanami u Kozińskich, a sami poszli na górę do Anny. Grzegorz już tam był a Tadeusz pojawił się po kilku minutach.

Opowieść o porwaniu i przesłuchaniu Kozłowa mocno zaniepokoiła obie kobiety. Panowie natomiast bardzo gwałtownie skrytykowali czwartkowy wypad do Mielna i nagłośnienie sprawy poszukiwań. Ponieważ jednak był remis w niepowodzeniach obu stron, skończyło się ostatecznie na grymasach niezadowolenia na twarzy i kręceniu głową z dezaprobatą.

- To podsumujmy – Paweł, po przedłużającym się milczeniu, jak zwykle wszedł w rolę dowodzącego. - Całe Mielno, łącznie z kierownikiem Mewy, Nowakową, Raczykową, bosmanem i pijanym szewcem, wie, że szukamy Mariana, Antoniego i Juliana. Jeśli dowie się o tym sprawca zaginięć, to co zrobi? Ucieknie, czy nas zaatakuje? Myślę, że ani jedno, ani drugie. Przyczai się i będzie szukał sposobności, żeby nas po cichu wyeliminować. Będzie szukał na nas haków i z pewnością je znajdzie. Albo będzie napadał skrycie na każdego z nas z osobna. Zresztą wystarczy, że napisze anonimowy donos do UB. Nie wiemy też, co robi Kozłowski. Ja sądzę, że będzie siedział cicho, dopóki nie dowie się, że to my poszukujemy zaginionych. A wówczas z pewnością skojarzy nas z porwaniem. A dowie się na pewno. O będzie chciał się na nas zemścić. Cholera jasna! – zdenerwował się. - Bandziory mają nas na widelcu. Wiedzą dokładnie, kim jesteśmy. A my znamy jednego podejrzanego i tylko jego możemy jakoś unieszkodliwić. Ale wydaje się, że Kozłowski nie jest tym, o którego nam chodzi. Słuchajcie! My już nie mamy czasu. Musimy jak najprędzej znaleźć właściwego gnojka i zaatakować go, zanim on nas zaatakuje. Trzeba działać błyskawicznie, bo wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo.

- I tak będziemy musieli stąd zniknąć – powiedział Grzegorz dziwnie wesołym głosem. - Po tym wszystkim nie będziemy mogli zostać ani w Mielnie, ani w Koszalinie, ani w okolicy. Trzeba się będzie schować gdzieś daleko stąd i zmienić papiery. Dziewczyny są bezpieczniejsze, ale my z Pawłem nie mamy szans. Szkoda gadać. Musimy wiać nawet wtedy, gdy nie znajdziemy sprawcy. A jeśli go znajdziemy, to pomyśleliście, co z nim zrobimy? Oddamy w ręce milicji obywatelskiej, zostawimy związanego pod posterunkiem? Ludzie, przecież to my będziemy musieli wymierzyć mu sprawiedliwość!

Wiedzieli, że Grzegorz ma rację. Każde z nich myślało przez chwilę, gdzie mogłoby się schronić po wszystkim. Tadeusz myślał o Gnieźnie. Anna popatrzyła na Grzegorza, a on uśmiechnął się do niej, jakby chciał powiedzieć „Nie martw się. Wszystko już obmyśliłem”. Waleria wiedziała, że pojedzie pod Warszawę i będzie szukała rodziny Mariana. Pawłowi uśmiechało się odludzie w Bieszczadach. Ale czy Marianna będzie chciała z nim tam pojechać? O tym, co zrobią ze sprawcą nie myśleli, bo myśleć nie chcieli. Wiedzieli bowiem, że jedynym rozwiązaniem jest śmierć.

- Co robimy? - Waleria odezwała się pierwsza.

- Mówiliście, że Raczykowa dowiedziała się od żony ormowca, że z Antonim w dniu jego zaginięcia rozmawiał w „Mewie” Kozłów, ale podobno rozmawiał z nim także Robert – przypomniał sobie Paweł. - Mówiliście też, że szewc coś tam gadał o Julianie i motorze. Może więc jednak szewc widział Juliana 17-tego sierpnia tego roku, w dniu, kiedy Julian zagał, i widział go na motorze. Szewc, jak zwykle mógł być pijany i nie zapamiętał daty, ale motor i Julian, to nie muszą być tylko pijackie zwidy. A jak jest mowa o motorze, to kto wam przychodzi na myśl! Słuchajcie! My pomyliliśmy osoby! Należało porwać Zarzyckiego, a nie Kozłowa! A ja wciągnąłem Zarzyckiego w porwanie Kozłowa! Zarzycki wszystko o nas wie!

- Zarzycki dużo wie, a jeszcze więcej się domyśla – tym razem Grzegorz odezwał się ponurym głosem. - Nie mamy wyjścia. Jeszcze dziś trzeba zrobić na niego nalot. Jeśli to on jest winny, to nie zawiadomił milicji o porwaniu Kozłowa. Za dużo by ryzykował. Nas by aresztowali, ale on po aresztowaniu nas nie byłby bezpieczny. Mleko by się wylało. Zaczęłyby się niewygodne pytania, a tego by raczej nie chciał.

- Boże, Boże – lamentowała Anna. – Nie wierzę! Taki miły człowiek. Zawsze uśmiechnięty. Dawał dziewczynom napiwki. Ja go tylko kilka razy widziałam. Zwykle siedziałam na

kuchennym zapleczu. I jak my go dopadniemy? Rzucimy się na niego wszyscy na ulicy, jak będzie jechał tym swoim motorem?

- Spokojnie – Grzegorz dotknął dłoni Anny. - Zaraz coś wymyślimy. Nie bój się.

- Jeśli Zarzycki jest mordercą i jeśli wie o tym, że dziewczyny rozpytywały w Mielnie o chłopców, to z pewnością już coś obmyślił, już się jakoś zabezpiecza – zastanawiał się głośno Tadeusz. - A wie na pewno. Kierownik „Mewy” go powiadomił.

- To nie jest pewne – stwierdził Paweł. - Może nie był jeszcze w „Mewie”, a może kierownik „Mewy” za bardzo go nie lubi i nic mu nie powiedział. Nowakowa jest cwana i wie z kim i o czym nie należy rozmawiać. Raczykowa mu z pewnością nie doniosła. Jest zatem szansa, że Zarzycki nie wie o czwartkowej wizycie dziewczyn. Pomyślmy raczej, co on wie z całą pewnością.

- Na pewno wie, że ja szukałem Juliana – rzekł Tadeusz. - Wie też, że spotykałem się z Anną, bo podwiózł mnie pod „Mewę”. Anna zaraz potem straciła pracę, więc to mogła być jego robota. Moje pobicie i pogrożki też. Chciał mnie wystraszyć. Chciał, żebym przestał interesować się losem Juliana i żeby Anna także się bała. Wie także, że znam ciebie, Pawle, i że ty jesteś blisko z Marianną, i że też rozmawiałeś z Anną. Z pewnością domyślił się już dawno, że uczestniczycie w poszukiwaniach. Po wczorajszej nocnej akcji wie o nas wszystko.

- Tak. Po części to moja wina, ale nie wpadajmy w panikę – uspokajał Paweł. – Jeśli Zarzycki nie wie o waszej czwartkowej wyprawie do Mielna, to nie także o Walerii. Możemy też przypuszczać, że nie ma pojęcia o tym, że Grzegorz z nami współpracuje.

Po tych słowach wszyscy spojrzeli na Grzegorza, a ten powiedział:

- Zarzycki mnie zna, ale rzeczywiście może jeszcze nie wiedzieć, że my z Pawłem się znamy. Nie pokazywaliśmy się razem. Byłeś kiedyś u mnie, Pawle – zwrócił się do Glińskiego - i Czarna Janka cię widziała. Ale ona jest wyjątkowo dyskretna i z żadnym gościem nie gada więcej niż potrzeba.

Grzegorz zamilkł i widać było, że się nad czymś zastanawia.

- Dobrze – odezwał się wreszcie. - Wy na razie siedźcie cicho. Albo nie. Tadeuszu, biegnij do domu. Niech ojciec da ci kluczyki od samochodu. Przyjedź tutaj i jedźcie z Pawłem do Mielna.

Postarajcie się dostać na fermę i dobrze przeszukać wszystkie zakamarki. Może coś uda wam się znaleźć. Ja w tym czasie zajmę się Zarzyckim.

- My też pojedziemy do Mielna z chłopcami – zgodnie zadeklarowały dziewczyny. – Przydamy się. Możemy stać na czatach – mówiły na przemian. - Możemy zająć się Jasiem, jeśli zastaniemy go na miejscu. Pozostaje też pies. Mówiliście, że jest groźny, ale my coś wymyślimy, żeby go uspokoić. Szkoda zwierzaka. Niczemu nie jest winny. Nie chcemy, żeby został zastrzelony.

- Możecie jechać, ale zawsze trzymajcie się na uboczu. Dla psa przygotujcie jedzenie, ale niech chłopcy je podrzucają – perorował Grzegorz. - Najlepiej by było, gdyby nikt was w ogóle nie zauważył. Jedźcie na fermę drogą, która prowadzi do śmietniska. Odchodzi w prawo, jadąc od Strzeżenicy, jeszcze przed wiatrakiem, który stoi po lewej. Nie będziecie musieli wjeżdżać do Mielna.

- Bez obaw. Poradzimy sobie – przejął inicjatywę Paweł.

- A ty co planujesz? - zapytał Grzegorza zaraz po wyjściu Tadeusza.

- Wiem, gdzie Zarzycki mieszka w Koszalinie. Zapukam do drzwi. Jeśli otworzy jego żona, spytam ją, gdzie go mogę znaleźć. Jeśli to będzie on, powiem, że jest interes do zrobienia i Czarna Janka prosi, żeby przyjechał jak najszybciej do Mielna. Ale jest jeden problem. Muszę mieć obstawę i samochód. Skąd mogę zatelefonować? Chcę wezwać jednego z moich ludzi. Im nie trzeba niczego wyjaśniać. W drodze do Mielna typek zostanie obezwładniony i dostarczony na fermę. Tam się spotkamy i postanowimy, co dalej z nim zrobić. Gramy w ciemno. Nie wiemy, czy coś tam znajdziecie. Nie wiemy, czy to rzeczywiście on.

- Poczta jest niedaleko. Stamtąd możesz zatelefonować – Waleria postanowiła przerwać wywody Grzegorza, które wzbudzały w kobietach wiele wątpliwości i niepokoju.

- Chodź ze mną – Grzegorz zwrócił się do Anny – Ludzie pomyślą, że idziemy po prostu na niedzielny spacer.

- A jeśli spotkamy po drodze Zarzyckiego? - zaniepokoiła się Anna.

- To go zastrzelę – roześmiał się Grzegorz i dodał:

- Masz rację. Idę sam.

Siedzieli w milczeniu i czekali na powrót Tadeusza. Anna podniosła się i zeszła do kuchni. .

- Przed wyjazdem do Mielnia trzeba coś zjeść – pomyślała i zaczęła przygotowywać kanapki.

Do kuchni zajrzała zaciekawiona Kozińska. Za nią wbiegła Zosia.

- Nie przeszkadzamy? - zapytała kobieta – możemy pomóc. Masz wielu gości. Na pewno są głodni. Mam jeszcze resztę pieczonego mięsa. Będzie wam smakowało – dodała i szybko wyszła do przedsiionka, gdzie panował chłód i gdzie można było dłużej przechowywać jedzenie.

- Dziękuję! Pani zawsze jest taka dobra i gościnna – rozczuliła się Anna. – A ma pani kość z pieczenia? Wzięłabym dla psa znajomych.

Na schodach najpierw słysząc było kroki, a potem do kuchni weszła Waleria. Ucieszona Zosia natychmiast pokazała jej kasztanowe zwierzątka, które zrobiła z panią Kozińską.

- Piękne – pochwaliła ją matka, a potem zwróciła się z prośbą do Kozińskiej:

- Czy Zosia może zostać u pani dłużej? Mam ważną sprawę do załatwienia. Byłabym pani bardzo wdzięczna.

Robert Zarzycki w nocy z soboty na niedzielę podjął ważne decyzje. Skłoniły go do tego nowe informacje oraz wściekłość, która go ogarnęła i nie chciała opuścić, od kiedy zdał sobie sprawę z tego, że nie kontroluje w pełni wszystkiego, co się dzieje. A uświadomił to sobie w chwili, gdy został zmuszony do ucieczki przez tego inżynierka Pawła, którego nazwiska nawet nie chciał wymówić. Myśl o wymuszonej pistoletem ucieczce do parku była nie do zniesienia. Ten pętał nie wspomniał, że będzie miał przy sobie broń. Umowa była inna. On miał się tylko przewrócić się i pozwolić, żeby inżynierkę odciągnął Kozłowa i pogadał z nim w ustronnym miejscu. Przewidywał, że inżynierkowi ktoś będzie pomagać. Postawił na niedobitego mądrąłę Tadeusza Wysockiego. Odpowiadało mu to, że ci głupcy zajmą się Kozłowem, że będą go molestować w sprawie zaginięć i, na co miał nadzieję, pobiją go, albo nawet wykończą. Oczywiście nie uwierzył w bajeczkę o karcianych długach i porachunkach.

Rozwój sytuacji kontrolował od początku i miał z tego wiele satysfakcji. Bawiły go wizyty inżynierka na fermie. Uważne rozglądanie się jego flamy po pomieszczeniach i jej dąsy. Śmieszyły rozmowy o lisach, futrach i kołnierzach. W „Myśliwskiej” z pogardą słuchał krętaństw Tadeusza Wysockiego. Lanie, które później młodzian dostał, nie nauczyło go jak widać rozumu, ale przecież w każdej chwili będzie można go znów dopaść. Nic straconego. Chciał się jeszcze trochę pobawić z tą bandą nieudaczników, a potem ich załatwić. Ich napaść na Kozłowa bardzo mogła mu w tym pomóc. Nie mógł jednak puścić płazem poniżenia, jakim był wymuszony na nim bieg do parku. Inżynierek go przeraził i znów pojawił się wstydlivy strach, którego w sobie nienawidził. Inżynierek patrzył na jego plecy podczas ucieczki, widział, jak biegnie i śmiał się z niego. Tego nie mógł znieść.

Jeszcze przed sobotnią nocą dowiedział się, że trzy idiotki z grupy Glińskiego – pielęgniarka, Czupowa i jakaś trzecia - wypytywały w Mielnie o zaginionych chłopaków. Doniósł mu o tym kierownik „Mewy”, który wiedział, że Robert ma na pieńku z Czupową. To on bowiem oskarżył Annę o narzucanie się klientom z niestosownymi propozycjami. To on zmusił kierownika do tego, żeby ją zwolnił z pracy. A Anna była jedną z trzech idiotek, które pojawiły się w czwartek w „Mewie”. Druga, to flama inżynierka. Nie znał tylko trzeciej. Podobno pokazywały trzy męskie portrety narysowane ołówkiem. Trzecią musiała więc być baba śmierdziela lub żołnierza, bo chyba nie chłopaka z bunkra. Tamten był bardzo młody. On sam go prawie nie pamiętał. Tyle czasu minęło, od pierwszej nauczki, którą dał młokosowi.

Teraz, gdy czuł wściekłość i upokorzenie, musiał działać szybciej niż zaplanował. Najpierw ukarze inżynierka za grożenie mu pistoletem i zmuszenie do poniżającej ucieczki. W poniedziałek późnym wieczorem, pod pretekstem, że zepsuł mu się motor, wyciągnie go na fermę i tam załatwi. Ślad po nim zaginie. Lisy jedzą wszystko. Czaszkę dołączy do kolekcji, bo lubi analizować różnice w budowie czaszek. Wszystkie, które zachował, trzymał w specjalnej skrytce. Teraz zdobędzie jeszcze co najmniej dwie, Pawła i młodego, który nadal wyglądał nieźle, choć znacznie ograniczył mu racje żywieniowe. Nie będzie jednak się z nim dalej bawił. Zagłodzi go, choć rozsądniej byłoby załatwić go od razu. Nie mógł jednak odmówić sobie przyjemności patrzenia na powolną i wyniszczającą śmierć. Być może to będzie ostatni raz. Musi przyhamować, a być może w ogóle zrezygnować z prowadzenia swojego małego obozu. Na razie tylko związał szczeniaka i zakneblował, żeby dobrze skruszał.

Drugiego Wysockiego postanowił zostawić sobie na później. Bez inżynierka chłopaczyna niewiele zdziała. Baby idiotki w ogóle go nie niepokoiły. Mógł je uspokoić w każdej chwili.

Najbardziej martwił się o fermę, o to, kto zastąpi Głupiego Jasia. Jasia musiał zlikwidować. Odkrył bowiem, że głupek wie o więźniu i go dokarmia. Za płotem, z tyłu budynku, odkrył ledwo zauważalną wydeptaną ścieżkę. Biedny niedorozwój myślał, że jest cwany i maskował dojście, podnosząc po przejściu zielsko i trawy. Załatwił go zanim pojechał do Koszalina i wybrał do kasyna z Kozłowem, czyli w sobotę wieczorem. Rano pewnie ktoś znalazł idiotę na poboczu Kościelnej i pomyślał, że został potrącony przez nieznany pojazd, gdy, jak zawsze w sobotni wieczór, wracał z cmentarza. No cóż. Chodzenie jezdnią po zmroku jest niebezpieczne.

- Trzeba będzie zlikwidować fermę – pomyślał z żalem. - Grudzień już niedługo. Przez dwa miesiące będę musiał sam sobie poradzić. Zresztą w tym roku lisy można by zabić już w listopadzie. Wyglądają doskonale. Zarobię więcej niż zwykle, bo sprzedam też stado rozplodowe. Żywe, albo martwe.

Po sobotnich nocnych wydarzeniach, o których nie wspomniał nikomu, zabrał płaszcz i kapelusz z hotelowej szatni i poszedł do domu. Całą niedzielę postanowił spędzić z rodziną. Wspólne wyjście na mszę w kościele mariackim i rodzinny obiad to było to, czego teraz najbardziej potrzebował. Od poniedziałku zacznie działać.

4. Ofensywa. Niedziela, 5 października 52



Tadeusz długo nie wracał do domu Kosińskich. Grzegorz udał się na pocztę i także już się nie pokazał. Zjedli kanapki, zostawili kilka dla Tadeusza i pochwalili pieczeń wieprzową Kosińskiej. Pili kolejne herbaty i niecierpliwie czekali.

- Mam wielką kość dla psa – odezwała się Anna i zapytała, zwracając się w liczbie mnogiej, do Pawła, jedyne go mężczyzny obecnego w pokoju:

– Wiecie, jak się zachowywać, żeby się na was nie rzucił?

- No jak? - Paweł niechętnie podjął temat. - Trzeba mieć solidny kij i uderzyć go zanim zaatakuje.

- Rozwścieczysz go tylko i skrzywdzisz – zaproponowała Anna. – Psa należy uspokoić.

- Ciekawe jak? - ironizował Paweł. –Może rzucić w niego kością?

- Nie. Niczym nie wolno rzucać. Kiedy otworzycie bramę, uchylcie ją i niech jeden z was stanie bokiem bez ruchu w szparze, nie patrzy na psa i podsunie mu kość. Wiesz, jak pies się wabi?

- Chyba Piorun, albo Błyskawica. Nie pamiętam – Paweł nie był zachwycony poradami Anny.

- Jeśli mi pozwolicie, ja go uspokoję. Nie boję się psów i umiem z nimi postępować – oświadczyła Anna.

Anna potrafiła zaskakiwać. Paweł i Waleria patrzyli na nią z niedowierzaniem, ale nie zdążyli nic powiedzieć, bo na schodach rozległy się kroki i do pokoju wkroczył Tadeusz. Był bardzo poruszony i od progu zawołał:

- Nie uwierzcie! Spotkałem Zarzyckiego! Czekałem na rodziców przed kościołem, bo domyśliłem się, że poszli na sumę. Msza już się kończyła, a tu co widzę? Zarzycki z żoną i dwójką dzieci jako jeden z pierwszych wychodzi z kościoła. Ukłoniliśmy się sobie grzecznie i zaraz potem zobaczyłem rodziców i wujostwo, więc nie patrzyłem za nim. Wyglądał na wzorowego męża i ojca, który zaraz zje z bliskimi niedzielny obiad.

- Siadaj, zjedz kanapki i ruszamy – Paweł pohamował wybuch Tadeusza. - Masz kluczyki?

- Oczywiście, że mam – odpowiedział Tadeusz. – Rodzice byli rozczarowani, że muszą mi je oddać. Zamierzali wybrać się w wujostwem na wycieczkę za miasto.

Pogoda była piękna i byliby się cieszyli z wczesnojesiennej wycieczki nad morze, gdyby nie ponury powód, dla którego zmierzali do Mielna. Po drodze poinformowali Tadeusza o zamiarach Grzegorza. Teraz wiedzieli, że miał dużą szansę, zastać Zarzyckiego w domu.

- Oby mu się udało – pomyślał Paweł, siedzący obok kierującego autem Tadeusza. – Dobrze, że pomyślał o obstawie.

Kobiety ulokowane na tylnym siedzeniu patrzyły na widoki przewijające się za oknami samochodu i myślały o tym samym, a mianowicie, że na szczęście nie zostały w Koszalinie i nie muszą czekać, gryząc palce z niepokoju. Marianna wracała z sanatorium dopiero w poniedziałek rano, a wtedy powinno już być po wszystkim. Nie wiedziały, co znaczy „będzie po wszystkim”, ale wiedziały, że na pewno będzie. Rano wrócą do Koszalina. Każdy do siebie. Może tylko Paweł będzie chciał zostać w Mielnie. Droga mijała zaskakująco szybko, a chcieli przecież, by podróż trwała w nieskończoność, żeby to, co miało się zdarzyć i zniszczyć ich małe, niespokojne, ale przynajmniej znane im światy, zdarzyło się jak najpóźniej.

- Skręć w najbliższą w prawo. To będzie polna droga – cicho powiedział Gliński do Tadeusza, kiedy zobaczyli charakterystyczny drewniany wiatrak.

Samochód jechał wolno wyboistą drogą, wpadając co rusz w głębokie koleiny. Deszcz nie padał od kilku dni, więc droga była sucha. Gdyby było błoto, wyprawa prawdopodobnie szybko skończyłaby się wyciąganiem samochodu z pomocą najbliższego gospodarza i jego konia. Zatrzymali się za kępą drzew obrastających śmietnisko. Zostawili tam niewidoczny z drogi samochód i pieszo ruszyli do następnej kępy. Słońce chyliło się ku zachodowi, ale było jeszcze dość wysoko. Szumiały wysokie trawy, a w oddali widać było wał przeciwpowodziowy, oddzielający z tej strony jezioro od podmokłych łąk. Po wale niekiedy chodzili wędkarze, ale teraz nie widzieli nikogo. Szli gęsiego, gotowi w każdej chwili upaść na ziemię i skryć się w trawie. Kiedy zbliżyli się do drewnianego ogrodzenia fermy na odległość kilkunastu metrów, Paweł, który szedł pierwszy syknął:

- Sss. Brama jest zamknięta. Jasia nie ma. Otworzę kłódkę. Poczekajcie.

Anna także syknęła:

- Sss. Trzeba uspokoić psa. Zaraz nas usłyszysz i narobi hałasu. Paweł po cichutku otworzył bramę, a ja zajmę się psem. Reszta czeka tutaj.

Zaskoczenie rozkazami Anny było tak duże, że nikt się nie sprzeciwił. Anna ruszyła przodem, a za nią poszedł Paweł. Z kieszeni wyjął drut, który podczas jazdy wygiął w odpowiedni sposób. Szli bardzo cicho. Pies zaczął ujadać dopiero wtedy, kiedy rozległo się chrobotanie otwieranej

kłódki. Ucieszyli się, że Jasia nie ma na fermie. Nie chcieli go ani skrzywdzić, ani przestraszyć. Nie powinien ich zobaczyć. Umówili się wcześniej, że dziewczyny będą na zmianę pilnowały drogi. Ujadanie wzmogło się, gdy uchylili bramę. Anna stanęła w szparze i wyszeptwała:

- Cicho, cicho, dobry pies, dobry pies. Chodź do mnie. Zobacz co mam. No weź.

Trzymająca wielką kość ręka Anny wsunęła się za bramę i ku zdziwieniu Pawła nie została natychmiast odgryziona. Pies uciszył się. Warknął, gdy Anna szerzej otworzyła bramę, ale patrzył na kość i merdał ogonem.

- Jezu, jak ty to zrobiłaś? - Paweł wszedł za dziewczyną do środka.

Anna, nadal trzymając kość, powiedziała:

- Idź po Tadeusza, ale powoli. Żadnych gwałtownych ruchów. Wejdźcie za bramę i stańcie. Ja zaprowadzę psa do budy i tam go przywiążę. Jak się zajmie kością, nie będzie szczekał.

- Może lepiej go ogłuszyć? - Paweł nie wierzył do końca słowom Anny.

- Nie trzeba. Będzie spokojny. Idź.

Kiedy obaj panowie weszli za bramę pies, przywiązany, obgryzał kość, a Anna stała spokojnie obok niego.

- Nie zwracajcie na psa uwagi. Róbcie swoje. Ja tu jeszcze zostanę. Ktoś chyba powinien pilnować na zewnątrz.

- Dobrze – zgodził się Tadeusz – Waleria zagwiżdże na alarm. A ty?

- Ja wejdę do budynku i was po prostu zawołam – odpowiedziała.

Mężczyźni zajęli się otwieraniem zamka w drzwiach budynku, a Anna wolnym krokiem zaczęła okrążyć plac. Zaglądała pod zadaszenia i do lisich klatek. Lisy cienko poszczekiwały, ale nie były przestraszone. Nie miały się w klatkach. Patrzyła na nie z przyjemnością. Miały piękne, białe lub szaro-niebieskawe futra i oczy, jak błyszczące kawałki bursztynu. Obejrzała się za siebie i zobaczyła, że Tadeusz z Pawłem wchodzi do środka. Ruszyła w stronę zabudowania. Chciała, o ile się da, obejść budynek i sprawdzić, czy z tyłu jest dobudówka, albo okno od piwnicy. Wejście za budynek było trudne. Odległość między ścianą a płotem była

niewielka. Anna z trudem wcisnęła się w wąską szparę i natychmiast się potknęła. Byłaby się przewróciła, gdyby nie trzymała jej z jednej strony ściana, a z drugiej płot. Poziom gruntu za budynkiem był wyższy o ponad pół metra.

Zamek drzwi wejściowych do budynku mieszkalnego opierał się dłużej niż kłódka, ale po kilku nieudanych próbach udało się go otworzyć. Paweł z Tadeuszem weszli do środka. Wewnątrz panował mrok, więc nie zamknęli za sobą drzwi, żeby wpuścić więcej światła. Pomieszczenie było małe. Przetrzepali łóżko, odsunęli stół i podnieśli leżący na drewnianej podłodze dywan. Niczego podejrzanego nie znaleźli. Potem otworzyli nieliczne szafki i też nie zauważyli niczego podejrzanego, poza tym, że właściciel lubił porządek. Ale porządek nie był przecież podejrzanym. W pomieszczeniu zrobiło się ciemniej, więc odwrócili się, aby poszukać kontaktu i zobaczyli stojącą w drzwiach Annę.

- Chodźcie! Coś wam pokażę – wyszeptała, jakby nie byli sami na fermie i ruszyła na tyły budynku.

- Zobaczcie – wskazała na wąski pas ziemi pomiędzy ścianą a ogrodzeniem. - Tu ziemia podnosi się o jakieś pół metra. Dziwne, co?

Anna odsunęła się i stanęła z boku, żeby Paweł mógł zajrzeć w szczelinę.

- Rzeczywiście – zdziwił się mężczyzna i zrobił dojskie Tadeuszowi.

- Może pod ziemią jest coś w rodzaju ziemianki. Ale gdzie jest do niej wejście? – zastanawiał się Paweł. - Zobaczę z drugiej strony za płotem. Potrzebujesz psa? – zwrócił się do Anny.

- Już do niego idę – odrzekła.

Za płotem rosły wysokie trawy i zielsko. Gliński przebił się przez nie, trzymając się nieznaczących śladów w postaci połamanych traw, pozostawionych przez kogoś, kto też tędy szedł. Ziemia za ogrodzeniem była równa, więc wyniosłość musiała kończyć się przy płocie. Zatrzymał się mniej więcej pośrodku wzniesienia i zaczął rozgarniać rośliny. W płocie, tuż nad ziemią zaczynał się otwór, a tuż za nim małe, półokrągłe i zakratowane okno. Szarpnął kratę. Trzymała się mocno betonowych obramowań.

Grzegorz czekał na swojego pracownika w parku otaczającym ładny duży budynek poczty, zbudowany z czerwonej cegły.

- Solidna niemiecka robota – pomyślał, zapalając papierosa.

Nie znał się na stylach w architekturze, ale budowla przypominała mu gotyckie ceglane kościoły. Okna zakończone ozdobnymi łukami tworzyły równe rzędy od parteru po drugie piętro. Na tle dachu widniały schodkowe szczyty wieńczące w trzech miejscach fasadę. Patrzył na budynek poczty z przyjemnością i cieszył się, że nie został zniszczony przez wojennych barbarzyńców.

Gienek, dawny warszawski cwaniak, a teraz jego współpracownik i podwładny, zajechał z fasonem czarnym podniszczonym mercedesem W136, tym samym, którym podrzucił Grzegorza w minioną noc z Mielna do Koszalina.

- Co jest szefie? - zapytał, wychylając się przez otwarte okno i, jak zwykle, obracając w ustach zapalkę.

- Nic nie jest. Jedziemy na Armii Czerwonej – rzucił Grzegorz, siadając z tyłu za kierującym.

- Powiem, gdzie masz się zatrzymać.

- Szefie, aleś się zrobił wygodny - roześmiał się Gienek, odwracając się w jego stronę – do Armii Czerwonej masz parę kroków. Chyba kierownik zmęczony po nieprzespanej nocy. A może jedziemy do szpitala?

- Jedź, nie gadaj – uciął Grzegorz, udobruchał się i dodał:

- Jedziemy do Roberta Zarzyckiego. Mam do niego interes. Mieszka w bocznej ulicy od Armii Czerwonej. Kiedy miniesz po lewej gmach muzeum, to skręcisz w pierwszą w prawo.

- A muzeum, to ten biały budynek z kolumnami? - dopytywał Gienio.

- Tak. Za muzeum skręć w prawo i zatrzymaj się na początku ulicy – doprecyzował Grzegorz.

Odpnął się, rozparł wygodnie na siedzeniu mercedesa i wyjaśnił:

- Ja idę po niego, a ty czekasz w samochodzie. Kiedy z nim wrócę i wsiądziemy, nie odzywasz się, tylko ruszasz i jedziesz do Mielna. Cokolwiek by się działo na tylnym siedzeniu, jedziesz. Nic nie widzisz, nic nie słyszysz. Zrozumiano.

- Nie widzę i nie słyszę. Rozumie się. Normalka. Ale to jakaś grubsza sprawa. Co szefunciu? Nasz Robercik musiał nieźle nabroić?

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Zdrowszy będziesz, jak nie będziesz wiedział – wypalił Grzegorz.

- Normalka, rozumie się – odpowiedział Gienek, który od dawna przyzwyczaił się, że nie musi wszystkiego wiedzieć i ma trzymać język za zębami.

Drzwi otworzyła córka Zarzyckich. Nie знаła Grzegorza, więc odwróciła się do wnętrza mieszkania i zawołała:

- Tato, tato! Jakiś pan do ciebie.

Zarzycki wyszedł ze stołowego pokoju uśmiechnięty, przeżuając jedzenie.

- O, to ty! - zdziwił się. - Jemy obiad, dołączysz?

- Kierowca czeka w samochodzie. Janka prosiła, żebyś dziś jeszcze przyjechał. Ma do ciebie jakąś ważną sprawę. Mam samochód, więc mogę cię podrzucić i potem odwieźć – rzekł Grzegorz i wciągnął w nozdrza zapach niedzielного obiadu. Poczuł głód.

- Zawołaj kierowcę – Zarzycki chyba zauważył głodny wyraz twarzy Grzegorza. - Zjemy i pojedziemy. Chyba sprawa nie wymaga pośpiechu?

Grzegorz zasepił się. Nie było mu na rękę jedzenie obiadu w gronie rodziny Roberta. Nie chciał jednak upierać się przy natychmiastowym wyjeździe, no i był bardzo głodny. Zarzycki zauważył wahanie niespodziewanego gościa i zachęcił:

- Idź po kierowcę. Żona w tym czasie przygotowuje dla was drugie danie. Warto spróbować. Żona robi doskonałe kotlety schabowe. Nie pożałujecie.

Gienek chętnie przyjął zaproszenie. Od dawna nie jadł domowego obiadu i też burczało mu w brzuchu.

- Niezły numer – pomyślał, idąc za Grzegorzem do mieszkania Zarzyckich. – Najemy się u niego, a potem damy mu bańki.

Grzegorz przez krótką chwilę zastanawiał się, czy Robert może wiedzieć o jego kontaktach z Pawłem, ale nie znalazł odpowiedzi.

- Trzeba przyjąć, że nie wie. Okaże się w praniu – powiedział do siebie w duchu.

Goście przywitali się grzecznie z panią Zarzycką, którą widzieli pierwszy raz. Okazało się, ku ich zaskoczeniu, że jest ładna i bardzo zgrabna. Dzieci nie było już przy stole, a na gości czekały pełne talerze, nęcące tłuczonymi ziemniakami polanymi tłuszczem i posypane drobno posiekanym koperkiem, rumianymi kotletami i kapustą ugotowaną na gęsto.

- Wszystko wygląda bardzo pysznie i na pewno tak smakuje – grzecznie odezwał się Gienio do gospodyni domu, żeby nie wyjść na ordynusa.

- Życzę smacznego – odrzekła kobieta oschle i wyszła z jadalni.

Zauważyli, że nawet się do nich nie uśmiechnęła. Nie podobało się jej to niedzielne najście i nieoczekiwany wyjazd męża, który tak rzadko bywał w domu. Zarzycki przeprosił i poszedł za żoną. Mężczyźni zjadali z apetytem. Zarzyckiego nie było dość długo, a gdy wrócił, był elegancko ubrany.

- Ładny gajerek poszarpiemy – mruknął Gienio pod nosem do Grzegorza, kiedy wstawali od stołu.

- Sądzi, że będzie bawił gości Czarnej Janki i grał w karty. Niczego się nie domyśla. To dobrze – pomyślał z ulgą Grzegorz. - Nie będę musiał szarpać się z nim. Zaatakuję go dopiero wtedy, gdy zbliżymy się do Mielna. Pistolet przyłożony do głowy powinien wystarczyć. Paweł i reszta chyba będą już na fermie, kiedy tam dotrzemy.

Po sutym obiedzie wszyscy trzej mężczyźni jadący mercedesem do Mielna byli rozleniwieni i małowówni. Przy wsiadaniu do samochodu Zarzycki zdziwił się trochę, że Grzegorz nie zajął jak zwykle miejsca z przodu przy kierowcy, lecz usadowił się z tyłu obok niego.

- Jaka to sprawa? - zapytał Robert, kiedy skończyła się ulica Morska i wjechali do lasu przed Mścicami.

- Pewnie to co zawsze. Nie wiem dokładnie. Wiesz, ile mamy roboty z soboty na niedzielę – odpowiedział Grzegorz cicho, przeciągając każde słowo.

Zarzycki pokiwał głową ze zrozumieniem. Na końcu Mścic skręcili w prawo na Strzeżenice. W przeciwnym kierunku z szaloną prędkością jechał samochód. Grzegorz rozpoznał siedzącego za kierownicą Tadeusza Wysockiego. Uznał, że trzeba działać, bo zajmujący miejsce po jego lewej stronie Zarzycki także spojrzał z zainteresowaniem na pędzącego forda. Grzegorz przesunął się ku prawym drzwiom samochodu, lekko podniósł, błyskawicznie wyciągnął pistolet, wciśnięty za pasek spodni i przyłożył lufę do skroni Zarzyckiego.

- Grzegorz, oszalałeś? - zapytał Robert.

Nie wyglądał na zdziwionego. Bardziej na zniecierpliwionego. Powiedział spokojnie, ale ze złością w głosie:

- To nie jest zabawne. Schowaj pistolet.

- Gieniu! – Grzegorz nie odpowiedział Zarzyckiemu i oczywiście nie schował pistoletu. - Skręcisz w tę polną drogę prowadzącą do wysypiska śmieci i pojedziesz na fermę.

- Robi się szefie – głos Gienia lekko zadrżał.

- Chłopcy, co się stało? - Zarzycki nadal nie rozumiał swojego położenia. - Na waszym miejscu ja bym nie ryzykował. Chcecie mieć po skórcie z lisa, to powiedzcie. Coś się poradzi. Ale po tym numerze nie macie już czego szukać u Czarnej Janki, w Mielnie i nawet w Koszalinie. Będziecie skończeni. Jeszcze możecie się wycofać i wszystko zostanie między nami.

Gienek i Grzegorz milczeli. Gienek nie wiedział o co chodzi i zaczął obawiać się, że straci pracę u Czarnej Janki, bo narazi się jej wysoko postawionym klientom. Nie chciał jednak powiedzieć tego głośno, żeby nie psuć roboty Grzegorzowi. W końcu byli kolegami, a Grzegorz był jego szefem. Gienio więc miał nadzieję, że szef wie, co robi i że działają za zgodą kogoś ważnego.

- Podjedź pod fermę i odjeżdżaj. Nie jesteś już potrzebny – usłyszał Gienek i poczuł ulgę, że nie musi wchodzić głębiej w tę podejrzaną aferę.

- Panie Gieniu! – zawołał ostrym tonem Zarzycki. – Proszę, żeby pan natychmiast zawiadomił milicję. Przysięgnę, że pan nie miał nic wspólnego z porwaniem.

Zarzycki szarpnął się i wrzasnął do Grzegorza:

- To jest bezprawie! Odpowiesz za nie przed sądem! Pan Eugeniusz jest mądrym człowiekiem i prosto stąd pojedzie na posterunek milicji!

- Ciszej – uspokoił go Grzegorz a Gienio skulił się za kierownicą.

Samochód zatrzymał się przy ogrodzeniu fermy. Zza pnia pobliskiego drzewa wyszła Waleria i zmierzała w ich kierunku. Zarzycki patrzył na nią zdumiony.

- Co tu się dzieje? - zawołał.

- Milcz i wsiadaj! – rozkazał Grzegorz.

Gienio ruszył z kopyta, gdy tylko pasażerowie znaleźli się na drodze. Mijając Walerię, spojrzał na nią i pokręcił głową ze zdumienia.

- Niczego wata – pomyślał. – O co tu biega?

Nie miał pojęcia o tym, co się dzieje i będzie dziać, ale domyślał się, że nic dobrego i wołał zniknąć jak najszybciej. Pomysł zawiadomienia milicji na moment pojawił się w jego głowie, bo wyglądało na to, że Grzegorz albo oszalał, albo wdał się w jakąś gorszą drakę. Ale Gienio był zbyt honorny, żeby latać na gliny.

Robert Zarzycki zdał sobie sprawę z tego, że znalazł się w bardzo niebezpiecznym położeniu. Po wyjściu z samochodu rozejrzał się szybko dokoła, jakby szukał drogi ucieczki, albo przypadkowego przechodnia, który mógłby mu pomóc. Nikogo jednak nie było, a odbezpieczony pistolet gniótł go teraz w plecy. Przestraszył się jeszcze bardziej, gdy zauważył, że brama w ogrodzeniu jest uchylona.

- Scheisse – zaklął w duchu – weszli do środka. A co zrobili z Błyskawicą?

Grzegorz popchnął go mocniej w plecy i ruszyli do bramy. Weszli na teren fermy. Pies, widząc Roberta, zamerdał ogonem, szczekał radośnie i rwał się do niego z uwięzi. Przed budynkiem stał Paweł. On także w dłoni trzymał pistolet.

- Zginiesz niemiecka świni, niemiecki zbrodniarzu – słowa Pawła, wypowiedane z trudem, kipiały nienawiścią. - Zobaczysz – zwrócił się teraz do Grzegorza - co ten szwabski sadysta zrobił z Julianem i co tu przechowuje.

Kiedy wchodzili do środka budynku Gliński z trudem powstrzymał się przed uderzeniem Zarzyckiego. Czekając na przyjazd Grzegorza postanowili jednak, że nie będą brutalni, ale sprawiedliwi. Osądzą go i wydadzą na niego wyrok, który zostanie natychmiast wykonany. Odkrycia, których dokonali, były wstrząsające. Po znalezieniu otworu w ogrodzeniu i widocznego przez otwór okienka, trochę czasu zajęło im zastanawianie się nad tym, gdzie może być wejście do pomieszczenia, które musiało się za tym okienkiem znajdować. Odkryli, że ściany boczne w pomieszczeniu są krótsze od zewnętrznych ścian bocznych budynku. Odsunęli ciężką wysoką półkę, stojącą przy ścianie tylnej i odkryli umieszczone tam niewielkie drzwi z dwoma solidnymi zamkami. Otworzenie zamków było trudniejsze niż sforsowanie bramy i drzwi wejściowych, ale ostatecznie powiodło się. Te drzwi otwierały się na zewnątrz, a za nimi był bardzo mały ślepy przedsionek. Na haku wbitym w ścianę wisiał na wieszaku mundur oficera SS.

- Ja chyba śnię – powiedział zdumiony Paweł, który pierwszy wszedł do przedsionka i oświecił ściany latarką. – Zobaczcie, co tu wisi. Mundur Obersturmbannführera SS.

Wycofał się z pomieszczenia, w którym mieściła się swobodnie tylko jedna osoba, trzymając zdjęty z haka mundur. Przyjrzał mu się dokładnie i dodał:

- To jest mundur Obersturmbannführera SS-TV, czyli oficera SS-Totenkopfverbände, elitarnych oddziałów SS, specjalnie wyszkolonych do likwidowania wroga, masowego likwidowania w obozach.

- Szaleniec albo desperat – wyszeptała Waleria.

Paweł oświetlił przeciwległą ścianę. Z wysoko zawieszonej półki w koszmarnym uśmiechu szczyrzyły zęby trzy ludzkie czaszki. Cofnęli się zaskoczeni, a strumień światła padł na podłogę i na zamontowaną w podłodze klapę.

- Słuchajcie! - krzyknął Tadeusz. – Zostawcie mundur i czaszki! Trzeba otworzyć klapę w podłodze! Tam może ktoś być!

Myślał oczywiście o Julianie i całe jego ciało zdrętwiało, bo ogarnął go strach przed tym, co może zobaczyć na dole.

Kłapa w podłodze nie była zamknięta na kłódkę i podnosiła się bardzo lekko. Spuścili na dół drabinę, która stała pod ręką, oparta o ścianę. Tadeusz zszedł pierwszy. Nie udało się go powstrzymać. Anna, przestraszona, wyszła na zewnątrz budynku.

- Tam może być Antoni – myślała i myśl ta cieszyła ją i przerażała jednocześnie. Krew uderzyła jej do głowy, a wyrzuty sumienia wywołały zamęt w duszy. Usłyszała stłumiony, ale przenikliwy krzyk Tadeusza:

- Julian! Julian! Bracie, to ty? Julian, co on ci zrobił!

- Wracaj. Musisz nam pomóc – poprosił ją grobowym głosem Paweł, wychylając głowę zza drzwi wejściowych.

Anna dopiero będąc w środku ośmieliła się zapytać:

- Czy jest tam Antoni?

- Nie. Znaleźliśmy tylko Juliana – odpowiedział Paweł. – Bardzo wycieńczonego, brudnego i chorego. Ten bydlak ubrał go w pasiak i na pewno głodził, bo chłopak jest strasznie wychudzony. To cud, że jeszcze żyje. Przyszliśmy w ostatniej chwili. Zabiję tego sadystę! - wrzasnął nagle, nie mogąc powstrzymać gniewu.

Kiedy się uspokoił, ustalili, w jaki sposób wyciągną Juliana, żeby mu sprawić jak najmniej bólu. Tadeusz już zdążył rozciąć krępujące Juliana więzy i rozcierał jego zdrętwiałe członki. Ostrożnie wziął go na ręce, a następnie oparł jego ciało o drabinę i uniósł. Paweł jedną ręką trzymał się szczebli drabiny, drugą ujął Juliana w pasie i pisał się z nim w górę. Anna położyła się na podłodze przy otworze, wsunęła się do niego i chwyciła za kołnierz pasiaka. Udało się. Wyciągnęli Juliana i przenieśli do głównego pomieszczenia. Anna wybiegła, powiadomiła o zajściu Walerię i wróciła. Julian cicho jęczał. Był przytomny, ale zeszywniały i słaby. Pomimo to uśmiechał się do nich. Dopiero teraz poczuli straszliwy smród, bo zapach wydobywający się z piwnicy pomieszał się z zapachem fermy. Tadeusz poił Juliana wodą i zadawał mu mnóstwo pytań.

- Zostaw go teraz w spokoju – poprosił Paweł i polecił:

- Idź po samochód. Musisz go natychmiast zawieźć do Koszalina do rodziców, a potem jedź do sanatorium po Mariannę. Ona powie, czy trzeba Juliana zawieźć do szpitala. Biegnij po samochód! - ponaglił Tadeusza, który nie mógł oderwać się od brata.

Wkrótce samochód stanął pod bramą fermy. Anna pilnowała zaniepokojonego psa, a panowie przenieśli owiniętego w koce Juliana do auta i położyli na tylnym siedzeniu. Waleria stała nieruchomo, patrząc na nich z przerażeniem w oczach.

- Nie wracaj! - krzyknął Paweł do siedzącego już za kierownicą Tadeusza. - Zajmij się Julianem i rodzicami!

Tadeusz kiwnął głową na znak, że usłyszał Pawła i z nim się zgadza. Odjechał. Paweł podszedł do Walerii i uspokajająco poklepał ją po ramieniu.

- Poczekamy tu na niego – powiedział, myśląc o Zarzyckim. – Za wszystko zapłaci.

Waleria milczała. Skinęła tylko lekko głową i wróciła na punkt obserwacyjny. Paweł ciężkim krokiem wrócił na fermę.

5. Gorzki smak sprawiedliwości. Sobota/niedziela, 5/6 października 52



Posadzili Zarzyckiego na krześle w otwartych drzwiach do przedsionka. Ręce związali mu z tyłu. Nogi przywiązali do przednich nóg krzesła. Z otwartej klapy do piwnicy wydobywał się smrodliwy chłód. Być może to on był powodem dreszczy, które wstrząsały ciałem więźnia. Anna, Waleria, Paweł i Grzegorz usiedli naprzeciw niego w odległości około trzech metrów.

Wszyscy milczeli. Zapadł już zmierzch i w pomieszczeniu zapanował mrok. Paweł wstał, wziął z półki lampę naftową, zapalił knot, skrzył płomień, a lampę umieścił pomiędzy nimi a oskarżonym. Nie chciał, żeby w pomieszczeniu zapanowała elektryczna jasność. Zarzycki siedział wyprostowany z podniesioną głową i patrzył na nich z pogardą.

- Jesteś oskarżony o porwanie Juliana Wysockiego, przetrzymywanie go i znęcanie się nad nim – powiedział Paweł, czując się w obowiązku zastąpić Tadeusza.

- Jesteś oskarżony o zamordowanie w okrutny sposób Mariana S. i spalenie jego zwłok – powiedziała Waleria.

- Jesteś oskarżony o zamordowanie Antoniego Czupy – drżącym głosem powiedziała Anna.

- Wy polskie świni! - wrzasnął Zarzycki. – Was też bym wkrótce wykończył! Nie macie prawa żyć! Niedługo skończy się ten wasz polnische wirtschaft i zapanuje porządek, który ja reprezentuję!

- Ty jesteś mordercą i sadystą – odpowiedział spokojnie Paweł. – Nie zasługujesz nawet na proces. Ale my ciebie osądzimy. Teraz dajemy ci szansę, żebyś się bronił. Więc pytam, co masz na swoją obronę?

Zarzycki roześmiał się głośno, odchylając głowę do tyłu. Potem ucichł, powiódł wzrokiem po siedzących przed nim osobach i wycedził:

- Wy nie macie żadnego prawa, żeby mnie sądzić. To ja jestem waszym sędzią, a wy już dawno zostaliście skazani na śmierć. Powiesiliście najlepszych z najlepszych i spotka was za to kara. Taka sama, jaka spotkała pięciu gówniarzy. Szkoda, że nie zdechł też ten ostatni, szósty.

- Kogo jeszcze zamordowałeś poza Antonim i Marianem? - zapytał Grzegorz, nie zwracając uwagi na obelgi Zarzyckiego.

- Ja nie pytam o nazwiska. Robactwo nie ma nazwisk. Pierwszą gnidę ukarałem śmiercią głodową i spaliłem. Potem brałem gnidy kolejno rok po roku. Też zdychały z głodu, ale trochę dłużej.

- Twoją pierwszą ofiarą był Marian. Zabiłeś go w sierpniu 1947-ego. Ostatni był Julian. A więc przed nim zamordowałeś pięciu młodych chłopców – policzył szybko Paweł.

- Nie pięciu, tylko czterech. Mów precyzyjnie. W sierpniu 1950-tego utopiłem jedną komunistyczną dziwkę.

- Aha, więc córka wiceburmistrza to też twoja robota! – zawołał Grzegorz. – Żołnierz, który zginął rok temu także!

Oskarżony nie odpowiedział. Uśmiechał się ironicznie i patrzył w sufit.

- Dlaczego atakowałeś swoje ofiary zawsze w sierpniu? - dopytywał Grzegorz.

- Musi być porządek. Pierwszy był w sierpniu, to pozostali też – wyjaśnił zabójca.

- Masz trzy czaszki - kontynuował przesłuchanie Grzegorz. - Czyje one są?

- Pierwsza należała do śmierzdźla, druga do Czupy – Zarzycki spojrzał z satysfakcją na skuloną postać Anny – a trzecia do żołnierza.

- Człowieku! - wrzasnął Paweł, który nie mógł znieść arogancji mordercy. – Zaraz umrzesz. Czy ty nie zdajesz sobie sprawy z tego, co zrobiłeś?! Ile osób skrzywdziłeś! To ty jesteś gnidą, jesteś wszą, którą trzeba zmiażdżyć.

Wybuch gniewu trochę uspokoił Pawła, więc dodał spokojniej:

- Masz żonę, masz dwoje dzieci. Być może masz też przyjaciół. Oni wszyscy nie byli dla ciebie ważni? Nie wystarczało ci dostatnie życie? Musiałeś znęcać się nad niewinnymi ludźmi?

- Pawle – Zarzycki zwrócił się protekcyjnym tonem do Glińskiego po imieniu. – Przecież wiesz, podobnie jak Grzegorz, że zawsze dbałem o rodzinę. Niczego im nie brakowało.

- Może brakowało im normalności – odezwała się Waleria.

- Milcz suko! - wrzasnął nagle rozwścieczony więzień i szarpnął krzesłem, do którego był przywiązany. - Milcz suko – powtórzył ciszej i zapytał:

- Co chcecie ze mną zrobić?

- Nie masz nic na swoją obronę. Za popełnione zbrodnie zostajesz skazany na śmierć przez powieszenie – wyrok padł z ust Pawła.

- Zastrzelcie mnie, albo dajcie mi mój pistolet. Sam się zastrzelę – poprosił Zarzycki, a jego głos drżał i załamywał się.

- Nie zasługujesz na honorową śmierć – odpowiedział mu Grzegorz – będziesz wisiał tu, na swojej śmierdzącej fermie.

- Was też powieszają! Znajdą was, wy cholerni głupcy! – skazaniec znów wpadł we wściekłość.

- Widziała cię moja żona, widziała moja córka! Genio też na pewno cię zdradzi! – zawołał do Grzegorza, a potem zwrócił się do pozostałych:

– Wszystkich was znajdą i powieszają. Zna was pół Mielna, a Kozłowie nie darują wam porwania. Gdzie on jest!? Też go zabijcie!?

- Nie martw się o nas – skwitował groźny Grzegorz.. – To ty za chwilę będziesz wisiał. Wyjdźcie dziewczyny. Poczekać na zewnątrz.

Zarzycki dopiero teraz zrozumiał, że jego życie naprawdę za chwilę się kończy. Zbladł, a jego ciało trzęsło się coraz gwałtowniej. Przestał się odzywać i spuścił głowę. Kobiety wyszły. Na zewnątrz było zimno i ciemno. Drżały. Anna podeszła do psa, Waleria stała i patrzyła w niebo.

- Będziemy mogły wreszcie pochować naszych chłopców – odezwała się Waleria po chwili milczenia. – Ty czaszkę Antoniego, a ja szczątki Mariana. Zosia wreszcie odzyskała ojca, a ty wiesz, że dawno zostałeś wdową. Możemy ich opłakać i możemy od nowa zacząć życie.

Anna słuchała jej słów, głaszcząc psa.

Z budynku nie dochodziły żadne odgłosy. Minęło ponad pół godziny, zanim Paweł z Grzegorzem wyszli na zewnątrz.

- Idziemy do mnie – zarządził Paweł.

- Ja wracam do siebie – zdecydował Grzegorz. – Muszę porozmawiać z Gieniem i z całą resztą. Dadzą mi w razie wypadki alibi. Jutro rano, a właściwie już dziś, pojadę do żony Zarzyckiego i wszystko jej opowiem. Kiedy się dowie, kim był jej mąż, będzie milczeć i mnie nie wyda. Taką mam nadzieję. Zresztą i tak znikam jeszcze dziś.

- To dobry pomysł – uznał Paweł. – Ktoś go tu musi znaleźć. Niech to będzie żona, jeśli zdąży przez Jasiem. Przynajmniej chłopak się nie przestraszy i milicja nie będzie go ciągać. Dziewczyny, idziemy się trochę przespać, o ile zdołamy zasnąć po tym wszystkim.

- Panowie zatarliście nasze ślady? – zapytała Anna. – Milicja nie może się zorientować, że ktoś tu był i mu pomógł.

- Nie martw się. W środku wszystko jest w porządku. Możemy jeszcze zlikwidować ślady na zewnątrz i zatrzeć ślady opon – odpowiedział jej Grzegorz.

Spojrzał na Annę i dodał:

- Jesteś mądrą i dzielną kobietą. Obie jesteście.

Pieczołowicie zatarli liczne ślady swoich butów pozostawione w obejściu, odwiązali psa, zamknęli bramę, przewieszając otwartą kłódkę do wewnątrz, a następnie zajęli się śladami opon na drodze w pobliżu fermy. Zachowywali się cicho i nie rozmawiali. Potem ruszyli wzdłuż drogi, idąc gęsiego po trawie i ostrożnie stawiając stopy. Noc była ciemna. Rozstali się na skrzyżowaniu polnych dróg. Waleria, Anna i Paweł poszli prosto ku ulicy Lechickiej, a Grzegorz skręcił w prawo, żeby wyjść na Chrobrego.

W domu Czarnej Janki światła paliły się tylko w przysłoniętych okiennicami oknach salonu. Grzegorz najpierw wszedł do siebie i zajął się swoim wyglądem. Obmył twarz, zdjął śmierdzące lisami ubranie. Razem z zabrudzonymi butami zawinął ubranie w brezent, a zawiniątko wsunął głęboko do szafy.

- Ubranie można uprać, ale buty chyba trzeba będzie wyrzucić – pomyślał - bo milicja może odkryje odciski naszych butów. Wszystkich śladów nigdy nie udaje się zatrzeć.

Zrobiło mu się żal butów, bo były solidne, wygodne i jeszcze w dobrym stanie. Wypił łąpczywie butelkę czerwonej oranżady, założył nowe ubranie i zszedł na dół. Zajrzał do salonu. Przy karcianym stole siedziało kilka nieźle już wstawionych osób. Towarzyszył im Gienio, który odwrócił się na dźwięk otwieranych drzwi. Grzegorz położył palec na ustach i machnął na niego ręką, wywołując go na korytarz. Gienio wyszedł i o nic nie zapytał.

- W razie czego, to przywieźliśmy Zarzyckiego tutaj. On najpierw był z Dzidką, a potem upił się i wyszedł. Ja cały czas byłem na miejscu. Teraz idź do Dzidki, powiedz jej co trzeba i

możesz iść spać. Ja zostanę – poinstruował go Grzegorz. - Aha, rano pojedziemy do Koszalina. Samochód będzie wolny?

- Tak jest szefie – odpowiedział Gienio i odszedł.

- Muszę wypić kilka kieliszków – pomyślał Grzegorz, wchodząc do salonu. – I mocną kawę. .

Paweł Gliński nie chciał, żeby stróż zauważył wejście jego i towarzyszących mu dwóch kobiet na teren pegeeru, więc weszli od strony dawnego dworskiego parku. Cała trójka była upiornie zmęczona i psychicznie obolała. Dostali się cichutko do pałacu i, skradając się po skrzypiących schodach, dotarli wreszcie do drzwi pokoju Pawła. Weszli do środka, ale nie zapalili światła. Dziewczyny runęły w ubraniach na łóżko. Zrzuciły tylko buty. Paweł postawił na stole zawiniątko, które przyniósł z fermy - Anna i Waleria prawdopodobnie domyślały się, co w nim jest, ale nie zapytały. Owinął się kapą i położył na podłodze. Dopiero rano mieli pomyśleć, jak zdobyć ubrania dla Anny i Walerii, bo w tych, które miały na sobie nie mogły pokazać się ludziom ze względu na zapach i zabrudzenia. Trzeba było też zdecydować, jak mają się zachowywać po dramatycznym nocnym zdarzeniu. Paweł zmierzał ubrać rano roboczy kombinezon i pójść do pracy. Ale dziewczyny nie mogły pokazywać się na oczy pracownikom pegeeru. Nie mogły też czmychnąć do Koszalina pierwszym porannym autobusem. Po wejściu do pokoju nie zamienili ani słowa. Zanim zapadli w niespokojny płytki sen, w głowie każdego z nich kłębiły się ponure myśli, a pod zamkniętymi powiekami pojawiały się straszne obrazy niedawnych wydarzeń.

6. Przyczajenie. Poniedziałek – wtorek, 6 – 7 października 52



Pawła Glińskiego obudził bębniący o szyby deszcz. Skończyło się babie lato i przyszła prawdziwa słotna jesień. Podniósł się i spojrzął na łóżko. Kobiety jeszcze spały.

- Zostańcie tutaj, zjedzcie to, co położyłem na stole. Odpoczywajcie i czekajcie na mnie. Przygotowałem dla was miskę z ciepłą wodą i ręcznik. Umyjcie się, Ja idę do warsztatu. Nie będę tam długo. Leje, więc w polu nie będą pracować. Tylko bądźcie cichutko – poprosił szeptem Paweł, gdy zauważył, że Waleria otworzyła oczy.

Waleria skinęła głową i znów zamknęła powieki. Bolało ją całe ciało i czuła ogromną słabość. Zasnęła, a gdy znów się obudziła, zobaczyła Annę siedzącą przy stole i patrzącą tępo na padający za oknem deszcz.

- Anno – wyszeptała Waleria. – Co ci jest?

Anna odwróciła głowę i spojrzała na koleżankę tym samym pustym wzrokiem, którym patrzyła przez okno.

- Nic, nic – wydusiła z siebie. – Jestem zmęczona i nie mogę uwierzyć w to, co się stało.

- Nie myślmy o tym – zaproponowała Waleria z trudem podnosząc się z łóżka. - Musimy się umyć i oczyścić ubrania. Na razie zrobimy sobie herbaty. Napijemy się i pocujemy lepiej.

Czekały na powrót Pawła leżąc pod kołdrą w łóżku. Oczyszczone ubrania wietrzyły się rozwieszone na krzesłach ustawionych w pobliżu otwartego okna. Nie rozmawiały. Pograżyły się każda w swoich myślach. To, co stało się w nocy było tak niewiarygodne, że z upływem każdej godziny stawało się bardziej nierzeczywiste niż koszmarny sen. Paweł wrócił dopiero po południu. Był zdenerwowany. Zaraz po zamknięciu za sobą drzwi wyszeptał:

- On chyba zabił też Jasia Siedzika. Znalaziono go w sobotę rano na Kościelnej. Ludzie mówią, że ktoś go potracił samochodem i zostawił. Ja myślę, że to zrobił on – Paweł nie chciał wymieniać imienia i nazwiska sprawcy.

- Potwór, potwór, nie człowiek – Waleria wypowiedziała to, co myślało też dwoje jej towarzyszy. – Dobrze, że nie żyje. Nie możemy dręczyć się wyrzutami sumienia. Nie my jesteśmy winni jego śmierci. Sam się na nią skazał.

Postanowili, że kobiety przeczekają noc i jeszcze jeden dzień w pokoju Pawła. Waleria i Anna nie musiały zbytnio spieszyć się z powrotem do Koszalina. Zosia była bezpieczna u Kozińskich. Marianna z pewnością także się nią zajęła. Mogły więc odpocząć, uspokoić się i pomyśleć, co

robić dalej. Wiele zależało od tego, czego dowiedzą się od Tadeusza, Marianny czy Grzegorza. Nie miały wątpliwości, że któreś z nich w najbliższym czasie skontaktuje się z nimi.

Paweł, nie dając po sobie poznać, że ma gości, działał według normalnego rozkładu dnia. Podjął tylko jedno ryzykowne działanie. W nocy wykopał drewnianą trumienkę ze szczątkami Mariana, żeby Waleria mogła je zabrać do Koszalina. We wtorek około południa pojawiła się Marianna. Wyglądała pięknie pod dużym parasolem, w płaszczu przyozdobionym apaszką i w butach na obcasach. W wyciągniętej ręce niosła pakunek z ciastem. Każdy, kto ją zobaczył, czy to w pekaesie, czy w drodze do pegeeru, nie miał wątpliwości, że przyjechała na randkę z panem Glińskim i że bardzo chce mu się podobać.

Widok eleganckiej Marianny podniósł na duchu Pawła i dziewczyny. Żalowali, że muszą nadal zachowywać się cicho, bo rozsadzały ich od wewnątrz emocje. Paweł przedłużył sobie obiadową przerwę, więc mieli trochę czasu na wymianę wiadomości. Siedzieli przy stole. Anna i Waleria wyglądały i czuły się już nieco lepiej. Odpoczęły i doprowadziły do porządku swoje ubrania. Posprzątały też pokój Pawła, spodziewając się rychłej wizyty przyjaciół. Wiadomości było tak dużo, że nie wiedzieli od czego zacząć. Na szczęście Marianna o wydarzeniach niedzielnej nocy wiedziała prawie wszystko, więc ich uczestnicy nie musieli przywoływać przykrych wspomnień, a wieści, które przyniosła Marianna były dobre i uspokajające. Stan Juliana uznano za poważny, ale w jego młodym organizmie nie było zmian, które mogłyby zagrażać jego życiu. Zbadał go lekarz, dobry znajomy Wysockich, który o wiele nie pytał. Marianna doradziła rodzinie, co robić, aby nie zaszkodzić choremu nadmierną troską, lecz żeby Julian mógł się bezpiecznie zregenerować fizycznie i psychicznie. Radziła, aby nie przekarmiali go i nie namawiali do zwierzeń. Powinien nabrać sił, cieszyć się tym, że został uratowany, że znów jest w domu z bliskimi. Nie należało rozdrapywać świeżych ran. Sąsiedzi Wysockich prawdopodobnie nawet nie zauważyli powrotu Juliana, bo Tadeusz z ojcem wynieśli go z samochodu szczelnie przykrytego kocem, jakby dźwigali nieporęczny pakunek. Samochód zastał wyczyszczony w ustronnym miejscu i natychmiast oddany właścicielowi. Bezpieczniej było wyciszyć sprawę i nie wtajemniczać w nią osób postronnych. Gdy Julian dojdzie do siebie i będzie mógł pokazać się światu, znajdzie się wiarygodne wytłumaczenie dla jego zniknięcia i odnalezienia.

W poniedziałek po południu Marianna spotkała się też potajemnie z Grzegorzem, który czekał na nią cierpliwie przed domem Kozińskich, aż wróci od Wysockich. Opowiedział jej o sądzie

i wykonaniu wyroku na Zarzyckim. Prosił także o przekazanie Pawłowi i pozostałym osobom wiadomości o jego rozmowie z żoną zbrodniarza.

Grzegorz zapukał do drzwi mieszkania Zarzyckich w poniedziałek około południa z nadzieją, że Zarzycka będzie w domu, a dzieci w szkole. Nie zawiódł się. Zarzycka zaprosiła go do środka, nie wykazując niepokoju przedłużając się nieobecnością męża. Nie zapytała na widok Grzegorza „a gdzie się podział mój mąż?”. Kiedy przeszli do pokoju i usiedli, Grzegorz oświadczył bez ogródek:

- Pani mąż nie żyje. Popęłił samobójstwo, ale nikt poza panią i mną jeszcze o tym nie wie.

Zarzycka zbladła, wstała i wyszła z pokoju. Gdy wróciła, paliła papierosa i mogło by się zdawać że jest zupełnie spokojna, gdyby nie drżenie ręki, w której go trzymała.

- Gdzie to się stało? - zapytała, wypuszczając z ust kłęb papierosowego dymu.

- Na fermie. Powiesił się i nadal tam wisi – padła brutalna odpowiedź.

- Pan był przy śmierci Roberta i wie pan, dlaczego on to zrobił – powiedziała kobieta.

Było to stwierdzenie, a nie pytanie.

- Tak, byłem i wiem. Dla niego śmierć była najlepszym wyjściem. Dla pani i dzieci także.

- Rozumiem.

Zarzycka skuliła się w sobie, spuściła głowę i długo patrzyła w podłogę nieruchomym wzrokiem. Wreszcie wyprostowała się i nie patrząc na Grzegorza, rzekła:

- Tak więc mój mąż popełnił samobójstwo. Pana przy tym nie było, bo przecież pan w nocy pracuje. Prawda? A dużo wypił zanim wyszedł z burdelu i poszedł powiesić się na fermę? Wyszedł sam, czy z kobietą?

- Wyszedł sam, ale wcześniej dużo pił i był z pewną kobietą.

- Tak, zawsze miał mocną głowę – stwierdziła Zarzycka. - A kto go znajdzie? Jego pracownik, czy ja?

- A jak pani woli? - Grzegorz odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Nie wiem. Poczekam do wieczora. Jeśli nie dostanę wiadomości o jego śmierci, pojedę taksówką do Mielna i będę go szukać. Ale gdzie mam go szukać? W burdelu, czy na fermie?

- Ja radzę, aby pani szukała na fermie, ale zróbi pani, jak uważa. Myślę, że lepiej będzie zacząć go szukać dopiero we wtorek rano. Dzieci będą w szkole. One nie muszą wiedzieć. To po pierwsze. A po drugie, będzie pani mogła zgłosić śmierć męża na posterunku w Mielnie. Tak będzie prościej. Nie trzeba mieszać w to koszalińskiej milicji. Posterunkowy obejrzy miejsce zdarzenia, stwierdzi śmierć samobójczą i zawiadomi prokuraturę. Zrobią sekcję zwłok, ale niczego podejrzanego nie znajdą. Wytrzyma pani do jutra? - zapytał zaniepokojony Grzegorz, widząc jak Zarzycka zaczyna drżeć na całym ciele.

- Wytrzymam – powiedziała kobieta, z trudnością powstrzymując łzy.

Marianna skończyła relację o odwiedzinach, które Grzegorz złożył Zarzyckiej i dodała, że Grzegorz, na wszelki wypadek, załatwił sobie alibi. Pracownicy Czarnej Janki poświadczą, że noc spędził w pracy, że Zarzycki przyjechał z nim z Koszalina wczesnym wieczorem, dużo pił, spał z jedną z dziewczyn, a potem wyszedł i nikt mu nie towarzyszył. Wcześniej często wracał w nocy na fermę, więc i tym razem nikogo jego wyjście nie zdziwiło.

- Grzegorz radzi, abyśmy też przygotowali wiarygodne alibi. Nie powinno być kłopotów, bo Zarzycka, że tak powiem, poszła na współpracę z Grzegorzem, ale na wszelki wypadek powinniśmy być dobrze przygotowani do składania zeznań – zakończyła swą długą wypowiedź Marianna.

- Nas nikt nie będzie łączył ze śmiercią Zarzyckiego – oznajmił po krótkim namyśle Paweł. - Może tylko Kozłów. Czy wiadomo, co się z nim dzieje?

- Nie wiem, co się z nim dzieje. Grzegorz i Tadeusz także chyba nie wiedzą, bo nie wspominali o nim. Ale nie wzięłeś pod uwagę Jasia. On ostatnio widywał mnie i ciebie w pobliżu fermy i u Zarzyckiego – zaniepokoiła się Marianna.

- Jasio nie żyje. W piątek wieczorem potrafił go samochód. Ktoś go znalazł rano, już martwego, na ulicy. Tu niedaleko, na Kościelnej. Ludzie mówią, że to nieszczęśliwy wypadek. Ja myślę,

że to Zarzycki specjalnie go potrącił – rzekł Paweł, a Marianna ze smutkiem i niedowierzaniem pokręciła głową.

Paweł ożywił się nagle, wstał od stołu i przez chwilę krążył po pokoju. Zatrzymał się i stwierdził:

- Jest wtorek po południu. Milicja już wie o Zarzyckim, bo żona miała go odnaleźć rano. Los nam sprzyja. Wczoraj lało jak z cebra. Nikt nie znajdzie na fermie naszych śladów, ale za to znajdą ukrytą piwnicę i mundur SS. Piwnicę wysprzątailiśmy, ale i tak Zarzycki wyjdzie na podejrzanego typka. Prawdopodobnie milicja i prokuratura nie będą wywlekać tego, co go łączyło z domem Czarnej Janki i z kasynem. Wersja samobójstwa jest dla wszystkich wygodna. Zagrożeniem dla nas może być tylko Kozłów. Reszta nie piśnie słowa o naszych poszukiwaniach.

- Czy Zarzycki miał pistolet? - zastanawiała się głośno Waleria. - Jeśli miał, to będą się zastanawiać dlaczego się powiesił, skoro mógł się zastrzelić.

- Pistolet Zarzyckiego jest tutaj – Paweł wyjął broń z szuflady stołu. - Schowam go dobrze. Może się jeszcze przydać.

- Pozbądź się go jak najszybciej – poprosiła Marianna. - Niech nam nie przypomina tego drania. Niech żaden ślad po nim nie zostanie.

- Dobrze – zgodził się Paweł. – Zrobię to. Ale teraz muszę poszukać Kozłowa i z nim porozmawiać.

- Nie pokazujmy się w najbliższych dniach w Mielnie – poradziła Anna, która milczała od dłuższego czasu. - Kozłowa może złapiesz w kasynie. Pan Muzyczka ci pomoże. Pójdiesz do niego z Tadeuszem, albo z ojcem Tadeusza. Jedź z Marianną dziś jeszcze do Koszalina.

- To jest bardzo dobry pomysł – poparła Annę Waleria. - Załatw sobie wolne. Ubierzesz się elegancko, weźmiesz Mariannę pod rękę i pojedziecie do Koszalina, nie budząc niczych podejrzeń. Postarajcie się tam o transport dla nas. Nie możemy nagle, jak gdyby nigdy nic, wyjść z twojego pokoju Pawle. Trzeba coś wymyślić. Ja chcę już wrócić do Zosi i zabrać ją do domu.

Przed wyjściem pary ustalono, że gdy tylko się ściemni i w pałacu zamrze dzieńne życie, Waleria i Anna spakują do plecaka szczątki ofiar Zarzyckiego, wymkną się z pałacu i z terenu pegeeru, a potem będą czekać za dworcem kolejowym w Mielnie na samochód, który, dzięki interwencji Pawła, powinien po nie przyjechać zanim zapadnie noc.

Epilog

Julian przez wiele dni czuł na sobie smród piwnicy. Jego ciało wyzwoliło się z więzienia, w którym spędził siedem tygodni. Szybko przybierał na wadze, a skóra przybierała cieplejszy kolor. Jego umysł jednak nadal tkwił w pułapce i nie pozwalał Julianowi odetchnąć. Poza paskudnym zapachem, męczyły go koszmarne sny, prześladowały czarne myśli i wyrzuty sumienia. Domownicy troszczyli się o niego, dogadzali mu, a jego psychika, na przekór wszystkim i wszystkiemu, gdy straciła cel, którym przez długi czas było przetrwanie za wszelką cenę, nie znalazła celu innego. Straszna przeszłość zaatakowała go z wielką siłą, a on nie potrafił się jej przeciwstawić. Czuł się całkowicie bezbronny. Nie chciał martwić bliskich. Wiedział bowiem, że jego zniknięcie sprawiło im wiele bólu. Udawał, że czuje się słaby fizycznie, żeby móc leżeć w łóżku z zamkniętymi oczami, aby myśleli, że śpi. Cieszyli się. Przecież sen wzmacnia, sen przywraca zdrowie.

Rodzicom nie opowiedział o tym, co go spotkało w piwnicy. Wstydził się swojej uległości wobec prześladowcy, podstępów, którymi ratował się przed karami, zbierania z brudnej podłogi okruszków chleba rzucanych przez Jasia. O Jasiu powiedział mu Tadeusz. Powiedział mu także o jego śmierci i Julian pomyślał, że Jasio zginął przez niego. Przez niego Grzegorz musiał uciekać z Mielna, przez niego Paweł obawiał się aresztowania i też myślał o wyjeździe. Przez niego Marianna biła się z myślami, bo nie wiedziała, czy towarzyszyć Pawłowi, czy zostać w Koszalinie i w pracy, którą polubiła. Przez niego wreszcie Tadeusz zmienił się tak, że rodzice nie mogli się z nim dogadać. Wychwytywał te wszystkie przytłaczające go informacje z rozmów prowadzonych w sąsiednim pokoju w czasie, gdy rodzina sądziła, że śpi.

- Wszystko było jak dawniej, gdybym nie pojechał sam do Mielna i nie pozwolił się podejść szaleńcowi - rozmyślał. – Nie przeciwstawiłem się mu, nie rzuciłem na niego, nie zabiłem, anie go nie obezwładniłem. Siedziałem przestraszony w tej ohydnej klatce i tak samo jak jego lisy

czekałem beczynn timer na śmierć. Gorzej, poniżałem się przed nim. Słuchałem jego rozkazów. Okazało się, że jestem tchórzem.

Stan Juliana niepokoił Romana Wysockiego. Jego młodszy syn wyglądał już dużo lepiej, ale nie chciał wstawać z łóżka i nie chciał rozmawiać. Najbardziej przerażały Romana oczy Juliana, w których nie mógł dostrzec nie tylko iskerek radości, ale także przeblasków życia. Bał się w nie patrzeć, bo ogarniał go nieokreślony lęk.

Postanowił zwierzyć się Skibiłłom, którzy zostali powiadomieni o znalezieniu Juliana, ale nie znali szczegółów i kulis tego zdarzenia. Odwiedził ich pewnego dnia po pracy. Wcześniej uprzedził Irenę, że wróci później. Nie powiedział jej natomiast, że wybiera się do Sabiny i Jana. Nie chciał się tłumaczyć i odpowiadać na pytania po powrocie do domu. Po drodze zakupił dwie ćwiartki czystej. Wypiją jedną i zobaczy się, czy warto otwierać drugą.

Zastał Skibiłłów w ich małym, ale ładnie urządzone m mieszkan ku przy Stalingradzkiej. Sabina zaproponowała, że ogrzeje mu obiad.

- Nie jest dobrze? - ni to stwierdził, ni zapytał Jan, gdy jego żona zniknęła w kuchni a Roman wyjął z kieszeni butelką wódki i postawił na stole.

- Nie jest – potwierdził i z drugiej kieszeni wyjął drugą butelkę.

- Nie lepiej było kupić pół litra? - roześmiał się Jan.

Wstał, wyjął z szafki kieliszki, postawił na stole, usiadł, polał wódkę, spoważniał i powiedział:

- Mów, co się dzieje.

- Poczekajmy na Sabinę. Chcę, żeby mi coś poradziła. Chodzi o Juliana.

- Domyślam się – odrzekł Jan. – No to przynajmniej wypijmy jego zdrowie.

Gospodarze czekali, aż gość zje obiad. Poważną rozmowę zaczęli dopiero przy herbacie, którą popijali alkohol. Druga butelka też została otwarta i szybko wypita. Roman opowiedział, co go gnębi.

- Przyjdę do was jutro – oznajmiła Sabina – i porozmawiam z Julianem. Ciotce prędzej się zwierzy. Was nie chce martwić.

- Może lepiej będzie, jeśli ja z nim porozmawiam – zaproponował Jan. - Nie wiemy, co Juliana spotkało. Pogadamy jak mężczyzna z mężczyzną.

- Ale czy ty potrafisz? - niepokoila się Sabina. – Czasami jesteś nazbyt bezpośredni.

- No to wtedy ty wkroczysz do akcji – odparował Jan. - Ale jutro idę sam.

Jan siedział w pokoju, gdzie leżał Julian od godziny i Irena zaczęła się niepokoić. Roman uspokajał ją i powstrzymywał przez sprawdzeniem, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami.

- Wszystko będzie dobrze – powiedział do nich Jan, gdy wreszcie wyszedł od Juliana. – Chłopak dużo przeżył, oskarża siebie, czuje się winny temu, co się stało. Tłumaczyłem mu, że to nieprawda, że niczemu nie jest winny, podobnie jak poniżane ofiary obozów koncentracyjnych nie były winne swej niedoli. Przyznał mi rację. Płakał. Ale to dobrze, że płacze. Obiecałam, że nie będę wam wszystkiego opowiadał. Sam wam powie, kiedy przyjdzie pora. Odwiedzę go znów. Przyjdę pojutrze. Do widzenia.

- Do widzenia – odpowiedzieli zaskoczeni, bo Jan natychmiast wyszedł.

- Nie wchodź teraz do niego. Ja zaniósę mu coś do picia – poprosił Irenę Roman.

Z szafki w jadalni wyjął butelkę wiśniowej nalewki i dwa kieliszki. Przejął od Ireny tacę z herbatą i wszedł do Juliana.

- Napij się ze mną synu – powiedział spokojnie i spojrzał Julianowi prosto w oczy, w których pojawiło się małe światełko. – Nie musimy gadać. Pomilczymy razem.

Julian Wysocki podźwignął się psychicznie po dwóch tygodniach od ingerencji Jana Skibiły, który w międzyczasie odwiedził go kilkakrotnie. Irena Wysocka, która zauważyła zmiany w zachowaniu syna, gorąco dziękowała szwagrowi za każdą wizytę, choć w głębi serca czuła smutek, że syn nie jej zwierza się ze swoich przeżyć. Rekompensowała sobie ten smutek przytulaniem Juliana, ciesząc się, że wreszcie odwzajemnia uściski. Dla Juliana nastał czas ćwiczeń ciała, które miały przywrócić mu dawną sprawność. Oddawał się im z zapamiętaniem.

Paweł nie chciał pozostawać dłużej w Mielnie, gdzie wszystko, nawet plaża, kojarzyło mu się z Zarzyckim. Kiedy słyszał warkot motoru, zdawało mu się, że zaraz zobaczy ciemnozielonego Zündappa. Patrząc na jezioro, myślał o szemranych gościach Czarnej Janki. Unikał też, z wiadomego powodu, spacerów po nadjamneńskich łąkach. Ponieważ jednak zakochał się w szumie morza, pomyślał, że chciałby nadal mieszkać nad morzem. Zapytał Mariannę, czy wyprowadziłaby się z nim do Kołobrzegu. Ucieszyła się. Zamieszkaliby przecież blisko Koszalina i mogli odwiedzać Kozińskich, Walerię z Zosią i Wysockich. Kołobrzeg, prawie całkowicie zburzony po marcowej ofensywie w 45-tym roku, podnosił się z ruin. W tym portowym mieście, łatwo było zniknąć z oczu ciekawskich ludzi. Łatwo było znaleźć pracę. Marianna miała nadzieję, że wkrótce Kołobrzeg znów stanie się znanym kurortem, w którym będzie mogła spełnić się jako pielęgniarka. Najtrudniej byłoby znaleźć miejsce do zamieszkania. Tym się jednak nie martwili. Przecież od dawna oboje mieszkali kątem u obcych ludzi.

Przez wiele dni od dnia znalezienia ciała Zarzyckiego na fermie - kiedy to sprawa samobójstwa hodowcy lisów stała się w Mielnie tematem numer jeden w kolejce do sklepu, w „Mewie” i w prawie każdym domu - Pawła dręczył niepokój. Nie wiedział bowiem, co się stało z Kozłowem. Pan Muzyczka, do którego poszedł był razem z Romanem Wysockim, twierdził, że od dawna Kozłow nie pojawił się ani w restauracji, ani w hotelu, ani w kasynie. Przez dwa popołudnia Paweł czatował więc na Grzegorza, starając się nie być przez nikogo zauważonym. Kiedy wreszcie się spotkali, dowiedział się, że Kozłow nie przychodzi także i do mieleńskiej jaskini rozpusty. Na dłuższą rozmowę umówili się późnym wieczorem na plaży, w tym samym miejscu, gdzie razem spędzili pamiętną wrześniową noc. Grzegorz nie wyjechał z Mielna następnego dnia po wydarzeniach na fermie. Żona Zarzyckiego dotrzymała umowy. Milicja i prokuratura przyjęły wersję samobójstwa. Nie był przesłuchiwany. Udał się nawet, z całym dworem Czarnej Janki, na pogrzeb Zarzyckiego do Koszalina. Żałobnicy dopisali. Można było domyślić się, że pominięto fakt znalezienia na fermie niemieckiego munduru. Zbyt wiele osób korzystało z usług Zarzyckiego, aby wywoływać skandal, skoro winny już nie żył. Na pogrzebie było dużo przemówień i kwiatów, ale wdowa nie uroniła nawet jednej łzy. Grzegorzowi wydawało się nawet, że na jej twarzy, zasłoniętej czarnym welonem, zamiast smutku i wzruszenia, pojawiał się ironiczny uśmiech. Zarzycka sprzedała lisy i zlikwidowała fermę. Kozłowa na pogrzebie nie było.

- W najbliższą niedzielę przyjadę do Koszalina. Spotkamy się przed bunkrem w papierni – zdecydował Grzegorz.

Martwego Kozłowa w papierni też nie znaleźli, choć przeszukali dokładnie cały teren i okolice. Nie natknęli się także na Szlucińskiego, a jego melina wyglądała na opuszczoną. Stali na terenie papierni trochę zdezorientowani, ale w gruncie rzeczy zadowoleni. Znalezienie ciała Kozłowa oznaczałoby następne kłopoty.

- Poproszę Mariannę, żeby dowiedziała się czegoś od żony Kozłowa, albo od Raczykowej – zdecydował Paweł.

- Wiesz, ja jednak zamierzam wyjechać – poinformował Glińskiego Grzegorz. - Prędzej czy później ktoś od Czarnej Janki chlapnie coś o mnie i o Zarzyckim. Muszę zniknąć. Ryzyko jest za duże. Osiadę gdzieś pod Warszawą. Odszukam chłopców z organizacji. Pomogą mi się jakoś urządzić. Żał wyjeżdżać z Mielna, ale muszę zmienić otoczenie. Nie chcę spędzić reszty życia w burdelu, wśród partyjniaków, urzędasów i ruskich.

- A co z Anną? – po chwili wahania zapytał Paweł. - Myślałem, że zbliżyliście się do siebie.

- Po tym wszystkim nie mieliśmy okazji, żeby poważnie porozmawiać. Nie spotykamy się. Boję się o nią. Nie chcę jej narażać. Anna wiele przeżyła, a teraz musi jeszcze uporać się z żałobą po Antonim. Musi go pochować. No wiesz, myślę o czaszce.

- Tak wiem. A swoją drogą ciekawe, co Zarzycki robił z ciałami – wypalił Paweł i natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że nie był to dobry moment na roztrząsanie takiej zagadki.

- Nie wiem – Grzegorz niechętnie podjął nowy wątek rozmowy. - Palił, zakopywał, a może karmił nimi lisy, nie wiem. Niewiele zostawało z tych biedaków. Przecież ich głodził na śmierć.

Po chwili milczenia Grzegorz spojrzał na Pawła i powiedział:

- Stary, ja już dziś wyjeżdżam. Pójdę jeszcze na Młyńską i poczekam na Annę w pobliżu domu Koziańskich. Może uda nam się zobaczyć. Pojadę pierwszym lepszym nocnym pociągami dla zmylenia śladów. Mam więc czas. Już nie wracam do Mielna. Zostawiłem walizkę na dworcu. Gdybym Anny nie spotkał, powiedz jej proszę, że napiszę do niej list. Wyślę na adres sanatorium. Zaadresuję na Mariannę. Tak będzie bezpiecznie.

- Chłopie – Paweł był wzruszony. – Może już się nie zobaczymy. Cieszę się, że cię spotkałem. Dziękuję, że nam pomogłeś. Bez ciebie by się nam nie udało. Dziękuję w imieniu wszystkich.

- Żegnaj kolego, a może do zobaczenia – odpowiedział Grzegorz. – Życzę szczęścia tobie, Mariannie i Walerii. Pozdrów ode mnie Juliana, Tadeusza i państwa Wysockich.

- Pozdrowię. Uważaj na siebie. Życzę ci, żebyś spotkał przed wyjazdem Annę.

Podali sobie ręce i uścisnęli.

Od powrotu z Mielna Anna Czupa szarpała się z myślami i nie mogła sobie znaleźć miejsca. Spotykała się jedynie z Marianną, kiedy ta wracała z pracy, no i oczywiście z Kozińskimi. Pomagała im z wielkim zaangażowaniem, chcąc odrobić czas, jaki jej dali na poszukiwania nawet o nich nie wiedząc. O Grzegorzu, Pawle i rodzinie Wysockich niewiele teraz wiedziała. Marianna do Wysockich nie chodziła. Radzili sobie doskonale bez jej pomocy. Paweł nie ruszał się z Mielna, a Grzegorz w ogóle z nikim się nie kontaktował.

Anna raz odwiedziła Walerię. Rozmawiały przede wszystkim o tym, jak zorganizować ewentualne pochówki Mariana i Antoniego. Czaszkę Antoniego Anna trzymała na razie w swoim pokoiku u Kozińskich. Owinęła ją w dużą czystą chustę w kwiaty i postawiła na stole. Nie odwijala jej, lecz rozmawiała za jej pośrednictwem z Antonim. Chciała się dowiedzieć, dlaczego zaczął pić, dlaczego nie cieszył się z dziecka i dlaczego ją i dziecko opuścił. Nie otrzymała odpowiedzi. Wieczorami najczęściej płakała. Nie z powodu rozpacz, ale z żalu, że wspólne życie z Antonim nie udało się, że nie było im dane wychowywać syna i że niczego już nie można cofnąć. O cierpieniach, które musiał przeżyć Antoni po uwięzieniu, nie chciała i nie mogła myśleć. Czuła, że jeśli zagłębi się w nie, ponownie straci chęć do życia.

- On już nie cierpi – powtarzała i uciekała się do modlitwy za jego duszę.

I właśnie w trakcie modlitwy pomyślała, że czaszkę Antoniego pochowa w Mielnie w grobie Adasia. Zrobi to po kryjomu, bo jakże mogłaby organizować oficjalny pogrzeb komuś, kto dotąd nie został odnaleziony. Ziemia, w której leżał Adaś była poświęcona i to musiało na razie wystarczyć. Rodziny Antoniego nie chciała teraz szukać. Nie miała na to dość siły. Trzeba by im tłumaczyć, wyjaśniać, opowiadać i usprawiedliwiać się. Przykro jej było, że nie postąpi tak,

jak postanowiła postąpić Waleria. Ona zamierzała, gdy w pełni odzyska siły, cierpliwie szukać rodziców Mariana, wykorzystując wszelkie dostępne sposoby. Na razie zamierzała zwrócić się o pomoc do Czerwonego Krzyża.

- Może i ja kiedyś zacznę szukać – pocieszała się Anna.

Nieobecność Grzegorza i brak informacji o nim niepokoiły ją, ale z drugiej strony odpowiadało jej to, że może w spokoju i samotności zająć się swoją przeszłością. O przyszłości z Grzegorzem teraz nie myślała. Bała się jej. Bała się ryzyka, opuszczenia i ponownego cierpienia. W kolejną niedzielę wieczorem stanęła w oknie i patrzyła w ciemność. Światło w pokoju było włączone, więc w szybie, na tle ciemności, odbijała się jej postać. Usłyszała ciche stuknięcie w szybę, a za chwilę drugie i trzecie. Serce w niej podskoczyło, ale nie ze strachu, tylko z radości.

- Grzegorz, to z pewnością Grzegorz – pomyślała.

Nie otwierała okna i nie wyjrzała przez nie. Szybko włożyła płaszcz, chustkę i buty. Zbiegła po schodach, wybiegła na podwórze, a potem za dom Kozińskich. Czekał tam na nią.

Tadeusz Wysocki po długiej przerwie wrócił do pracy. Bolek, który często zastępował go ostatnio, od razu oświadczył, że teraz to on odpocznie, a Tadeusz będzie za niego harował, bo sprawiedliwość musi być. Tadeusz, rozповідаł Bolek, lumpował się w Mielnie i dostał manto od zazdrosnego absztyfikanta swej wybranki. Lanie słusznie mu się należało. Ma nauczkę. Niech się nie dobiera do zajętych panienek. Tadeusz nie zamierzał dementować wersji przekazywanej przez Bolka. Nie reagował na dowcipy i nie odpowiadał na podchwytliwe pytania. Koledzy śmiali się z niego, ale z szacunkiem. Zielonkawe siniaki, które jeszcze zdobiły twarz Tadeusza, budziły respekt.

- Bierze sobie panny, które chce i potrafił się o nie bić – myśleli.

Pracował dużo. Późno pojawiał się w domu, więc nie miał czasu na rozmowy z rodzicami. Nie miał już im więcej nic do powiedzenia. Wiedzieli, jak i gdzie odnalazł Juliana. Domyślali się, że oprawca Juliana i pozostałych ofiar został ukarany, ale o szczegółach nie zamierzał opowiadać. Ojciec i matka zajęli się Julianem i tylko on stał się dla nich ważny. Tadeusz

rozumiał sytuacje i nie miał do nich pretensji. Unikał jednak dłuższych spotkań i rozmów, zarówno z rodzicami, jak i z Julianem, bo zamierzał jak najszybciej zapomnieć o wszystkim, co wydarzyło się przez ostatnie tygodnie.

Nie pragnął spotkań z towarzyszami poszukiwań. Był im oczywiście wdzięczny za pomoc i zamierzał w przyszłości podziękować, o ile nadarzy się ku temu okazja, ale teraz nie chciał nikogo widzieć. W głowie miał tylko jedno, a mianowicie radykalną zmianę swojego życia. Nie zamierzał harować tak samo, jak całe życie harowali rodzice i wujostwo. Ich harówka skończyła się klęską. Wszystko stracili, a takie ludzkie potwory jak Zarzycki i inni, śmiały się z praciół i reżyserowały ich codzienność. Mogły im zabrać wszystko - pieniądze, godność, a nawet życie. Mogły bezkarnie odrzucać wszelkie zasady i gdzieś mieć prawo, za łamanie którego naiwniaków czekała surowa kara. Zlikwidowanie jednego potwora niczego nie zmieni. Zawsze będą wygrani i przegrani, wtajemniczeni i głupcy, a Tadeusz nie chciał już należeć do przegranych. Nie chciał być zwykłym wyrobnikiem harującym po to, aby Zarzyccy i Kozłowie mogli korzystać z wszelkich uciech.

Postanowienie powziął zaraz po pogrzebie Zarzyckiego. Czytał nekrologii w gazetach i nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy obserwował wystawny pogrzeb zbrodniarza. Słuchał, stojąc schowany za drzewem, przemówień nad jego grobem i nie mógł uwierzyć własnym uszom. Nawet po swej haniebnej śmierci morderca triumfował, a oni - on, Paweł, Grzegorz, dziewczyny - bali się konsekwencji, które w każdej chwili mogły na nich spaść. Właśnie na cmentarzu, podczas pogrzebowych uroczystości na cześć mordercy, Tadeusz powziął decyzję, że przejdzie na stronę silniejszych, że będzie trzymał ze zwycięzcami, a nie ze zwyciężonymi. W pewną deszczową niedzielę w połowie listopada pojechał do Mielna i stanął przed zielonymi drzwiami domu Czarnej Janki. Nacisnął dzwonek. Miał nadzieję, że drzwi otworzy mu ta sama elegancka blondynka, która śniła mu się nocami.